

Dennis Lehane

Wyspa skazancow

(Shutter Island)Przełożył Sławomir Studniarz Chrisowi Gleasonowi i Mike'owi Eigenowi. Którzy słuchali i nie pozostali obojętni.

Podziękowania Przede wszystkim dziękuje Sheili, George'owi Bickowi, Jackowi Driscollowi, Dawn Ellenburg, Mike'owi Flynnowi, Julie Anne McNary, Davidowi Robichaud i Joannie Solfrian.

Niezbędne dla powstania tej powieści okazały się trzy teksty: Boston Harbor Islands, autorstwa Emily i Davida Kale'ow; Gracefully Insane, opis McLean Hospital dokonany przez Alexa Beama; oraz Roberta Whitakera Mad in America, książka dokumentująca stosowanie neuroleptyków w leczeniu schizofrenii w amerykańskich szpitalach psychiatrycznych. Te trzy książki ze swym bogactwem faktograficznym dostarczyły mi mnóstwa informacji, za co jestem ich autorom niezmiernie wdzięczny.

Jak zawsze, składam podziękowania mojej redaktorce, Claire Wachtel (oby każdy pisarz miał szczęście mieć takiego redaktora), a także mojemu agentowi literackiemu, Ann Rittenberg, za inspiracje.

...można więc snuć sny i zżycić je też?

Elisabeth Bishop,

Questions of Travel Prolog

Z ZAPISKÓW DOKTORA LESTERA SHEEHANA

3 maja 1993 Nie oglądałem tej wyspy od kilku lat. Ostatni raz miałem okazję ujrzeć ją z pokładu łodzi należącej do mego przyjaciela, kiedy wypuściliśmy się na szersze wody Zatoki Bostońskiej; spowita w letnią mgiełkę, rysowała się w oddali, za pierscieniem bliższych wysepek, niczym smuga farby rozmazanej niedbale na niebie. Nie odwiedzałem tej wyspy od ponad dwudziestu lat, ale Emily powiada (czasami żartem, czasami nie), że ma wątpliwości, czy w ogóle stamtąd wyjechałem. Kiedyś oświadczyła, że czas to dla mnie nic innego jak ciąg zakładek, za pomocą których przemieszczam się tam i z powrotem po księdze życia, powracając raz po raz do pewnych wydarzeń, wskutek czego, zdaniem moich bardziej przenikliwych kolegów, wykazuje wszelkie znamiona klasycznego melancholika.

Emily pewnie ma rację. W tak wielu sprawach ma rację.

Niebawem ja również utracę. Zostało jej zaledwie kilka miesięcy, oznajmił nam w czwartek doktor Axelrod. Wyjedźcie stąd, poradził. Wybierzcie się w końcu w te upragnione podróże. Do Florencji i Rzymu, do wiosennej Wenecji. Ponieważ, dodał, ty też nie wyglądasz najlepiej, Lester.

I chyba się nie myli. Ostatnio wciąż zapodziwiam rozmaite rzeczy, najczęściej okulary. Kluczyki do samochodu. Wchodzę do sklepów i nie pamiętam, co miałem kupić; oglądam przedstawienie w teatrze i po chwili zapominam jego treść. Jeśli czas naprawdę jest dla mnie ciągiem zakładek, to odnośnie wrażenia, jakby ktoś potraszał księgę mego życia i powypadały z niej pozostające paski papieru, etykiety pudełek z zapalkami i splaszczone mieszadła do kawy, a strony z pozaginanymi rogami zostały wygładzone.

Dlatego chce te wydarzenia opisać. Nie po to, aby zmienić tekst księgi i przedstawić siebie w korzystniejszym świetle. Nie, nie. On by nigdy na to nie pozwolił. Na swój osobliwy sposób nienawidził kłamstwa bardziej niż ktokolwiek ze znanych mi ludzi.

Zamierzam tylko utrwalić tekst, przenieść go z obecnej przechowalni (gdzie, nie ma co ukrywać, narazony jest na powolne niszczenie) na te strony.

Szpital Ashecliffe wznosił się na równinie pośrodku południowo-zachodniej strony wyspy. Wznosił się z wdziękiem, można by dodać. W niczym nie przypominał zakładu dla obłąkanych przestępców, a jeszcze mniej wspólnego miał z wyglądu z koszarami, za które wcześniej służył. W istocie kojarzył się nam raczej ze szkołą z internatem.

Tuż przed ogrodzonym głównym zespołem budynków stał dom komendanta straży, zbudowany w stylu wiktoriańskim, z mansardą, oraz piękny, ciemny elżbietanski pałacyk, podczas wojny secesyjnej siedziba dowódcy północno-wschodniego odcinka wybrzeża, a obecnie - kierownika personelu medycznego. W obrębie murów mieściły się kwatery pracowników - urocze drewniane domki dla lekarzy, trzy przysadziste bloki mieszkalne z pustaków dla posługaczy, strażników i pielęgniarek. W otoczeniu trawników i starannie przystrzyżonych żywopłotów, potężnych, rozłożystych dębów, sosen, strzelistych klonów, jabłoni, których owoce późną jesienią spadały na wierzchołek murów lub na trawę, stał budynek szpitalny, wzniesiony z dużych, ciemnoszarych kamieni i przedniego granitu, a po jego bokach warowały bliźniacze domy w stylu kolonialnym, z czerwonej cegły. Dalej rozciągały się urwiska i mokradła, a także długa dolina, gdzie tuż po narodzinach niepodległych Stanów Zjednoczonych powstała - i niebawem upadła - farma założona przez wspólnotę. Drzewa i krzewy posadzone przez dawnych gospodarzy - brzoskwinie, grusze, aronie, przetrwały do dziś, lecz przestały rodzić owoce. Nocne wichry często zapuszczały się do tej doliny i potępięczo wyły wśród konarów drzew.

Rzecz jasna, jest jeszcze fort, który wznosił się tam na długo przed przybyciem pierwszych pracowników szpitala i wznosi się do dziś, uczepiony południowego skalnego urwiska. A za nim latarnia, zamknięta jeszcze przed wybuchem wojny secesyjnej, bezużyteczna, odkąd uruchomiono latarnie w Bostonie.

Od strony morza całość nie przedstawiała się zbyt imponująco. Trzeba wyobrazić sobie widok, jaki ukazał się oczom Teddy'ego Daniela tamtego spokojnego ranka we wrześniu 1954 roku. Skrawek ziemi rysujący się w oddali na wodach zatoki. Nie tyle wyspa, można by pomyśleć, ile jej idea. Czemu ona służy, zastanawiał się pewnie.

Czemu służy?

Najliczniej występującym na naszej wyspie gatunkiem zwierząt były szczury.

Chrzesciły w zaroslach, noca w dlugim szeregu wysiadywały nad brzegiem, wdrapywały sie na mokre skaly. Niektore wielkoscia dorownywały plastudze. W pozniejszych latach, po wydarzeniach tych czterech niesamowitych dni wrzesnia 1954, prowadzilem obserwacje szczurow ze szczeliny w zboczu opadajacym na polnocne wybrzeze wyspy.

Zdumialo mnie odkrycie, ze niektore osobniki wyprawialy sie wplaw na Paddock Island, wlasciwie naga skale, osadzona w garsci piasku, zanurzona pod woda przez dwadziescia dwie godziny na dobe. Kiedy podczas odpływu poziom oceanu obnizal sie maksymalnie, wysepka wylaniala sie na godzinie czy dwie i szczury czasami probowaly do niej doplynac; nigdy wiecej niz tuzin smialkow naraz, zawsze znoszonych z powrotem przez nurt przybrzezny.

Napisalem "zawsze", ale to nieprawda. Bylem swiadkiem, ze jednemu sie udalo.

Raz. Podczas pelni ksiezycy pewnej pazdziernikowej nocy 1956 roku. Ujrzałem jego czarny, podluzny ksztalt mknacy po piasku.

Albo tak mi sie zdaje. Emily, ktora zreszta poznalem na tej wyspie, zawsze powtarza: "Lester, to niemozliwe. Ta wysepka jest za daleko".

I ma racje.

Ale ja wiem swoje. Widzialem jeden ciemny ksztalt przemykajacy po piasku barwy perlowoszarej, juz zapadajacym sie pod wode, albowiem znow nadciagala fala przyplywu, zeby pochlonac Paddock Island i tego szczura, jak sie domyslalam, gdyz nie dostrzeglem, by plynal z powrotem na wyspe.

A gdy patrzylem, jak sunie po brzegu (naprawde go widzialem, pal licho odleglosc), przyszedl mi na mysl Teddy, Teddy i jego nieszczesna, zmarla wczesniej zona, Dolores Chanal, i ta przerazajaca para, Rachel Solando i Andrew Laeddis. Przypomnialem sobie, jakiego spustoszenia dokonali w zyciu nas wszystkich. Pomyslalem tez, ze gdyby Teddy siedzial tam u mego boku, na pewno rowniez zobaczylyby tego szczura.

I wiecie, co by zrobil?

Bilby mu brawo.

Dzien pierwszy

RACHEL

1

Ojciec Teddy'ego Danielsa byl rybakiem. W 1931 roku, kiedy Teddy mial jedenascie lat, jego lodz przejal bank i odtad do konca swego zycia ojciec zaciagal sie na inne kutry, gdy wyplywaly w morze, a jesli nie wyplywaly, nosil ladunki w dokach; z reguly wracal do domu przed dziesiata rano, a potem wychodzil na dlugie spacery, wysiadywal w fotelu, wpatrywal sie w swoje rece wzrokiem wyrazajacym zagubienie i niekiedy mruclal cos do siebie. Zabral Teddy'ego na przejazdke po zatoce, kiedy ten byl jeszcze malym chlopcem i na niewiele przydawal sie na lodzi. Potrafil jedynie rozplatywac liny i wiazac haczyki.

Skaleczył się przy tym kilka razy, a krew sypłała mu po palcach i rozmywała się na dłoniach.

Wyruszyli przed świtem, a gdy słońce weszło nad krawędź oceanu, podobne do tarczy z kości słoniowej, z rozpraszającego się mroku wynurzyły się wyspy, zbite w gromadkę, jakby przylapane na wstydlwym uczynku.

Teddy oglądał niskie zabudowania o pastelowych barwach, ciągnące się wzdłuż plaży na jednej wysepce, sypiąca się posiadłość z wapienia na drugiej. Ojciec wskazał reka wieżenie na Deer Island i dumny fort na Georges. Na Wyspie Thompsona chmary ptactwa wydierały się w koronach wysokich drzew, a ich wrzaski przywozily na myśl gradobicie i pekajace szklo.

Nieco dalej wysepka zwana Shutter

[(ang) "okiennica", ale rowniez cos, co zamyka lub sluzyc do zamkniecia.] unosila sie na wodzie niczym pamiatka po hiszpanskim galeonie. W tamtych czasach, wiosna 1928, kiedy nikt sie jeszcze o nia nie troszczyl, tonela w bujnej roslinnosci i nawet polozony na najwyzszym wzniesieniu fort ginal w objeciach winorosli i pod zielona czapa mchu.

-Dlaczego tak sie nazywa? - zapytal Teddy. Ojciec wzruszyl ramionami.

-Ty i te twoje pytania. Wieczne pytania.

-No dobrze, ale dlaczego?

-Po prostu... ktos nadaje nazwe, a ona sie przyjmuje. Pewnie od piratow.

-Piratow?

Teddy'ego urzekla ta mysl. Staneli mu przed oczami - krzepy faceci w butach z wysokimi cholewami, z czarnymi przepaskami na oku i lsniacymi szablami.

-Tam wlasnie mieli kryjowki w dawnych czasach - mowil ojciec, zataczajac reka luk w powietrzu. - Na tych wyspach. Ukrywali sie. Trzymali lupy.

Teddy wyobrazil sobie skrzynie wypelnione po brzegi zlotymi monetami.

Pozniej zrobilo mu sie niedobrze, ciemne strugi chlusnely do wody, kiedy wychyliwszy sie za burte, kilka razy gwałtownie zwymiotowal.

Ojciec zdziwil sie, poniewaz nastapilo to dopiero po kilku godzinach plywania, a tafla oceanu polyskiwala wokol nich spokojnie.

-Nic sie nie stalo - pocieszal syna. - Pierwszy raz jestes na morzu. Nie ma sie czego wstydzic.

Teddy skinal glowa, ocierajac usta szmatka, ktora podal mu ojciec.

-Czasami morze sie porusza - mowil ojciec - a czlowiek ani sie spostrzeze... dopiero kiedy zoladek podejdzie mu do gardla.

Teddy kiwnal jedynie glowa, nie potrafil wyjasnic tacie, ze to nie od ruchu zebralo mu sie na wymioty.

To sprawila woda, otaczajacy ich zewszad bezmiar oceanu, ktory przeslonil caly swiat. Z latwoscia moglby wchlonać niebo, w tej chwili chlopiec swiecie w to wierzyl.

Dotad nie uswiadamił sobie, jak bardzo byli samotni.

Spojrzał na tate zalzawionymi i czerwonymi oczami.

-Nic ci nie bedzie - rzekl ojciec i Teddy zdobył sie na usmiech.

Latem 1938 ojciec wyplynal z Bostonu na statku wielorybniczym i nigdy juz nie wrocil. Wiosna nastepnego roku morze wyrzucilo szczatki statku na brzeg w Hull, rodzinnym miescie Teddy'ego. Odlamek stepki, kuchenke z wyrytym u dolu nazwiskiem kapitana, puszki zupy, kilka pulapek na homary, nieszczelnych i znieksztalconych.

W kosciele pod wezwaniem sw. Teresy, wzniesionym niemal na samym brzegu morza, w ktorego odmetach zginelo juz tylu parafian, odprawiono msze w intencji zmarlych czterech czlonkow zalogi. Teddy stal obok matki i sluchal mow pochwalnych wyglaszanych pod adresem kapitana statku, pierwszego oficera i trzeciego rybaka, niejakiemu Gila Restaka, wilka morskiego, ktory sial postrach w miejscowych knajpach, odkad wrocil z wojny swiatowej z roztrzaskana pieta i nadmiarem koszmarnych obrazow zachowanych w pamieci. Po smierci jednak, jak rzekl barman, ktoremu Restak dal sie we znaki, wszystko zostaje czlowiekowi wybaczone.

Wlasciciel statku, Nikos Costa, przyznal, ze slabo znal ojca Teddy'ego, ktory zaciagnal sie w ostatniej chwili, gdy jeden z czlonkow zlamal noge, spadajac z ciezarowki. Lecz kapitan mial o nim pochlebne zdanie; znany byl z tego, mowil, ze potrafil sie wywiazac ze swojego zadania. A czy mozna wyrazic sie o czlowieku z wyszym uznaniem niz w tych wlasnie slowach?

W kosciele Teddy wspominal ten pierwszy dzien spedzony z ojcem na morzu, gdyz nigdy wiecej razem juz nie wyplyneli. Wprawdzie ojciec obiecywal, ze wybiora sie znowu, ale chlopak domyslal sie, ze mowi tak, by mu poprawic humor. Ojciec nie nazwal wprost tego, co zaszlo, ale wymienili ze soba znaczące spojrzenia, gdy plyneli z powrotem, zostawiajac za soba Shutter Island. Przed nimi rozciagala sie Wyspa Thompson, a za nia wysoko strzelala w niebo nowoczesna zabudowa srodmiescia, budynki tak wyraznie widoczne, tak bliskie, zdawalo sie, ze mozna by dosiegnac ich reka, podniesc je za iglice.

-Widzisz - rzekl ojciec, glaszczac syna po plecach, kiedy siedzieli oparci o rufe - jedni za morzem przepadaja, a inni w nim przepadaja.

I popatrzył na Teddy'ego tak, ze chlopak domyslil sie, do ktorej kategorii bedzie zapewne nalezal, kiedy dorosnie. Zeby dostac sie na Shutter Island w 1954 roku, wsiedli w miescie na poklad promu i przecieli pierscien zapomnianych wysepok: Thompsona i Spectacle, Grape i Bumpkin, Rainford i Long, hardych bryl piasku, gietkich drzew i skal bielejacych jak kosci,

dzielnie stawiających opór morzu. Prom kursował nieregularnie, z wyjątkiem wtorków i czwartków, kiedy przewoził zapasy, a jego główny pokład był zupełnie ogolony, jeśli nie liczyć okrywającej go warstwy blachy i dwóch stalowych ławek pod oknami. Ławki przykrecono srubami do pokładu i, dodatkowo z obu końców, do czarnych grubych drążków, z których zwisały się zwoje lancuchów z kajdanami.

Tego dnia na pokładzie promu nie było jednak niebezpiecznych pasażerów, tylko Teddy i jego nowy partner, Chuck, a ponadto kilka worków z listami i pudeł z lekarstwami.

Teddy rozpoczął podróż na kleczkach w toalecie, wymiotując do miski klozetowej; w tle posapywał i klekotał silnik statku, a nozdrza Teddy'ego drażnił ciężki, oleisty zapach benzyny zmieszany z wonią letniego morza. Wyrzucał z siebie strumyczki samej wody, lecz przelikiem wciąż targwały nowe skurcze, zółdek podchodził mu do gardła, a w powietrzu tuż przy jego twarzy wirowały drobinki mrugające niczym oczy.

Ostatni skurcz uwolnił banke uwieszonego w zółdaku powietrza, a Teddy miał wrażenie, że gwałtownie ulatując, porwała za sobą kawałek jego ciała. Siadł na metalowej podłodze, otarł usta chusteczką i pomyślał, że na razie dał się poznać nowemu partnerowi od nie najlepszej strony.

Wyobraził sobie, jak Chuck po powrocie do domu opowiada żonie - jeśli był żonaty, nawet tego Teddy nie zdążył się jeszcze dowiedzieć - o spotkaniu ze sławnym Teddym Danielssem: "Facet tak się ucieszył na mój widok, że aż się porzygał".

Od czasu tej morskiej wyprawy w dzieciństwie Teddy nigdy nie czuł się dobrze na wodzie, nie sprawiało mu przyjemności oddalenie od lądu, od rzeczy, po które można było sięgnąć bez obawy, że reka się w nich rozplynie. Nie pomagało tłumaczenie sobie, że to nieuniknione, że to jedyny sposób przeprawy. Na wojnie, podczas szturmowania plaży, Teddy najbardziej bał się pokonywania ostatniego odcinka, między łodzią a brzegiem, kiedy trzeba było wskoczyć do wody i różne oślizgłe stworzy obijały się o buty.

Mimo to wolał wyjść na pokład, stawiać czoło morzu na świeżym powietrzu, niż kisić się w toalecie, w mdlącym cieple.

Kiedy Teddy nabrał pewności, że torsje minęły, zółdek się uspokoił i zniknęło wirowanie w głowie, obmył ręce i twarz, po czym przejrzał się w przymocowanym nad zlewem lusterku, wyzartym przez sol morską do tego stopnia, że pozostał w środku jedynie niewielki owal, w którym Teddy dojrzał swoje odbicie - mężczyzny wciąż jeszcze dość młodego, ostrzyżonego na przepisowego jeża. Ale na twarzy wyryły się mu głębokimi zmarszczkami doświadczenia wojenne i lata służby; w jego spojrzeniu "smutnego psiaka", jak określiła je raz Dolores, kryło się zamilowanie do scigania przestępców i nierozłącznie z tym związanej przemocy.

Jestem za młody, pomyślał, na tak surowy wygląd.

Poprawił pas, przesuwając na biodro kaburę z rewolwerem. Nałożył kapelusz, przekrzywiając go nieznacznie w prawo. Sciągnął węzeł krawata, krzykliwego, kwiecistego krawata, który już z rok temu wyszedł z mody, co jednak nie miało dla Teddy'ego żadnego znaczenia, ponieważ był to urodzinowy prezent od Dolores: nasunęła mu go zniechęca na oczy, kiedy siedział w salonie, przycisnęła usta do szyi. Pamiętał jej ciepłą dłoń na policzku.

Jezyk pachnacy pomaranczami. Siadla mu na kolanach, zdjela krawat, a on przez caly czas nie otwieral oczu. Chcial ja czuc. Zobaczyc w wyobrazni.

Stworzyc jej obraz w myslach i tam go zachowac.

Nadal to potrafil - zamykal oczy i juz ja widzial. Ale ostatnio pewne szczegoly sie zacieraly - ucho, rzesy czy zarys wlosow; przeswitywaly przez nie biale smugi. Na razie nie przybieralo to groznych rozmiarow, ale Teddy bal sie, ze czas mu ja odbiera, wzera sie w portrety, ktore holubil w pamieci, burzy je.

-Tesknie za toba - rzekl i przeszedl przez poklad na dziob.

Powietrze bylo cieple i czyste, ale wode przecinaly ciemne rdzawe przeblyski i unosil sie nad nia bladoszary calun, oznaka, ze w jej glebinach narasta, dojrzewa cos mrocznego.

Chuck pociagnal lyk z piersiowki i podsunal ja Teddy'emu, unoszac pytajaco brew.

Teddy pokrecil przeczaco glowa i Chuck schowal flaszke do kieszeni sluzbowej marynarki, obciagnal poly plaszczka i spojrzal na morze.

-Dobrze sie czujesz? - spytal Chuck. - Kiepsko wygladasz.

-Nic mi nie jest - odparl Teddy wymijajaco.

-Na pewno? Teddy skinal glowa.

-Musze sie oswoic z morzem, to wszystko.

Stali chwile w milczeniu, wokol roztaczal sie pofaldowany przestwor wody, wkleslosci w jej powierzchni byly ciemne, jakby wyscielane aksamitem.

-Wiesz, ze kiedys byl tam oboz jeniecki? - odezwal sie Teddy.

-Na wyspie? Teddy skinal glowa.

-Podczas wojny secesyjnej. Zbudowali tam fort, baraki...

-Co teraz miesci sie w tym forcie? Teddy wzruszyl ramionami.

-Nie mam pojecia. Na tych wysepkach bylo ich sporo. W czasie wojny artylerzysci wprawiali sie tam w strzelaniu do celu. Niewiele z nich zostalo.

-A szpital?

-O ile mi wiadomo, przejal dawne koszary.

-Przypomnimy sobie dobre czasy: "Witaj w szeregach armii, rekrucie" - zauwazyl Chuck.

-Nie chcialbym drugi raz przez to przechodzic - rzekl Teddy, opierajac sie o reling.

-Opowiedz mi cos o sobie, Chuck.

Chuck sie usmiechnal. Byl nieco tezszy i nizszy niz Teddy, mial ze 175 centymetrow wzrostu, szope czarnych, kreconych wlosow, oliwkowa cere i szczuple, delikatne dlonie, ktore wyroznialy sie w calej jego postaci, jakby zostaly wypozyzione do czasu, kiedy wroca z naprawy prawdziwe rece. Lewy policzek przecinala lukowata blizna i Chuck musnal ja palcem wskazujacym.

-Zawsze zaczynam od blizny - powiedzial. - Predzej czy pozniej i tak wszyscy o nia pytaja.

-Niech bedzie.

-Nie nabawilem sie jej na wojnie - podkreslil Chuck. - Moja dziewczyna kaze mi, dla swietego spokoju, mowic, ze to z czasow wojny, ale... - Wzruszyl ramionami. - Wlasciwie to skutek zabawy w wojne. W dzieciinstwie. Strzelalismy do siebie z procy w lesie, ja i moj kolega. Kolega nieznacznie spudlowal, wiec mi sie upieklo, nie? - Chuck pokrecil przeczaco glowa. - Ale trafil w drzewo i odlupal kawalek kory, ktory przebil mi policzek. I stad ta blizna.

-Skutek zabawy w wojne.

-Wlasnie, zabawy.

-Przeniosles sie tu z Oregonu?

-Nie, z Seattle. Tydzien temu.

Teddy odczekal chwile, ale Chuck nie kwapil sie z wyjasnieniami.

-Dlugo jestes szeryfem federalnym? - spytal Teddy.

-Cztery lata.

-Wiec zdazyles sie zorientowac, jaki to maly swiatek.

-Jasne. Chcesz wiedziec, dlaczego sie przenioslem - odgadl Chuck, kiwajac glowa, jakby cos w duchu postanowil. - A gdybym powiedzial, ze sprzykrzyl mi sie deszcz?

Teddy rozlozyl dlonie nad relingiem.

-Gdybys tak powiedzial...

-Ale to maly swiatek, jak sam zauwazyles. Wszyscy mundurowi sie znaja. Totez kwitnie, jak to sie mowi, poczta pantoflowa.

-Wlasnie.

-To ty dorwales Becka, zgadza sie?

Teddy skinal glowa.

-Skąd wiedziałeś, gdzie go szukać? Ściągało go pięćdziesięciu chłopów, wszyscy ruszyli do Cleveland, a ty jeden do Maine.

-Facet spędził tam raz wakacje z rodziną jeszcze jako chłopiec. A to, jak postępował z ofiarami? Zupełnie jakby miał do czynienia z koniami. Rozmawiałem z jego ciotką.

Powiedziała mi, że jedyne szczęśliwe chwile swego życia spędził w stadninie, niedaleko wynajętego przez nich domu letniskowego w Maine. Dlatego tam się wybrałem.

-Wpakowałeś mu piec kuli - rzekł Chuck i spojrzał przez dziób w dół, na spienione morze.

-I jeszcze bym mu dołożył - oświadczył Teddy. - Ale piec wystarczyło.

Chuck skinął głową i splunął przez reling.

-Mam dziewczynę, Japonkę. Oczywiście urodziła się tutaj, ale sam wiesz... dorastała w obozie. W tamtych stronach - w Portland, Seattle, Tacoma - stosunki z Japonką mniejszością wciąż są napięte. Ludzi łączy w oczy, kiedy się z nią pokazuje publicznie.

-Dlatego dostałeś przeniesienie.

Chuck skinął głową, znowu splunął, odprowadził wzrokiem ślinę, która przepadła w spienionych odmetach.

-Podobno zapowiada się niewesoło - powiedział.

Teddy wyprostował się, na twarzy czuł wilgoć, na wargach smak soli. Dziwne, że dosięgło go morze, skoro w powietrzu nie unosił się pył wodny.

-Co takiego? - spytał, przetrzasując kieszenie płaszcza w poszukiwaniu paczki chesterfieldów.

-Sztorm. Gazety piszą, że zapowiada się niełicho. Potężny. - Potrząsnął ręką w kierunku nieba, bladego jak piana rozbijająca się o dziób. Ale od południa nad widnokręgiem rysowało się pasmo purpurowych klebów, rozlewających się niczym kleksy na bibule.

Teddy wciągnął powietrze przez nos.

-Chyba pamiętasz, jak było na wojnie, Chuck?

Chuck znowu uśmiechnął się po swojemu, a Teddy odniósł wrażenie, że już się do siebie dostrajają, uczą się wylapywać wysyłane przez siebie sygnały.

-Co nieco pamiętam - odparł Chuck. - Głównie gruz. Całe rumowiska. Dla ludzi gruz jest czymś szpetnym, ale ja uważam, że spełnia swoje zadanie. Jest estetyczny, ma swój urok. Moim zdaniem piękno rzeczy istnieje w umyśle tego, który ją ogląda.

-Książkowa gadanina. Kto cię tego nauczył?

-Podniosło się - zauważył Chuck, wychylając się za reling i przypatrując się morzu z lekkim uśmiechem na twarzy.

Teddy poklepał się po spodniach, sprawdził kieszenie w marynarce.

-Wiesz, jak często prognoza pogody decydowała o tym, czy wojsko wyruszało do walki i dokąd.

Chuck potarł dłoń szczerze na brodzie.

-O, tak.

-A pamiętasz, jak często te prognozy się sprawdzały?

Chuck schylił brwi, dając Teddy'emu do zrozumienia, że głęboko zastanawia się nad odpowiedzią, po czym cmoknął ustami i powiedział:

-W trzydziestu przypadkach na sto, przypuszczam.

-Najwyżej.

-Najwyżej - powtórzył Chuck.

-Więc teraz, kiedy wróciliśmy do normalnego życia...

-O tak, normalnego życia - wtracił Chuck - można by rzec, niefrasobliwego...

Teddy stłumił w sobie śmiech. Ten facet był rozbijający. Niefrasobliwego. To dopiero.

-Niefrasobliwego - zgodził się Teddy. - Dlaczego miałbyś teraz ufać prognozom pogody bardziej niż podczas wojny?

-No cóż, ja chyba nie potrafię stopniować zaufania - odparł Chuck, gdy na horyzoncie wyrósł pochyły wierzchołek małego trójkąta. - Masz ochotę zapalić?

Teddy zastygł - po raz drugi już przetrząsał kieszenie - i spostrzegł, że Chuck patrzy na niego z wyrytym na twarzy, tuż pod brwią, szelmowskim uśmiechem.

-Miałem je przy sobie, kiedy wchodziłem na pokład - zaznaczył Teddy.

Chuck spojrział przez ramię.

-Ach ta budżetówka. Oskubałby cię jeden z drugim do nitki.

Wytrząsał z paczki lucky strike'a, podał papierosa Teddy'emu i podsunął mu płomień swej mosiężnej zapalniczki Zippo. Opary nafty, niesione przesyconym solą powietrzem, wdzierały się Teddy'emu do gardła. Chuck zamknął zapalniczkę, potem znowu skrzesał ogień i przypalił sobie papierosa.

Teddy wypuścił dym, jego kleby przesłoniły na chwilę trójkątny wierzchołek wyspy.

-Z dala od kraju - powiedzial Chuck - kiedy od prognozy pogody zalezalo, czy trafiales ze spadochronem do strefy zrzutow, czy szturmowales plaze, gra szla o znacznie wyzsza stawke, prawda?

-Zgadza sie.

-Ale teraz, gdy jestesmy w naszej ukochanej ojczyźnie, w czym moze zaszkodzić nam odrobina czystej wiary? To wszystko, szefie.

Stopniowo odslaniala sie przed nimi jako cos wiecej niz czubek trojkata, zarysowaly sie jej dolne partie, nabieraly barw jak za pociagnieciem pedzla - stonowana zielen panoszacej sie roslinnosci, plowy pasek brzegu, zolta ochra skalistego urwiska na zachodnim krancu. A na gorze, kiedy podplyneli blizej, zaczeli dostrzegac plaskie prostokatne zarysy budynkow.

-Szkoda - rzekl ni z tego, ni z owego Chuck.

-Czego?

-Taka jest cena postepu - odparl.

Stanal jedna noga na linie holowniczej i oparl sie o reling obok Tedy'ego. Na ich oczach wyspa stawala sie coraz lepiej widoczna.

-Przy takim tempie zmian - ciagnal Chuck - zmian zachodzacych, nie oszukujmy sie, co dnia w dziedzinie leczenia chorob umyslowych, placowki takie jak ta sa skazane na wyginiecie. Za dwadziescia lat wydadza sie wszystkim barbarzynskim przezytkiem.

Nieszczesnym skutkiem ubocznym przebrzmialych wiktoriańskich pogladow. Trzeba bedzie sie jej pozbyc. Wszyscy stanowimy przeciez jeden organizm. Haslem przewodnim stanie sie jednosc, wspolnota. Witaj w zespole. Ukoimy cie. Naprawimy. Pojdzimy za przykladem generala Marshalla. Zbudujemy nowe spoleczenstwo, z ktorego nikt nie bedzie wykluczony. Koniec z wygnaniem.

Budynki zniknely za drzewami, za to w oddali majaczyła stozkowa bryla jakiejś wiezy, a takze ostre, wysuniete kontury, zapewne starego fortu, jak domyslil sie Teddy.

-Ale czy odcinajac sie od przeszlosci, zapewniamy sobie lepsza przyszlosc? - Chcuł cisnal niedopalek w spieniona wode. - Oto jest pytanie. Co idzie na straty, gdy zamiata sie podloge, Teddy? Kurz. Okruszyny, ktore z pewnoscia zwabilyby mrowki.

Ale co z kolczykiem, ktory gdzies sie jej zawieruszyl? Czy on tez wyladowal w smieciach?

-Jakiej znowu "jej"? Skad "ona" sie wziala, Chuck? - spytal Teddy.

-Zawsze jest jakas "ona", czyz nie?

Za ich plecami wyjacy silnik promu zmienil ton, poklad dziobowy zakolysal sie nieznacznie. Kierowali sie ku zachodniej stronie wyspy i na szczycie poludniowego urwiska wyraznie bylo widac fort. Po armatach nie zostal slad, ale wiezyczki wciaz trwaly. W pewnej

odległości za fortem rysowały się wzgorza. Teddy był pewny, że fort nadal otoczony jest murem, z tego miejsca niedostrzegalnym, zlewającym się z tłem.

Gdzieś w glebi ładu po zachodniej stronie wyspy, za tymi urwiskami, znajdował się szpital Ashecliffe.

-Masz dziewczynę, Teddy? Zone? - spytał Chuck.

-Miałem - odparł Teddy, przywołując obraz Dolores, spojrzenia, jakim obdarzyła go raz, podczas ich miodowego miesiąca; obejrzała się wtedy za siebie, broda niemal dotykając nagiego ramienia, pod jej napięta skóra na karku przełyły się mięśnie. - Zginęła.

Chuck odsunął się od relingu, czerwieniejąc.

-O rany.

-Nie szkodzi - powiedział Teddy.

-Nie, to ja... - Chuck podniósł rękę w przeproszającym geście. - Przecież słyszałem o tym, nie wiem, jak mogłem zapomnieć. To stało się kilka lat temu, zgadza się?

Teddy kiwnął głową.

-Jezu, Teddy. Wyszędłem na idiote. Wybacz.

Teddy znów ją widział, tym razem w mieszkaniu - ubrana w jego koszulę służbową szła korytarzem i skreśliła do kuchni, nucąc coś pod nosem. Znajome znużenie przeniknęło go do kości. Wszystko tylko nie to. Wolalby nawet wskoczyć do wody, niż rozmawiać o Dolores, o jej trzydziestoletnim istnieniu na tym świecie i nagłym unicestwieniu. Ot tak. Jest, kiedy człowiek wychodzi rano do pracy, a gdy wraca, już jej nie ma.

To chyba tak jak z tą blizną Chucka, pomyślał Teddy. Należy postawić sprawę jasno na samym początku, żeby nie było między nimi niedomowień, w przeciwnym razie ta historia zawsze będzie ich dzielić. Pozostanie zbyt wiele znaków zapytania. A jak?

A gdzie? A dlaczego?

Dolores zmarła dwa lata temu, ale nocami ożywała w jego snach. Niekiedy po przebudzeniu długo nie mógł się otrząsnąć z wrażenia, że Dolores kreci się po kuchni albo pije kawę na tarasie ich apartamentu przy Buttonwood. Owszem, umysł plątał mu okrutnego figła, ale miało to swoją logikę, którą Teddy szybko zaakceptował - przebudzenie to przecież niemal jak narodziny. Człowiek wynurza się pozbawiony historii, potem, przecierając oczy i ziewając, usiłuje na nowo sklecić swoją przeszłość, układa rozsypane okruchy życia w chronologicznym porządku, a na koniec zbiera siły, żeby stawić czoło teraźniejszości.

Jednak dużo większej udręki przysparzało mu pozornie nielogiczne zestawienie rzeczy, których widok wyzwał w nim wspomnienia ożonie, tkwiące w jego umyśle jak płonące zapalki. Nigdy nie potrafił przewidzieć, co wywoła w nim taki oddźwięk - solniczka, choć nieznanym kobietom w tłumie przechodniów, butelka coca-coli, ślad szminki na szklance.

Lecz spośród wszystkich tych czynników najtrudniejszym do wyjaśnienia, jeśli chodzi o związek będący podstawą skojarzenia, a zarazem najdotkliwszym w skutkach była woda - kapiąca z kranu, padająca z nieba, stojąca w kaluzach na chodniku czy tak jak teraz otaczająca go ze wszystkich stron.

-W budynku, w którym mieszkaliśmy, wybuchł pożar - wyjaśnił. - Ja byłem w pracy. Zginęły cztery osoby. Wśród ofiar znajdowała się moja żona. Uduśiła się dymem, Chuck, nie spaliła się. Czyli nie umarła w meczarniach. W strachu? Może. Ale nie w meczarniach. To ważne.

Chuck pociągnął łyk z piersiówki i podsunął Teddy'emu.

-Skonczyłem z tym - odparł Teddy. - Po pożarze. Martwiło ja to, wiesz?

Powtarzała, że my, mundurowi, za dużo pijemy.

Wyczuł zakłopotanie Chucka i dodał:

-Człowiek uczy się z tym żyć, Chuck. Nie ma wyboru. Tak jak z tymi okropnościami, których tyle naoglądałeś się podczas wojny. Przecież pamiętasz?

Chuck skinął głową, błędząc gdzieś wzrokiem, oddając się wspomnieniom.

-Tak trzeba - rzekł cicho Teddy.

-Jasne - przytaknął w końcu Chuck, ale na jego twarzy wciąż malowało się przejęcie.

Wtem, niczym złudzenie optyczne ukazała się przystan, jej szary, ulotny pomost z tej odległości przypominał sterzający z piasku listek gumy do żucia.

Teddy'emu dawało się we znaki odwodnienie, następstwo jego wizyty w toalecie, poza tym zmęczyla go ta rozmowa; chociaż nauczył się dzwigać swój krzyż, dzwigać wspomnienia o Dolores, ich brzemie raz po raz go przygniatało. Czuł cmiący ból w skroni, a tuż za lewym okiem jakby coś uciskało je od środka, przyłożona płaska strona łyżki. Jeszcze było za wcześnie, żeby określić, czy to tylko uboczny skutek odwodnienia, początek zwykłego bólu głowy, czy też zapowiedź czegoś znacznie gorszego - ataku migreny. Dreczyły go od lat młodzieńczych, niekiedy nasilały się do tego stopnia, że ślepl na jedno oko, a światło zamieniało się w nawałnice rozżarzonych gwoździ, a raz - tylko raz, dzięki Bogu - na półtora dnia migrena sprowadziła na niego częściowy paraliż.

Nigdy jednak nie dokuczala mu na służbie, w czasie wytezonej pracy, dopiero kiedy opadało napięcie, kiedy przestały grzmieć działa, kiedy poscig dobiegł końca. Wtedy spadała na niego z całą siłą - w obozie, w koszarach, a po wojnie - w motelowym pokoju lub na autostradzie, kiedy wracał do domu. Sztuka polegała na tym, jak już dawno przekonał się Teddy, żeby nie zwalniać biegu, nie rozpraszać się. Kiedy działał na najwyższych obrotach, migrena nie miała do niego dostępu.

-Słyszales coś o tym zakładzie? - zapytał Chucka.

-To szpital dla umysłowo chorych, wiem tylko tyle.

-Dla obłąkanych przestępców - sprostował Teddy.

-Coż, nie wysłaliby nas tutaj, gdyby tak nie było - odparł Chuck.

Teddy dostrzegł ten szelmowski uśmiech, znowu wypisany na jego twarzy.

-Nigdy nic nie wiadomo, Chuck. Nie wyglądasz mi na całkiem normalnego.

-Może wpłace zadatek, kiedy tam będziemy, zarezerwuj sobie łóżko na przyszłość.

-Nieglupi pomysł - skwitował Teddy.

Tymczasem silniki na chwilę zamarły i dziób skręcił w prawo. Prom zrobił zwrot i silniki znowu zaskoczyły. Teraz, gdy prom podchodził tyłem do pomostu, Teddy i Chuck mieli widok na pełne morze.

-O ile mi wiadomo - rzekł Teddy - lekarze tam pracujący mają opinie radykałów.

-Komunistów?

-Nie komunistów, radykałów. To przecież nie to samo.

-Ostatnio trudno to rozróżnić - odparł Chuck.

-To prawda - zgodził się Teddy.

-Co to za jedna? Ta, co uciekła?

-Dala nogę zeszłej nocy - powiedział Teddy. - W notesie zapisałem jej nazwisko.

Mam nadzieję, że reszty dowiemy się od nich.

Chuck powiodł okiem po otaczającym ich bezmiarze wody.

-Dokąd by się wybrała? Wpław do domu? Teddy wzruszył ramionami.

-Tutejsi pacjenci najwyraźniej cierpią na rozmaite urojenia.

-Schizofrenicy?

-Tak przypuszczam. W każdym razie nie spotkasz tu osobników z zespołem Downa.

Albo takich, co mają bzika na punkcie szpar w chodnikach i boją się wyjść z domu.

Z raportu wynika, że wszyscy, którzy są tu zamknięci, mają poważne zaburzenia.

-Ale jak myślisz, ilu z nich po prostu się zgrywa? - spytał Chuck. - Nigdy nie dawalo mi to spokoju. Pamiętasz z wojny żołnierzy zwolnionych ze służby na podstawie paragrafu osmego? Ilu było wśród nich prawdziwych wariatów?

-Kiedy walczyliśmy w Ardenach, był u nas w oddziale taki jeden.

-Walczyłeś w Ardenach? Teddy skinał głową.

-Facet obudził się kiedyś i zaczął mówić wspaniale.

-Słowa czy zdania?

-Zdania. Mówił na przykład: "Sierzanie, dzisiaj się polalo krwi dużo za". Kiedy znaleźliśmy go po południu, siedział w okopie i walił się w łeb kamieniem. Siedział i walił się w łeb. Zupełnie nas to rozstroilo i dopiero po minucie zauważyliśmy, że wydlubal sobie oczy.

-Chrzaniś.

Teddy pokręcił przecząco głową.

-Kilka lat później dowiedziałem się, że przebywa w szpitalu dla weteranów w San Diego. Wciąż mówił wspaniale i na dodatek dopadł go paraliz, którego przyczyny nie mogli ustalić z tamtejszych lekarzy. Przykuty do wózka, po całym dniu wysiadywał przy oknie i opowiadał o uprawianiu ziemi, o swoim zbożu. Sek w tym, że facet pochodził z Brooklynu.

-Jeśli gość z Brooklynu uważa się za farmera, to chyba podpada pod paragraf osmy.

-Jest to pewien objaw, na którym można się oprzeć.

2

Na przystani przywital ich zastępca komendanta McPherson. Wydawał się dość młody na to stanowisko. Jasne włosy przystryżone miał nieco ponad regulaminową długość i poruszał się z leniwym wdziękiem, który Teddy'emu kojarzył się z Teksanczykami albo z ludźmi mającymi do czynienia z koniami. Przybył z obstawą posługaczy, głównie Murzynów i kilku białych, o twarzach pozbawionych oznak wszelkich uczuć, jakby zaznane w dzieciństwie niedożywienie zahamowało ich dalszy rozwój, odcisnęło na nich wyraz odwiecznego znudzenia.

Posługacze, odziani w białe koszule i białe spodnie, poszli gromada do promu po odbiór ładunku. Zachowywali się tak, jakby nie dostrzegali Teddy'ego i Chucka, jakby w ogóle niczego nie dostrzegali.

Na życzenie McPhersona Teddy i Chuck wyjęli odznaki i legitymacje służbowe.

Zastępca komendanta uważnie je oglądał, porównywał zdjęcia z oryginałami, patrząc na nich z ukosa.

-Chyba nie widziałem jeszcze odznaki szeryfa federalnego - odezwał się.

-A teraz trzyma pan w ręku aż dwie - powiedział Chuck. - Będzie co wspominać.

McPherson uśmiechnął się od niechcenia i rzucił mu odznakę.

Plaza nosiła ślady niedawnych gwałtownych przypływów - ułana była muszlami, patykami, martwymi mieczakami i rybami, nadzartymi przez miejscowych padlinozerców.

Teddy zauważył smieci naniesione przez prądy morskie od strony miasta - puszki, sterty przemoczonych papierów, tablice rejestracyjna wyrzucona na plażę aż pod drzewa, wyblakła na słońcu. Wśród drzew przeważały sosny i klony, smukłe i postrzępione, a między nimi przeswitywały budynki stojące na szczycie wzniesienia.

To miejsce na pewno oczarowałyby Dolores, która uwielbiała wylegiwać się na słońcu, lecz Teddy czuł tylko powiew bryzy, ostrzeżenie wysyłane nieustannie przez ocean, że każda chwila może uderzyć, wessac człowieka na dno.

Posługacze wrocili z workami i pudłami i załadowali je do wozków. McPherson pokwitował odbiór przesyłki i oddał dokument strażnikowi z promu, który oświadczył:

-Zaraz odpływamy.

McPherson zmrużył oczy w słońcu.

-Ten sztorm - mówił strażnik. - Nie wiadomo, czego się po nim spodziewać.

Zastępca komendanta skinął głową.

-Zawiadomimy was przez radio, kiedy macie nas odebrać - powiedział Teddy.

Strażnik pokiwał głową.

-Ten sztorm - powtórzył.

-Jasne, jasne - wtracił Chuck. - Będziemy to mieć na uwadze.

McPherson poprowadził ich ścieżką, która piała się łagodnie między drzewami.

Dotarli do brukowanej drogi przecinającej ścieżkę tuż za linią drzew. Teddy dostrzegł dwa budynki wznoszące się po obu stronach drogi. Dom po lewej był prostszy, wiktoriański, z mansardowym dachem i czarno obramowanymi okienkami, które kojarzyły się ze strażnicą. Po prawej stał dumnie na pagórku elzbieciański pałacyk.

Wspinali się dalej po stromym i porośniętym trawą morską zboczem, aż weszli na górę, gdzie teren był płaski, pokryty bardziej zieloną i krótszą trawą. Zielony kobierzec ciągnął się przez kilkaset metrów aż do muru z pomarańczowej cegły, który chyba biegł wzdłuż całej wyspy. Wysoki na ponad trzy metry, zwieńczony drutem, którego widok poruszył w Teddym czuła struna. Ogarnęła go nagle litość dla tych wszystkich skazanców po drugiej stronie muru, którym ten cienki drut uświadamiał nagą prawdę, iż świat za wszelką cenę chce trzymać ich tam w zamknięciu. Teddy dojrzał mężczyzn w ciemnoniebieskich mundurach, którzy z opuszczonymi głowami przepatrywali trawę przed murem.

-Strażnicy wiezienni w zakładzie dla umysłowo chorych - odezwał się Chuck. - Bez obrazy, panie McPherson, ale przedstawiają dość szczególny widok.

-To placowka o maksymalnie zaostrozonym rygorze - wyjasnil zastepca komendanta. -
Obowiazuja u nas dwa oddzielne statuty: Stanowego Departamentu Zdrowia Psychicznego i
Federalnego Departamentu Wieziennictwa.

-Rozumiem - odparl Chuck. - Ale ciekawi mnie, co tez wy tutaj opowiadacie sobie przy
obiedzie.

McPherson usmiechnal sie i lekko pokrecil glowa.

Teddy zobaczyl czarnowlosego mezczyzne ubranego w taki sam mundur jak pozostali, ale
wyznajaacy sie zoltymi pagonami, sterczacy kolnierzykiem i zlota odznaka. On jeden
kroczył z zadarta glowa i reka zalozona do tylu. Jego postawa przypominala Teddy'emu
pulkownikow, z jakimi zetknal sie na wojnie, mezczyzn, dla ktorych dowodzenie bylo
obowiazkiem, nalozonym na nich nie tylko przez regulamin, ale i przez samego Boga.

Do piersi przyciskal czarna ksiazeczke, uklonil sie w ich strone, po czym oddalil sie ta sama
droga, ktora przyszli; jego czarne wlosy sztywno opieraly sie bryzie.

-To komendant - powiedzial McPherson. - Spotkacie sie z nim pozniej.

Teddy skinal glowa, chociaz nie rozumial, dlaczego nie mogli sie spotkac teraz, a tymczasem
komendant zniknal im z oczu.

Jeden z poslugaczy otworzyl kluczem brame osadzona w murze, skrzydlo bramy uchylo sie
i poslugacze wtoczyli do srodka wozki. Dwoch straznikow podeszlo do McPhersona i stanelo
po obu jego stronach.

Zastepca komendanta wyprezyl sie i przybral urzedowa mine.

-Musze teraz zapoznac was z obowiazujacymi tu zasadami.

-Oczywiscie.

-Przysluguja wam, panowie, wszelkie wygody, na jakie nas stac, i otrzymacie z naszej strony
wszelka mozliwa pomoc. Jednak podczas pobytu w zakladzie, bez wzgledu na to, jak dlugo
pozostaniecie, bedziecie przestrzegac procedury. Jasne? Teddy skinal glowa, a Chuck
powiedzial:

-Jak slonce.

McPherson zawiesil wzrok tuz ponad ich glowami.

-Doktor Cawley bez watpienia wyjasni wam niuansy procedury, ale ja musze podkreslic z
cala stanowczoscia jedno: zabroniony jest jakikolwiek kontakt z pacjentami tego zakladu bez
dozoru. Jasne?

Teddy cisnelo sie na usta: "Tak jest", jak za zolnierskich czasow, ale ugryzl sie w jezyk i
poprzestal na zwyczajnym: - Tak.

-Oddział A, dla mężczyzn, mieści się w budynku za moimi plecami po mojej prawej ręce, oddział B, dla kobiet, po lewej. Oddział C znajduje się za urwiskami rozciągającymi z tyłu szpitala, w dawnym forcie Walton. Wstęp na oddział C dozwolony jest wyłącznie za pisemnym zezwoleniem zarówno komendanta, jak i doktora Cawleya, i w ich obecności. Jasne?

Chuck i Teddy skinęli głowami.

McPherson wyciągnął szeroka dłoń, jakby oddawał cześć słońcu.

-Proszę o oddanie broni służbowej.

Chuck spojrzał na Teddy'ego, który potrząsnął głową i powiedział:

-Panie McPherson, ma pan przed sobą powołanych zgodnie z prawem szeryfów federalnych. W myśl rządowych rozporządzeń jesteśmy zobowiązani do noszenia broni przez cały czas.

Głos McPhersona przeciał powietrze niczym stalowa linka.

-Zarządzenie trzysta dziewięćdziesiąte pierwsze Federalnego Kodeksu Służb Wieziennych i Zakładów dla Umysłowo Chorych Przestępców stanowi, że obowiązek noszenia broni przez funkcjonariusza służb bezpieczeństwa publicznego ulega uchyleniu wyłącznie wskutek rozkazu jego bezpośredniego przełożonego albo osob, którym powierzono ochronę zakładów karnych lub szpitali dla umysłowo chorych. Panowie, jesteście w sytuacji, do której odnosi się ten wyjątek. Nie wejściecie uzbrojeni na teren szpitala.

Teddy popatrzył na Chucka, a ten wskazał głową wyciągniętą dłoń McPhersona i wzruszył ramionami.

-Proszę zaznaczyć ten wyjątek w aktach - powiedział Teddy.

-Strazniku, pamiętajcie, aby odnotować przepis, na mocy którego szeryfowie Daniels i Aule złożyli bron.

-Rozkaz, panie komendancie.

-Panowie - zwrócił się do nich McPherson.

Straznik po prawej ręce McPhersona rozwiązał mały skórzany worek.

Teddy odchylił plecy i wyjął z kabury służbowy rewolwer. Machnięciem nadgarstka przełamał go na pół, a potem podał McPhersonowi rewolwer z otwartym bebenkiem.

Ten przekazał go straznikowi, który umieścił bron w skórzanej worku. McPherson wyciągnął rękę po rewolwer Chucka.

Chuckowi zabrakło to trochę więcej czasu, zmagając się chwilę z zapieciami kabury, ale McPherson nie okazywał zniecierpliwienia, po prostu czekał, wreszcie Chuck nieporadnie wsunął mu do ręki rewolwer, który w ślad za bronią Teddy'ego został umieszczony w worku.

-Wasza bron zostanie oddana do depozytu - mowil cicho McPherson, glosem szeleszczacym jak liscie na wietrze. - Bedzicie mogli ja odebrac w dniu odjazdu w glownym budynku szpitalnym, w pokoju naprzeciw gabinetu komendanta.

Twarz McPhersona nagle rozciagnela sie w szerokim, zawadiackim usmiechu kowboja.

-To by bylo tyle tytulem formalnosc. Nie wiem jak wy, ale ja sie ciesze, ze mam to za soba. Zlozemy teraz wizyte doktorowi Cawleyowi. Co wy na to?

Odwrocil sie i poprowadzil ich przez brame na dziedziniec. Brame za nimi zamknieto. Srodkiem rozleglego trawnika biegla sciezka wylozona taka sama cegla, jakiej uzyto do budowy muru. Przy trawniku, drzewach i klombach, a nawet przy krzewach roz, ktorych rzad posadzono wzdluz fundamentu szpitala, pracowali pacjenci z nogami skutymi lancuchami. Ogrodnikow nadzorowali poslugacze, oprócz nich snuli sie po terenie inni pacjenci w kajdanach na kostkach nog; Teddy'ego uderzyl ich dziwny, kaczkowaty chod. Wiekszosc stanowili mezczyzni, kobiet bylo kilka.

-Kiedy przyjechali tu pierwsi lekarze, wszedzie pienila sie trawa morska i chaszczce - powiedzial McPherson. - Powinniscie obejrzec zdjecia. Ale teraz...

Po bokach szpitala staly dwa identyczne budynki z czerwonej cegly, bialo obramowane okna byly zakratowane, a szyby pozolkle od soli i wilgoci. Szpital zbudowany z ciemnoszarych kamieni, wygladzonych przez morze, wznosil sie na wysokosc pieciu pieter, a ze spadzistego dachu wystawaly mansardowe okna.

-Postawiono go przed wojna secesyjna - tlumaczyl McPherson. - Mial byc przeznaczony na kwatery dla batalionu, najwyrazniej planowano tu tez umiescic osrodek szkolenia. A kiedy wojna wydawala sie juz nieunikniona, zajeli sie przede wszystkim fortem, a tu powstal oboz dla jencow.

Teddy zobaczyl wieze, ktora dostrzegl wczesniej z promu. Jej szczyt wystawal nieznacznie nad korony drzew na przeciwnym krancu wyspy.

-Co to za wieza?

-Stara latarnia morska - odparl McPherson. - Wlasciwie juz na poczatku dziewietnastego wieku przestala spelniac swoje zadanie. Podobno armia Polnocy wystawiala tam swoje posterunki, a teraz miesci sie w niej stacja.

-Badawcza?

McPherson potrzasnal glowa.

-Oczyszczania wody. Nie macie pojecia, co trafia do zatoki, a w koncu i do nas.

Z pokladu wyglada to ladnie, ale zatoka jest zapaskudzona. Rzeki, ktore do niej wplywaja, znosza tu brudy z calego stanu.

-Fascynujace - powiedzial Chuck, zapalil papierosa i stlumil ziewniecie, mruzac oczy w sloncu.

-Tam, za murem - wskazał reka w kierunku oddziału B - znajduje siedziba pierwszego dowodcy. Widzieliscie ja pewnie w drodze do szpitala. Postawienie jej kosztowalo fortune, ale kiedy Wuj Sam zobaczył rachunek, zaraz zdjął dowodce ze stanowiska. Powinniscie tam zajrzec.

-Kto tam teraz mieszka? - spytał Teddy.

-Doktor Cawley. Bez jego udziału szpital nie byłby tym, czym jest. Jego i komendanta. Udalo im sie tu stworzyc cos naprawde wyjątkowego.

Obeszli szpital od tyłu, mijając skutych ogrodników, którzy pod nadzorem posługaczy wruszali graczami czarna ziemię pod murem. Jedną z pacjentek, kobieta w średnim wieku, z włosami barwy pszenicy mocno przerzedzonymi na czubku głowy, spojrzala na Teddy'ego znad motyki i przytknela palec do ust. Teddy dostrzegł grubą, ciemnoczerwona krechę blizny, przecinająca jej szyję. Kobieta usmiechnela sie do niego, nie odrywając palca od ust, a potem powoli pokręcila głowa.

-Cawley to prawdziwa slawa w swojej dziedzinie - mowil McPherson, gdy zbliżali sie do frontowego wejścia do budynku. - Jeden z najlepszych studentow na roku na Uniwersytecie Johna Hopkinsa i Harvardzie, w wieku dwudziestu lat opublikowal pierwsza prace na temat patologii urojen. Jego rady zasiegal Scotland Yard, wywiad brytyjski, Biuro Sluzb Strategicznych.

-Dlaczego? - spytał Teddy.

-Dlaczego?

Teddy skinal głowa. Pytanie wydawalo sie całkiem sluszne.

-No coz... - bakal McPherson wyraznie zbity z tropu.

-Biuro Sluzb Strategicznych, na przyklad - powiedzial Teddy. - Po co mialoby sie zwracac do psychiatri?

-W sprawach związanych z wojna.

-No tak - odparl Teddy. - Ale jakiego rodzaju?

-Objetych tajemnica, jak przypuszczam.

-Co to za tajemnica - wtracil Chuck, posylajac rozbawione spojrzenie Teddy'emu - jesli tak sobie o tym rozmawiamy?

McPherson przystanal przed wejściem do szpitala, stawiając noge na pierwszym schodku. Na jego twarzy malowalo sie zakłopotanie. Odwrocil wzrok w strone krzywizny pomaranczowego muru, a potem powiedzial:

-Coz, nic nie stoi na przeszkodzie, zebyscie zapytali o to samego doktora. Jest juz pewnie po naradzie.

Weszli po schodach, a potem do środka, do wyłożonego marmurem przedsionka o lukrowatym sklepieniu przechodzącym w kasetonową kopułę. Stamtąd, kiedy elektroniczna blokada bramy została zwolniona, przeszli do sporego holu, gdzie po prawej i po lewej stronie siedzieli za biurkami posługacze, a w głębi, za kolejną bramą ciągnął się długi korytarz. Wreczyli swoje odznaki oraz legitymacje posługaczowi siedzącemu na posterunku przy schodach. McPherson wpisał na tabliczce trzy nazwiska, swoje oraz dwóch szeryfów, a posługacz po sprawdzeniu oddał im dokumenty. Za jego plecami znajdowało się całkowicie zakratowane pomieszczenie, a w nim Teddy dojrzał mężczyznę w mundurze podobnym do munduru komendanta; jedna ściana pomieszczenia obwieszona była pekami kluczy.

Wspieli się na pierwsze piętro i poszli korytarzem, który pachniał środkiem do czyszczenia drewna; pod nogami łsniała debowa podłoga, skąpana w jasnym świetle padającym przez duże okno w przeciwległym końcu.

-Pilnie strzeżone miejsce - zauważył Teddy.

-Nie zaniedbujemy żadnych środków ostrożności - odparł McPherson.

-Nie wątpię, że ku zadowoleniu wdzięcznego społeczeństwa - powiedział Chuck.

-Musicie zrozumieć, panowie - zaczął McPherson, odwracając się do nich plecami i prowadząc ich obok szeregu gabinetów, których zamknięte drzwi opatrzone były srebrnymi tabliczkami z nazwiskami lekarzy. - W całych Stanach Zjednoczonych nie ma drugiej takiej placówki. Przyjmujemy tylko najcięższe przypadki. Trafiają do nas pacjenci, z którymi inne zakłady nie mogą sobie poradzić.

-Macie tutaj Gryce'a, zgadza się? - powiedział Teddy.

-Owszem, Vincent Gryce przebywa u nas na oddziale C.

-To ten, który...? - Chuck zawiesił głos. Teddy kiwnął głową.

-Zamordował bliskich, oskalpował ich i zrobił sobie czapki. - I paradował w nich po mieście, tak? - dodał Chuck.

-Jeśli wierzyć gazetom.

Stanęli przed dwuskrzydłowymi drzwiami. Na mosiężnej tabliczce umocowanej po środku prawego skrzydła widniał napis KIEROWNIK PERSONELU MEDYCZNEGO,

DR J. CAWLEY.

McPherson odwrócił się do nich. Rękę trzymał na galce od drzwi i spoglądał na nich z napięciem. -Dawniej, kiedy ludzkość była na niższym etapie rozwoju, takiego pacjenta jak Gryce posłano na śmierć. Ale teraz lekarze mogą go tutaj badać, określić jego zaburzenia, może nawet wykryć w mózgu podłoże jego zachowania, całkowicie odbiegających od przyjętych norm. Jeśli im się to uda, może dożyjemy dnia, kiedy będziemy umieli całkowicie wykorzenić tego rodzaju zaburzenia, uwolnić od nich społeczeństwo.

Zdawalo sie, ze z reka zacisnieta na galce, czeka na odzew z ich strony.

-Marzenia to dobra rzecz - podsumowal Chuck. - Nie uwaza pan?

3

Doktor Cawley byl chudy, niemal wynedznialy. Moze nie tak jak ci nieszczesnicy, ktorych Teddy widzial w Dachau - sama skora, kosci i sciegna - ale na pewno przydaloby mu sie kilka pozywnych posilkow. Jego male, ciemne oczy byly gleboko osadzone, a cienie pod oczami zdawaly sie rozlewac po calej twarzy. Policzki mial tak zapadniete, ze tworzyly ciemne jamy, a skore wokol nich pokrywaly stare blizny po krostach. Usta i nos byly rownie cienkie jak reszta jego postaci, a broda tak niewielka, ze ginela w twarzy. Mocno przerzedzone wlosy odpowiadaly barwa jego oczom i podkreslajacym je cieniem. Za to usmiech mial porazajacy, promienny i tchnacy pewnoscia siebie, od ktorej rozjasnialy mu sie tezewki. I tak tez sie usmiechal, kiedy wychodzil im naprzeciw zza biurka - Szeryf Daniels i szeryf Aule - powiedzial, wyciagajac reke. - Ciesze sie, ze przybyliscie tak szybko, panowie.

Jego dlon byla sucha i gladka w dotyku jak posag, ale uscisk mial potezny, o czym przekonal sie Teddy, gdy Cawley zdusil mu reke tak, ze poczul bol az w przedramieniu.

W oczach Cawleya pojawily sie ogniki, ktore zdawaly sie mowic: "Nie spodziewales sie tego po mnie, co?". Potem przywital sie z Chuckiem.

-Na razie to wszystko. Dziekuje panu - zwrocil sie do McPhersona, a usmiech nagle znikl z jego twarzy.

-Oczywiscie, panie doktorze. Milo mi bylo was poznac, panowie - odparl McPherson i wyszedl z gabinetu.

Na twarzy Cawleya znow zagoscil usmiech, ale tym razem jakby bardziej wymuszony; Teddy'emu skojarzyl sie z kozuchem zastyglym na powierzchni gestej zupy.

-To dobry chlopak, ten McPherson. Chetny.

-Do? - spytal Teddy, siadajac na krzesle przed biurkiem. Cawley zastygl z uniesionym w usmiechu kacikiem ust.

-Nie rozumiem.

-Do czego jest taki chetny? - wyjasnil Teddy.

Cawley siadl za biurkiem z drewna tekowego i rozlozyl rece.

-Do pracy. To polaczenie opieki lekarskiej z praworzadnoscia, wysoce moralne.

Jeszcze pol wieku temu, a w niektorych wypadkach nawet mniej, uwazano, ze pacjenci, jakimi sie tu zajmujemy, w najlepszym razie zasluguja na przymusowe odosobnienie i powolne gnienie we wlasnym brudzie i plugastwie. Tluklismy ich, jakby w ten sposob mozna bylo wypedzic z nich psychoze. Przypisywalismy im najgorsze cechy.

Poddawaliśmy torturom. Lamaliśmy kołem... Tak. Wierciliśmy im dziury w mózgu.

Niekiedy nawet topiliśmy.

-A teraz? - spytał Chuck.

-Teraz zapewniamy im godziwe traktowanie. Probujemy leczyć, uzdrowić. A jeśli to się nie powiedzie, to chociaż wnosimy do ich życia nieco spokoju.

-Ciekawe, co by na to powiedziały ich ofiary? - odezwał się Teddy.

Cawley schylił brwi i patrzył na niego wyczekująco.

-To przecież brutalni przestępcy - rzekł Teddy. - Zgadza się?

Cawley skinął głową.

-Rzeczywiście, okrutni.

-Wciąż zadawali ból, często zabijali.

-Większość to mordercy.

-Zatem jakie znaczenie ma ich wewnętrzny spokój, jeśli weźmie się pod uwagę tych wszystkich ludzi, których pozbawili życia?

-Moim zadaniem jest ich leczyć. Dla ich ofiar, niestety, nie mogę już nic zrobić.

Każda praca, z natury rzeczy, ma jakieś ograniczenia. Ja mogę troszczyć się tylko o moich pacjentów. Czy senator wyjaśnił panom sytuację? - spytał z uśmiechem.

Teddy i Chuck spojrzeli szybko po sobie.

-Nic nam nie wiadomo o żadnym senatorze - odparł Teddy. - Skierował nas tu miejscowy wydział poscigowy.

Cawley położył łokcie na blacie obitym na zielono, splótł ręce, oparł na nich brodę i przypatrywał im się zza okularów.

-Widocznie coś mi się pomyliło. Co wam wiadomo o sprawie?

-Zaginęła więźniarka - odparł Teddy, wertując notes. - Niejaka Rachel Solando.

Cawley posłał mu zimny uśmiech.

-Pacjentka.

-Pacjentka - poprawił się Teddy. - Przepraszam. Podobno zniknęła w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin.

Cawley na potwierdzenie opuszczył nieznacznie brodę.

-Zeszłej nocy. Między dziesiątą a dwunastą wieczór.

-I do tej pory jej nie odnaleziono - powiedział Chuck.

-W rzeczy samej szeryfie... - Cawley nie dokończył, unosząc rękę w przeproszającym geście.

-Aule - przypomniał Chuck.

Twarz Cawleya jakby stała się bardziej pociągła, a Teddy dostrzegł kropelki wody rozpryskujące się na oknie za jego plecami. Trudno było określić, czy to deszcz, czy morską wilgoć.

-Na imię ma pan Charles? - upewnił się Cawley.

-Tak - odparł Chuck.

-Mogłbym pana wziąć za Charlesa, ale niekoniecznie za Aule'a.

-Wypada mi się z tego cieszyć.

-Jak to?

-Nie wybieramy sobie imion ani nazwisk - wyjaśnił Chuck - więc miło usłyszeć, że przynajmniej jedno z nich do nas pasuje.

-Kto je panu nadał? - spytał Cawley.

-Rodzice.

-Chodzi mi o nazwisko. Chuck wzruszył ramionami.

-A kto to wie? Trzeba by się cofnąć o dwadzieścia pokoleń.

-Wystarczy o jedno w tym wypadku. Chuck pochylał się do przodu.

-Słucham?

-Jest pan z pochodzenia Grekiem albo Ormianinem, niech pan przyzna.

-Ormianinem.

-Więc przed Aule'em był...

-Anasmdzijan.

-A pan? - spytał Cawley, przenosząc chytre spojrzenie na Teddy'ego.

-Ja? Danielsowie to stary irlandzki rod - odpowiedzial. - I owszem - usmiechnal sie do Cawleya - potrafie przesledzic jego dzieje dziesiec pokolen wstecz.

-Ale jakie otrzymal pan imie? Theodore?

-Edward.

Cawley przestal sie podpierac rekami i odsunal sie od biurka. Stukal o krawedz nozem do rozcinania papieru; cichy i uporczywy odglos przywodzil na mysl bebnienie sniegu o dach.

-Moja zona ma na imie Margaret - oswiadczył. - Ale procz mnie nikt sie do niej tak nie zwraca. Najstarsi przyjaciele, choc nie wszyscy, mowia na nia Margo, co ma jeszcze jakis sens, ale inni nazywaja ja Peggy. Zupelnie tego nie rozumiem.

-Czego?

-Jakim cudem z Margaret wychodzi Peggy. Mimo to spotyka sie to nader czesto.

Albo co Teddy ma wspolnego z Edwardem. Nie ma przeciez p w Margaret, ani t w Edward.

Teddy wzruszyl ramionami.

-A jak panu na imie?

-John.

-I mowia na pana Jack?

Cawley potrzasnal glowa.

-Ludzie na ogol zwracaja sie do mnie "panie doktorze".

Kropelki wody dzwonily lekko o szybe. Cawley odtwarzal chyba w myslach przebieg rozmowy, mial blyszczace oczy i byl nieobecny duchem.

-Czy ta Solando uchodzi za niebezpieczna? - odezwal sie Chuck.

-Wszyscy nasi pacjenci wykazuja silne sklonnosci do agresji - powiedzial Cawley.

-Dlatego tu przebywaja. Plec nie ma znaczenia. Jej maz zginal na wojnie. Rachel Solando utopila troje swoich dzieci w stawie na tybach domu. Wyprowadzila je tam po kolei i trzymala im glowy pod woda tak dlugo, az sie utopily. Potem przeniosla je do domu, posadzila przy stole w kuchni i zjadla w ich towarzystwie sniadanie. Wtedy zjawnil sie sasiad.

-Wykonczyla go? - spyta Chuck.

Cawley uniosl brwi - i westchnal cicho.

-Nie. Zaprosila go do stolu, zeby cos przekasil. Rzecz jasna facet odmowil i zawiadomil policje. Rachel wciaz wierzy, ze jej dzieci zyja i czekaja na nia. Stad moze ta proba ucieczki.

-Ciagnie ja do domu - powiedzial Teddy. Cawley skinal glowa.

-A gdzie jest jej dom? - spytal Chuck.

-W malej miescinie w gorach Berkshire. Ponad dwiescie kilometrow stad. - Cawley odchylił glowe w strone okna za plecami. - Plynac w tym kierunku, trzeba pokonac wplaw pietnascie kilometrow, zeby dotrzec do brzegu. A gdyby plynac na polnoc, najblizszy lad to dopiero Nowa Fundlandia.

-A caly teren przeszukaliscie - rzekl Teddy.

-Owszem.

-Dokladnie?

Cawley nie od razu odpowiedzial, bawil sie chwile srebrna figurka konia stojaca w rogu biurka.

-Komendant ze swoimi ludzmi i oddzialem poslugaczy przetrzasneli cala wyspe i wszystkie budynki. Dopiero co skonczyli. Ani sladu. Co gorsza, nie mamy pojecia, w jaki sposob wydostala sie z pokoju. Jej pokoj byl zamkniety na klucz, a w oknie tkwila krata. Nic nie wskazuje na to, ze ktos majstrowal przy zamkach. - Przeniosl spojrzenie z figurki konia na Teddy'ego i Chucka. - Wyglada to tak, jakby sie ulotnila, przeniknela przez mury.

Teddy zanotowal w notesie slowo "ulotnila".

-Jest pan pewny, ze przebywala w swoim pokoju, gdy rozpoczela sie cisza nocna?

-Calkowicie.

-Skad ta pewnosc?

Cawley puscil figurke i polaczyl sie przez interkom z pokojem pielegniarek.

-Siostra Marino?

-Slucham, panie doktorze?

-Prosze przyslac do nas pana Gantona.

-Juz go wysylam, panie doktorze.

Pod oknem stal stolik, a na nim dzbanek z woda i cztery szklanki. Cawley podszedl do stolika i napelnil trzy szklanki. Jedna postawil przed Teddym, druga przed Chuckiem, a trzecia wzial ze soba i usiadl z powrotem za biurkiem.

-Nie ma pan przypadkiem aspiryny, doktorze? - spytal Teddy.

Cawley usmiechnal sie lekko.

-Cos sie chyba znajdzie.

Zajrzal do szuflady biurka i wyjal buteleczke aspiryny Bayera.

-Dwie czy trzy?

-Trzy, jesli mozna - odparl Teddy; cmienie za lewym okiem przeszlo w rwacy bol.

Cawley podal mu tabletki, a Teddy wrzucil je do ust i popil woda.

-Cierpi pan na bole glowy, szeryfie?

-Na chorobe morska... niestety - odparl Teddy. Cawley skinal glowa.

-Rozumiem. Odwodnienie.

Teddy kiwnal twierdzaco, a Cawley otworzyl drewniane pudelko z papierosami i podsunal je gosciom. Teddy poczestowal sie, ale Chuck odmowil i wyjal wlasne.

Wszyscy troje zapalili i doktor otworzyl okno.

Usiadl z powrotem na swoim miejscu i podal im fotografie mlodej, pieknej kobiety; razila w jej twarzy obecność ciemnych sincow pod oczami, tak ciemnych jak jej czarne wlosy. Same oczy byly nienaturalnie rozszerzone, jakby napieral na nie od srodka rozgrzany pret. Uchwycona na zdjeciu kobieta dostrzegala cos poza obiektywem, poza fotografem, przypuszczalnie poza wszelkimi znanymi rzeczami tego swiata, lecz widok ten nie byl przeznaczony dla ludzkich oczu.

Cos w niej wydalo sie Teddy'emu niepokojaco znajome i nagle przypomniał sobie chlopaka z obozu, ktory nie chcial nic przelknac, chociaz podtykali mu pod nos jedzenie.

Po prostu siedzial oparty o sciane w kwietniowym sloncu z takim samym wyrazem oczu, az opadly mu powieki i w koncu powiekszyl stos umarlakow pietrzacy sie na stacji kolejowej.

Chuck gwizdnal cicho.

-Moj Boze.

Cawley sie zaciagnal.

-Urzekla pana jej uroda czy przerazilo szalenstwo w oczach?

-Jedno i drugie.

To spojrzenie, pomyslal Teddy. Nawet uwieziona na wiecznosc, w tej jednej chwili tchnelo takim cierpieniem, ze mialo sie ochote wskoczyc do zdjecia i pocieszyc ja: "Nie ma czego sie bac. Juz wszystko w porzadku, juz w porzadku. Ciiii". Chcialo sieja przytulic i trzymac, az przestanie sie trzasc, i powtarzac, ze wszystko bedzie dobrze.

Otworzyły się drzwi i do gabinetu wszedł wysoki Murzyn w białym ubraniu, z włosami gesto przetykanymi siwizną.

-Panie Ganton - odezwał się Cawley. - To szeryf Aule i szeryf Daniels, o których panu wspominałem.

Teddy i Chuck wstali i przywitali się z Gantonem. Teddy wyczuł z jego strony strach, miał wrażenie, że przybysz był mocno zmieszany, gdy podawał reke stróżom prawa, jakby coś przeszkrobał w szerokim świecie.

-Pan Ganton pracuje tutaj od siedemnastu lat. Jest przełożonym posługaczy. To właśnie on wczoraj w nocy odprowadził Rachel do jej pokoju. Co ma pan do powiedzenia szeryfom?

Ganton skrzyżował nogi w kostkach, oparł ręce o kolana i pochylił się trochę do przodu, wbijając wzrok w podłogę.

-O dziewiątej była grupa, a potem...

-To znaczy, sesja terapii grupowej prowadzona przez doktora Sheehana i pielęgniarkę, panią Marino - wtracił Cawley.

Ganton odezwał się dopiero wówczas, kiedy nabral pewności, że Cawley skończył.

-No właśnie. Grupa trwała do dziesiątej czy coś koło tego. Potem zaprowadziłem Rachel do pokoju. Weszła do środka. Zamknąłem drzwi kluczem od zewnątrz. W czasie ciszy nocnej robimy obchód co dwie godziny. Wracam o północy, zaglądam do środka, a jej łóżko jest puste. Myślę sobie, może śpi na podłodze. Oni lubią spać na podłodze.

Otwieram drzwi...

-Kluczem, zgadza się, panie Ganton? - ponownie przerwał mu Cawley.

Ganton skinął doktorowi głową i zapatrzył się w swoje kolana.

-Jasne, otwieram kluczem, bo drzwi są zaryglowane. Wchodzę. Nigdzie nie widzę pani Rachel. Zamykam za sobą drzwi, sprawdzam okno i kratę. Zamek w kratce jest w porządku.
- Wzruszył ramionami. - Wzywam komendanta.

Podniósł wzrok na Cawleya, który pokiwał mu głową z ojcowską aprobatą.

-Wasza kolej, panowie. Macie jakieś pytania?

Chuck potrząsnął głową.

Teddy oderwał wzrok od notatek.

-Panie Ganton, powiedział pan, że wszedł do pokoju i upewnił się, że pacjentki nie ma. Na czym to polegało?

-Proszę?

-Czy jest tam szafa? Miejsce pod lozkiem, gdzie mogla sie schowac? - spytal Teddy.

-I jedno, i drugie.

-Sprawdzil pan oba te miejsca?

-Tak jest.

-A drzwi nadal byly otwarte?

-Prosze?

-Powiedzial pan, ze wszedl do pokoju, rozejrzal sie i nigdzie nie znalazl pacjentki.

Dopiero potem zamknal pan za soba drzwi.

-Nie... To znaczy...

Teddy czekal cierpliwie, zaciagnal sie papierosem, ktorego dostal od Cawleya.

Roznil sie od jego ulubionych chesterfieldow lagodnym, wyrazniejszym smakiem. Nawet dym mial inny zapach, niemal slodki.

-To zabralo mi wszystkiego piec sekund, szeryfie - odparl Ganton. - Szafa jest bez drzwi. Zagladam do niej, patrze pod lozko i zamykam drzwi. To maly pokoik, nie ma gdzie sie schowac.

-A pod sciana? - powiedzial Teddy. - Po prawej albo po lewej stronie drzwi?

-Gdzie tam. - Ganton potrzasnal glowa i Teddy odniosl wrazenie, ze spod spuszczonego wzroku i ugrzecznionej pozy rozmowcy po raz pierwszy wyjrzel gniew, jakby te przypuszczenia dotknely Gantona do zywego.

-To raczej wykluczone - zwrocil sie Cawley do Teddy'ego. - Wiem, do czego pan zmierza, szeryfie, ale kiedy zobaczy pan pokoj, zrozumie pan, ze pan Ganton musialby byc pod wplywem ogromnego stresu, zeby nie zauwazyc pacjentki, gdyby ta przebywala gdziekolwiek w obrebie czterech scian swego pokoju. - Swieta prawda - potwierdzil Ganton, patrzac teraz Teddy'emu prosto w oczy.

Teddy domyslil sie, ze facet jest cholernie wzraliwy na punkcie etyki zawodowej, a on swoimi pytaniami gleboko go urazil, zranil jego dume.

-Dziekuje, panie Ganton - powiedzial Cawley. - Prosze wracac do swoich obowiazkow.

Ganton wstal, jeszcze przez chwile wpatrywal sie w Teddy'ego, po czym odparl: - Do widzenia, panie doktorze - i wyszedl.

Przez minute siedzieli w milczeniu, dopalajac papierosy. Zgnietli niedopalki w popielniczkach i dopiero wtedy Chuck powiedzial:

-Pora rzucic okiem na ten pokoj, doktorze.

-Oczywiscie - odrzekl Cawley i wyszedl zza biurka; w reku trzymal pek kluczy na kolku wielkosc pokrywki do garnka. - Prosze za mna.

Pokoik byl malenki, drzwi otwieraly sie do srodka na prawa strone. Byly ciezkie, stalowe, a zawiasy tak dobrze naoliwione, ze pchniete skrzydlo drzwi uderzylo z hukiem o sciane. Po lewej stronie, w pewnej odleglosci od drzwi, stala drewniana szafa; w srodku wisialo kilka fartuchow i wiazanych w pasie spodni.

-No i nici z mojej teorii - przyznal Teddy.

Cawley skinal glowa.

-Nie ma tu miejsca, zeby ukryc sie przed wzrokiem stojacej w drzwiach osoby.

-Chyba ze na suficie - odezwal sie Chuck, a wszyscy troje podniesli wzrok i nawet doktor zdobyl sie na usmiech.

Cawley zamknal drzwi i Teddy naraz poczul sie jak w pulapce, osaczony. Wbrew swojej nazwie to byla cela. W oknie umieszczonym nad waskim lozkiem tkwily kraty.

Pod sciana po prawej stronie stala mala toaletka, gola betonowa podloga i sciany pomalowane byly na bialo, jak przystalo na tego rodzaju placowke. Zamknieni we trojke w tej klitce musieli uwazac, zeby nie potracic jeden drugiego.

-Kto jeszcze mogl miec dostep do tego pokoju? - spytal Teddy.

-O tak poznej porze? Nikt nie kreci sie wtedy po oddziale bez powodu.

-Jasne. Ale kto mogl miec dostep?

-Oczywiscie poslugacze.

-A lekarze? - odezwal sie Chuck.

-No i pielegniarki.

-Lekarze nie maja kluczy do tego pokoju?- dociekal Teddy.

-Owszem, maja - odparl Cawley z lekka nutka rozdraznienia w glosie. - Ale do dziesiatej wieczor lekarze powinni juz sie rozejsc do swoich kwater.

-I zdac klucze?

-Tak.

-I jest to gdzies udokumentowane? - spytal Teddy.

-Nie rozumiem.

-Zastanawia nas, doktorze - odezwał się Chuck - czy muszą się gdzieś podpisać, kiedy pobierają i zdają klucze.

-Naturalnie.

-I moglibyśmy zajrzeć do rejestru i sprawdzić wpisy z ubiegłej nocy? - powiedział Teddy.

-Tak, tak. Naturalnie.

-Rejestr zapewne przechowuje się w tym zakratowanym pomieszczeniu, które mijaliśmy na parterze? - dopytywał się Chuck. - Tym ze strażnikiem i mnóstwem kluczy?

Cawley potwierdził kiwnięciem głowy.

-A akta osobowe personelu? Pracowników medycznych, posługaczy i strażników? - wtracił Teddy. - Bedziemy musieli do nich zajrzeć.

Cawley lypnął na niego tak, jakby z twarzy Teddy'ego wzbil się roj rozwścieczonych gzów.

-Po co?

-Doktorze Cawley! Kobieta znika z zamkniętego na cztery spusty pokoju. Przepada jak kamień w wodzie na małej wyspie. Nie możemy wykluczyć, że ktoś jej w tym pomógł.

-Zastanowimy się, szeryfie - powiedział Cawley.

-Zastanowicie?

-Owszem, szeryfie. Muszę naradzić się z komendantem i kilkoma innymi pracownikami. Rozpatrzmy pańską prośbę, kierując się...

-To nie prośba, doktorze Cawley. Jesteśmy tu z rozkazu rządu federalnego. Z tej placówki zbiegł niebezpieczny więzien...

-Pacjent.

-Niebezpieczny pacjent - zgodził się Teddy, nie dając się wyprowadzić z równowagi. - Jeśli odmawia pan udzielenia pomocy szeryfom federalnym w ujęciu tego pacjenta, to niestety, tym samym... Chuck?

-Utrudnia pan prace organów ścigania - dokończył Chuck.

Cawley posłał mu spojrzenie, które wyraźnie miało oznaczać, że nie spodziewał się po nim takiego zagrania.

-Coż, mogę jedynie panów zapewnić - rzekł Cawley bezbarwnym głosem - że uczynię wszystko, co w mojej mocy, by uwzględnić wasze życzenie.

Teddy i Chuck spojrzeli po sobie, potem znów na niemal puste pomieszczenie.

Pozwolili Cawleyowi trochę odsapnąć, gdyż zapewne nie przywykł do tego, że meczono go pytaniami wtedy, kiedy sobie tego wyraźnie nie życzył.

Teddy zajrzał do wąskiej szafy, popatrzył na trzy białe fartuchy, dwie pary białych pantofli.

-Ile par obuwia przysługuje pacjentowi?

-Dwie.

-Czyżby wydostała się stąd boso?

-Najwyraźniej. - Cawley poprawił krawat pod fartuchem lekarskim i wskazał leżącą na łóżku zapisaną kartkę. - Znaleźliśmy ją za toaletką. Nie mamy pojęcia, co oznacza.

Bylibyśmy wdzięczni, gdyby komus udało się to rozszyfrować.

Teddy podniósł kartkę, odwrócił ją na drugą stronę, zobaczył tabelę do badania wzroku - stopniowo malejące litery ułożone w piramidę. Obrócił kartkę i pokazał Chuckowi.

Zasada Czterech Ja Jestem 47 Oni To 80 + Wy Jesteście 3 My Jesteśmy 4 Ale Kim Jest 67?

Teddy nie miał nawet ochoty trzymać tej kartki w ręce, jej krawędzie laskotały go nieprzyjemnie w palce.

-Niech skonać, jeśli coś z tego rozumiem - powiedział Chuck.

-Przyznam, że doszliśmy do podobnego wniosku - oświadczył Cawley, podchodząc do nich.

-Jest nas trzech - rzekł Teddy. Chuck zerknął na kartkę.

-No i co?

-Możemy być ta trójka - powiedział. - Nas troje, tak jak stoimy teraz w tym pokoju.

Chuck pokręcił głową.

-W jaki sposób by to przewidziała? Teddy wzruszył ramionami.

-To tylko domysł, nic więcej.

-Właśnie.

-Owszem, to tylko domysł - odezwał się Cawley - ale Rachel potrafi prowadzić błyskotliwe gry z otoczeniem. Jej urojenia - zwłaszcza te, które utrzymują ją w przekonaniu, że jej dzieci nadal żyją - to nader subtelne, a przy tym zawile konstrukcje. Dla ich podtrzymania Rachel ucieka się do wyszukanych zabiegów fabularnych, opłatając swoje życie całkowicie zmyślnym wątkiem.

Chuck powoli odwrócił głowę i popatrzył na Cawleya.

-Trzeba by być przynajmniej magistrem, żeby coś z tego zrozumieć, doktorze.

Cawley parsknął śmiechem.

-Niech pan przypomni sobie kłamstwa, jakie opowiadał pan rodzicom w dzieciństwie. Ich bogata, złożona tkanke. Zamiast ograniczać się do podania prostego zmyślonego powodu, dla którego poszedł pan na węgry czy zapomniał o swoich domowych obowiązkach, konfabuluje pan, nadaje faktom fantastyczną oprawę. Zgadza się?

Chuck po chwili zastanowienia skinął głową.

-Jasne - powiedział Teddy. - To samo robią przestępcy.

-Otoż to. Chodzi o to, aby zagmatwać. Oszołomic słuchacza, aż w końcu uwierzy, bardziej wyczerpany niż przekonany. Proszę teraz pomyśleć, że okłamuje pan samego siebie. Tak jest w przypadku Rachel. W ciągu tych czterech lat nawet nie przyjęła do wiadomości, że przebywa w szpitalu. W swoim mniemaniu wciąż mieszkała u siebie w Berkshire, a nas traktowała jak przychodzących do jej domu dostawców, mleczarzy, listonoszy. Opierała się rzeczywistości i sile woli, niczym więcej, umacniała swoje mrzonki.

-Jak to możliwe, że prawda nigdy do niej nie dotarła? - zdziwił się Teddy. - Przecież była zamknięta w zakładzie dla obłąkanych. Jak mogła tego nie zauważyć?

-Och - odparł Cawley - w ten sposób dochodzimy do straszliwej i fascynującej prawdy o paranoicznych urojeniach, które są tworem fundamentalnie rozszczepionej jaźni. Jeśli, panowie, jesteście nieźle przekonani, że tylko wy znacie prawdę, cała reszta sile rzeczy kłamie. A jeśli wszyscy oprócz was kłamia...

-To każda prawda w ich ustach jest kłamstwem - dokończył Chuck.

Cawley zrobił z palców pistolet i strzelił na niby do Chucka.

-Zaczyna pan chwytac.

-Więc te liczby wiążą się jakos z jej fantazjami? - spytał Teddy.

-Na pewno. Muszą coś oznaczać. W przypadku Rachel nie ma mowy o pustych czy błahych popisach. Jej umysł nie proznował ani przez chwilę, ratując przed zawaleniem zamki z piasku, które tak pieczołowicie wznosiła. To - postukał palcem w tablicę badania wzroku - jest ta konstrukcja przelana na papier. Jestem świeżo przekonany, że dzięki temu dowiemy się, co się z nią stało.

Przez chwilę Teddy odniósł wrażenie, że to pismo do niego przemawia, staje się czytelniejsze. Zwłaszcza pierwsze dwie liczby, "47" i "80"; miał uczucie, że blakają się po zakamarkach jego umysłu, próbując przebić się do świadomości, niczym melodia piosenki, która usiłuje sobie przypomnieć, kiedy w radiu nadają właśnie coś zupełnie innego. Najwyraźniejszą wskazówką było "47". Miał to w zasięgu ręki. To było takie proste. To było...

I wtedy runęły wszelkie pomosty logiki wiodące ku rozwiązaniu, jego umysł wypełniła pustka i wszystko mu się wymknęło. Odłożył kartkę na łóżko.

-Zwariowała - powiedział Chuck.

-Co takiego? - zdziwił się Cawley.

-To właśnie z nią się stało. Tak uważam.

-Co do tego raczej nie ma wątpliwości - skwitował Cawley.

4

Po wyjściu z pokoju stanęli na korytarzu. Pokój Rachel znajdował się po lewej stronie klatki schodowej, która dzieliła korytarz na dwie równe części. -Innego zejścia z tego piętra nie ma? - spytał Teddy. Cawley potwierdził kiwnięciem głowy.

-I żadnego wstępu na dach? - upewnił się Chuck. Cawley potrząsnął głową.

-Na dach można się dostać jedynie po schodach przeciwpożarowych. Są widoczne od południowej strony budynku. Dostępu do nich broni brama zamykana na klucz.

Personel, oczywiście, ma do niej klucze, ale pacjenci nie. Żeby wyjść na dach, musiałaby zejść po schodach, wydostać się z budynku, otworzyć kluczem bramę i z powrotem wdrapać się na górę.

-Ale sprawdziliście dach?

-Jak wszystkie pomieszczenia na oddziale. Natychmiast. Gdy tylko stwierdzono jej zaginięcie.

Teddy wskazał posługacza siedzącego przy stoliku przed schodami.

-Rozumiem, że pracownicy pełnią tam dyżur przez całą dobę?

-Tak.

-Zatem zeszłej nocy ktoś miał to piętro na oku.

-Ganton we własnej osobie.

Podeszli do schodów.

-Wiec... - odezwał się Chuck, patrząc pytająco na Teddy'ego, który uśmiechnął się zachęcająco. - Wiec pani Solando wydostaje się z zamkniętego na klucz pokoju, potem idzie tymi schodami na dół.

Zeszli po schodach, mijając posługacza trzymającego straż na drugim piętrze.

-Przechodzi obok następnego posługacza - ciągnął Chuck - ale jak tego dokonuje, nie wiemy, może stać się niewidzialna. Idzie dalej schodami na dół i wychodzi na...

Pokonali ostatni odcinek schodów i mieli teraz przed sobą duże, otwarte pomieszczenie z kilkoma leżankami pod ścianami, składanym stołem i krzesłami pośrodku. Pomieszczenie skapane było w białym świetle wpadającym do środka przez wykuszowe okna. - Świetlice - dokonał Cawley - w której pacjenci przebywają wieczorami. Tu odbywały się wczoraj zajęcia terapii grupowej. A przez te arkady, proszę spojrzeć, idzie się do stanowiska pielęgniarek. Po ogłoszeniu ciszy nocnej zbierają się tu posługacze.

Mają zmywać podłogi, ale najczęściej przyłapujemy ich na grze w karty.

-A wczorajszej nocy?

-Podobno rzneli w karty na całego, sami się przyznali. Siedmiu chłopów siedziało u stop tych schodów i grało w pokera.

Chuck oparł ręce na biodrach i syknął przez zęby.

-Wychodzi na to, że znów stać się niewidzialna, przemyka się i kieruje na prawo albo na lewo.

-Idąc w prawo, przesłaby przez jadalnię do kuchni. Dalej są drzwi, zakratowane i zabezpieczone instalacją alarmową, włączaną o dziewiątej wieczorem, po wyjściu ostatnich pracowników kuchni. Po lewej jest stanowisko pielęgniarek i pokój wypoczynkowy dla personelu. Nie ma wyjścia na zewnątrz. Z budynku można się wydostać tylko przez drzwi po drugiej stronie świetlicy albo te w korytarzu za schodami.

Przy obu dyżurowali zeszłej nocy posługacze.

Cawley zerknął na zegarek.

-Panowie, muszę iść na zebranie. Z dalszymi pytaniami proszę śmiało zwracać się do pracowników szpitala albo udać się do McPhersona. To on kierował do tej pory poszukiwaniami. Powinien udzielić wam wszystkich niezbędnych informacji. Personel jada kolację punktualnie o szóstej w stołówce w budynku, w którym zakwaterowani są posługacze. Po kolacji zbierzemy się tutaj w pokoju wypoczynkowym i będziecie mogli porozmawiać z pracownikami, którzy mieli dyżur w noc zaginięcia Rachel Solando.

Wyszedł w pośpiechu na dziedziniec przez drzwi frontowe. Odprowadzali Cawleya wzrokiem, zanim skreślił w lewo i zniknął im z oczu.

-Czy jest w tej całej sprawie coś, co wykluczałoby współudział pracownika szpitala? - powiedział Teddy.

-Ja nadal opowiadam się za tym, że Rachel stała się niewidzialna. Mogła nałożyć czapkę-niewidkę. Kapujesz? Może nas teraz obserwuje, Teddy. - Chuck szybko obejrzał się za siebie. - Warto o tym pamiętać.

Po południu przyłączyli się do ekipy poszukiwawczej i wyruszyli w głąb wyspy.

Powietrze było parne, ciężkie. Wyspa tonęła w dzikiej roślinności, przyduszona chwastami i polami gęstej, wysokiej trawy przetykanej czepnymi wasami pnaczy i krzaków najezonych kolcami. Często nie można było się przez te chaszczki przedrzeć, nawet korzystając z maczet, w które została zaopatrzona część strażników. Rachel Solando maczety nie miała, a nawet gdyby miała, wyspa jakby zawzięła się, żeby spychać wszelkich przybyszów z powrotem na wybrzeże.

Poszukiwania wydały się Teddy'emu dość niemrawe, odnosił wrażenie, że tylko on i Chuck naprawdę wkładają w nie serce. Strażnicy posuwali się naprzód ze spuszczonego wzrokiem, osowiale. Trasa biegła równoległe do linii brzegowej. W pewnej chwili, wychodząc zza skalnego występu, natknęli się na wznoszącą się wysoko ścianę urwiska opadającego prosto do morza. Po lewej ręce, za gąszczem kolczastych krzewów, mchu i borówek, widac było polankę położoną u stóp niskich wzgórz. Wzgórza te, poprzecinane wąskimi rozpadlinami, stopniowo podnosiły się, przechodząc w poszarpany klif. Teddy dostrzegł podłużne szczeliny w ścianie urwiska.

-Jaskinie? - spytał McPhersona.

-Jest ich tam kilka.

-Sprawdziłiscie je?

McPherson westchnął i zapalił cygaretkę, osłaniając stulonymi dłońmi zapalke przed wiatrem.

-Kobieta miała dwie pary butów, szeryfie. Obie zostawiła w pokoju. Jak niby miała pokonać trasę, która my ledwo przebyliśmy, a potem wspiąć się na te skały i wdrapać po tej ścianie?

Teddy wskazał na wzgórze ciągnące się za polana.

-A gdyby wybrała okreśną drogę, posuwała się powoli do góry od zachodu?

-Niech pan spojrzy, szeryfie - odparł McPherson. - Tam gdzie kończy się ta polana, zaczynają się bagna. A u podnóża tych wzgórz płeni się sumak jadowity i tysiąc innych ciemnych krzaków, z kolcami wielkości mojego fiuta.

-Czyli jakimi? Dużymi czy małymi? - rzucił przez ramię Chuck, idący kilka metrów przed nimi. - Średnimi. - McPherson się uśmiechnął. - Rozumiecie, panowie, co chce przez to powiedzieć? Uciekinierka nie miałaby wyboru, musiałaby trzymać się blisko linii brzegowej, a obojętnie, w którą stronę by poszła, w połowie drogi natknęłaby się na coś takiego. - Wskazał ręką urwisko.

Godzine później, już po drugiej stronie wyspy, stanęli przed ogrodzeniem okalającym stary fort i latarnię morską. Teddy zobaczył biegnący wokół latarni drugi plot z bramą, przy której stali na warty dwaj strażnicy z karabinami.

-Pilnują oczyszczalni? - zdziwił się.

McPherson skinął głową.

Teddy spojrzal na Chucka, a ten uniosl brwi.

-Pilnuja oczyszczalni? - powtorzyl Teddy.

Nikt nie towarzyszył im przy kolacji. Siedzieli sami przy stoliku, przesiaknieci wilgocią oceanu, która przesycone było powietrze i która skraplała się niczym kapryśna mżawka. Wiatr przybierał na sile, spowita mrokiem wyspa trzeszczała za oknami.

-Przez zaryglowane drzwi - powiedzial Chuck.

-Boso - dodal Teddy.

-Obok trzech punktow kontrolnych.

-I swietlicy z cala nocna zmiana.

-Boso - zgodzil sie Chuck.

Teddy podlubil widelcem w talerzu; na kolacje podano zapiekanke z miesem i ziemniakami, mieso bylo zylaste.

-Przez mur z drutem pod napieciem - powiedzial.

-Albo przez strzezona brame.

-Na ten wygwizdow.

Podmuchy wiatru wstrzasaly budynkiem, wstrzasaly ciemnoscia.

-Boso.

-I nikt jej nie widzial.

Chuck przezul kawalek miesa, popil kawa.

-Powiedzmy, ze ktos wykituje na tej wyspie - przeciez nikt nie jest niesmiertelny - to co sie z nim dzieje?

-Chowaja go.

-No wlasnie. A widziales gdzies tutaj cmentarz? Teddy potrzasnal glowa.

-Na pewno jest jakies ogrodzone miejsce pochowku.

-Jak ta oczyszczalnia. Jasne - rzekl Chuck, odsunal tace i rozsiadl sie wygodnie. - Jaki jest nastepny punkt programu?

-Spotkanie z personelem.

-Mylisz, że beda skorzy do pomocy?

-Masz watpliwosci?

Chuck usmiechnal sie szeroko. Zapalil papierosa, z rozbawieniem patrzac na Teddy'ego, az w koncu parsknal smiechem, wydmuchujac jednoczesnie kleby dymu.

Teddy stal posrodku sali, pracownicy szpitala siedzieli dookola niego. Polozyl rece na krawedzi oparcia metalowego krzesla, obok niego Chuck w niedbalej pozie, z rekami w kieszeniach, opieral sie o filar.

-Domyslam sie, ze wszystkim wam wiadomo, dlaczego sie tu zebralismy - powiedzial Teddy. - Zeszlej nocy doszlo w szpitalu do uciezki. Wyglada na to, ze pacjentka po prostu zniknela. Nie trafilismy na zaden slad, ktory obalalby zalozenie, ze ktos pomogl jej wydostac sie na wolnosc. Czy zastepca komendanta podziela moje zdanie?

-Uwazam, ze na tym etapie jest to sluszne przypuszczenie.

Teddy chcial mowic dalej, ale odezwal sie siedzacy obok pielegniarki Cawley:

-Moglibyscie sie przedstawic, panowie? Nie wszyscy mieli okazje was poznac.

Teddy przestal sie pochylac nad krzeslem.

-Szeryf federalny Edward Daniels. A to moj partner, szeryf federalny Charles Aule.

Chuck pomachal zebrany reka i z powrotem wsadzil ja do kieszeni.

-Panie McPherson - powiedzial Teddy - przeszukal pan ze swoimi ludzmi cala wyspe.

-Ma sie rozumiec.

-Z jakim wynikiem?

McPherson wyprostowal sie na krzesle.

-Nie znalezlismy zadnych sladow uciekiniarki, strzepkow ubrania, odciskow stop, przydeptanej trawy, nic. Zeszlej nocy byl silny prad i bardzo duzy przyplyw. Przeprowa wplaw nie wchodzila w gre.

-Mogla jednak sprobowac.

Slowa te wypowiedziala pielegniarka, Kerry Marino, szczupla kobieta z szopa rudych wlosow, ktore gdy wchodzila, byly upiete w kok, ale teraz splywaly swobodnie na ramiona. Czepek polozyla na kolanach i leniwie przeczesywala palcami wlosy, gestem wyrazajacym znuzenie, a zarazem przykuwajacym uwage wszystkich mezczyzn, ktorzy posylali jej ukradkowe spojrzzenia - wyrazane w ten sposob zmeczenie swiadczilo o pilnej potrzebie wyciagniecia sie na lozku.

-Prosze? - powiedzial McPherson.

Pielegniarka przestała bawic się włosami i położyła ręce na kolanach.

-Skąd wiemy, że nie wskoczyła do wody i nie utopiła się?

-Morze wyrzuciłoby jej ciało na brzeg - odparł Cawley i ziewnął, zasłaniając usta piescią. - Przy takim przyplywie?

Marino podniosła pojednawczo rękę.

-Chciałam tylko zwrócić uwagę na taką możliwość.

-Doceniamy to, siostrze - powiedział Cawley - ale mamy za sobą wyczerpujący dzień. Szeryfie, proszę zadawać pytania.

Teddy zerknął na Chucka, a ten lekko skinął głową. Po wyspie grasowała zbiegła pacjentka, niebezpieczna dla otoczenia, a każdy marzył tylko o tym, żeby położyć się spać.

-Pan Ganton - zaczął Teddy - oświadczył, że zajrzał do pokoju pani Solando o północy i stwierdził jej zaginięcie. Zamki przy drzwiach i przy kracie okiennej były nienaruszone. Panie Ganton, czy między dziesiątą a dwunastą zdarzyło się, że chociaż przez krótką chwilę nie miał pan w polu widzenia korytarza na drugim piętrze?

Kilka osób odwróciło głowę w stronę Gantona, a Teddy z zakłopotaniem dojrzał na niektórych twarzach lekkie uśmiešky, jakby miał do czynienia z trzecioklasistami i wyrwał do odpowiedzi najbystrzejsze dziecko w klasie.

-Nie miałem korytarza na oku tylko wtedy, gdy wszedłem do jej pokoju i zobaczyłem, że zniknęła - odparł Ganton wpatrzony w swoje buty.

-Czyli przez trzydzieści sekund.

-Raczej piętnaście - powiedział, przenosząc spojrzenie na Teddy'ego. - Pokój jest mały.

-A poza tym?

-Poza tym o dziesiątej wszyscy pacjenci siedzieli już pod kluczem. Rachel wróciła do swojego pokoju ostatnia. Ja dyżurowałem przy schodach i przez te dwie godziny nie widziałem żywej duszy.

-I ani razu nie opuścił pan swojego stanowiska?

-Nie, proszę pana.

-Nie poszedł pan po kawę ani nic w tym rodzaju? Ganton potrząsnął głową.

-No dobra, ludzie - odezwał się Chuck, odrywając się od słupa. - Będzie zdrowo szarżować, ale pozwolę sobie przyjac, czysto hipotetycznie, w niczym nie ujmując panu Gantonowi, że pani Solando zdołała jakos uczepić się sufitu i wydostać na korytarz.

Kilka osob zachichotalo.

-Dotarla do schodow prowadzacych na pierwsze pietro. Kogo tam musialaby ominac?

Podniosl reke poslugacz o mlecznobialej cerze i wlosach koloru marchewki.

-Mozesz sie przedstawic? - spytal Teddy.

-Glen. Glen Miga.

-W porzadku, Glen. Wiec cala noc byles na swoim stanowisku?

-No... tak.

-Glen?

-Slucham? - Poslugacz przestal skubac skorke od paznokci i popatrzył na szeryfa.

-Mow prawde.

Glen spojrzal na Cawleya i z powrotem na Teddy'ego.

-No bylem.

-Przestan, Glen - powiedzial Teddy.

Glen napotkal wzrok Teddy'ego, oczy lekko mu sie rozszerzily.

-Poszedlem do lazienki - przyznal w koncu. Cawley pochyлил sie na krzesle.

-Kto cie zastapil?

-Zachcialo mi sie sikac. Przepraszam.

-Jak dlugo to trwalo? - spytal Teddy. Glen wzruszyl ramionami.

-Najwyzej minute.

-Minute. Na pewno?

-A czy ja jestem wielblad? - Nie.

-Uwinalem sie raz-dwa.

-Czlowieku, zlamales przepisy - oswiadczył Cawley.

-Wiem, panie doktorze. Ja...

-O ktorej godzinie to sie stalo? - spytal Teddy.

-Okolo jedenastej trzydziesci.

Strach przed Cawleyem przeradzal sie u poslugacza w nienawisc do szeryfa; jeszcze kilka pytan i Teddy mialby w jego osobie zawzietego wroga.

-Dzieki, Glen - powiedzial Teddy i dal glowa znak Chuckowi, ze teraz jego kolej.

-Okolo jedenastej trzydziesci wciaz jeszcze odchodzil ostry poker? - spytal Chuck.

Kilku poslugaczy spojrzalo po sobie, potem na Chucka i jeden z nich, Murzyn, skinal glowa, a w slad za nim pozostali.

-Kto o tej porze bral udzial w grze?

Podnioslo rece pieciu poslugaczy, czterech Murzynow i jeden bialy.

Chuck wylowil przywodce - pierwszy skinal glowa, pierwszy uniosl reke - tegiego faceta z glowa ogolona do skory, lsniaca w swietle jarzeniowek.

-Nazwisko?

-Washington. Trey Washington.

-Powiedz mi, Trey, gdzie wtedy siedzieliscie.

-Mniej wiecej w tym miejscu - odparl Murzyn, wskazujac na dol. - Na srodku sali.

Dokladnie naprzeciw schodow. Mielismy na oku drzwi frontowe i te od zaplecza.

Chuck podszedl do niego i wykrecil szyje, zeby objac wzrokiem przednie i tylne drzwi oraz schody.

-Dogodne stanowisko.

-Nie chodzi tylko o pacjentow, szeryfie - powiedzial Trey, znizajac glos. - Musimy uwazac na lekarzy, na pielegniarki, ktore nas nie lubia. Na dyzurze nie wolno grac w karty. Trzeba patrzec, czy ktos nadchodzi, i w razie czego zaraz lapac miotle.

-Zaloze sie, ze predko sie ruszasz. - Chuck sie usmiechnal.

-Widzial pan blyskawice na sierpniowymi niebie? - No.

-Ja jestem szybszy, kiedy dopadam do miotly.

Na sali zapanowalo rozprzezenie, siostra Marino nie zdolala powstrzymac usmiechu, a pokerzysci zartobliwie wytykali sie nawzajem palcami. Teddy wiedzial juz, ze podczas ich pobytu na wyspie to Chuck bedzie gral dobrego gline. Potrafil zjednac sobie ludzi i na pewno czulby sie jak ryba w wodzie w kazdym srodowisku, a kwestie etniczne czy nawet jezykowe nie mialy tu zadnego znaczenia. Teddy'ego cholernie dziwilo to, ze wydzial poscigowy w Seattle pozbyl sie takiego cennego pracownika, nawet jesli zadawal sie z Japonka.

Teddy z kolei miał silną i władcą osobowość. Jego stosunki z innymi układały się świetnie, jeśli to akceptowali, a na wojnie szybko musieli do tego przywyknąć. Jednak zanim to nastąpiło, dochodziło do śpiewów.

-Dobrze już, dobrze - próbował powściągnąć powszechną wesołość Chuck, sam śmiejąc się od ucha do ucha. - A więc, Trey, siedzieliście na wprost tych schodów. Kiedy się zorientowaliście, że coś jest nie tak?

-Kiedy Ike - chciałem powiedzieć, pan Ganton - zaczął do nas krzyknąć: "Zawiadom komendanta. Ktoś uciekł z oddziału".

-Która wtedy była godzina?

-Dwunasta zero dwa i trzydzieści dziewięć sekund. Chuck unosił brwi ze zdziwieniem.

-Masz w głowie zegar?

-Nie, ale człowiek wyrabia w sobie odruch, żeby zaraz patrzeć na zegar, kiedy zaczyna się zamieszanie. Wie pan, wszystko może być uznane za "zajście", a potem musimy pisać raporty na specjalnych formularzach. W raporcie na samym początku trzeba określić czas zajścia, a kiedy człowiek wypełnia takie formularze, wchodzi mu w krew patrzenie na zegar, jak tylko zaczyna się dziać coś podejrzanego.

Jego przemowa przyjmowana była z ogólną aprobatą posługaczy, którzy kiwali głowami i potakiwali, jak wierni słuchający kaznodziei nawołującego do odnowy duchowej.

Chuck posłał Teddy'emu spojrzenie, które zdawało się mówić: "I co ty na to?".

-Czyli wtedy była dwunasta zero dwa - powiedział Chuck.

-I trzydzieści dziewięć sekund.

-Te dwie minuty - zwrócił się Teddy do Gantona - wzięły się stąd, że zajął pan najpierw do innych pacjentów, zanim doszedł pan do pokoju Rachel Solando, tak?

Ganton skinął głową.

-Najpierw sprawdziłem pokoje czterech bliższych pacjentów.

-A kiedy przybył komendant? - spytał Teddy.

-Pierwszy zjawił się Hicksville, strażnik. Chyba dyżurował tej nocy przy bramie - odparł Trey. - Była dokładnie dwunasta zero sześć i dwadzieścia dwie sekundy, kiedy wpadł na oddział. Komendant wparował cztery minuty później z szóstką ludzi.

-A pani? - zwrócił się Teddy do siostry Marino. - Słyszysz pani całe to zamieszanie i co pani robi?

-Zamykam na klucz stanowisko pielęgniarek. Docieram do pokoju wypoczynkowego mniej więcej w tym czasie, kiedy Hicksville wchodzi przez drzwi frontowe.

Siostra Marino wzruszyła ramionami i zapaliła papierosa, a za jej przykładem poszli inni palacze.

-I nikt nie mógł przedostać się niezauważony obok stanowiska pielęgniarek?

Pielęgniarka podparła ręką brode, przyglądała mu się przez smuzkę dymu z papierosa.

-Przedostać się dokąd? Tam można dojść tylko do sali hydroterapii. To betonowy bunkier z wannami i basenami.

-Sprawdziłiscie tam?

-Oczywiście, szeryfie - odezwał się McPherson z wyraźnym znudzeniem w głosie.

-Siostrze Marino - powiedział Teddy - brała pani udział w grupie zeszłej nocy.

-Bralam.

-Czy zauważyła pani coś niezwykłego?

-Zależy, co pan ma na myśli.

-Nie rozumiem.

-To zakład dla obłąkanych przestępców, szeryfie. "Niezwykłe" jest u nas na porządku dziennym.

Teddy uśmiechnął się z zaskowaniem.

-W takim razie postawie pytanie inaczej. Czy z ostatnich zajęć terapii grupowej utkwiło pani w pamięci coś, co, hm...?

-Odbiegało od normy? - dokończyła pielęgniarka. Wywołało to u Cawleya uśmiech, kilka osób parsknęło z rozbawieniem.

Teddy kiwnął potakująco głową.

Siostra Marino zastanawiała się przez chwilę, a biały słupek popiołu na jej papierosie rosnął i zakrzywił się w dół, lecz pielęgniarka strzepnęła popiół do popielniczki, zanim się posypał na jej ubranie.

-Niestety. Przykro mi - powiedziała.

-Czy pani Solando zabierała głos?

-Kilka razy, o ile pamiętam... tak.

-I co mowila?

Siostra Marino przeniosla spojrzenia na Cawleya.

-Na razie na potrzeby sledztwa uchylamy zasade poufnosci informacji dotyczacych pacjentow - rzekl doktor.

Pielegniarka skinela glowa, ale nie wygladala na szczesliwa z takiego obrotu sprawy.

-Omawialismy sposoby panowania nad zloscia. Niedawno wsrod pacjentow doszlo do kilku wybuchow.

-To znaczy?

-Krzyczeli na siebie, brali sie za lby. Wlasciwie to nic nadzwyczajnego, tylko ze w ostatnich tygodniach zjawisko nieco sie nasililo, co najprawdopodobniej wywolane bylo fala upalow. Wczoraj wieczorem przedyskutowalismy wlasciwe i niewlasciwe sposoby okazywania niepokoju czy niezadowolenia.

-Czy pani Solando miewala ostatnio ataki zlosci?

-Rachel? Nie. Jedyna rzecz, ktora wytracala ja z rownowagi, byl deszcz. Caly jej udzial we wczorajszych zajeciach polegala na tym, ze w kolko powtarzala: "Slysz deszcz.

Slysz deszcz. Jeszcze nie pada, ale czuje, ze nadciaga. Czy nic nie da sie zrobic w sprawie jedzenia?".

-Jedzenia?

Pielegniarka zgasila papierosa i skinela glowa.

-Rachel uwazala, ze posilki szpitalne sa ohydne. Bez przerwy narzekala.

-Sluszenie? - spytal Teddy.

Siostra Marino usmiechnela sie polgebkiem i spuscila wzrok.

-Ktos moglby uznac jej postawe za calkiem zrozumiala. My nie nadajemy pobudkom i przeslankom zabarwienia moralnego; nie okreslamy, czy cos jest sluszne, czy nie.

-Wczoraj wieczorem byl z wami doktor Sheehan. To on prowadzil zajecia. Jest obecny na sali?

Nikt sie nie odezwal. Kilku mezczyzn zgniotlo niedopalki w popielniczkach stojacych miedzy krzeslami. Ogolne milczenie przerwal Cawley.

-Doktor Sheehan odplynal dzis rano tym samym promem, ktory zabral pana w drodze powrotnej.

-Jak to?

-Zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami wziął urlop.

-Ale musimy zadać mu kilka pytań.

-Mam jego sprawozdanie z przebiegu ostatniej sesji - odparł Cawley. - A także wszystkie jego notatki. Opuszczył teren szpitala wczoraj o dziesiątej wieczor, wrócił do siebie. Rano wyjechał. Już od dawna należało mu się urlop i od dawna go planował. Nie widzieliśmy powodu, żeby go zatrzymywać.

Teddy spojrzał w stronę McPhersona. - I pan do tego dopuścił? Zastępca komendanta skinął głową.

-Zbiegł niebezpieczny pacjent. Do wyjaśnienia sprawy obowiązuje zawieszenie swobody ruchów. Dotyczy to każdego - rzekł Teddy. - Jak można w takiej sytuacji pozwolić komus na wyjazd?

-Ustaliliśmy, gdzie doktor przebywał tamtej nocy. Przemysleliśmy całą sprawę i uznaliśmy, że nie ma powodu go zatrzymywać - odparł McPherson.

-W końcu to doktor - dodał Cawley.

-Jezu - jęknął Teddy. Z tak poważnym odstępstwem od obowiązujących reguł postępowania nie zetknął się do tej pory w całej swej karierze, a wszyscy zachowywali się tak, jakby nic się nie stało.

-Dokąd wyjechał?

-Słucham?

-Na ten urlop - wyjaśnił Teddy. - Dokąd wyjechał? Cawley utkwiał wzrok w suficie, próbując sobie przypomnieć.

-Jak sądzę do Nowego Jorku. Tam mieszka jego rodzina. Przy Park Avenue.

-Potrzebny mi numer telefonu - oznajmił Teddy.

-Nie rozumiem, dlaczego...

-Doktorze Cawley, potrzebny mi numer telefonu.

-Zajmiemy się tym, szeryfie - odpowiedział Cawley, wciąż zapatrzony w sufit. - Mam pan jeszcze jakies życzenia?

-Pewnie.

Cawley opuścił głowę i spojrzał Teddy'emu w oczy.

-Potrzebny mi telefon. Ze słuchawki telefonu w pokoju pielęgniarek wydobywał się jednostajny szum i nic więcej. Na oddziale były jeszcze cztery inne aparaty, trzymane w

gablotach zamykanych na klucz, ale po wyjściu okazało się, że również nie nadają się do użytku.

Teddy poszedł z Cawleyem do centrali telefonicznej mieszczącej się na parterze w głównym budynku szpitalnym.

-Panie doktorze - odezwał się na ich widok telefonista z para czarnych słuchawek zawieszonych na szyi. - Wszystko padło. Nawet łączność radiowa.

-Przecież warunki pogodowe na wyspie nie są takie straszne - rzekł Cawley.

Telefonista wzruszył ramionami.

-Będzie próbował dalej. Ale to, co się dzieje u nas, nie ma takiego znaczenia jak pogoda po tamtej stronie.

-Niech pan się stara nawiązać łączność - powiedział Cawley. - Jak tylko uda się panu coś zdziałać, proszę dać mi znać. Ten pan musi zadzwonić na brzeg w ważnej sprawie.

Telefonista skinął głową, odwrócił się do nich plecami i nałożył z powrotem słuchawki.

Wyszli na powietrze, które dosłownie zapierało dech w piersi.

-Co się stanie, jeśli pan się nie zgłosi? - spytał Cawley.

-Zaznacza to w nocnym raporcie. Wydział poscigowy zwykle zaczyna się martwić dopiero po upływie kolejnych dwudziestu czterech godzin.

-Może do tej pory sztorm przejdzie.

-Przejdzie? - zdziwił się Teddy. - Jeszcze nawet nie zaczęło dmuchać.

Cawley wzruszył ramionami i ruszył w stronę bramy.

-Urządzam u siebie małe spotkanie w męskim gronie, wie pan, przy cygarach i kieliszku. O dziewczętej, jeśli będziecie mieli ochotę się przyłączyć.

-Dobrze - odparł Teddy. - Będziemy mogli wtedy porozmawiać?

Cawley zatrzymał się, spojrzał na niego przez ramię. Za murem czarne drzewa kołysały się i szeptały.

-Przecież rozmawialiśmy cały dzień, szeryfie. Chuck i Teddy szli w ciemnościach, czując gorące, nabrzmiałe wzbierającym sztormem powietrze; wszystko wokół wydawało się brzemienne, opuchnięte.

-Cholernie podejrzana sprawa.

-Zgadza się. - Smierdzi jak zepsuta ryba.

-Gdybym był baptysta, powiedziałbym: "Święta prawda". - "Święta prawda"?

-Tak mówią w Missisipi. Służyłem tam przez rok.

-To prawda? - Święta prawda.

Teddy zapalił kolejnego papierosa wyzebranego od Chucka.

-Skontaktowałeś się z wydziałem? - spytał Chuck.

Teddy potrząsnął głową.

-Podobno nie działa centrala telefoniczna. Przez ten sztorm - dodał, podnosząc rękę.

Chuck wypluł okruch tytoniu, który przykleił mu się do języka.

-Jaki sztorm?

-Wisi w powietrzu - odparł Teddy, spoglądając na ciemne niebo. - Ale nie wygląda na taki, co załatwiłby na amen ich główny punkt łączności. - "Główny punkt łączności"? - powtórzył Chuck. - Przeszedłeś do cywila czy wciąż jeszcze czekasz na zwolnienie ze służby?

-Niech ci będzie, że centrala telefoniczna - powiedział Teddy, pokazując papierosem w jej kierunku. - I radio też.

Oczy Chucka rozszerzyły się ze zdumienia. - I radio też im się spieprzyło? Radio?

Teddy skinął głową.

-Jest niewesoło... tak, tak. Ugrzeźliśmy na odciętej od świata wyspie, gdzie szukamy kobiety, która uciekła z pokoju przez zaryglowane drzwi...

-Obok czterech dyżurnych.

-Pod nosem posługaczy grających w świetlicy w pokera.

-Pokonała trzymetrowy mur z cegły.

-Zwieńczony przewodem pod napięciem.

-Przepląsnęła piętnaście kilometrów...

-Pod prąd, i to srogi... - ...do brzegu.ładnie powiedziane, srogi. I do tego zimny. Jaka temperatura może mieć woda? Jeden, dwa stopnie?

-Najwyżej dwa stopnie. Ale w nocy?

-Pewnie spada do zera. Wiesz co, Teddy? To wszystko...

-I do tego jeszcze nieobecny doktor Sheehan - rzekł Teddy.

-Zdziwilo cie to, co? - powiedzial Chuck. - Chyba zbyt lagodnie obszedles sie z Cawleyem, szefie. Trzeba go bylo zlapac mocno za jaja.

Teddy sie rozesmial. Slyszal, jak jego smiech ulatuje niesiony podmuchem nocnego wiatru i przepada w szumie przybrzeznnych fal, jak gdyby w ogole go nie bylo, jak gdyby ta wyspa i morze, i sol odbieraly czlowiekowi to, co wydawalo mu sie, ze nalezy do niego, i... - ...jesli sluzymy im tylko za przykrywke? - mowil Chuck.

-Slucham?

-A jesli sluzymy im tylko za przykrywke?- powtorzyl Chuck. - Jesli sciagneli nas po to, zeby zatuszowac balagan na swoim podworku?

-Prosze jasniej, Watsonie.

-Dobrze, szefie. - Chuck sie usmiechnal. - Ale skup sie.

-Juz sie skupiam.

-Zalozmy, ze tutejszy lekarz zadurzyl sie w pewnej pacjentce.

-Rachel Solando.

-Widziales jej zdjecie.

-Niczego sobie.

-Niczego sobie? Teddy, to dziewczyna z okladki, obiekt westchnien szeregowcow.

Wiec urabia naszego chloptasia, Sheehana... Rozumiesz teraz?

Teddy wyrzucil papierosa i patrzyl, jak ognek rozzarza i rozpryskuje sie na wietrze, a nastepnie niesiony podmuchem z powrotem przemyka obok niego i Chucka.

-Sheehan daje sie omotac, uznaje, ze nie moze bez niej zyc - dodal Teddy.

-Kluczowym slowem jest "zyc" razem z nia w szerokim swiecie.

-Wiec daja noge z wyspy.

-Moze w tej chwili sa na koncercie Fatsa Domino.

Teddy przystanal przed pomaranczowym murem na przeciweglym krancu budynku mieszkalnego dla personelu.

-Ale dlaczego nie wezwali policji?

-Zamiast policji jestesmy my - odparl Chuck. - Musieli kogos sciagnac, taka jest procedura, a przy ucieczce z tego rodzaju zakladu wzywaja nas. Lecz jesli chca zatuszowac wspoludzial

ktoregos z pracownikow szpitala, nasza obecność tylko potwierdza ich wersje - ze wszystko odbyło się zgodnie z przepisami.

-Zgoda - odparł Teddy. - Ale dlaczego mieliby kryć Sheehana?

Chuck oparł się nogą o mur, uginając ją w kolanie, i zapalił papierosa.

-Nie wiem. Jeszcze tego nie rozgryzłem.

-Jeśli Sheehan rzeczywiście zabrał ją z wyspy, to dał komus w łapę.

-Musiał przekupić jakiegoś pracownika.

-I to niejednego.

-Na pewno kilku posługaczy. Jednego strażnika, może dwóch.

-Kogoś na promie. Może nawet kilku ludzi.

-Chyba że w ogóle nie wsiadł na prom. Mogł odpłynąć własną łodzią.

Teddy rozważał chwilę taką możliwość.

-Pochodzi z zamoznej rodziny. Mieszkają przy Park Avenue, jeśli wierzyć Cawleyowi.

-No i proszę - facet ze swojej łodzi.

Teddy spojrzał do góry na drut wienczący mur. Powietrze wokół nich wybrzuszało się jak przycisnięty szkłem bąbel.

-Ta teoria pozostawia bez odpowiedzi wiele pytań - rzekł po chwili.

-Jak to?

-A skąd ten szyfr w pokoju Rachel Solando?

-Coż, to przecież wariacja.

-Ale po co mieliby go nam pokazywać? To znaczy, jeśli to wszystko pic na wodę, to powinni nas jak najszybciej splawić, wcisnąć nam jakąś historyjkę. "Posługacz zasnął na dyżurze" albo: "Zamek na okiennej kracie przerdzewiał, a myśmy nie zauważyli". A my podpisujemy raport i do domu. Chuck dotknął ręką muru.

-Może doskwierała im samotność. Im wszystkim. Stęsknili się za nowymi twarzami, przybyszami z szerokiego świata.

-Jasne. I wymyślili bajeczkę, żeby nas tu sprowadzić? Żeby mieć co wspominać?

Już mnie przekonałeś.

Chuck odwrócił się i spojrzał na szpital.

-No dobra, żarty na bok...

Teddy poszedł w jego ślady i teraz obaj stali zwrócenii twarzą w stronę głównego budynku.

-Słusznie...

-Zaczynam się trochę denerwować, Teddy.

5

-Nazywali ją Wielką Salą - powiedział Cawley, prowadząc ich przez wyłożony parkietem przedsionek w stronę pary drzwi z mosiężnymi galkami wielkości ananasa. - Poważnie. Moja żona znalazła na poddaszu listy pierwszego gospodarza, pułkownika Spiveya, których nie zdążył wysłać. Rozwodzi się w nich nad Wielką Salą, którą budował. Cawley przekreślił potężną galkę i szarpnięciem otworzył drzwi.

Chuck aż gwizdnął. Teddy i Dolores mieli wprowadzić mieszkanie przy Butonwood, które było przedmiotem zawisłości ze strony przyjaciół z racji swej powierzchni, gdyż wchodzić do niego, odnosiło się wrażenie, że główny korytarz długością nie ustępuje boisku futbolowemu, ale w Wielkiej Sali z łatwością zmieściłyby się dwa takie mieszkania.

Posadzka była marmurowa, przykryta gdzieś tam ciemnymi orientalnymi kobiercami. Wysokość kominka przekraczała wzrost przeciętnego mężczyzny. Same kotary - trzy metry ciemnopurpurowego aksamitu na każdym oknie, a było ich dziewięć - na pewno kosztowały więcej, niż Teddy zarabiał w ciągu roku albo i dwóch lat.

W kącie pod olejnym obrazem, przedstawiającym mężczyznę w granatowym mundurze wojsk Polnocy, stał stolik do bilardu. Obok na ścianie wisiały jeszcze dwa malowidła, kobiety w białej sukni z falbanami oraz wspólny portret mężczyzny i kobiety, z psem u stóp i tym samym gigantycznym kominkiem za plecami.

-To właśnie pułkownik Spivey? - spytał Teddy.

Idąc za jego spojrzeniem, Cawley skinął głową.

-Pozbawiony dowództwa krótko po tym, jak wykonane zostały te portrety.

Znaleźliśmy je w piwnicy, podobnie jak dywany, stół bilardowy i większość krzeseł.

Powinien pan zobaczyć piwnicę, szeryfie. Można by tam urządzić boisko do gry w polo.

Teddy poczuł dym z fajki i on oraz Chuck odwrócili się jednocześnie, uświadamiając sobie obecność jeszcze jednego mężczyzny w pokoju. Siedział na wprost kominka w krześle z wysokim oparciem, odwrócony do nich plecami, z nogą założoną na kolano i otwartą książką pod ręką.

Cawley poprowadził ich do kominka, wskazał ustawione w polkole krzesła.

-Czym sie trujecie, panowie? - spytal, podchodzac do barku.

-Whisky, jesli pan ma - odparl Chuck.

-Chyba cos sie znajdzie. A pan, szeryfie Daniels?

-Poprosze wode sodowa z odrobina lodu. Nieznajomy podniosl wzrok na nowo przybylych.

-Stroni pan od mocnych trunkow? - spytal.

Teddy dobrze mu sie przyjrzel. Mala glowa pokryta rudymi wlosami wygladala jak wisnia przyczepiona do klocowatego tulowia. Mezczyzna ten byl przy tym wydelikacony; Teddy nie mogl oprzec sie wrazeniu, ze kazdego ranka godzinami przed lustrem wklepuje w siebie talk i pachnace olejki.

-A z kim mam przyjemnosc? - spytal Teddy.

-To moj kolega - wyjasnil Cawley.- Doktor Jeremiah Naehring.

Mezczyzna mrugnal na potwierdzenie, ale nie wyciagnal reki na powitanie, a Teddy i Chuck poszli za jego przykladem.

-Zastanawiam sie - odezwal sie Naehring, gdy Teddy i Chuck rozsiedli sie po jego lewej rece.

-To swietnie - mruknal Teddy.

-Dlaczego pan nie pije. Naduzywanie alkoholu to chyba czeste zjawisko wsrod mezczyzn wykonujacych panski zawod?

Cawley podal Teddy'emu napoj. Teddy wstal i podszedl do regalu z ksiazkami stojacego po prawej stronie kominka.

-Dosc czeste - odparl. - A u was?

-Slucham?

-Wsrod lekarzy - wyjasnil Teddy. - Slyszalem, ze w waszym srodowisku jest mnostwo pijakow.

-Nie zauwazylem.

-No to nie przygladal sie pan dokladnie.

-Nie rozumiem.

-A co pan popija? Zimna herbatke?

Teddy odwrocil sie do niego, zobaczyl, ze Naehring zerka na swoja szklaneczke, a kaciki miekkich ust wykrzywaja sie w chytrym usmieszku.

-Znakomicie, szeryfie. Pana mechanizmy obronne sa wprost zadziwiajace.

Domyslam sie, ze swietnie pan sobie radzi z przesluchiowaniem przestepcow.

Teddy potrzasnal glowa. Sadzac po tej biblioteczce, Cawley trzymal u siebie niewiele ksiazek medycznych. Przewazaly w niej powiesci, poza tym byly cienkie tomiki poezji, jak sie domyslal, i zajmujace kilka polek prace historyczne i biografie.

-Nie? - zdziwil sie Naehring.

-Jestem szeryfem federalnym. Moje zadanie polega na doprowadzaniu przestepcow.

Od zadawania pytan na ogol sa inni.

-Dla mnie to "przesluchanie", a dla pana "zadawanie pytan". Tak, szeryfie, pana mechanizmy obronne sa naprawde zadziwiajace. - Stuknal kilka razy dnem szklaneczki o stol, niby z zachwytem. - Fascynuja mnie ludzie niecofajacy sie przed przemoca.

-Przed czym? - zapytal Teddy, podchodzac do Naehringa. Zmierzyl go wzrokiem i zagrzechotal kostkami lodu w szklaneczce.

Naehring odchytil do tyłu glowe i pociagnal lyk whisky.

-Przed przemoca.

-To cholernie ryzykowne zalozenie, doktoru - odezwal sie Chuck. Teddy nie widzial dotad u niego tak silnego wzburzenia.

-Ja nic nie zakladam.

Teddy jeszcze raz zagrzechotal szklaneczka i oprznil ja. Przez twarz Naehringa pod lewym okiem przebiegl leciutki skurcz.

-Jestem takiego samego zdania jak moj kolega - powiedzial Teddy i siadl na swoim krzesle.

-Alez panowie - odparl Naehring, przeciągajac ostatnia sylabe. - Powiedzialem, ze nie cofacie sie przed przemoca. To nie to samo co oskarzanie was o stosowanie przemocy.

Teddy wyszczerzyl zęby.

-Niech pan nas oswieci.

Cawley za ich plecami nastawil plyte; zachrobotala igla, rozleglo sie kilka chrupniec i sykow, ktore przypominaly Teddy'emu odglosy, jakie wydawaly z siebie bezuzyteczne telefony w szpitalu. Potem odezwały sie kojace smyczki i fortepian: muzyka powazna, tyle Teddy potrafil powiedziec, jakiegos niemieckiego kompozytora. Brzmienie instrumentow kojarzylo mu sie z zamorskimi kawiarniami i zbiorem plyt, jaki widzial w gabinecie zastepcy komendanta obozu w Dachau. Mezczyzna ten sluchal jednej z nich, gdy wpakowal sobie kulke w usta. Jeszcze byl, kiedy Teddy w obstawie czterech szeregowcow wkroczyl do jego

gabinetu. Rzeził, próbując sięgnąć po pistolet, który spadł mu na podłogę. Lagodna muzyka rozpełzła się po całym pokoju niczym chmara pajaków. Kommandant konał dwadzieścia minut, a chłopcy plądrujący gabinet pytali go, czy mocno cierpi. Teddy wziął do ręki oprawioną fotografię jego żony i dwojki dzieci, którą ten położył sobie na kolanach. Niemiec patrzył na niego rozszerzonymi oczami i próbował złapać go za rękę, gdy Teddy odbierał mu zdjęcie. Teddy odsunął się i spoglądał to na zdjęcie, to na faceta, aż ten w końcu wyzionął ducha. I przez cały czas towarzyszyła im ta rzewna muzyka.

-To Brahms? - spytał Chuck.

-Mahler - odpowiedział Cawley, siadając obok swego kolegi.

-Domagacie się, panowie, wyjaśnienia - rzekł Naehring.

Teddy oparł się łokciami o kolana, rozłożył dłonie.

-Zaryzykuje twierdzenie - mówił Naehring - że jeszcze jako uczniowie nie unikaliscie starc na boisku szkolnym. Nie znaczy to, że sprawiały wam przyjemność. Po prostu odwrot nie wchodził w grę. Mam rację?

Teddy spojrzał na Chucka, który uśmiechnął się do niego lekko speszony.

-Tak zostałem wychowany, doktorku - odparł Chuck. - Żeby nie dać sobie w kaszę dmuchać.

-No, właściwie... wychowany. A kto zajmował się waszym wychowaniem?

-Wilki - wtracił Teddy.

Cawleyowi rozbłysły oczy, pokiwał lekko głową. Ale Naehring wyraźnie nie docenił dowcipu. Obciął nogawkę spodni i zapytał:

-Wierzyacie w Boga? Teddy się rozesmiał. Naehring pochylił się do przodu.

-Pyta pan serio? - zdziwił się Teddy. Naehring nie odzywał się.

-Widział pan kiedyś oboz z zagłady, doktorze? - spytał Teddy. Naehring potrząsnął głową.

-Nie? - Teddy przysunął się bliżej ognia. - Świetnie mówi pan po angielsku, niemal doskonale. Ale spójgłowski wciąż wymawia pan odrobinkę za twardo.

-Legalna imigracja nie jest chyba przestępstwem, szeryfie? Teddy uśmiechnął się, potrząsnął głową.

-Ale wracając do kwestii wiary...

-Najpierw niech pan zobaczy oboz z zagłady, doktorze, a potem podzieli się ze mną swoimi uczuciami wobec Boga.

Naehring powoli przymknął i unosił powieki na znak, że przyjmuje to do wiadomości, po czym zwrócił się do Chucka:

-A pan?

-Nie widziałem obozu zagłady - odparł Chuck.

-Wierzy pan w Boga? Chuck wzruszył ramionami.

-Nie zastanawiałem się nad tym od dłuższego czasu.

-Od śmierci ojca, tak?

Chuck pochylił się do przodu, wpatrywał się w tego grubego człowieka łsniającymi oczami.

-Pana ojciec nie żyje, zgadza się? I pański też, szeryfie Daniels? Ide o zakład, że obaj utracicie dominujący w waszym życiu wzorzec męski przed ukończeniem piętnastu lat.

-Piątka karo - powiedział Teddy.

-Proszę? - Naehring jeszcze bardziej zgiął się do przodu.

-Taka będzie pańska kolejna sztuczka? - ciągnął Teddy. - Tym razem odgadnie pan, jaką kartę trzymam w ręku. Albo nie, chwileczkę... przetnie pan pielęgniarkę na pół i wyciągnie krowa z głowy doktora Cawleya.

-To nie są sztuczki.

-A może to - mówił Teddy, którego kociło, żeby stracić tę wisnię wyrastającą Naehringowi z bezczulkowatego tułowia. - Sprawię pan, że kobieta przejdzie przez ściany, uniesie się w powietrze nad szpitalem pełnym posługaczy i strażników i odleci za morze.

-Dobre - rzekł Chuck.

Naehring pozwolił sobie jedynie na leniwe mrugnięcie, niczym domowy kot po posiłku.

-Raz jeszcze pana mechanizmy obronne okazują się...

-No proszę, znowu to samo. - ...imponujące. Ale chodzi o to...

-Chodzi o to - wpadł mu w słowo Teddy - że zeszłej nocy doszło w tym zakładzie do dziesięciu przypadków rażącego naruszenia przepisów porządkowych. Zbiegła pacjentka i nikt jej nie szuka...

-Przecież trwają poszukiwania.

-Na jaką skalę?

Naehring rozsiadł się w krześle i posłał Cawleyowi takie spojrzenie, że Teddy zaczął mieć wątpliwości, kto tu naprawdę jest szefem.

Cawley napotkał wzrok Teddy'ego i lekko się zaróżowił na podbródku.

-Do zadan doktora Naehringa - tłumaczył - należy między innymi reprezentowanie naszego szpitala przed radą nadzorczą. Doktor Naehring występuje dziś wieczor właśnie w takim charakterze. Rozważaliśmy wspólnie pańskie wcześniejsze życzenia.

-Ktore mianowicie?

Naehring rozpalil na nowo fajke zapalka, ktora trzymal w stulonej dloni.

-Nie udostepnimy akt osobowych pracownikow medycznych.

-A Sheehana?

-Niczyich.

-Robicie sobie z nas jaja.

-Nie znam tego wyrazenia.

-Brakuje panu obycia w swiecie.

-Szeryfie, prosze dalej prowadzic dochodzenie, a my udzielimy wam wszelkiej mozliwej pomocy, ale...

-Nie.

-Slucham? - Cawley pochylil sie do przodu i teraz wszyscy czterej siedzieli zgieci niemal wpol, z glowami wysunietymi do przodu.

-Nie - powtorzil Teddy. - To koniec dochodzenia. Wrocimy do miasta najblizszym promem. Zlozemy raporty i sprawa zostanie, jak sie domyslalam, przekazana chlopakom Hoovera. A my umywamy rece.

Reka Naehringa z fajka zawisla w powietrzu. Cawley napil sie drinka. W tle pobrzmiwal Mahler. Gdzies w pokoju tykal zegar.

-Jak pan uwaza, szeryfie.

Lalo jak z cebra, kiedy wyszli z domu Cawleya. Deszcz tlukl o dachowki, o dziedziniec wylozony cegla, o czarny dach czekajacego na nich samochodu. Cial otaczajaca ich ciemnosc ukosnymi platami srebra. Samochod stal zaledwie kilka krokow od ganku, ale i tak zdazyli przemoknac. McPherson przeszedl na druga strone i wskoczyl na swoje miejsce za kierownica. Nachlapal na tablice rozdzielcza, kiedy otrzasal sie z wody, jednoczesnie wlaczajac bieg.

-Mila noc - powiedzial, podnoszac glos, aby nie zagluszylo go plaskanie wycieraczek i bebnienie deszczu.

Teddy spojrzal w lusterko wsteczne, zobaczyl na ganku rozmyte postaci Cawleya i Naehringa, ktorzy odprowadzali ich wzrokiem.

-Strach wychodzic z domu - odparl McPherson, kiedy oderwana od konara galazka przefrunela tuz przed przednia szyba samochodu.

-Dlugo tu pracujesz, McPherson? - zapytal Chuck.

-Cztery lata.

-Doszlo tu wczesniej do ucieczki?

-Do cholery, nie.

-A moze ktos sie zgubil i po godzinie czy dwoch sie odnalazl?

McPherson potrzasnal glowa.

-Nie, nie bylo nawet takiego przypadku. Trzeba by byc skonczonym swirem. Tu nie ma dokad uciec.

-Znasz doktora Sheehana? - spytal Teddy.

-Jasne.

-Od dawna tu pracuje?

-Zaczal chyba rok przede mna.

-Czyli od pieciu lat.

-Zgadza sie.

-Czesto zajmowal sie Rachel Solando?

-Nic mi o tym nie wiadomo. Jej glownym psychoterapeuta byl doktor Cawley.

-Czy to powszechna praktyka, ze kierownik personelu medycznego jednoczesnie jest osobiscie zaangazowany w terapie konkretnego pacjenta?

-No coz...

Zapadlo milczenie. Slychac bylo plaskanie wycieraczek. Za oknami samochodu widac bylo ciemne drzewa przyginane przez wichur.

-To zalezy - odezwal sie McPherson, kiwajac reka straznikowi, kiedy wjezdza przez brame.

- Doktor Cawley prowadzi pacjentow z oddzialu C. Jeszcze paroma z innych oddzialow zajmuje sie osobiscie.

-Kim jeszcze oprócz Rachel Solando?

McPherson zatrzymal samochod przed wejciem do budynku mieszkalnego dla mezczyzn.

-Wybaczcie, ze tym razem nie otworze wam drzwi. Przespijcie sie. Rano doktor Cawley na pewno odpowie wam na wszystkie pytania.

-McPherson? - powiedzial Teddy, nim wysiadl. McPherson obejrzal sie do tyłu.

-Kiepsko ci to wychodzi.

-Co takiego kiepsko mi wychodzi?

Teddy usmiechnal sie do niego cierpko i wyszedl na lejacy sie strumieniami deszcz.

Dzielili pokoj z Treyem Washingtonem i jeszcze jednym poslugaczem, ktory nazywal sie Bibby Luce. Pokoj byl dosc przestronny, z dwoma pietrowymi lozkami i kacikiem wypoczynkowym i tam wlasnie Trey i Bibby grali w karty, kiedy Teddy i Chuck weszli do srodka. Przybysze wytarli wlosy bialymi recznikami, ktorzych sterte zostawiono dla nich na gornym lozku, po czym dostawili krzesla i przylaczyli sie do gry.

Stawki byly niskie, a jesli komus zabraklo monet, przyjmowano w zamian papierosy.

Teddy przechytrzył wszystkich, podbijając przy siódmkach, potem zgarnął pięć dolarów i osiemnastę papierosów, mając w ręku kolor treflowy, i od tamtej pory grał zachowawczo.

Za to Chuck okazał się prawdziwym karciarzem, jak zawsze tryskał humorem, a z jego twarzy nic nie można było wyczytać. Patrzył na pietrzacy się przed nim stos monet, papierosów, a wreszcie banknotów, jakby dziwił się, jakim cudem urosł tak wysoko.

-Ma pan w oczach rentgena czy co, szeryfie? - powiedział Trey.

-Chyba dopisuje mi szczęście.

-Pieprzenie. Kto to widział, kurwa, żeby komus tak szła karta? Stosuje pan chyba jakieś czary.

-A może taki jeden nie powinien skubać ucha? - Ze co?

-Skubie pan ucho, panie Washington. Za każdym razem, kiedy nie ma pan w ręku co najmniej fula. A ten gość, kurwa... - Chuck wskazał Bibby'ego.

Cała trójka wybuchnęła śmiechem.

-Ten... ten... zaraz, chwila - ten robi dziwne oczy, patrzy, ile kto uzbierał, a potem blefuje. A kiedy ma mocne karty? Jest całkiem spokojny i zamysłony.

Trey ryknął ze śmiechu, aż powietrze zadrzało, i grzmotnął pięścią w stół.

-A szeryf Daniels? Jak się odsłania? Chuck usmiechnął się szeroko.

-Mam zdradzić mojego partnera? Nie, nie, nie.

-A fe! - zawołał Bibby, wytykając ich palcem.

-Nie da rady.

-Juz wiem - powiedział Trey. - To spisek białych przeciwko nam.

Chuck pociemniał na twarzy i wbił wzrok w Treya. Z pokoju nagle jakby wyszło całe powietrze.

Treyowi skoczyła grdyka i już zbierał się do przeprosin, gdy Chuck powiedział: - Oczywiście. A co by innego! - i wyszczerzył zęby w uśmiechu od ucha do ucha.

-W morde kopany! - wykrzyknął Trey, przybijając piatkę Chuckowi.

-W morde kopany! - powtórzył Bibby.

-W dupę jeża! - zawołał Chuck i cała trójka zachichotała jak nastolatki.

Teddy też chciał się dołączyć, ale doszedł do wniosku, że slang w jego ustach brzmiałby głupio. Ale u Chucka? U Chucka jakos to nie razilo.

-Wiec czym się zdradzam? - spytał Chucka, kiedy leżeli w ciemnościach. Pod drugiej stronie pokoju Trey i Bibby szli na całego w zawody o to, który z nich najgłośniej chrapie. Od poł godziny nie lalo już tak mocno za oknem, jakby deszcz odpoczywał, nabierał sił.

-W kartach? - odezwał się Chuck z dolnego łóżka. - Ach, nieważne.

-Powiedz, chce wiedzieć.

-Do tej pory uważałeś się za dobrego gracza, co? Przyznaj się.

-Myślałem, że jestem niezły. - Bo jesteś.

-Ale mnie pokonałeś.

-Wygrałem kilka dolców.

-Twój stary był hazardzista, tak?

-Mój stary był kutasem.

-O, przepraszam.

-Nie twoja wina. A twój?

-Mój stary?

-Nie, twój stryjek. No jasne, że stary.

Teddy starał się wyobrazić go sobie w mroku, ale jedyne, co przywołał z pamięci, to jego rece poznaczone bliznami.

-On był jak obcy - powiedział Teddy. - Dla całego świata. Nawet dla mojej matki.

Cholera, wpatpie, czy sam wiedział, kim naprawdę jest. On i jego łódź stanowili jedno.

Kiedy stracił łódź, snuł się bez celu.

Chuck nie odzywał się i Teddy pomyślał, że pewnie zasnął. Nagle ojciec stanął mu przed oczami jak zwykle; widział go wysiadującego w fotelu w te dni, kiedy nie wychodził do pracy, człowieka zupełnie przytłoczonego przez ściany, sufity, pokoje.

-Hej, szefie!

-Nie spisz jeszcze?

-Naprawdę jutro się stąd zwijamy?

-Tak. Dziwisz się?

-Nie mam ci tego za złe. Ale sam nie wiem...

-Czego?

-Nigdy przedtem nie dawałem za wygraną.

-Nie usłyszeliśmy dotąd ani słowa prawdy - odezwał się Teddy po chwili milczenia.

-Do niczego nie dojdziemy, nie mamy się na czym oprzeć i nie możemy skłonić tych ludzi do mówienia.

-Rozumiem. Rozumiem twoje powody - odparł Chuck. - Ale?

-Nigdy przedtem nie dawałem za wygraną, to wszystko.

-Rachel Solando nie wydostała się o własnych siłach bosą z pokoju zamkniętego na klucz. Ktoś musiał jej pomóc. Cała społeczność szpitala. A doświadczenie nauczyło mnie, że nic nie działasz, jeśli cała społeczność puszcza mimo uszu to, co masz do powiedzenia. We dwojke nic tu nie zwojujemy. A jaki jest wariant optymistyczny?

Groźba poskutkowała i Cawley w swoim pałacu łamie sobie teraz głowę nad nową strategią działania. A rano może...

-Wiec to był blef.

-Tego nie powiedziałem.

-Dopiero co graliśmy razem w karty, szefie.

Leżeli chwilę w milczeniu i Teddy wsłuchał się w szum oceanu.

-Zagryzasz wargę - powiedział Chuck; zasypiał już i język mu się trochę plątał.

-Co takiego?

-Kiedy masz dobre karty. Tylko przez sekunde, ale robisz to za każdym razem.

-Aha.

-Dobranoc, szefie.

-Dobranoc.

6

Widzi ją w korytarzu. Dolores. Podchodzi do niego, ma w oczach gniewne błyski, gdzieś w głębi mieszkania, pewnie w kuchni, Bing Crosby wypiewuje czule East Side of Heaven. "Jezu Chryste, Teddy. Jezu", mówi Dolores. W reku trzyma butelkę bourbona. Pusta butelkę.

I nagle dociera do niego, że odkryła jego kolejny schowek na gorzale.

-Czy ty w ogóle bywasz trzeźwy? Czy ty, kurwa, choć przez chwilę potrafisz być trzeźwy? Odpowiadaj.

Ale on nie może. Nie może wydobyć z siebie głosu. Nie wie nawet, gdzie podziało się jego ciało. Widzi Dolores, która idzie w jego stronę tym długim korytarzem, ale nie dostrzega swojej fizycznej postaci, nawet jej nie czuje. Za plecami Dolores, na końcu korytarza jest lustro, ale on się w nim nie odbija.

Dolores wchodzi do salonu, widac teraz, że jej ciało jest z tyłu zupełnie zwęglone, a w kilku miejscach jeszcze się tli. Już nie trzyma w reku pustej butelki, a z jej włosów wzbijają się pasemka dymu.

Dolores staje przy oknie.

-Ach, popatrz. Jak one ładnie wyglądają. Unoszą się na wodzie.

Teddy podchodzi do niej. Już nie jest popalona, ocieka teraz woda, a on patrzy, jak jego ręka obejmuje jej ramię, palce muskają obojczyk. Ona odwraca głowę i delikatnie całuje jego palce.

-Co ty zrobiłaś? - mówi, nie wiedząc właściwie, dlaczego pyta.

-Popatrz na nie, tam na wodzie.

-Skarbie, dlaczego jesteś cała mokra? - mówi, ale nie jest wcale zdziwiony, kiedy ona nie odpowiada.

Widok za oknem jest inny, niż się spodziewał. Nie jest to znajomy widok z ich mieszkania przy Buttonwood, ale z domku na wsi, w którym kiedyś się zatrzymali na parę dni. Za oknem widac małe jezioro; na jego powierzchni unoszą się klody. Teddy podziwia wdziek, z jakim się przesuwają, niemal niezauważalnie, a woda drga i mieni się w świetle księżyca.

-Urocza ta altanka - mówi Dolores. - Bielutka. Niedawno odmalowana. Jeszcze czuć farbę.

-Jest ładna.

-A więc - mówi Dolores.

-Zabiłem wielu ludzi na wojnie.

-Dlatego pijesz.

-Może.

-Ona tu jest.

-Rachel? Dolores kiwa głową.

-Wcale nie uciekła. Prawie odgadłeś. Byłeś blisko.

-Zasada Czterech.

-To szyfr.

-Jasne, ale czemu służy?

-Ona tu jest. Nie możesz wyjechać.

Obejmuje ją ramionami od tyłu, wtula twarz w jej kark.

-Nigdzie nie wyjeżdżam. Kocham cię. Tak bardzo cię kocham.

Z jej brzucha cieknie woda, przesiąka mu przez palce.

-Jestem prochem, Teddy. - Nie.

-Jestem, a ty musisz się przebudzić. - Jesteś tutaj.

-Nie. Musisz to przyjąć do wiadomości. Ona tu jest. Ty tutaj jesteś. On też. Policz łozka. On tu jest.

-Kto?

-Laeddis.

Na dźwięk tego nazwiska przechodzą go ciarki aż do kości. - Nie.

-Tak. - Odchyła głowę do tyłu i patrzy na niego. - Wiedziałes o tym.

-Nie wiedziałem.

-Wiedziałes. Nie możesz wyjechać.

-Ciagle jesteś taka spięta - mówi, po czym masuje jej ramiona, a ona, zaskoczona, wydaje z siebie cichy jęk, który wywołuje u Teddy'ego erekcję.

-Juz nie jestem spięta - odpowiada ona. - Wrocilam do domu.

-To nie jest dom - mówi Teddy.

-Owszem, to mój dom. Ona tu jest. On też tu jest.

-Laeddis.

-Laeddis - powtarza ona i dodaje: - Musze isc.

-Nie, nie, zostan ze mna - szlocha Teddy.

-O, Boze. - Dolores opiera sie o niego całym ciałem. - Pozwol mi odejsc. Pozwol mi odejsc.

-Nie odchodz, prosze cie. - Jego lzy spływają po niej i mieszają się ze strumieniem lejącym się z jej brzucha. - Musze jeszcze potrzymac cie w ramionach. Jeszcze troche.

Proszę.

Z gardła Dolores wrywa się ulotny odgłos - na poly westchnienie, na poly skowyt, pełen wewnętrznego rozdarcia, a przy tym piękny w swoim udreczeniu.

-Zgoda. Obejmij mnie mocno. Jak najmocniej.

A on obejmuje swoją żonę. I nie puszcza.

O piątej rano, gdy na świat wciąż padały obfite strugi deszczu, Teddy zszedł z łóżka i wyjął z kieszeni płaszcz notes. Usiadł przy stole, przy którym grali w pokera, i poszukał strony, na której zapisał Zasady Czterech.

Trey i Bibby nadal chrapali w najlepsze, robiąc tyle hałasu co deszcz za oknem.

Chuck spał cichutko na brzuchu, z piescią przycisniętą do ucha, jak gdyby szeptała mu jakieś sekrety.

Teddy spojrzal na kartkę. To było proste, jeśli się wiedziało, jak do tego podejść.

Szyfr był w sumie dziecinnie prosty, ale złamanie go i tak zajęło mu godzinę.

O szostej podniósł wzrok znad notesu i ujrzał wpatrzonego w niego Chucka, który leżał na łóżku z podparta brodą.

-Wyjeżdżamy, szefie? Teddy potrząsnął głową.

-W taka gówniana pogodzie nikt się stąd nie ruszy - odparł Trey, gramoląc się z łóżka, podciągając roletę i odsłaniając tonący w deszczu krajobraz perłowej barwy. - Nie da rady.

Sen nagle zaczął mu się wymykać; podniesiona roleta, suchy kaszel Bibby'ego, Trey, który przeciągał się z długim, głośnym ziewnięciem, wszystko to nie pozwalało mu dłużej zachować w pamięci jej zapachu.

Teddy zastanawiał się, zresztą nie po raz pierwszy, czy tego dnia okaże się, że brzemie tęsknoty za nią w końcu stanie się nie do zniesienia. Gdyby mógł cofnąć się w czasie do dnia, kiedy wybuchł pożar, i za jej ciało oddać własne, nie wahałby się. To był pewnik. W miarę upływu czasu tęsknił za nią coraz mocniej, a pragnienie bycia z Dolores stało się raną w duszy, która nie chciała się zbliznić, sączący się z niej strumień nie dawał się zatamować.

Trzymałem ją w ramionach, chciałem obwieścić Chuckowi, Treyowi i Bibby'emu.

Trzymałem ją w ramionach, a w radiu Bing Crosby śpiewał czułą piosenkę; chłonałem jej zapach, zapach naszego mieszkania przy Buttonwood i jeziora, nad którym spędziliśmy tamto lato, a ona muskała ustami moje palce.

Trzymałem ją w ramionach. Tęgo ten świat dać mi nie może. Ten świat na każdym kroku uswiadamia tylko człowiekowi jego ubóstwo, przypomina mu, czego nie ma, czego nigdy nie posiadał i co utracił, nie zdążywszy się tym nacieszyć.

Mieliliśmy razem doczekać starości, Dolores. Zostać rodzicami. Spacerować wśród starych drzew. Chciałem patrzeć, jak czas złobi bruzdy na twojej twarzy, śledzić pojawienie się każdej zmarszczki.

Nie było nam to pisane.

Trzymałem ją w ramionach, chciałem powiedzieć, i gdybym miał pewność, że wystarczy tylko umrzeć, żeby znów wziąć ją w ramiona, bez wahania przystawiłbym sobie lufę do skroni i pociągnął za spust.

Chuck spoglądał na niego wyczekująco.

-Złamałem szyfr Rachel - oznajmił Teddy.

-I to wszystko? - zapytał Chuck.

Dzień drugi Laeddis

7

Spotkali Cawleya w holu oddziału B. Był cały przemoczony i wyglądał tak, jakby spędził noc na ławce na przystanku autobusowym. -Sztuka polega na tym, doktorze - powiedział Chuck - żeby zasnąć, kiedy leży się w łóżku.

Cawley otarł twarz chusteczka.

-Wiec na tym polega sztuka, szeryfie? Wiedzialem, ze cos mi umyka. Zasnac, powiada pan. Slusznie.

Poszli do gory pozolklymi schodami, skineli glowa poslugaczowi czuwajacemu na swoim stanowisku.

-A jak sie dzis miewa doktor Naehring? - spytal Teddy. Cawley uniosl i opuscil brwi gestem wyrazajacym znuzenie.

-Przepraszam za jego wczorajsze zachowanie. Jeremiah to geniusz w swej dziedzinie, ale przydaloby mu sie troche oglady. Nosi sie z zamiarem napisania ksiazki na temat kulturowej dominacji mezczyzn-wojownikow w dziejach ludzkosci. Ma na tym punkcie obsesje, ciagle porusza ten temat w rozmowach, probuje naginac ludzi do przyjetych z gory zalozen. Raz jeszcze prosze o wybaczenie.

-Czesto to robicie?

-Co takiego, szeryfie?

-Zbieracie sie i przy kieliszku, jak by to powiedziec, sondujecie ludzi?

-To skrzywienie zawodowe, jak mysle. Ilu psychiatrow trzeba, zeby wkrecic zarowke?

-Nie wiem. Ilu?

-Osmiu.

-Dlaczego?

-Och, niech pan przestanie tak wszystko analizowac.

Teddy napotkal spojrzeenie Chucka i obaj sie rozesmieli.

-Psychiatrzy opowiadaja o sobie dowcipy - zdziwil sie Chuck. - Kto by przypuszczal?

-Wiecie, panowie, co przypomina dziedzina zdrowia psychicznego w obecnych czasach?

-Nie mamy zielonego pojecia - odparl Teddy.

-Pole bitwy - rzekl Cawley i ziewnal, zaslaniajac usta przemoczona chusteczka. - Toczy sie na nim wojna, ideologiczna, filozoficzna, a nawet psychologiczna.

-Przeciez jestescie lekarzami - zauwazyl Chuck. - Powinniscie sie grzecznie bawic, dzielic zabawkami.

Cawley sie usmiechnal. Mineli poslugacza dyzurujacego na pierwszym pietrze.

Gdzies na dole rozlegl sie krzyk pacjenta, niosac sie echem po schodach. Byl to zalosny skowyt i Teddy odebral cala zawarta w nim rozpacz, pewnosc, ze tesknota, ktora tak dojmujaco wyrazal, nigdy nie zostanie zaspokojona.

-Stara szkola - powiedzial Cawley - wierzy w skuteczznosc terapii wstrzasowej, czesciowej lobotomii, kapieli solankowych w przypadku najbardziej potulnych pacjentow. Nazywamy to psychochirurgia. Z kolei nowa szkola zdecydowanie opowiada sie za psychofarmakologia. Podobno do niej nalezy przyszlosc. Byc moze. Zreszta nie wiem.

Zatrzymal sie z reka na poroczy w polowie drogi miedzy pierwszym i drugim pietrem. Teddy wyczuwal jego wyczerpanie niczym zywa, zlamana istote, namacalna czwarta postac stojaca obok nich na schodach.

-Jakie ma zastosowanie psychofarmakologia?- spytal Chuck.

-Ostatnio zostal zatwierdzony nowy lek, zwiazek litu - odrzekl Cawley. - Na pacjentow psychotycznych dziala odprezajaco, hamujaco, jak powiedzieliby niektorzy.

Kajdany wktrotce stana sie przezytkiem, lancuchy, nawet kraty, tak przynajmniej twierdza optymisty. Oczywiscie wyznawcy starej szkoly dowodza, ze nic nie zastapi psychochirurgii, ale moim zdaniem nowa szkola jest silniejsza i ma po swojej stronie pieniadze.

-Czyje pieniadze?

-Firm farmaceutycznych, ma sie rozumiec. Wykupujcie akcje, panowie, poki czas, a na starosc bedziecie wygrzewac kosci na wlasnej wyspie tropikalnej. Nowe szkoly, stare szkoly. Moj Boze, czasami mnie ponosi.

-A do ktorej szkoly pan sie zalicza? - spytal Teddy.

-Choc zabrzmi to malo wiarygodnie, jestem zwolennikiem terapii slownej, umiejetnego oddzialywania na poziomie interpersonalnym. Wyznaje taki radykalny poglad, ze jesli traktuje sie pacjenta z szacunkiem, slucha sie, co probuje przekazac, to mozna nawiazac z nim kontakt.

I znow skowyt. Teddy byl pewny, ze wydarl sie z gardla tej samej kobiety. Odglos wsunal sie miedzy nich, zdawal sie przyciagac uwage Cawleya.

-Nawet z takim pacjentem?

Cawley usmiechnal sie.

-No coz, wielu pacjentom trzeba podawac leki, a niektorzych zakuwac w kajdany.

Nie bede zaprzeczal. Ale poruszamy sie po grzaskim gruncie. A kiedy wpusci sie trucizne do studni, jak potem oddzielic ja od wody?

-Nie da sie - przyznal Teddy.

Cawley skinal glowa.

-No własnie. Cos, co powinno byc srodkiem nadzwyczajnym, staje sie standardowym postepowaniem. Wiem, wiem, moje metafory nie sa zbyt spojne.

A wracajac do snu - zwrocil sie do Chucka - nastepnym razem postaram sie zasnac.

-Mowia, ze sen czyni cuda - odparl Chuck.

Wyszli wreszcie na ostatnie pietro. Kiedy znalezi sie w pokoju Rachel, Cawley usiadl ciezko na krawedzi lozka, a Chuck oparl sie o drzwi.

-Hej! Ilu surrealistow trzeba, zeby wkrecic zarowke? - spytal Chuck.

Cawley popatrzyll na niego.

-Zaraz bede gryzl. Ilu?

-Ryba - odparl Chuck i zarechotal glosno.

-Pewnego dnia pan dorosnie, szeryfie - rzekl Cawley. - Mam racje?

-Czasami nachodza mnie watpliwosci.

Teddy stuknal w kartke papieru, ktora trzymal przed soba.

-Przyjrzyjcie sie jeszcze raz.

Zasada Czterech Ja Jestem 47 Oni To 80 + Wy Jestescie 3 My Jesteśmy 4 Ale Kim Jest 67?

-Jestem na to zbyt zmeczony, szeryfie - rzekl po minucie Cawley. - W tej chwili nie dostrzegam w tym zadnego sensu. Przepraszam.

Teddy spojrzal na Chucka. Chuck potrzasnal glowa.

-To znak dodawania dal mi do myslenia - oznajmil Teddy. - Kazal jeszcze raz sie nad tym zastanowic. Popatrzcie na te linijke pod "Oni to 80". Nalezy dodac do siebie te dwa rzedy. I co wychodzi?

-Sto dwadziescia siedem.

-Jeden, dwa, siedem - powiedzial Teddy. - Dobrze. Teraz trzeba dodac trzy. Ale trzy jest oddzielone. Rachel chciala, zebysmy potraktowali te cyfry jak odrebne czlony.

Mamy wiec jeden plus dwa plus siedem plus trzy. Czyli razem?

-Trzynascie - rzekl Cawley i wyprostowal plecy.

Teddy skinal glowa.

-Czy ta liczba ma jakies szczegolne znaczenie dla Rachel Soiando? Urodzila sie trzynastego? Wyszla za maz tego dnia? Zamordowala swoje dzieci trzynastego?

-Musialbym sprawdzic - odparl Cawley. - Ale tak czy inaczej, trzynascie to dla schizofrenikow szczegolny numer.

-Dlaczego?

Cawley wzruszyl ramionami.

-Pod tym wzgledem schizofrenicy nie roznia sie od wiekszosci ludzi. Trzynascie to feralna liczba, przynosi pecha. Schizofrenicy przewaznie zyja w nieustannym strachu.

Jest to wspolny wyznacznik wszystkich odmian tej choroby. Totez schizofrenicy na ogol sa bardzo przesadni. A liczba trzynascie sie z tym wiazze.

-To by tlumaczylo, skad ta trzynastka - powiedzial Teddy. - Ale popatrzcie na nastepna liczbe. Cztery. Jeden plus trzy daje cztery. A jeden i trzy oddzielnie?

-Trzynascie - odezwal sie Chuck, ktory podszedl do Teddy'ego i patrzac na kartke, przekrzywil glowe.

-A wezmy ostatnia liczbe, szescdziesiat siedem - rzekl Cawley. - Szesc plus siedem rowna sie trzynascie.

Teddy skinal z aprobata.

-Tu nie dziala zasada czterech, tylko zasada trzynastu. W imieniu i nazwisku Rachel Solando jest laczenie trzynascie liter.

Widac bylo po Cawleyu i po Chucku, ze przeliczaja litery w myslach.

-Prosze mowic dalej - powiedzial Cawley.

-Kiedy przyjmie sie te przeslanke, kod Rachel staje sie czytelny. Oparty jest na najprostszej zasadzie przyporzadkowania literom alfabetu kolejnych liczb. Jeden odpowiada literze A, dwa B, i tak dalej. Rozumiecie?

Cawley skinal glowa, a Chuck kilka sekund po nim.

-Pierwsza litera jej imienia to R. Odpowiada jej liczba osiemnascie. A to jeden, C to trzy, H to osiem, E to piec, a L to dwanascie. Osiemnascie, jeden, trzy, osiem, piec i dwanascie. Co otrzymamy po dodaniu, panowie?

-Jezu - wyszeptal Cawley.

-Czterdziesiat siedem - rzekl Chuck, ktory wpatrywal sie rozszerzonymi oczami w trzymana przez Teddy'ego kartke.

-Dlatego mamy tu "Ja jestem 47" - powiedział Cawley. - To jej imię. Teraz to widzę. Ale co to za "oni"?

-Jej nazwisko - wyjaśnił Teddy. - Pochodzi od nich.

-Od kogo?

-Rodziny meza i ich przodków. Nie jest jej rodzowym nazwiskiem. Albo odnosi się do dzieci. Tak czy inaczej, na jedno wychodzi. To jej nazwisko, Solando. Dodajcie wszystkie liczby przyporządkowane poszczególnym literom i wierzcie mi, otrzymacie osiemdziesiąt.

Cawley wstał z łóżka i teraz obaj z Chuckiem stali przed Teddym i studiowali z bliska zaszyfrowaną wiadomość Rachel. Po chwili Chuck podniósł wzrok, spojrzał w oczy Teddy'emu.

-O cholera! Co ty, drugi Einstein jesteś?

-Zajmował się pan w wojsku łamaniem szyfrów, szeryfie? - spytał Cawley, ze wzrokiem utkwionym w kartce.

-Nie.

-Jakim więc cudem...? - odezwał się Chuck.

Teddy'emu ścierny rece od trzymania kartki i położył ją na łóżku.

-Nie wiem. Moje hobby to rozwiązywanie krzyżówek. Uwielbiam różnego rodzaju łamigłówek - odparł i wzruszył ramionami.

-Ale w czasie wojny służył pan w wywiadzie, tak? - dociekał Cawley.

Teddy potrząsnął głową.

-Walczyłem na froncie. Za to pan pracował dla Biura Służb Strategicznych.

-Nie, byłem tylko konsultantem - powiedział Cawley.

-W jakich sprawach?

Na twarzy doktora pojawił się charakterystyczny, niemal niedostrzegalny uśmiech, który zaraz znikł.

-Poufnych - odparł.

-Ale ten kod jest całkiem prosty - podsumował Teddy.

-Prosty? - zdziwił się Chuck. - Od twoich wyjaśnień rozboleła mnie głowa.

-A dla pana, doktorze? - upierał się Teddy.

Cawley wzruszył ramionami.

-Co mam panu odpowiedzieć, szeryfie? Nie lamalem tam szyfrow.

Cawley pochylil głowe i gladzac sie po brodzie, wpatrywাল sie w zaszyfrowana wiadomosc. Teddy napotkal pelne watpliwosci spojrzene Chucka.

-Zatem domyslilismy sie, to znaczy, pan sie domyslil, szeryfie, co znacza liczby czterdziesti siedem i osiemdziesiat - powiedzial Cawley. - Ustalilismy, ze wszystkie wskazowki oparte sa na zasadzie trzynastki. Ale jak rozumiec "trzy"?

-Jak mowilem - odparl Teddy - albo to odnosi sie do nas i wtedy Rachel okazalaby sie jasnovidzem...

-Malo prawdopodobne.

-Albo odnosi sie do jej dzieci.

-To jestem gotow przyjac.

-Dodajmy Rachel do trzech...

-I otrzymamy nastepna linijke - powiedzial Cawley. - "My jestesmy czwórka".

-Ale kim jest szescdziesiat siedem? Cawley popatrzył na niego.

-To pytanie retoryczne? Teddy potrzasal głowa.

Cawley powiodl palcem po zapisanej kartce. - Zadne z tych liczb po dodaniu nie daja w wyniku szescdziesieciu siedmiu? - Zadne.

Cawley potarl dlonia wlosy i wyprostowal sie. - I nic sie panu nie nasuwa na mysl?

-Tego jednego nie moge rozgryzc - przyznal Teddy. - Nie wiem, do czego sie to odnosi, ale na pewno nie jest to nic, co byloby mi znajome, dlatego musi miec zwiazek z wyspa. A panu, doktorze?

-Prosze?

-Nasuwa sie cos panu?

-Niestety, nic. Sam padlbym na pierwszej linijce.

-Owszem, wspominal pan, ze jest zmeczony i tak dalej.

-Bardzo zmeczony, szeryfie - podkreslil, patrzac Teddy'emu w oczy, po czym podszedl do okna i ogladal splywajacy po szybach deszcz; warstwy wody byly tak grube, ze odgradzaly swiat za oknem niczym mur. - Wczoraj wieczorem oswiadczył pan, ze nas opuszcza.

-Najblizszym promem - odparl Teddy, ani myslac przyznac, ze to byl blef.

-Dzisiaj zaden nie wyplynie. Jestem tego pewny.

-Poczekamy do jutra. Albo do pojutrze - powiedzial Teddy. - Nadal pan uwaza, ze ona chowa sie gdzie tam na tym odludziu? Przy takiej pogodzie?

-Wcale tak nie uwazam.

-W takim razie gdzie sie podziewa?

-Nie wiem. - Cawley westchnal. - Tropienie ludzi to nie moja specjalnosc.

Teddy wzial do reki lezaca na lozku kartke.

-To jest szablon. Klucz do rozszyfrowania nastepnych wiadomosci. Moge sie zalozyc o moja miesieczna pensje.

-A jesli nawet, to co?

-Ona wcale nie zamierza uciec, doktorze. Sprowadzila nas tutaj. Sadze, ze zostawila nam wiecej takich podpowiedzi.

-Ale nie w tym pokoju - odparl Cawley.

-W tym pokoju nie. Ale moze na terenie szpitala. Albo gdzie na tym pustkowiu.

Cawley wciagnal glosno powietrze przez nos, opierajac sie reka o szybe; ledwo trzymal sie na nogach, a Teddy byl ciekaw, z jakiego powodu tak naprawde doktor nie zmruzyl oka zeszlej nocy.

-Sprowadzila was tutaj? - powiedzial Cawley. - Ale po co?

-Pan mi to powie.

Cawley przymknal oczy i dlugo sie nie odzywal, az Teddy zaczal podejrzewac, ze zasnal na stojaco. Doktor otworzyl oczy i popatrzyll na nich.

-Czeka mnie ciezki dzien, narady z personelem medycznym, zebranie z rada nadzorcza w sprawie budzetu, nadzwyczajna odprawa sluzby ratowniczej na wypadek, gdyby ten sztorm wyrzadzil nam powazne szkody. Z pewnoscia ucieszy was wiadomosc, ze bedziecie mogli spotkac sie osobiscie i porozmawiac ze wszystkimi pacjentami, ktorzy brali udzial w terapii grupowej wraz z Rachel Solando tego wieczoru, kiedy zniknela.

Zgodnie z planem spotkanie to ma sie rozpoczac za pietnascie minut. Panowie, jestescie tu mile widziani. Naprawde. Ja ze swej strony staje na glowie, zeby wam pomoc, choc wy moze postrzegacie to inaczej.

-Wiec niech pan da nam do wgladu akta Sheehana.

-Tego uczynić nie mogę. W żadnym wypadku. - Cawley oparł głowę o ścianę. - Szeryfie, telefonista próbuje się do niego dodzwonić. Ale wygląda na to, że straciliśmy łączność ze światem. Z tego, co wiem, zalane jest całe wschodnie wybrzeże.

Cierpliwości, panowie. O nic więcej nie proszę. Znajdziemy Rachel albo przynajmniej dowiemy się, co się z nią stało. - Spojrzał na zegarek. - Już jestem spóźniony. Mamy jeszcze do omówienia coś pilnego, czy możemy to odłożyć na później?

Stali pod daszkiem przed wejściem do szpitala, pole widzenia przesłaniały im ściany deszczu wielkości wagonów kolejowych.

-Myślisz, że on wie, co oznacza szesćdziesiąt siedem? - spytał Chuck.

-Mhm.

-I wcześniej od ciebie złamał ten szyfr?

-Pracował dla OSS. Na pewno trochę się zna na kryptografii.

Chuck otarł twarz ręką, otrząsnął ją na chodnik.

-Ilu mają tu pacjentów?

-Niewiele.

-Właśnie. Pewnie że dwadzieścia kobiet i trzydziestu facetów, co?

-Coś koło tego - zgodził się Teddy.

-Tak czy siak, brakuje do szesćdziesięciu siedmiu.

Teddy odwrócił się do niego.

-Co ty...?

-Ja tylko tak - powiedział Chuck.

Spojrzeni w dal na linie drzew, na wierzchołek fortu za drzewami, przytłoczony przez nawałnice, zamazany i niewyraźny niczym szkic węglem w zadymionym pokoju.

Teddy przypomniał sobie słowa Dolores ze snu: "Policz łozka".

-Ilu jest tu pacjentów twoim zdaniem?

-Nie wiem - odparł Chuck. - Musimy zapytać naszego usłużnego doktora.

-O tak, Calwey aż się pali do pomocy.

-Szefie?

-Mow.

-Natknales sie kiedyś na takie marnotrawstwo w zagospodarowaniu państwowej przestrzeni?

-Co masz na myśli?

-Piecdziesięciu pacjentów na dwóch oddziałach? Jak myślisz, ilu mogłyby pomieścić te budynki? Jeszcze ze dwustu?

-Co najmniej.

-A liczba zatrudnionych w stosunku do pacjentów? Wychodzi dwa do jednego na korzyść personelu. Spotkałeś się wcześniej z czymś takim?

-Muszę powiedzieć, że nie.

Spojrżeli na rozciągające się wokół tereny szpitala chłostane deszczem.

-Co to za miejsce, do kurwy niedzy? - rzekł Chuck.

Spotkanie z pacjentami miało się odbyć w stolowce. Chuck i Teddy usiedli przy stoliku w głębi sali. Dwóch posługaczy czuwało w pobliżu, a Trey Washington miał za zadanie przyprowadzać pacjentów i zabierać ich z powrotem po skończonej rozmowie.

Pierwszy był zarosniętym nieborakiem wstrząsanym tikami i bez przerwy mrugającym oczami. Siedział z podciągniętymi pod brode kolanami, przypominając z wyglądu wielkiego skrzyplocza. Drapał się po rękach i strzelał na boki oczami.

Teddy spojrzał na pierwszą stronę przygotowanej przez Cawleya teczki, zawierającej notatki sporządzone przez niego odroczenie z pamięci, a nie właściwe karty pacjentów.

Umieszczony na samej gorze listy pacjent nazywał się Ken Gage i trafił do tego zakładu, ponieważ zaatakował nieznajomego w sklepie spożywczym, waląc ofiarę w głowę puszką z fasolą, powtarzając przy tym sciszonym głosem: "Przestaj czytać moje listy".

-No, Ken, jak samopoczucie? - spytał Chuck.

-Zimno mi. Zimno mi w stopy.

-To przykre.

-Chodzenie sprawia mi ból. - Ken obrysowywał paznokciem strupa na ramieniu, z początku delikatnie, jakby wytyczał wokół niego fosę.

-Brales udział w terapii grupowej przedwczoraj wieczorem?

-Zimno mi w stopy i chodzenie sprawia mi ból.

-Może chcesz skarpetki? - zaproponował na próbę Teddy. Zauważył, że posługacze przyglądają im się z kpiacymi uśmiechami.

-Tak, chce skarpetki, chce skarpetki, chce skarpetki.

Ken mowil to szeptem, z glowa opuszczona i lekko drgajaca.

-Dobrze, zaraz je dostaniesz. Chcemy tylko wiedziec, czy brales...

-Tak mi zimno. W stopy? Jest mi zimno i chodzenie sprawia mi bol.

Teddy spojrzal na Chucka, ktory usmiechnal sie do poslugaczy, slyszac dolatujacy z ich strony chichot.

-Ken - powiedzial Chuck. - Ken, popatrz na mnie.

Ken siedzial ze spuszczona glowa, drgajaca teraz nieco mocniej. Oderwal paznokciem strup i struzka krwi zlepila mu wlosy na przedramieniu.

-Ken?

-Nie moge chodzic. Ja tak nie chce, ja tak nie chce. Jest mi zimno, zimno, zimno.

-No dalej, Ken, popatrz na mnie.

Ken polozyl rece na stole.

Poslugacze wstali z miejsc, a Ken powiedzial:

-Nie powinno bolec. Nie powinno. Ale to przez nich. Oni oziebiaja powietrze.

Oziebiaja mi kolana.

Poslugacze podeszli do stolu, staneli za plecami Kena i popatrzyli na Chucka.

-Skonczylicie, panowie, czy jeszcze chcecie posluchac o jego stopach? - spytal jeden z nich, bialy.

-Zimno mi w stopy.

Drugi poslugacz, czarnoskory, uniosl brwi.

-W porzadku, Kenny. Zabierzemy cie na hydroterapię, tam cie rozgrzeja.

-Pracuje tu piec lat - oswiadczył bialy. - Ciagle ta sama spiewka. Nic sie nie zmienia.

-Nigdy? - spytal Teddy.

-Nigdy - odparl poslugacz.

-Chodzenie sprawia mi ból, bo oni oziebiają mi stopy... Następny, Peter Breene, był dwudziestosecioletnim pulchnym blondynem. Miał poobijane kłykcie i obgryzione paznokcie.

-Dlaczego tutaj trafiles, Peter?

Pacjent spojrział na nich oczami, które wydawały się bez przerwy zalzawione.

-Ciagle się boje.

-Czego?

-Roznych rzeczy.

-Mow dalej.

Peter założył lewą stopę na prawe kolano, chwycił się za kostkę i pochylił do przodu.

-Wiem, że to brzmi głupio, ale napędza mi stracha tykanie zegarów. Wdziera mi się do mózgu. Przerazają mnie szczury.

-Mnie też - powiedział Chuck.

-Naprawdę? - Peter ożywił się nagle.

-Jak cholera. Piszczące sukinsyny. Na sam widok szczura dostaje gęsiej skórki.

-To lepiej nie wychodź w nocy za ogrodzenie - ostrzegł Peter. - Na wyspie się od nich roi.

-Dobrze wiedzieć. Dzięki.

-Jeszcze ołówki. Ten ołów skrobiący o papier. I boje się ciebie.

-Mnie?

-Nie - odparł Peter, wskazując brodę Teddy'ego. - Jego.

-Dlaczego? - spytał Teddy.

Peter wzruszył ramionami.

-Kawał chłopca z ciebie. I te krótko ostrzyżone włosy. Wyglądasz groźnie. Masz poharatane kłykcie. Przypominasz mi ojca. On miał wypielegnowane ręce. Ale wyglądał groźnie. Moi bracia też. Dostawałem od nich w skórę.

-Ja ci nic złego nie zrobię - powiedział Teddy.

-Ale mogłbyś. Rozumiesz, o co mi chodzi? Masz taką siłę. A ja nie. Dlatego łatwo mnie zranic. A ponieważ łatwo mnie zranic, boję się.

-A jak sie boisz, to co wtedy? Sciskajac kostke, Peter kolysal sie do przodu i do tyłu, a włosy opadly mu na czolo.

-Byla calkiem mila. Nie mialem zlych zamiarow. Ale napedzala mi stracha swoimi wielkimi cystickami, jak falowaly jej pod fartuchem. Codziennie do nas przychodzila.

Patrzyla na mnie tak... Wiecie, jak dorosly usmiecha sie do dziecka? Ona wlasnie tak sie do mnie usmiechala. A byla w moim wieku. No dobrze, moze kilka lat starsza, ale i tak jeszcze przed trzydziestka. I taka doswiadczona w sprawach seksu. Widac to bylo w jej oczach. Lubila paradowac nago. Obciagala facetom. A mnie prosi o szklanke wody. Jest ze mna w kuchni sam na sam i zachowuje sie jak gdyby nigdy nic.

Teddy przesunal teczke tak, aby Chuck mogl odczytac zapiski Cawleya:

Pacjent zaatakowal odlamkiem szkła pielęgniarkę ojca. Ofiara została ciężko ranna, oszpecona na całe życie. Pacjent uchyla się od odpowiedzialności za czyn.

-Tylko dlatego, że mnie wystraszyła - mówił Peter. - Chciała, żebym wyciągnął swój interes, a potem miała zamiar mnie wysmiać. Wmawiać mi, że nigdy nie przepię się z kobietą, nie będę mógł mieć dzieci, nie zostanie mężczyzną. Bo inaczej, przecież wiecie, mam to wypisane na twarzy - nie skrzywdziłbym muchy. Nie jestem do tego zdolny. Za to kiedy ogarnia mnie lek... Och, ten umysł.

-Co z umysłem? - spytał kojącym głosem Chuck.

-Myśli pan czasem o nim?

-O twoim umyśle?

-Umysle w ogole - odparł Peter. - Moim, swoim, każdego. To taki silnik. Własnie.

Bardzo delikatny, skomplikowany mechanizm. Składa się z tylu różnych części, tych wszystkich przekładni, srub, zawiasów. A my nawet nie wiemy, do czego połowa z nich służy. Wystarczy, że pusi jedną przekładnię, tylko jedną... Zastanawiał się pan nad tym?

-Ostatnio nie.

-A warto. Umysł działa jak samochód. Nie ma różnicy. Jedna przekładnia pusi, jedna srubka peknie, a cały układ diabli biora. Czy można żyć z taką wiedzą? - Peter stuknął się w skronie. - Ze wszystko to tkwi uwieszone tam w środku i nie można się tam dostać? Ze tak naprawdę nie mamy nad tym żadnej władzy? Ale to z kolei ma władzę nad nami. A jeśli pewnego dnia się zbuntuje, odmówi przyjścia do pracy? - Pochylił się do przodu, widac było napięcie ścięgna na jego szyi. - Wtedy mamy po prostu przerabane, nie?

-Ciekawy punkt widzenia - rzekł Chuck. Peter odchylił się do tyłu, nagle odretwiąły.

-To przeraza mnie najbardziej.

Z powodu dokuczliwych migren Teddy doświadczył na sobie poczucia braku władzy nad własnym umysłem i skłonny byłby przyznać Peterowi rację w ogólnym sensie, ale przede wszystkim miał ochotę złapać gnojka za gardło, cisnąć nim o kuchenkę stojącą w stolowce pod ścianą i zapytać o tę biedną pielęgniarkę, która tak pochłastała.

Pamiętasz chociaż, jak miała na imię, Peter? Co w niej wzbudzało strach, jak myślisz? Co? Ty. Tak jest. Starła się uczciwie pracować, zarobić na życie. Może miała dzieci, meza. Może oboje próbowali odłożyć trochę grosza, żeby posłać dziecko na studia, zapewnić mu lepszy start. Takie skromne marzenie.

Ale nie, popieprzony synalek bogatego kutasa przekreśla to wszystko: nie, przykro mi, ale twoje marzenie nie może się spełnić. Nie dla ciebie normalne życie, mój panie.

Już nie.

Teddy mierzył wzrokiem Petera Breene'a i miał ochotę rabnąć go w gebę tak mocno, żeby lekarze nie mogli poskładać mu z powrotem kości nosa. Walnąć go tak, żeby odgłos uderzenia przesładował go przez całe życie.

Ale tylko zamknął teczkę i powiedział:

-Brales udział w terapii grupowej przedwczoraj wieczorem razem z Rachel Solando.

Zgadza się?

-Tak. Jasne, że brałem, proszę pana.

-Widziałes, jak odchodziła do swojego pokoju?

-Nie. Pacjentki zawsze wyprowadzane są po nas. Ona została w sali z Bridget Kearns, Leonora Grant i ta pielęgniarka.

-Ta pielęgniarka?

Peter skinął głową.

-Ruda. Czasami nawet ja lubię. Wydaje się szczerą. Ale kiedy indziej znowu, no wie pan?

-Nie wiem - odparł Teddy łagodnym tonem, idąc za przykładem Chucka.

-Przecież pan ją widział, nie?

-Jasne. Więc jak się nazywa?

-Takie jak ona nie potrzebują imion ani nazwisk - powiedział Peter. - Nie ma dla niej imienia. Swintucha. Tak się nazywa.

-Przecież mówiłeś, że ja lubisz, Peter - wtracił Chuck.

-Kiedy tak mówiłem?

-Minute temu.

-To zdzira. Puszczalska.

-Chce cie jeszcze o cos zapytac.

-Bara-bara-bara.

-Peter?

Peter spojrzal na Teddy'ego.

-Moge cie o cos zapytac?

-Pewnie.

-Czy podczas tamtych zajec wydarzylo sie cos niezwyklego? Czy Rachel Solando powiedziala albo zrobila cos, co odbiegalo od jej normalnego zachowania?

-Nie pisnela slowa. Siedziala cicho jak myszka. Zamordowala swoje dzieciaki. Cala trojke. To sie nie miesci w glowie. Kto jest zdolny do czegos takiego? Tylko chorzy zwyrodnialcy, panowie, jesli wolno mi sie tak wyrazic.

-Ludzie maja problemy - odezwal sie Chuck. - Czasami dosc powazne. Sa chorzy, jak sam powiedziales. Trzeba im pomoc.

-Trzeba ich wytrac - odparl Peter.

-Slucham?

-Poslac do gazu - oznajmil Peter Teddy'emu. - Do gazu niedorozwojow. Do gazu mordercow. Zabila dzieciaki? Do gazu poslac suke.

Zapadlo milczenie. Peter promienial, jakby obwiescil im natchniona prawde. Po chwili puknal w stol i wstal.

-Milo bylo panow poznac. Na mnie juz czas.

Teddy zaczal bazgrac olowkiem po okladce teczki i Peter zatrzymal sie i odwrocil do niego.

-Peter - powiedzial Teddy.

-Co? - Jeszcze...

-Moglby pan przestac?

Teddy ryl swoje inicjaly dlugimi, powolnymi pociagnieciami olowka po tekturowej okladce.

-Ciekaw jestem, czy...

-Niech pan przestanie, prosze, prosze...

Teddy podniósł wzrok, nie przerywając swego dzieła.

-Co takiego? - ...skrobac ołówkiem.

-O to ci chodzi? - Patrzac to na niego, to na teczke, uniosł ołówek, marszcząc pytająco brew.

-Tak. O to. Proszę.

Teddy wypuścił ołówek z ręki. - Teraz lepiej?

-Dziękuję panu.

-Znasz może, Peter, pacjenta, który nazywa się Andrew Laeddis?

-Nie.

-Nie? Nie ma tu nikogo o takim nazwisku?

Peter wzruszył ramionami.

-Na pewno nie na oddziale B. Może przebywa na C. My się z nimi nie zadajemy. To pieprzone swiry.

-Coz, dziękuję ci, Peter - powiedział Teddy, wziął ołówek i zaczął kreslic esyfloresy.

Po Peterze Breenie przysła kolej na Leonore Grant. Leonora była świecie przekonana, że jest Mary Pickford, Chuck to Douglas Fairbanks, a Teddy to Charlie Chaplin. Uważała, że stolowka jest biurem przy Bulwarze Zachodzącego Słońca, a oni zebrali się w nim po to, żeby pomowić o emisji akcji wytworni filmowej United Artist.

Bez przerwy głaskała Chucka po ręce i pytała, kto będzie protokolował.

Na koncu posługacze musieli oderwać ją siłą od Chucka, a ona wołała za nim:

-Adieu, mon cheri. Adieu.

Wyrwała się posługaczom na środku stolowki, przybiegła do nich z powrotem i chwyciła Chucka za rękę.

-Nie zapomnij nakarmić kotka - powiedziała.

Chuck spojrzał jej w oczy i odparł:

-Spokojna głowa.

Następnym pacjentem był Arthur Tomey, który upierał się, żeby mówić mu Joe. Joe przespał zajęcia terapii grupowej tamtego wieczoru. Joe, jak się okazało, cierpiał na narkolepsję.

Przysnal im dwa razy w trakcie rozmowy, za drugim razem na dobre i w takim stanie miał pozostać mniej więcej do końca dnia.

Teddy zdarzył już się nabawić cmiacego bólu pod czaszką z tyłu głowy, od którego szczypały go korzonki włosów, a chociaż współczuł wszystkim pacjentom oprócz Breene'a, trudno mu było zrozumieć, jak można zniesić pracę w takim zakładzie.

Trey przyprowadził kolejnego pacjenta, niewysoka jasnowłosa kobietę o okrągłej twarzy. Jej oczy jasnialy, nie blaskiem szalenstwa, lecz zwyczajną bystrością inteligentnej osoby, która znalazła się w niedorównującym jej inteligencją środowisku.

Uśmiechnęła się i siadając, pomachała im niesmiało na powitanie.

Teddy zajrzał do notatek Cawleya - Bridget Kearns.

-Ja już stąd nie wyjde - odezwała się nagle po kilku minutach. Papierosy wypalała tylko do połowy, mówiła łagodnym, zdecydowanym głosem, a dziesięć lat wcześniej zarabiała swojego meza siekiera. - Nie wiem, czy powinni mnie wypuścić.

-Dlaczegoż to? - spytał Chuck. - To znaczy, proszę mi wybaczyć, panno Kearns, ale...

-Pani Kearns.

-Pani Kearns. Więc proszę mi wybaczyć, ale wydaje mi się pani... no... całkiem normalna.

Rozsiadła się w krzesle, zupełnie na luzie, jakby była nie pacjentem, lecz pracownikiem tej instytucji, i zachichotała cicho.

-Może i tak - odparła. - Ale kiedy mnie tu przywiezli, było ze mną źle. O mój Boże.

Ciesze się, że nie mam żadnych zdjęć z tamtego okresu. Rozpoznali u mnie psychozę maniacko-depresyjną. Nie widzę powodu, aby w to wątpić. Nadal miewam okropne dni. Chyba każdy je miewa. Ale mało kto siega wtedy po siekiere i zabija małżonka. Na tym polega różnica. Dowiedziałam się, że noszę w sobie głęboką urazę do ojca, i skłonna jestem się z tym zgodzić. Raczej nie rzuce się już na nikogo z siekiera, ale nigdy nic nie wiadomo. - Machnęła w ich kierunku papierosem. - Uważam, że jeśli facet bije żonę i pieprzy się z co drugą napotkaną przez siebie babą, a nikt nie chce jej pomóc, to nie jest wcale takie niepojęte, że go w końcu ukatrupia.

Teddy napotkał jej wzrok i rozśmieszył go wyraz jej oczu - jakby dziewczęca, niesmiała figlarność.

-Co? - zdziwiła się, śmiejąc się wraz z nim.

-Może jednak nie powinni cię wypuszczać - powiedział.

-Mówisz tak, bo jesteś facetem.

-Do licha, masz rację.

-No coz, to wiele wyjasnia. Smiech przyniosl Teddy'emu ulge, tak potrzebna mu po rozmowie z Peterem Breene'em. Zastanawial sie, czy nie wdaje sie przypadkiem w flirt. Z pacjentka zakladu dla oblakanych. Morderczynia. Oto, do czego doszlo, Dolores. Ale nie czul z tego powodu wyrzutow sumienia, jakby po dwoch dlugich mrocznych latach zaloby nalezalo mu sie troche niewinnej zalotnosci.

-A co ja bym robila po wyjsciu na wolnosc? - mowila Bridget. - Nie wiem, co mnie tam czeka w tym dzisiejszym swiecie. Slyszalam o bombach. Bombach, ktore obracaja w popiol cale miasta. I telewizorach. Tak sie nazywaja, prawda? Kraza pogloski, ze kazdy oddzial dostanie jeden telewizor i bedziemy mogli ogladac przedstawienia w tej skrzynce. To raczej nie dla mnie. Glosy dochodzace ze skrzynki. Twarze w skrzynce.

Czlowiek i tak kazdego dnia dosc sie naslucha i naoglada. Po co mu jeszcze jedno zrodlo halasu?

-Mozesz opowiedziec nam o Rachel Solando? - spytal Chuck.

Bridget Kearns dosc raptownie zastygla i Teddy dostrzegl, ze zwrocila oczy lekko ku gorze, jak ktos, kto przetrzasa umysl w poszukiwaniu prawidlowej odpowiedzi. Napisal w notatniku "klamstwa" i zaraz zaslonil to reka.

Jej slowa byly starannie dobrane, wyraznie wyuczone.

-Rachel jest calkiem mila. Trzyma sie na uboczu. Duzo opowiada o deszczu, ale na ogol wcale sie nie odzywa. Wierzyla, ze jej dzieci wciaz zyja. Uwazala, ze nadal mieszka w swoim domu, a my jestesmy sasiadami, listonoszami, dostawcami, mleczarzami. Nie wiadomo, jaka byla naprawde.

Bridget mowila z opuszczona glowa, a kiedy skonczyla, wyraznie unikala wzroku Teddy'ego. Jej spojrzzenie powedrowalo w dol; wpatrzona w blat stolika, zapalila nastepnego papierosa.

Teddy zastanowil sie nad jej wypowiedzia i uswiadomil sobie, ze podany przez nia opis urojen Rachel niemal dokladnie odpowiada temu, co wczoraj uslyszeli z ust Cawleya.

-Jak dlugo tu przebywala? - Co?

-Rachel. Jak dlugo byla z pania na oddziale B?

-Ze trzy lata? Chyba cos kolo tego. Czlowiek traci poczucie czasu. Latwo o to w takim miejscu.

-A przedtem gdzie ja trzymano? - spytal Teddy.

-Slyszalam, ze na oddziale C, a stamtad zostala przeniesiona tu, jak sie domyslalam.

-Ale pewnosci pani nie ma?

-Nie. Ja... czlowiek sie gubi w tym wszystkim.

-Jasne. Czy zaszło coś niezwykłego, kiedy widziała pani po raz ostatni?

-Nie.

-To było w czasie grupy.

-Słucham?

-Podczas zajęć terapii grupowej. Wtedy widziała pani ostatni raz - wyjaśnił Teddy.

-Tak, tak. - Kiwnęła skwapliwie głową i strzepnęła popiół z papierosa. - W czasie grupy.

-I rozeszłyście się do swoich pokoi?

-Pod opieką pana Gantona.

-Jak zachowywał się tego wieczora doktor Sheehan?

Podniosła wzrok i Teddy dojrzał malujące się na jej twarzy zagubienie, a może i lek.

-Nie wiem, o co panu chodzi.

-Doktor Sheehan był wtedy z wami, prawda?

Spojrzała na Chucka, potem z powrotem na Teddy'ego i zagryzła górną wargę.

-Prawda.

-Jaki on jest?

-Doktor Sheehan? Teddy skinął głową.

-W porządku. Miły, przystojny.

-Przystojny?

-Tak. Jest... całkiem do rzeczy, jak mawiała moja matka.

-Czy kiedykolwiek flirtował z paniami? - Nie.

-Podrywał paniami?

-Ależ skąd. To porządny lekarz.

-A tamtego wieczoru?

-Tamtego wieczoru? - Zastanawiała się przez chwilę. - Nie wydarzyło się nic nadzwyczajnego. Rozmawialiśmy o, hm, sposobach radzenia sobie ze złością? A Rachel narzekała na deszcz. Doktor Sheehan wyszedł tuż przed końcem zajęć, a pan Ganton odprowadził nas do pokoi. Położyliśmy się do łóżek i to wszystko.

Tedy otworzył notatnik, dopisał "wyreżyserowane" pod "klamstwa" i zamknął go z powrotem.

-To wszystko?

-Tak. A następnego ranka Rachel już nie było.

-Następnego ranka?

-Kiedy się obudziłam, dowiedziałam się, że uciekła.

-A w nocy? Na pewno pani słyszała.

-Co słyszałam? - odparła, zgniatając niedopalek i rozganiając ręką unoszący się z popielniczki dym.

-Cały ten zgiełk. Gdy odkryto jej zniknięcie.

-Nie. Ja...

-Słychać było krzyki, nawoływania, wyjacy alarm, nadbiegających strażników.

-Myślałam, że to mi się przysniło.

-Przysniło?

Skinela energicznie głowa.

-Tak. Myślałam, że to koszmarny sen. - Spojrzała na Chucka. - Mogłabym prosić o szklanke wody?

-Jasne.

Chuck wstał i rozejrzał się, dostrzegł rząd szklanek pod ścianą obok metalowego dystrybutora.

-Szeryfie? - spytał jeden z posługaczy, podnosząc się z krzesła.

-W porządku. Przyniosę tylko trochę wody.

Chuck podszedł do urządzenia, wziął szklanke i po kilku sekundach domyślił się, z którego kranika leciało mleko, a z którego woda.

Pociągnął do góry solidną dzwigenkę, przypominającą metalową podkove, a Bridget Kearns chwyciła notatnik Teddy'ego i pióro. Patrzac mu prosto w oczy, wyszukała niezapisaną stronę, nabazgrała coś na niej, zatrzasnęła notatnik i pchnęła wraz z piórem w jego stronę.

Teddy spoglądał na nią zaintrygowany, ale Bridget Kearns spuściła wzrok i od niechcenia gładziła swoją paczkę papierosów.

Chuck wrocil ze szklanka wody i usiadl obok Teddy'ego. Bridget opróżniła szklankę do połowy.

-Dziękuję - powiedziała. - Czy macie panowie jeszcze jakieś pytania? Jestem nieco zmęczona.

-Zetknęła się pani kiedykolwiek z pacjentem o nazwisku Laeddis, Andrew Laeddis? - spytał Teddy.

Jej twarz nie wyrażała żadnych uczuć. Zastygła niczym maska wykonana z alabastru.

Jej dłonie spoczywały na stoliku, jakby obawiała się, że gdy je stamtąd zabierze, stół popręnie pod sufit.

Choć nie miał pojęcia dlaczego, Teddy przysięgłby, że kobieta ledwo powstrzymywała się od płaczu.

-Nie - odparła. - Nigdy o nim nie słyszałam.

-Myślisz, że jej odpowiedzi były wyreżyserowane? - spytał Chuck.

-A ty tak nie uważasz?

-No dobrze, brzmiały trochę sztucznie.

Stali pod zadaszonym łącznikiem między budynkiem szpitala i oddziałem B. Deszcz nie miał teraz do nich dostępu. Czuli jego krople spływające po skorze.

-Trochę? Niektóre jej wyrażenia były jak żywcem wyjęte z ust Cawleya. Kiedy ją zapytałem o temat zajec, dopiero po namyśle odpowiedziała "sposoby radzenia sobie ze złością". Jakby nie była pewna. Jakby brała udział w teleturnieju i wkuwała całą poprzednią noc.

-I co z tego wynika?

-Niech skonam, jeśli wiem - odparł Teddy. - Nasuwają mi się pytania i z każdą chwilą ich przybywa.

-Jestem tego samego zdania - powiedział Chuck. - Hej, a oto pytanie dla ciebie: kto to jest Andrew Laeddis?

-Nie uszło twojej uwagi, co? Teddy zapalił zdobycznego papierosa.

-Pytales o niego każdego pacjenta.

-Z wyjątkiem Kena i Leonory Grant - sprostował Teddy.

-Oni nawet nie wiedzą, na jakim świecie żyją.

-To prawda.

-Jestesmy partnerami, szefie.

Teddy oparł się o kamienny mur, Chuck poszedł w jego ślady. Teddy odwrócił głowę w stronę Chucka, spojrzał na niego.

-Dopiero co się poznaliśmy.

-Aha, zatem nie masz do mnie zaufania.

-Ufam ci, Chuck. Naprawdę. Ale w tym wypadku postępuje wbrew regulom.

Poprosiłem o przydzielenie mi tej sprawy. Jak tylko przyszło zawiadomienie do tutejszego wydziału poscigowego.

-I co z tego?

-Mam osobiste powody, żeby tu być.

Chuck skinął głową, zapalił papierosa, trawił w milczeniu słowa Teddy'ego.

-Moja dziewczyna, Julie - odezwał się w końcu - Julie Taketomi, tak się nazywa, jest Amerykanka jak ja. Nie zna ani słowa po japońsku. Do diabła, jej rodzina jest tu zamieszkała od trzech pokoleń, a oni zamykają ją w obozie, a potem... - Chuck potrząsnął głową, pstryknął papierosa na deszcz i podciągnął koszulę, odsłaniając prawy bok. - Popatrz, Teddy. To moja druga blizna.

Teddy zobaczył długą i ciemną szramę grubości kciuka.

-Tej też nie nabawiłem się na wojnie. Oberwałem, pracując w wydziale poscigowym. Nakryliśmy takiego jednego drania w Tacomie, ja pierwszy wparowałem przez drzwi i poharatał mnie szablą. Dasz wiara? Szablą, kurwa mac. Trzy miesiące przeleżałem w szpitalu, zanim lekarze pozszywali mi z powrotem bebechy. A to wszystko w służbie narodu. Dla ojczyzny, Teddy. A potem oni wykurzają mnie z rodzinnego okręgu, bo zakochałem się w skosnookiej Amerykance? - Wsunął za pas połę koszuli. - Pieprzyć ich.

-Gdybym ci wcześniej nie rozgryzł - powiedział Teddy po chwili - dałbym głowę, że naprawdę ją kochasz.

-Zginałbym za nią. Bez najmniejszego żalu.

Teddy skinął głową. Nie znalazł czystszej uczucia na tym świecie.

-I tego się trzymaj, chłopaku.

-Ma się rozumieć, Teddy. O to właśnie chodzi. Ale musisz mi powiedzieć, po co tu jesteśmy? Kim, do cholery, jest Andrew Laeddis?

Teddy wgniotł niedopalek w kamienną płytę chodnika.

Dolores, musze mu powiedziec. W pojedynke nic nie dzialam.

Jesli w ogole moge odkupic swoje przewinienia - pijanstwo, wszystkie te chwile, kiedy zbyt dlugo zostawialem cie sama, zawiodlem cie, zlamalem ci serce - to wlasnie teraz, bo inna taka sposobnosc juz sie nie nadarzy.

Chce to naprawic, skarbie. Chce odpokutowac. Ty jedna, ze wszystkich ludzi, bys to zrozumiala.

-Andrew Laeddis - zwrocil sie do Chucka, a slowa wiezly mu w wyschnietym gardle. Przelknal slinę, zwilzyl troche gardlo, sprobowal jeszcze raz...

-Andrew Laeddis byl konserwatorem w budynku, w ktorym mieszkalem z zona.

-Tak?

-Piromanem.

Chuck chlonal slowa Teddy'ego, nie odrywajac wzroku od jego twarzy. - I co dalej?

-Andrew Laeddis wznecil pozar...

-O w morde! - ...w ktorym splonela moja zona.

8

Teddy podszedl na skraj zadaszenia i wystawil twarz na deszcz. Zimne strugi wody przyjemnie chlodzily. W kroplach deszczu widzial Dolores. Rozpryskiwala sie przy zderzeniu z jego cialem. Tamtego ranka nie chciala go wypuscic z domu. W ostatnim okresie swego zycia miewala niewytlumaczalne hustawki nastrojow, cierpiala na bezsennosc, co przyprawialo ja o stany lekowe, doprowadzalo do rozstroju. Kiedy zadzwonil budzik, polaskotala Teddy'ego, zaproponowala, zeby zamknac okiennice, nie wpuszczac swiatla slonecznego i nie wychodzic z lozka przez caly dzien. Objela go tak lapczywie i z taka moca, ze czul wpijajace mu sie w kark kosci jej przedramion.

Przyszla do niego, kiedy bral prysznic, ale on byl zbyt zaferowany, bo spieszył sie do pracy, a do tego jeszcze przepity, co czesto mu sie wtedy dzarzyno. Umysl mial zamroczoney, a pod czaszka czul bolesne klucie. Jej cialo tarlo go niczym papier scierny, gdy do niego przywarla. Strumien z prysznicza razil jak grad srutu.

-Zostan ze mna - powiedziala. - Tylko dzis. Nic sie nie stanie, jesli raz nie przyjdiesz do pracy.

Probował zdobyc sie na usmiech, kiedy delikatnie przestawil ja na bok i siegnal po mydlo.

-Nie moge, skarbie.

-Dlaczego? - Poglaskala go po udach. - Daj mi mydlo. Umyje cie tam.

Gładziła dłoń jego jądra, kasala zębami piers. Nie chciał jej odpychać. Wział ją za ramiona i unosił lekko, odsunął do tyłu o krok czy dwa.

-Przestan - powiedział. - Naprawdę zaraz muszę wyjść.

Rozesmiała się głośno, próbowała się w niego wtulić, a on widział malującą się w jej oczach desperację. Pragnęła czuć się szczęśliwa. Nie spędzać tyle czasu w samotności. Żeby znów było jak dawniej, kiedy tyle nie pracował i tyle nie pił, zanim obudziła się pewnego dnia i świat nagle wydał się jej zbyt jaskrawy, zbyt wrzaskliwy, zbyt zimny.

-No dobrze, już dobrze. - Odchyliła się do tyłu, para wzbijająca się z gorącej wody zraszała jej nagie ciało. - Pojdziesz z tobą na układ. Nie cały dzień, kochanie. Nie cały dzień.

Bądź ze mną jeszcze przez godzinę. Jedną godzinę.

-Juz jestem...

-Tylko godzinę. - Głaskała go namydloną ręką. - Potem pojedziesz do pracy. Chcę cię poczuć w sobie.

Wspięła się na palce, żeby go pocałować.

Musnął ją ustami.

-Nie mogę, najdroższa - powiedział i zwrócił twarz w stronę strumienia.

-Dostaniesz powołanie? - spytała.

-Co takiego?

-Do wojska.

-Mam znów walczyć za ten zasmarkany kraj? Skarbie, ta wojna się skończy, zanim zawiąże sobie sznurowki.

-Nie wiem. Nawet nie wiem, po co się tam właściwie pchali. To znaczy...

-Bo Korei Północnej to jej uzbrojenie nie spadło z nieba. Dostała je od Stalina.

A my musimy pokazać, że wyciągnęliśmy naukę z Monachium, że już wtedy trzeba było powstrzymać Hitlera. Dlatego ukrocimy Stalina i Mao. Teraz. Właśnie w Korei.

-Poszedłbyś na wojnę.

-Gdybym dostał powołanie? Musiałbym. Ale nie powołają mnie, kotku.

-Skąd wiesz?

Nalał szamponu na włosy.

-Zastanawiales sie kiedyś, dlaczego oni nas tak nienawidza? Ci komunisci?

Dlaczego nie mogą zostawić nas w spokoju? Świat z hukiem wyleci w powietrze, a ja nawet nie wiem dlaczego.

-Nie wyleci.

-Właśnie, że tak. Pisza o tym w gazetach i...

-To nie czytaj gazet.

Teddy splukal szampon z włosów. Dolores przycisnęła twarz do jego pleców, oplótła brzuch ramionami.

-Pamiętam ten pierwszy raz, kiedy cie ujrzałam w Coconut Grove. W mundurze.

Teddy nie cierpiał tych jej wędrowek po ścieżkach pamięci. Nie potrafiła pogodzić się z tym, jacy byli teraz - sterani życiem, już nie "piękni dwudziestoletni" - więc wyprawiała się w przeszłość, żeby ogrzać się w ciepłe wspomnienia.

-Taki byłeś przystojny. Linda Cox powiedziała: "Ja wypatrzyłam go pierwsza".

A wiesz, co ja na to?

-Jestem spóźniony, kotku.

-Ciekawe, dlaczego to powiedziałam? Powiedziałam jej: "Może i wypatrzyłaś go pierwsza, Lindo, ale ja będę patrzeć na niego ostatnia". Uważała, że z bliska wyglądasz groźnie, ale ja odparłam: "A zajrzałaś mu w oczy, złotko? Nie ma w nich nic groźnego".

Teddy zakreślił prysznic i odwrócił się. Zobaczył, że Dolores ma na sobie ślady mydła. Smugi piany przylgnęły do jej nagiego ciała.

-Odkreć ci wodę?

Potrząsnęła głową.

Owinał się w pasie ręcznikiem i zaczął się golić przy umywalce. Dolores oparła się o ścianę i przyglądała mu się, a białe smugi mydła zasychały na jej ciele.

-Nie chcesz się wysuszyć? - spytał. - Włóż coś na siebie?

-Już go nie ma - powiedziała.

-Jak to nie ma? Wygląda, jakby przyssały się do ciebie białe pijawki.

-Nie chodzi mi o mydło - odparła.

-A o co?

-Cocoanut Grove. Spalilo sie doszczetnie, kiedy walczyles za morzem.

-Tak, skarbie. Slyszałem o tym. - "Za morzem - zanucila, probujac rozpedzic ciemne chmury, jakie sie nad nimi zbieraly. - Za morzem...".

Zawsze miala cudowny glos. Tej nocy, kiedy dla uczczenia jego powrotu z wojny zaszaleti i wynajeli sobie pokoj w Parker House, kiedy juz sie soba nasycili, a ona poszla wziac kapiel, sluchal jej spiewu dochodzacego z lazienki - spiewala wtedy Buffalo Girls, a spod drzwi buchaly kleby pary.

-Hej! - zawolala nagle.

-Slucham? - Dojrzal w lustrze odbicie lewej polowy jej ciala. Mydlo zdazylo na niej zaschnac i te biale strzepki dziwnie go draznily. Nie wiedziec dlaczego, odnosil wrazenie, ze zadawaly jej gwalt.

-Masz kogos na boku? - Co?

-Masz?

-Co ty bredzisz, do cholery? Ja pracuje, Dolores.

-Dotykam twojego kutasa...

-Tylko bez takich wyrazow. Jezu Chryste. - ...pod prysznicem i nawet ci nie staje?

-Dolores - powiedzial, odwracajac sie od lustra. - Rozmawialismy o bombach.

O koncu swiata.

Wzruszyla ramionami na znak, ze to nie ma zadnego zwiazku z obecnym tematem.

Przytknela stope do sciany i palcem starla wode splywajaca jej po udzie.

-Przestales mnie pieprzyc.

-Dolores, ja nie zartuje - nie zycze sobie takiego slownictwa pod tym dachem.

-Doszlam do wniosku, ze pieprzysz inna.

-Nikogo nie pieprze i prosze nie powtarzaj w kolko tego slowa.

-Ktorego? - Polozyla reke na kepie ciemnych wlosow porastajacej jej lono. - Pieprzyc?

-Tak. - Uniosl jedna reke, a druga zaczal sie dalej golic.

-To brzydkie slowo?

-Przeciez wiesz. - Zeskrobywal brzytwa zarost z podbrodka, slychac bylo, jak ostrze trze o powierzchnie skory przez warstwe piany.

-A jakie jest ładne słowo?

-He? - Oplukal brzytwę i otrzasnal ja.

-Jak moge mowic o moim ciecie, zebyś nie zacisnal przy tym odruchowo piesci?

-Nie zacisnałem piesci.

-Ależ tak.

Skonczyl golac podbrodek, wytarl brzytwę o reczniczek. Przylozyl ja płasko do policzka ponizej lewego baczka.

-Nic podobnego, skarbie. Nie zacisnałem piesci. - Ujrzał w lusterku jej lewe oko.

-Jakiego określenia powinnam użyć? - Jedna reka przeczesywała włosy na głowie, a druga ponizej pasa. - To znaczy, że można ja lizac, można ja całowac i można ja pieprzyc. Można patrzec, jak wychodzi z niej dziecko. Ale nie można wypowiedac jej nazwy?

-Dolores.

-Pizda.

Ostrze wrazilo sie tak głęboko w policzek, że jak podejrzewal, doszlo pewnie aż do kosci szczeki. Zapiekla go cala lewa strona twarzy, a kiedy do rany przedostal sie krem do golenia, wiązki promieniujacego bolu o malo nie rozsadzily mu czaszki. Do umywalki skapywala krew, mieszajac sie z białymi klebkami piany i z woda.

Podeszla do niego z recznikiem, ale on ja odepchnal i wciagnal powietrze przez zacisniete zęby. Czul, jak bol przeszywa mu oczy, wdziera sie w mozg. Stal przy umywalce, krwawiac, i mial ochote sie rozplakac. Nie z powodu bolu. Nie z powodu przepicia. Ale dlatego że nie wiedzial, co dzieje sie z jego zona, dziewczyna, która po raz pierwszy poprosil do tanca w Cocoanut Grove. Zmieniala sie na jego oczach, a on nie mial pojecia, jak to sie skonczy, podobnie jak nie wiedzial, dokad zmierzal ten swiat z toczacymi go niczym rak małymi, brudnymi wojnami, obledna nienawiscia i nagonka na szpiegow w Waszyngtonie, w Hollywood, z maskami przeciwigazowymi rozdawanymi uczniom, betonowymi schronami w piwnicach. I wszystko bylo jakos ze soba powiazane - jego zona, ten swiat, jego pijanstwo, wojna, w ktorej bral udzial, gdyz szczerze wierzyl, że polozy kres temu calemu dranstwu...

Stal przy umywalce, krwawiac, a Dolores powtarzala:

-Przepraszam, przepraszam, przepraszam.

Wzial od niej recznik, kiedy podala mu po raz drugi, ale nie mogl sie zmusic, zeby jej dotknac, zeby na nia spojrzec. Poznal po glosie, że placz, na pewno byla cala we łzach, a on przeklinal to popieprzone i obrzydliwe miejsce, w jakie zamienil sie swiat, nie oszczedzajac nikogo i niczego.

Gazety zamieszcily jego wypowiedz, w ktorej jakoby twierdzil, ze pozegnal sie z zona slowami: "Kocham cie".

Klamstwo.

Jak naprawde brzmialy jego ostatnie slowa skierowane do niej?

Z jedna reka na klamce, z druga przyciskajaca trzeci juz recznik do szczeki, czujac na sobie badawczy wzrok Dolores, oswiadczył:

-Do diabla, Dolores, musisz wziac sie w garsc. Masz obowiazki. Pomysl o nich czasami - dobrze? - i poukladaj sobie wszystko w tej pieprzonej lepetynie jak nalezy.

To byly ostatnie slowa, jakie Dolores uslyszala z jego ust. Zamknal za soba drzwi i zszedl na dol, zatrzymujac sie na ostatnim stopniu schodow. Przez chwile chcial zawrocic. Naszla go mysl, zeby wrocic do Dolores i wszystko naprawic. A jesli nie naprawic, to chociaz zalagodziec.

Zalagodziec. Tak by bylo milo.

Pod oslona dachu szla w ich strone, czlapiac i kolyszac biodrami, kobieta z czerwona krecha na szyi, z kajdanami na rekach i na nogach, pod straza dwoch poslugaczy.

Wygladala na wesola, kwakala i probowala machac lokciami.

-A ta co przeskrobala? - spytal Chuck.

-Ona? - odparl jeden z poslugaczy. - To stara Maggie. Maggie "Masz babo placek", jak ja przechrzcilismy. Prowadzimy ja na hydroterapię. Ale z nia nigdy nic nie wiadomo.

Maggie stanela przed nimi, poslugacze niemrawo probowali zmusic ja, zeby ruszyla, ale kobieta zaparla sie lokciami, wbila obcasy w chodnik i jeden z jej opiekunow przewrocil oczami i westchnal ciezko.

-Oho, zaraz sie zacznie kazanie. Sluchajcie.

Maggie zadarla glowe i przekrzywiajac ja w bok, wpatrywala sie w Chucka i Teddy'ego; przypominala zolwia, ktory wysciubil nos ze skorupy.

-Ja jestem droga - oswiadczyła. - Ja jestem swiatloscia. I nie bede wam piec tych pieprzonych plackow. Nie bede. Dotarlo?

-Jasne - odparl Chuck.

-Oczywiscie - powiedzial Teddy. - Zadnych plackow.

-Byles tutaj i tutaj pozostaniesz. - Maggie wciagnela powietrze przez nos. - To twoja przeszlosc i twoja przyszlosc, ktore nastepuja po sobie jak pory roku w odwiecznym cyklu.

-Tak, prosze pani.

Nachyliła się i obwachała ich, najpierw Teddy'ego, potem Chucka.

-Oni strzeżę tajemnic. Tym żywi się to piekło.

-Tym... no i plackami - odparł Chuck.

Kobieta uśmiechnęła się do niego i przez chwilę wydawało się, że w jej ciele wślizgnął się ktoś poczytalny i mignął przez zrenice. - Śmieję się - powiedziała do Chucka. - Śmiech jest lekarstwem duszy.

-Oczywiście, proszę pani. Będę się dużo śmiać.

Dotknęła jego nosa zgiętym palcem.

-Takiego chce cię zapamiętać - rozesmianego.

Odwrociła się i ruszyła powoli przed siebie. Posługacze dotrzymywali jej kroku, cała trójka oddaliła się od nich i weszła przez boczne drzwi do szpitala.

-Wesoła dziewczyna - rzekł Chuck.

-W sam raz, żeby przyprowadzić ją do domu i pokazać mamie.

-A potem zarzuciłaby mamę i pochowała w szopce, ale i tak... - Chuck zapalił papierosa. - Co z tym Laeddisem?

-Zabił mi żonę.

-To już wiem. Jak to się stało?

-Facet był piromanem.

-To też już wiem.

-Był zatrudniony jako konserwator w naszym domu. Pokłocił się z właścicielem, a ten go wywalił. Wiadomo było, że pożar nastąpił w wyniku podpalenia. Ktoś musiał podłożyć ogień. Laeddis znalazł się na liście podejrzanych. Sporo czasu minęło, nim go odszukali, ale on zdążył sobie przygotować alibi. Cholera, wcale nie miałem pewności, że to jego sprawa.

-Co cię przekonało?

-Rok temu otwieram gazetę i patrzę: znowu on. Spalił szkołę, w której pracował.

Ten sam scenariusz - wywalili go, a on wrócił, nabuzował w piecu i ustawił bojler tak, żeby wybuchł. Ten sam modus operandi. Identyczny. W szkole nie było dzieci, ale dyrektorka została po godzinach, żeby popracować. Zginęła na miejscu. Laeddis stanął przed sądem, ale opowiadał, że słyszy głosy i tym podobne bajdy. Został zamknięty w zakładzie dla umyślowo chorych w Shattuck. Szesc miesięcy temu coś tam się wydarzyło - nie wiem co - i został przeniesiony tutaj.

-Ale zaden pacjent go nie widzial.

-Pytalismy na razie pacjentow z oddzialow A i B.

-Wynikaloby stad, ze Laeddis przebywa na oddziale C.

-Wlasnie.

-Albo nie zyje.

-Mozliwe. Jeszcze jeden powod, zeby wybrac sie na poszukiwania cmentarza.

-Ale zalozmy, ze nie umarl.

-Dobrze.

-Co masz zamiar zrobic, jesli go znajdziesz, Teddy?

-Nie wiem.

-Nie wciskaj mi kitu, szefie.

Nadchodzily dwie pielegniarki, stukajac obcasami, trzymajac sie blisko sciany, zeby nie dosiegnal ich deszcz.

-Ale jestescie mokrzy - odezwala sie jedna z nich.

-Cali mokrzy? - odparl Chuck i ta blizej sciany, drobna dziewczyna z krotkimi czarnymi wlosami, rozesmiala sie.

Kiedy ich minely, czarnowlosa pielegniarka spojrzala przez ramie do tylu.

-Wy zawsze tacy frywolni na sluzbie?

-To zalezy - powiedzial Chuck.

-Od czego?

-Z kim mamy do czynienia.

To je na chwile zatrzymalo, a kiedy sie polapaly, czarnowlosa pielegniarka wtulila twarz w ramie kolezanki, obie wybuchnely smiechem i ruszyly w strone szpitala.

Boze, jak on zazdroscil Chuckowi. Przekonania, z jakim sie wypowiedal. Wdawal sie w ploche flirty. Przerzucal sie blahymi slowkami z upodobaniem godnym mlodego zolnierza, ktory czuje, ze swiat nalezy do niego. Ale nade wszystko zazdroscil mu tego niewymuszonego wdzieku.

Teddy nigdy nie potrafił przywołać swego osobistego uroku na zawołanie. Po wojnie przychodziło mu to jeszcze trudniej. A po śmierci Dolores wyzbył się go całkowicie.

Wdzięk był zbytkiem, na który pozwolić sobie mogli tylko ci, co wierzyli w moralny ład. W czystość i w palisady.

-Wiesz - zwrócił się do Chucka - tego ranka, kiedy ostatni raz widziałem moją żonę żywą, wspominała o pożarze Coconut Grove.

-Tak?

-Tam się poznaliśmy. W tym klubie. Ona przyszła ze współlokatorką, dziewczyną z bogatego domu, a ja się dostałem, bo dla żołnierzy były zniżki. Zaraz potem przerwali nas do Europy. Przetanczyłem z nią całą noc. Nawet fokstrota wtedy tanczyliśmy.

Chuck wykreślił szyję i spojrzał Teddy'emu w twarz.

-Fokstrota? Jakos nie mogę sobie ciebie wyobrazić...

-Chłopie - odparł Teddy - trzeba było widzieć moją żonę tego wieczoru. Sam kicałbys po parkiecie jak krolik, gdyby sobie zazyczyła.

-Wiec poznaliście się w Coconut Grove.

Teddy skinął głową.

-A potem klub się spalił. Kiedy to było? Walczyliśmy chyba wtedy we Włoszech, tak, we Włoszech, a jej ten pożar wydał się w jakiś sposób znaczący, tak przypuszczam.

Ogień ją przerazał.

-I zginęła w płomieniach - powiedział cicho Chuck.

-Nie ma chyba nic gorszego. - Teddy zacisnął zęby na wspomnienie żony tamtego ranka, nagiej, z nogą opartą o ścianę, z zaschniętymi smugami białej piany na ciele.

-Teddy?

Spojrzał na Chucka.

-Możesz na mnie liczyć - oświadczył Chuck, rozkładając ręce. - Obojętne, co by się działo. Chcesz dopaść Laeddisa i wykonać go? Klawo.

-Klawo. - Teddy się uśmiechnął. - Nie wiem, kiedy ostatni raz słyszałem...

-Ale jest jeden warunek, szefie. Muszę wiedzieć, czego się spodziewać. Poważnie.

Albo będziemy grać ze sobą w otwarte karty, albo wyladujemy na jakims nowym przesłuchaniu przed komisją Kefauvera.

[Amerykański polityk, senator w latach 1949-1963. W latach 1950-1951 prowadził mocno nagłośnioną w środkach masowego przekazu kampanię przeciwko przestępczości zorganizowanej.] W tych czasach każdy jest na widoku. Wszyscy patrzą sobie nawzajem na ręce. Z każdą minutą świat robi się coraz mniejszy. - Chuck przyglądał do tyłu sterczącą mu na głowie grzywą czuprynę. - Myślisz, że to miejsce jest ci znane.

Myślisz, że coś przede mną ukrywasz. Myślisz, że przyjechałeś tu rozprawić się z kimś?

Teddy przytknął rękę do piersi.

-Ja nie żartuję, szefie.

-Jesteśmy mokrzy - powiedział Teddy. - I co z tego?

-Stwierdzam tylko fakt. Masz ochotę jeszcze bardziej zmoknąć?

Wyszli przez bramy i skierowali kroki na plażę. Wszystko zasnuwały strugi deszczu.

Fale wielkości domów rozbijały się o przybrzeżne skały. Wypietrzały się wysoko i rozpryskiwały, ustępując miejsca nowym.

-Nie chce go zabić - powiedział Teddy, przekrzykując ryk morza.

-Czyżby?

-Naprawdę.

-Trudno mi w to uwierzyć.

W odpowiedzi Teddy wzruszył tylko ramionami.

-Gdyby to była moja żona - mówił Chuck - ukatrupiłbym go bez zmruczenia oka.

-Mam dość zabijania - odparł Teddy. - Ilu zginęło na wojnie z mojej ręki?

Straciłem rachubę. Jak to możliwe, Chuck? Ale naprawdę nie mogę się doliczyć.

-Mimo wszystko. Chodzi o twoją żonę, Teddy.

Natknęli się na rumowisko czarnych skał o ostrych zębach, wznoszące się z plaży w kierunku drzew, i wspieli się po nim, kierując się w głąb wyspy.

-Posłuchaj - oświadczył Teddy, kiedy dotarli do niewielkiego płaskowyzu otoczonego wysokimi drzewami, które zapewniały przynajmniej częściową osłonę przed deszczem. - Nadal na pierwszym miejscu stawiam pracę. Ustalimy, co się stało z Rachel Solando. A jeśli przy tym trafie na Laeddisa? Świetnie. Wygarne mu prosto w twarz, że zabił moją żonę. Zapowiem mu, że będzie czekał, aż go wypuszcza. Dam mu jasno do zrozumienia, że nie dane mu będzie długo cieszyć się wolnością, póki ja żyję.

-I to wszystko? - spytał Chuck.

-Tak.

Chuck otarł oczy rekawem, odgarnął włosy z czoła.

-Nie wierze ci. Po prostu ci nie wierze.

Teddy przeniósł wzrok w dal, na szczyt budynku szpitala rysujący się ponad linia drzew, jego okna dachowe przypominające oczy.

-Nie przyszło ci do głowy, że Cawley wie, co naprawdę cie tu sprowadziło?

-Naprawdę jestem tu w sprawie Rachel Solando.

-Do jasnej cholery, Teddy, jeśli facet, który ma na sumieniu śmierć twojej żony, został zamknięty w tym zakładzie, to...

-Nie za to stanął przed sądem. Nic go nie łączy z moją osobą. Nic.

Chuck przysiadł na kamieniu wystającym z ziemi, pochylił głowę przed deszczem.

-No to kierunek cmentarz. Rozejrzyjmy się po okolicy, skoro już tu jesteśmy. Może uda nam się go odnaleźć. Zobaczymy nagrobek z nazwiskiem "Laeddis", jedno zmartwienie z głowy.

-W porządku - odparł Teddy, wpatrując się w przepastną czern otaczającą ich pierścienia drzew.

-A przy okazji, co ona ci powiedziała? - zapytał Chuck, wstając.

-Kto?

-Ta pacjentka. - Strzelił palcami. - Bridget. Wysłała mnie po wodę. Powiedziała ci coś w tym czasie, wiem.

-Nie.

-Kłamiesz. Wiem, że...

-Napisała mi coś - wyjaśnił Teddy, klepiąc się po kieszeniach płaszcza. W końcu znalazł notatnik w wewnętrznej kieszeni i zaczął przerzucać strony.

Chuck gwizdał i ćwiczył na podmokłym gruncie krok defiladowy, podrzucając do góry sztywne w kolanach nogi.

-Adolf, wystarczy już - powiedział Teddy, kiedy znalazł właściwą stronę.

-Masz to? - spytał Chuck, podchodząc.

Teddy skinal glowa, obrocil notatnik, zeby pokazac Chuckowi strone, na ktorej widnialo jedno slowo, napisane scisnietymi literami, juz rozmywajacymi sie na papierze od deszczu: uciekaj

9

Natrafilo na kamienie kilometr dalej w glebi wyspy, a niebo nad ich glowami gnalo na oslep w ciemnosc pod zwalami chmur o gladkich ciemnopurpurowych spodach. Wspieli sie na szczyt wzgorza rozmoklym stokiem, porosnietym prosta, wiotka trawa morska, sliska od deszczu. Od mozolnego wdrapywania sie byli cali oblepieni blotem.

Ponizej rozciagalo sie pole, plaskie jak dolna warstwa chmur, gole, jesli nie liczyc jednego czy dwoch krzakow, nasiaknietych lisci ciskanych przez nawalnice i mnostwa kamieni. Teddy poczatkowo odniosl wrazenie, ze trafily tu niesione wichrem wraz z liscmi. Ale w polowie drogi w dol zbocza zatrzymal sie i przyjrzel im sie uwazniej.

Usypane byly w male, schludne stosy, rozrzucone po polu w odstepach mniej wiecej pietnastu centymetrow. Teddy polozyl Chuckowi dlon na ramieniu i wskazal je reka.

-Policz, ile tam jest stosow.

-Co takiego?

-Widzisz te kamienie? - spytal Teddy. - Tak.

-Usypane sa w oddzielne stosy. Policz je.

Chuck spojrzal na niego tak, jakby rozum Teddy'ego ucierpial wskutek sztormu.

-To zwykle kamienie.

-Mowie powaznie.

Chuck patrzyl na niego tym wzrokiem jeszcze przez chwile, potem skupil uwage na polu.

-Doliczylem sie dziesieciu - oznajmil po minucie.

-Ja tez.

Ziemia osunela sie pod noga Chucka i ten poslizgnal sie, zamachnal sie do tylu reka, a Teddy chwycil ja i trzymal, dopoki jego partner nie odzyskal rownowagi.

-Mozemy wreszcie zejsc? - spytal Chuck i spojrzal na Teddy'ego z mina wyrazajaca zniecierpliwienie.

Gdy dobrneli do skraju zbocza, Teddy poszedl przyjrzec sie kamieniom z bliska.

Stosy ulozone byly w dwoch rzędach i znacznie roznily sie pod wzgledem wielkosc.

Kilka skladało się z trzech, czterech kamieni, podczas gdy inne usypane były z dziesięciu, a może nawet dwudziestu.

Teddy przeszedł między rzędami kamieni, stanął i odwrócił się do Chucka. - Złe policzyliśmy - powiedział.

-Jak to?

-Spójrz między tymi dwoma kupkami. - Teddy zaczął czekać, aż jego partner podejdzie, i teraz obaj z Chuckiem patrzyli na wskazane miejsce. - Tutaj jest pojedynczy kamień.

Ale liczy się jako oddzielny stos.

-Przy takiej wichurze? Nie. Musiał osunąć się z sąsiedniego.

-Leży w równej odległości od innych stosów, piętnaście centymetrów na lewo od tego, piętnaście centymetrów na prawo od tamtego. W drugim rzędzie takie samo zjawisko występuje dwa razy. Pojedyncze kamienie.

-Czyli?

-Czyli w sumie jest trzynaście stosów, Chuck.

-Myślisz, że to Rachel się za tym kryje? Jak babcie Kocham, ty naprawdę tak uważasz.

-Ktoś musiał ułożyć te kamienie.

-Kolejna zaszyfrowana wiadomość.

Teddy przykucnął przy kamieniach. Nasunął na głowę płaszcz i rozchylił jego polity, aby uchronić przed zalaniem trzymany między nogami notatnik. Posuwał się w przysiadzie bokiem niczym krab, przystawał przed każdym stosem i zapisywał liczbę składających się na niego kamieni. Na koniec otrzymał ciąg trzynastu liczb: 18-1-4-9-54-23-1-12-4-19-14-5.

-To pewnie kombinacja otwierająca największą kłódkę świata - oświadczył Chuck.

Tedy zamknął notatnik i schował go do kieszeni.

-Niezły dowcip.

-Dziękuję, dziękuję - odparł Chuck. - Zapraszam na swoje występy w Pikutkowie Gornym, co wieczór. Obiecuję, że przyjdiesz.

Teddy schował płaszcz z głowy i wstał. Znowu chłostała go po głowie ulewa i wicher odzyskał głos.

Skierowali się na północ, po prawej ręce rozciągały się urwiska, a po lewej ginał gdzieś w odległości nawałnicy i deszczu kompleks szpitalny. W ciągu ostatnich trzydziestu minut sztorm się nasilił. Szli tuż obok siebie, żeby słyszeć, co drugi mówi, i zataczali się jak para pijaków.

-Cawley pytał cie, czy służyłeś w wywiadzie. Okłamałeś go?

-I tak, i nie - odparł Teddy. - Do cywila przeszedłem jako zwykły żołnierz.

-A gdzie trafiłeś na początku?

-Po szkoleniu zasadniczym wysłali mnie do szkoły radiotelegrafistów.

-A potem?

-Odbyłem przyspieszony kurs w Akademii Wojennej i w końcu faktycznie dostałem przydział do wywiadu.

-Wiesz jakim cudem wylądowałeś w armii?

-Bo spieprzyłem sprawę. - Teddy wykrzyczał to na wietrze. - Złe rozszyfrowałem współrzędne pozycji wroga.

-Straty były poważne?

Teddy'ego wciąż przesładował ten jazgot niesiony przez fale radiowe. Wrzaski, szum zakłócen, płacz, szum zakłócen, warkot karabinu maszynowego, a po nim znowu wrzaski i płacz, i szum zakłócen. I chłopiecy głos na tle tego zgłębku, pytający: "Widzieliście, gdzie się podziła reszta mojego ciała?".

-Padła połowa batalionu - odparł Teddy podniesionym głosem. - Podaliśmy ich szkopom jak na tacy.

Przez długą chwilę słychać było jedynie świst wichury, a potem Chuck zawołał:

-To straszne. Współczuje ci.

Wspieli się na pagórek i wichura o mało ich nie zdmuchnęła z wierzchołka, ale Teddy mocno sciskał łokieć Chucka i parli przed siebie ze spuszczonej głowami. W ten sposób posuwali się naprzód, zgięci niemal w pol, i z początku wcale nie dostrzegli nagrobków. Brnęli niemal na oślep, gdyż deszcz zalewał im oczy, aż Teddy rabnął o kamienną płytę, która odchyliła się do tyłu i wyrwana przez wiatr ze swego mocowania upadła płasko na ziemię.

Jacob Plugh Oficer pokładowy Bosuna

1832-1858

Po ich lewej ręce nagle złamało się drzewo, z trzaskiem, który przywołał na myśl ostrze siekiery rozdzierające blaszany dach, i Chuck krzyknął: "Jezu Chryste", a wiatr natychmiast porwał kawałki drzewa, które przemknęły tuż przed ich oczami. Weszli na teren cmentarza, osłaniając rękami twarze, a ziemia i miotane przez wiatr liście i szczątki drzew sprawiały wrażenie ożywionych i naelektryzowanych. Kilka razy się przewrocili, a Teddy w pewnej chwili zauważył majaczący z przodu szary, przysadzisty kształt. Zaczął pokazywać w jego

kierunku i krzyczec, lecz wichura zupełnie go zagłuszyła. Coś ciężkiego smignęło obok jego głowy, musnęło włosy.

Zerwali się do biegu, wiatr szarpał ich za nogi, a ziemia wokół jakby podnosiła się i napierała na kolana.

Grobowiec. Drzwi były stalowe, z popekanymi zawiasami; w fundamentach zagnieździły się już chwasty. Teddy przyciągnął drzwi do siebie i uderzył w niego wściekły podmuch, zepchnął go na lewo razem z drzwiami. Teddy runął na ziemię, a drzwi uniosły się, odcięte od urwanego dolnego zawiasu, zapiszczały i gruchnęły o ścianę. Teddy poślizgnął się na błocie, dzwignął się na nogi, a wtedy wiatr grzmotnął go w ramiona. Teddy upadł na jedno kolano, ujrzał przed sobą ziejący otwór, rzucił się szczupakiem przez breje i wczłógał się do środka.

-Widziałeś kiedyś coś takiego? - odezwał się Chuck, kiedy stawali naprzeciw wejścia i oglądali targana rozszalałymi żywiołami wyspę. Wiatr zgęstniał od błota, lisci, gałęzi i kamyków, i siekącego bezlitosnie deszczu; wyl przeraźliwie niczym stado odynców i kasal ziemię.

-Nigdy - odparł Teddy i odsunął się w głąb grobowca.

Chuck znalazł suche pudełko zapalek w wewnętrznej kieszeni płaszcza, zapalił trzy naraz, próbując odgrodzić wiatr własnym ciałem. Ujrzeni betonową konstrukcję pośrodku pomieszczenia, pusta, ani śladu trumny czy nieboszczyka, jakby po pochówku został stąd usunięty lub wykradzony. W ścianie po jej przeciwnej stronie wmurowano kamienną ławę, podeszli do niej, kiedy zapalki się wypaliły. Usiedli, a wokół wejścia nadal hulał wiatr i walił drzwiami o ścianę.

-Ma to swoisty urok, co? - powiedział Chuck. - Rozhukana przyroda, kolor tego nieba... Widziałeś, jak ta płyta fiknęła kozła?

-Co prawda, potracilem ją, ale i tak to było niesamowite.

-O rany. - Chuck wyciskał nogawki spodni, aż pod stopami zebrala się kaluza.

Odciągnął przemoczona koszulę od piersi. - Nie trzeba było tak się oddalać od bazy. Ale może jakos tutaj przeczekamy sztorm.

Teddy skinał głową.

-Nie znam się na huraganach, ale coś mi mówi, że to dopiero rozgrzewka.

-Oby tylko nie zmienił kierunku, bo cały ten cmentarz wleci nam do środka.

-Mimo to wole być tu niż na zewnątrz.

-Jasne, ale kto się pcha tak wysoko podczas huraganu? Chyba nam odbilo, cholera.

-Na to wygląda.

-Wszystko zmienilo sie tak nagle. W jednej sekundzie po prostu leje, a w nastepnej porywa nas jak Dorotke do Krainy Oz.

-To bylo tornado.

-Gdzie?

-U Dorotki w Kansas.

-Aha.

Wycie wichru osiagalo coraz wyzsze rejestry. Teddy wyczuwal jego napor na gruby kamienny mur, o ktory sie opieral. Huragan grzmocil w sciane jak piesciami, wprawiajac ja w drobne drgania, ktore rozchodzily sie po plecach Teddy'ego.

-To dopiero rozgrzewka - powtorzyl.

-Jak myslisz, co teraz robia swiry?

-Pewnie wyja, zeby zagluszyc wicher.

Przez chwile siedzieli w milczeniu i palili papierosy. Teddy'emu przypomnial sie tamten dzien spedzony z ojcem na lodzi, kiedy po raz pierwszy uswiadomil sobie potege natury i jej obojetnosc na jego los. Wyobrazil sobie wicher z glowa jastrzebia i zakrzywionym dziobem, przelatujacy nad grobowcem z przerazliwym skrzeczeniem.

Rozwscieczony stwor obracajacy fale w wieze, rozdierajacy domy na zapalki, ktory moglby Teddy'ego uniesc z ziemi i cisnac az do Chin.

W czterdziestym drugim sluzylem w Afryce Polnocnej - powiedzial Chuck. - Przezyłem pare burz piaskowych. Nie umywaja sie do tego tutaj. Ale przeciez czlowiek zapomina. Moze byly rownie straszne.

-Ja jakos to znosze - oswiadczył Teddy. - Ma sie rozumiec, nie wyszedlbym na przechadzke przy takiej pogodzie, ale i tak lepsze to niz zimno. Jezu, w Ardenach oddech zamarzal, kiedy wypuszczalo sie powietrze. Do dzis jeszcze to czuje. Palce mialem tak zmrozone, ze mialem wrazenie, jakby plonely. I co ty na to?

-W Afryce wykanczal nas upal. Faceci padali z goraca. Dostawali od tego zawalu serca. Stoja, stoja i nagle ryms na ziemie. Strzelilem do szkopa, a on mial cialo tak rozmiekle od upalu, ze odwrocil sie i patrzyl, jak kula wylatuje mu z drugiej strony. - Chuck stukal palcem w lawe. - Patrzyl, jak wylatuje - powtorzyl cicho. - Klne sie na Boga.

-Jedyny, jakiego zabiles?

-Z bliska. A ty?

-Ze mna bylo inaczej. Wielu polozylem trupem, przewaznie umierali na moich oczach. - Teddy przytknal glowe do sciany, wbil wzrok w sufit. - Gdybym mial syna, nie wiem, czy puscilbym go na wojne. Nawet na taka jak tamta, gdzie nie dano nam wyboru.

Moim zdaniem nie powinno się tego zadac od nikogo.

-Czego? - Zeby zabijał.

Chuck podciągnął kolano pod brode.

-Rodzice, dziewczyna, przyjaciele, którzy nie zostali powołani z powodu stanu zdrowia, wszyscy mnie pytają, wiesz?

-Tak.

-Jak tam było? Chca koniecznie to uslyszec. A ty masz ochote odpowiedziec: "Nie wiem, jak tam było. To przydarzyło się komus innemu. Ja tylko przyglądałem się z góry". - Rozłożył rece. - Nie potrafie tego lepiej wytłumaczyc. Zabrzmiło to choc trochę zrozumiale?

-Kiedy wkroczyliśmy do Dachau, wszyscy esesmani pilnujący więźniów się poddali. W sumie pieciuset. Byli z nami dziennikarze, ale widzieli te stosy ciał na stacji kolejowej. Czuli ten odor. Chociaz patrzyli na nas bez słowa, wiedzieliśmy, że chca tego samego co my. A nas aż swierzbiły rece. Rozwaliliśmy tych pieprzonych szkopów.

Rozbroiliśmy ich, postawiliśmy pod sciana i rozstrzelaliśmy. Raz załatwiliśmy z karabinów maszynowych ponad trzystu strażników. Dobilismy dogorywających z pistoletów. Zbrodnia wojenna? A jakże! Ale, Chuck, załowaliśmy, że tylko tyle mogliśmy zrobić. Kurwa, dziennikarze bili nam brawo. Więźniowie na ten widok płakali ze szczęścia. Oddaliśmy im kilkunastu esesmanów. Rozszarpali ich na kawałki gołymi rękami. Do konca tego dnia usuneliśmy z powierzchni ziemi piecset ludzkich istnień. To było morderstwo. Nie usprawiedliwiała tego ani obrona własna, ani działania wojenne.

Lecz mimo to nikt nie miał cienia wątpliwości. Ci dranie zasługiwali na znacznie gorszy los. No dobrze - ale jak z czymś takim żyć? Jak przyznać się żonie, rodzicom, dzieciom do popełnienia takiego czynu? Rozstrzelania bezbronnych ludzi? Zabicia chłopców?

Chłopców w mundurach co prawda, ale mimo to chłopców? Sek w tym, że nie możesz im tego wyznac. Nigdy by nie zrozumieli. Bo zrobiles to w słusznej sprawie.

A jednocześnie to, co zrobiles, było złe. I zawsze będzie cie dreczyć sumienie.

-Przynajmniej sprawa była słuszna - odezwał się po chwili Chuck. - Przyglądałeś się tym nieszczęsnikom, którzy wrócili z Korei? Do tej pory nie wiedza, o co tam walczyli. Mysmy powstrzymali Adolfa. Ocaliliśmy życie milionom ludzi. Prawda? To coś znaczy, Teddy.

-Tak, to coś znaczy - zgodził się Teddy. - Czasami nie trzeba innego uzasadnienia.

-Musi wystarczyć. Mam rację?

Tuz za drzwiami smignęło całe drzewo, obrocone do góry nogami, korzenie sterczały do góry niczym rogi.

-Widziałes to drzewo?

-No. Obudzi się na środku oceanu i pomyśli: "Chwileczkę. Coś mi tu nie pasuje". - "Moje miejsce jest przecież tam". - "Tyle lat moich starań, żeby to w górze wyglądało jak należy, poszło na marne".

Rozesmieli się cicho w ciemności i patrzyli, jak wyspa przemyka im przed oczami niczym w delirycznym zwidzie.

-Co tak naprawdę wiadomo ci o tym zakładzie, szefie? Teddy wzruszył ramionami.

-Malo. Ale wystarczy, żeby napędzić mi stracha. - Świetnie. Tobie napędza stracha. A co w takim razie powinien czuć zwykły śmiertelnik?

-Bojźni i trwoga? - Teddy się uśmiechnął.

-W porządku. Już cały się trzęse.

-Wiem, że prowadzi się tu eksperymenty. Mówiłem ci - radykalne rozwiązania.

Zakład finansowany jest częściowo ze środków stanowych, częściowo przez Federalne Biuro Więziennictwa, ale przede wszystkim z funduszu ustanowionego w pięćdziesiątym pierwszym przez Komisję do spraw Działalności Antyamerykańskiej.

-Niech mnie kule biją. Walka z komunizmem prowadzona z małej wysepki w Zatoce Bostońskiej. Na czym też ona polega?

-Eksperymentują na ludzkim umyśle. Tak się domyślam. Zapisują wyniki i pewnie przekazują starym kumpłom Cawleya z OSS, obecnie pracującym w CIA. Nie wiem.

Słyszałeś kiedyś o fencyklidynie?

Chuck potrząsnął głową.

-A o LSD? Meskalinie?

-Dwa razy nie.

-To środki halucynogenne - wyjaśnił Teddy. - Wywołują przywidzenia.

-Rozumiem.

-Po zażyciu minimalnej dawki nawet u ludzi zupełnie zdrowych na umyśle - jak ty czy ja - wystąpiłyby omamy wzrokowe.

-Widzielibyśmy wywrócone do góry nogami drzewo przelatujące za drzwiami?

-A... jest pewien haczyk. Skoro obaj widzimy to samo, to nie jest halucynacja.

Kazdy ma inne przywidzenia. Powiedzmy, że patrzysz, a rece zmieniły ci się w jadowite węże, które podnoszą się, otwierają pyski, żeby odgryźć ci głowę?

-To byłby cholernie zły dzień.

-Albo krople deszczu stawałyby w płomieniach? Krzak przemienił się w szarżującego tygrysa?

-Fatalnie. Nie powinienem tego dnia w ogóle wstawać z łóżka. Hej, twierdzisz, że pod wpływem takiego leku mogłbym brać te zwidy za coś realnego?

-Nie "mogłbys". Bralbys. Przy odpowiedniej dawce zacząłbys mieć halucynacje jak amen w pacierzu.

-To dopiero leki.

-Właśnie. A gdyby podawać je w dużych ilościach? Skutek podobno jest identyczny z objawami ciężkiej schizofrenii. Ten gość... jak mu było na imię? Ken, ze swoimi zimnymi stopami... On w to wierzy. Leonora Grant nie widziała ciebie, tylko Douglasa Fairbanka.

-Charlie Chaplina też. Nie zapominaj, przyjacielu.

-Wcielilibym się w niego, ale nie wiem, jaki ma głos.

-Niezłe, szefie. Chyba razem wystąpimy w Pikutkowie Gornym.

-Są udokumentowane przypadki schizofreników, którzy zdzierali sobie twarz, bo byli przekonani, że ich rece się zbuntowały, nabrały własnego życia. Schizofrenicy widzą nieistniejące rzeczy, słyszą głosy dla innych niesłyszalne, skaczą z solidnych dachów, bo myślą, że budynek się pali, i tak dalej. Środki halucynogenne wywołują podobne urojenia.

-Skąd u ciebie ta erudycja? - spytał Chuck, wskazując na niego oskarżycielsko palcem.

-Nie będę ukrywał, że sporo na ten temat czytałem - odparł Teddy. - Jak myślisz, Chuck? Co by się stało, gdyby podano środki halucynogenne osobom cierpiącym na ostrą schizofrenię?

-Takich rzeczy się nie robi.

-Robi się, i to w majestacie prawa. Schizofrenia dotyczy wyłącznie ludzi. Nie przytrafia się szczerom, krolikom ani krowom. Więc jak wypróbować skuteczność antidotum?

-Na ludziach.

-Należy ci się cygaro w nagrodę.

-Cygaro, które jest tylko i wyłącznie cygarem, tak?

-Jak sobie zyczysz - skwitował Teddy.

Chuck wstał, oparł się rękami o betonową płytę i wpatrywał się w szalejący sztorm.

-Czyli podaja schizofrenikom srodki halucynogenne, ktore jeszcze poglebiaja ich chorobe?

-To jedna grupa doswiadczalna.

-A kto stanowi druga?

-Pacjenci, ktorzy nie sa dotknieni schizofrenia i ktorym podaje sie srodki halucynogenne, zeby zbadac reakcje ich mozgu.

-Chrzanisz.

-Sa na to dowody, stary. Wybierz sie kiedys na konferencje psychiatryczna. Ja sie wybralem.

-Powiedziales, ze to sie dzieje w majestacie prawa.

-Bo to jest zgodne z prawem - odparl Teddy. - Tak jak kiedys badania eugeniczne.

-W takim razie nic nie mozna na to poradzić.

Teddy pochylil sie ku niemu.

-Bezsprzecznie. Nie przyjechalem tu nikogo aresztowac. Na razie. Zostalem tu wyslany, zeby rozeznac sie w sytuacji. To wszystko.

-Zaraz, chwileczke. Jak to wyslany? Jasny gwint, Teddy, co to za konspiracja?

-Gleboka. - Teddy westchnal, patrzac na niego.

-Wroc - powiedzial Chuck, unoszac reke. - Jeszcze raz. Od samego poczatku. Jak sie w to wszystko wplatales?

-Zaczelo sie od Laeddisa. Rok temu - odparl Teddy. - Chcialem sie z nim rozmowic w cztery oczy, wiec wymyslilem historyjke, ze niby jego wspolnik scigany jest federalnym listem gonczym, a Laeddis moze udzielic nam informacji na temat jego miejsca pobytu. Pojechalem do Shattuck, ale tam go nie zastalem. Okazalo sie, ze zostal przeniesiony do Ashecliffe. Dzwonie tu, a oni twierdza, ze nie maja go w ewidencji.

-I co?

-Ciekawe, mowie sobie. Obdzwaniam szpitale psychiatryczne w miescie, wszyscy slyszeli o Ashecliffe, ale nikt jakos nie chce o nim rozmawiac. Pytam znajomego komendanta Renton, innego zakladu dla oblokanych przestepcow: "Bobby, o co ten caly szum? To szpital i wiezienie, niczym sie nie rozni od waszego zakladu". A on kiwa glowa i mowi: "Teddy, tamta placowka to zupełnie co innego. Prowadza w niej tajne badania. Trzymaj sie od niej z daleka".

-Jednak go nie posluchales - rzekl Chuck. - A ja zostalem tu skierowany razem z toba.

-Inaczej to sobie zaplanowałem. Ale zwierzchnik kaze mi zabrac ze soba partnera, to biore partnera.

-Zatem czekales tylko na pretekst, zeby tu sie dostac?

-Mozna tak powiedziec - przyznal Teddy. - Cholera, nie mialem nawet pewnosci, ze nadarzy sie okazja. Nawet gdyby doszlo do uciezki pacjentow, ja moglem byc akurat na wyjezdzie. Albo gdyby przydzielili to komus innemu... Do diabla, mozna by tak gdybac w nieskonczonosc. Poszczescilo mi sie.

-Poszczescilo? Takiego wala.

-Co?

-To nie szczesliwy zbieg okolicznosci. W zyciu nic sie tak nie uklada po naszej mysli. Twoim zdaniem po prostu tak sie zlozylo, ze ciebie wyznaczyl do tego zadania?

-Jasne. Brzmi to malo wiarygodnie, ale...

-Kiedy pierwszy raz dzwoniles do Ashecliffe w sprawie Laeddisa, przedstawiles sie?

-Oczywiscie.

-Wobec tego...

-To bylo rok temu.

-I co z tego? Myslisz, ze nie prowadzi rejestrow rozmow? Zwlaszcza jesli ktos wypytuje ich o pacjenta, ktorego - jak twierdza - nie maja w ewidencji?

-Powtarzam: minelo dwanasie miesiecy.

-Teddy, do jasnej anielki - odparl Chuck sciszonym glosem, polozyl dlonie na plycie i wzial gleboki oddech. - Zalozmy, ze faktycznie prowadzi tu mocno podejrzone badania. A jesli rozszyfrowali cie z chwila, kiedy postawiles noge na wyspie? A jesli to oni cie tu sprowadzili?

-Bzdura.

-Bzdura? A co z Rachel Solando? Gdzie chocby okrucz dowodu, ze w ogole istniala? Pokazali nam zdjecie jakiejs kobiety, poparte historia choroby, ktora kazdy mogl spreparowac.

-Sluchaj, Chuck. Nawet jesli Rachel Solando to ich wymysl, nawet jesli zainscenizowali to wszystko, nie mogli w zaden sposob przewidziec, ze wydzial przydzielil te sprawe mnie.

-Rozpytywales sie, Teddy. Robiles podchody, weszyles wokol Ashecliffe. Na wlasne oczy widziales ogrodzenie pod napieciem otaczajace oczyszczalnie wody.

Slyszales o oddziale mieszczącym się w starym forcie. Trzymają mniej niż setkę pacjentów w zakładzie, który pomieszczyłby trzystu. To trefne miejsce jak cholera, Teddy.

W innych szpitalach nie chcą rozmawiać na jego temat i to nie daje ci do myślenia? Szef personelu medycznego ma powiązania z OSS, pieniądze płyną tu z funduszu ustanowionego przez KDA. Wszystko wskazuje na to, że to jakiś ważny rządowy projekt.

A ty jesteś zaskoczony, gdy sugeruje, że przez ostatni rok to nie ty ich, ale oni ciebie mieli na celowniku?

-Ile razy mam powtarzać, Chuck? Skąd mogli wiedzieć, że to ja zostanę przydzielony do sprawy Rachel Solando?

-Do ciężkiej cholery, naprawdę jesteś taki tępy?

Teddy wyprostował się i spojrzał na Chucka z góry.

-Przepraszam, przepraszam - powiedział Chuck, podnosząc rękę. - Jestem klebkiem nerwów.

-W porządku.

-Chcę tylko zwrócić twoją uwagę na jedną rzecz: to było do przewidzenia, że nie przepuścisz takiej okazji. Do Ashecliffe trafił zbrojca twojej żony. Wystarczyło tylko upozorować ucieczkę pacjenta. Wiedzieli, że przeskoczysz przez zatokę, jeśli będzie trzeba tu się dostać.

Stalowe skrzydło drzwi urwało się z ostatniego zawiasu i zamknęło z hukiem wejście do grobowca. Przez chwilę łomotało o kamienny mur, potem wzbilo się w powietrze, pofrunęło nad cmentarzem i zniknęło im z oczu.

Wpatrywali się w wejście bez słowa, wreszcie pierwszy odezwał się Chuck:

-Ale obaj to widzieliśmy, nie?

-Traktują ludzi jak krowki doświadczalne, a ty się tym nie przejmujesz.

-Wracz przeciwnie, Teddy. To mnie przeraża. A właściwie skąd o tym wiesz?

Twierdzisz, że zostałeś wysłany, żeby się rozeznać w sytuacji. Kto cie wysłał?

-Slyszales, jak Cawley pytał mnie o senatora, kiedy spotkaliśmy się z nim zaraz po przyjeździe na wyspę?

-Tak.

-Miał na myśli senatora Hurly'ego z New Hampshire, z Partii Demokratycznej.

Hurly jest szefem podkomisji badającej finansowanie ze środków budżetowych opieki nad umysłowo chorymi. Widział, jakie fundusze przekazywane są do tego zakładu, i to mu się nie podobało. Z kolei ja trafiłem na niejakiego George'a Noyce'a. Noyce przebywał jakiś czas w Ashecliffe. Na oddziale C. Został wypuszczony i dwa tygodnie później wszedł do baru w

Attleboro i rzucił się na ludzi z nożem. Obcych. W więzieniu opowiadał o smokach na oddziale C. Obronca Noyce'a chce powołać się na jego niepoczytalność. W przypadku tego faceta sprawa jest oczywista. To świr. Ale Noyce zwalnia obronę, staje przed sądem i przyznaje się do winy, wręcz błaga sędziego, żeby skazał go na więzienie, każde więzienie, tylko bron Boże, nie wysyłał go do wariatkowa.

Noyce siedzi w pudle mniej więcej rok i zaczyna odzyskiwać rozum i w końcu zaczyna opowiadać o tym, co się wyrabia w Ashecliffe. Wszyscy biorą jego opowieści za wytwory obłąkanego umysłu, ale senator Hurly uważa, że może wcale nie są takie niedorzeczne, jak się wydaje.

Chuck siadł na betonowej krawędzi i zapalił papierosa. Zastanawiał się przez chwilę nad słowami Teddy'ego.

-Ale jak senator wpadł na twój ślad i jak dotarłiscie do Noyce'a? - spytał.

Przez chwilę Teddy miał wrażenie, że w szalonym kotłownianinie na dworze dostrzega zataczające luk światła.

-Właściwie rzecz miała się odwrotnie. To Noyce trafił do mnie, a ja odszukałem senatora. Przez Bobby'ego Farrisa, komendanta Renton. Zadzwoił do mnie kiedyś rano i zapytał, czy nadal interesuje mnie Ashecliffe. A ja na to, że jasne, więc opowiedział mi o więzieniu w Dedham, który robi szum wokół Ashecliffe. Jada do Dedham, rozmawiam z Noyce'em. Spotkałem się z nim w sumie kilka razy. Noyce mówił, że raz na studiach przed egzaminami pucyli mu nerwy. Krzyczał na wykładowców, stłukł piestką szybę w akademiku. Zaprowadzili go na rozmowę z psychologiem, a ten namówił go, żeby wziął udział w eksperymencie i zarobił trochę grosza. Rok później Noyce opuszcza mury kolegium jako schizofrenik w pełnym tego słowa znaczeniu, bredzi niestworzone rzeczy na ulicy, ma zwidy, swiruje na całego.

-Chłopak był normalny...

Teddy znowu zobaczył światła rozblyskujące w nawalnicy, podszedł bliżej wyjścia, spojrzał na zewnątrz. Błyskawica? To by się zgadzało, ale przecież wcześniej nie widział ani jednej.

-Tak normalny, jak przewiduje ustawa. Nie potrafił może - jak oni to tutaj określają? - "poradzić sobie ze złością", ale był zdrow na umyśle. Rok później zupełnie mu odbija. Pewnego dnia widzi faceta w Park Square, bierze go za profesora, który skierował go do psychologa na uczelni. Tak naprawdę to Bogu ducha winny człowiek, ale Noyce mocno go poharatał. Trafia do Ashecliffe, na oddział A. Ale nie zagrzewa tam miejsca. Wykazuje już wtedy silne agresywne skłonności. Przenoszą go na oddział C.

Tam karmia go środkami halucynogennymi i przyglądają się, jak pozerają go smoki i popada w szalenstwo. Zwariował chyba bardziej, niż sobie tego życzyli, bo na koniec, żeby go uspokoić, przeprowadzają na nim operację.

-Operacje - powtórzył Chuck.

Teddy skinał głową.

-Przez oczodolowa lobotomie. To sama radosc, Chuck. Porazaja faceta elektrowstrzasem, a potem wdzieraja mu sie przez oko do mozgu - zgadnij czym?

Szpikulcem do lodu. Nie zartuje. Na zywcza. Gmeraja mu pod czaszka, usuwaja kilka wlokien nerwowych z mozgu - i juz po wszystkim, sprawa zalatwiona. Bulka z maslem.

-Przeciez zasady norymberskie zabraniaja... - ...eksperymentowania na ludziach dla celow czysto naukowych, owszem. Sam najpierw myslalem, ze bedzie mozna dobrac sie do nich na tej podstawie. Nic z tego.

Eksperymenty sa dopuszczalne, gdy bezposrednio sluzza zwalczeniu choroby pacjenta.

Wiec jesli lekarz powie: "Hej, my tylko staramy sie pomoc temu nieszczesnikowi, chcemy sprawdzic, czy te srodki moga wywolac schizofrenie, a tamte ja powstrzymac" - w niczym nie narusza prawa.

-Zaraz, zaraz. Powiedziales, ze Noyce zostal poddany tej przez... hm...

-Przez oczodolowej lobotomii. Zgadza sie.

-Ale skoro z zalozenia ten zabieg ma uspokajac delikwenta, to jakim cudem Noyce zdolal uszkodzic faceta w Park Square?

-Widocznie nic nie dala.

-Czesto tak sie dzieje?

Teddy znow ujrzal zakreslajace luk swiatla i tym razem mial pewnosc, ze przez wycie wichru przebija sie zawodzenie silnika.

-Panowie!

Glos byl slaby, ale slyszalny.

Chuck zsunal sie z plyty po przeciwnej stronie i stanal w progu obok Teddy'ego. Na drugim koncu cmentarza widac bylo reflektory samochodu, zaraz potem rozlegl sie skrzek megafonu, po nim pisk sprzezenia zwrotnego i w koncu uslyszeli slowa:

-Panowie! Jezeli tam jestescie, dajcie znac. Tu zastepca komendanta McPherson.

Panowie!

-I co ty na to? - powiedzial Teddy. - Znalezli nas.

-Przeciez to wyspa, szefie. Zawsze nas tutaj znajda.

Teddy napotkal wzrok Chucka i skinal glowa. Po raz pierwszy, odkad go poznal, widzial w jego oczach lek, ktory staral sie stlumic w sobie, zaciskajac zeby.

-Wszystko bedzie dobrze, Chuck.

-Panowie! Jestescie tam?

-Nie jestem pewny - odparl Chuck.

-A ja tak - oswiadczył Teddy, chociaz sam mial watpliwosci. - Trzymaj sie mnie, a nie zginiesz. Wydostaniemy sie z tej przekletej wyspy, Chuck, obaj. Obiecuje ci.

Wyszli na hulajacy wiatr, ktory naparl na nich z sila druzyny futbolowej, ale nie zwalil ich z nog. Splatajac rece, wczepiajac sie w siebie, brneli w kierunku swiatla.

10

-Rozum wam odjelo czy co?Dobiegly ich slowa McPhersona, wykrzyczane na wietrze, a tymczasem dzip pedzil jak na zlamanie karku prowizorycznym szlakiem biegnacym wzdluz zachodniego skraju cmentarza.

McPherson siedzial z przodu obok kierowcy i patrzyl na nich zaczerwienionymi oczami, jego teksanski czar prysl w starciu z rozhukanym zywolem. Nie przedstawil im swego towarzysza. Chlopak za kierownica byl mlodziencem o szczuplej twarzy ze spiczasta broda, reszta szczegolow ginela pod kapturem nieprzemakalnej kurtki. Ale prowadzil dzipa z wprawa zawodowego kierowcy, przedzieral sie przez zarosla i zwaly nawianych przez wichure szczatkow, jakby wcale nie zagradzaly im drogi.

-Burza tropikalna przeszla juz w huragan. W tej chwili wiatry wieja z predkoscia ponad dwustu kilometrow na godzine. Zgodnie z przewidywaniami do polnocy ich predkosc wzrosnie prawie do trzystu. A wy beztrosko sobie spacerujecie?

-Skad to wszystko wiecie? - spytal Teddy.

-Mamy amatorska radiostacje, szeryfie. Trzeba liczyc sie z tym, ze za kilka godzin tez padnie.

-No jasne - odparl Teddy.

-Musielismy sie oderwac od pracy przy zabezpieczaniu terenu szpitala, zeby was szukac - oswiadczył McPherson, po czym walnal reka w oparcie siedzenia i obrocil sie do przodu; najwyrazniej nie mial im nic wiecej do powiedzenia.

Dzip podskoczyl na wypuklosci i przez chwile Teddy widzial tylko niebo, czul pustke pod kolami pojazdu, a potem opony zlapaly grunt i skrecili ostro w dol stromej pochylosci. Po lewej mieli teraz ocean, zmieniony w kipiel wzbijajacych sie balwanow z szerokimi, bialymi grzywami, ktore przypominaly grzyby powstale po wybuchu atomowym.

Dzip prul przez pagorki, potem wdarl sie w kepe drzew, a Teddy i Chuck, mimo ze sie trzymali, z tylu wozu odbijali sie od siebie jak pilki. Nagle drzewa zostaly za nimi i na wprost ukazal sie tyl palacyku Cawleya. Pokonali stumetrowy odcinek uslany gruba warstwa drewnianych odlamkow i sosnowych igiel, nim dotarli do drogi dojazdowej, wtedy kierowca wrzucil wyzszy bieg i dzip pomknal w kierunku glownej bramy.

-Zabieramy was na spotkanie z doktorem Cawleyem - oznajmil McPherson, ogladajac sie do tyłu. - Nie moze sie doczekac, zeby sie z wami rozmowic.

-A ja myslalem, ze zostawilem mamuske w Seattle - powiedzial Chuck.

Wzieli prysznic w budynku, w ktorym byli zakwaterowani, i wlozyli przygotowane dla nich suche stroje poslugaczy, pobrane ze szpitalnego magazynu. Ich mundury powedrowaly do pralni. Chuck zaczesal wlosy do tyłu, spojrzal na swoja biala koszule i biale spodnie i powiedzial:

-Czy zycza sobie panstwo karte win? Dzisiaj polecamy wolowine a la Wellington.

Jest wysmienita.

Trey zajrzal do lazienki i z trudem hamowal smiech, oceniajac ich nowy ubior.

-Mam was zaprowadzic do doktora Cawleya - oznajmil.

-Mocno sie nam oberwie?

-Tylko troche, jak podejrzewam.

-Panowie - rzekl na ich widok Cawley. - Rad jestem, ze was widze.

Wydawal sie ozywiony, oczy mu blyszczaly. Teddy i Chuck rozstali sie z Treyem w progu i sami weszli do sali narad na najwyzszym pietrze szpitala.

Zebrali sie w niej lekarze, jedni w fartuchach laboratoryjnych, inni w garniturach.

Siedzieli wokol dlugiego stolu z drewna tekowego, zastawionego lampkami z zielonymi kloszami i ciemnymi popielniczkami, z ktorych teraz wznosil sie dym papierosow lub cygar; jedynym amatorem fajki byl Naehring, zajmujacy miejsce u szczytu stolu.

-Koledzy, oto oficerowie, o ktorych mowilismy. Szeryfowie federalni Daniels i Aule.

-Gdzie sie podzialy wasze ubrania? - zapytal jeden z lekarzy.

-Dobre pytanie - odparl Cawley, mocno ubawiony cala sytuacja, jak ocenil Teddy.

-Wyszlismy sie przewietrzyc - wyjasnil Teddy.

-Przy takiej pogodzie? - Cawley wskazal wysokie okna, pozaklejane na krzyz mocna tasma. Mialo sie wrazenie, ze lekko sie wzdymaja, wydechaja powietrze do pokoju. Szyby brzezczyly pod palcami deszczu, a caly budynek skrzypial pod naporem wichru.

-Niestety, tak - powiedzial Chuck.

-Zechciejcie spoczac panowie - odezwal sie Naehring. - Juz konczymy narade.

Znalezli dwa wolne krzesla na koncu stolu.

-John - zwrocil sie Naehring do Cawleya - musimy osiagnac porozumienie w tej sprawie.

-Znasz moje stanowisko.

-Wszyscy je szanujemy, rzecz jasna, ale skoro neuroleptyki moga spowodowac wymagane zmniejszenie zaburzenia rownowagi serotoniny, to moim zdaniem nie mamy zbyt wielkiego wyboru. Musimy dalej prowadzic te badania. Pierwszy testowany pacjent, Doris Walsh, spelnia wszystkie kryteria. Nie widze tu zadnych przeszkod.

-Martwia mnie jednak koszty.

-To duzo tansze niz operacja, wiesz przeciez.

-Chodzi mi o ryzyko uszkodzenia zwojow podstawy i kory mozgowej. Zwracam uwage na wyniki wczesniejszych badan prowadzonych w Europie, swiadczace o mozliwosci porazenia ukkladu nerwowego o skutkach podobnych do tego, ktore wystepuje w nastepstwie zapalenia mozgu czy udaru.

Zbywajac watpliwosci Cawleya, Naehring zarzadzil glosowanie:

-Wszyscy, ktorzy popieraja wniosek doktora Brotigana, prosze podniesc reke.

Rece wszystkich zebranych oprócz Cawleya i jeszcze jednego mezczyzny smignely w gore.

-Wyglada na to, ze niemal wszyscy opowiadaja sie za - oswiadczyl Naehring. - Dobrze. W takim razie wystapimy do rady nadzorczej o sfinansowanie badan doktora Brotigana.

Mlody mezczyzna, zapewne Brotigan, kiwajac glowa, podziekowal kolegom.

Gładkie policzki, wysunieta dolna szczeka, stuprocentowy Amerykanin. Teddy uznal, ze to taki typ, ktory potrzebuje nianki, gdyz za bardzo pochlania go urzeczywistnianie najsmielszych marzen jego rodzicow.

-No coz - powiedzial Naehring, zamykajac segregator i przenoszac wzrok na Chucka i Teddy'ego. - Jak tam wasze sprawy, panowie?

Cawley wstal i podszedl do kredensu nalac sobie kawy.

-Podobno znalezli was w grobowcu.

Tu i owdzie rozlegly sie chichoty, lekarze zaslanieli usta reka.

-Zna pan lepsze miejsce, gdzie mozna by sie schronic przed huraganem? - spytal Chuck.

-Owszem, tutaj. Najlepiej w podziemiach - odparl Cawley.

-Slyszelismy, ze w porywach moze osiagnac predkosc trzystu kilometrow na godzine.

Cawley przytaknal, zwrcony do nich plecami.

-Dzisiaj rano w Newport na Rhode Island zniszczeniu uległo trzydzieści procent domów.

-Oby tylko nie Vanderbiltoów - wtracił Chuck.

Cawley usiadł przy stole.

-Po południu huragan przeszedł nad Provincetown i Truro. Nie wiadomo, jak bardzo ucierpiał, bo są odcięte od świata, łączność radiowa zerwana. Wszystko wskazuje na to, że teraz zmierza prosto na nas.

-Od trzydziestu lat nie było na wschodnim wybrzeżu huraganu o takiej sile - zauważył jeden z lekarzy.

-Powietrze nalaadowane jest elektrycznością statyczną - powiedział Cawley. - To przez to wczoraj wieczorem centrale telefoniczna diabli wzięli, a radiostacje ledwo żyją.

Jeśli huragan spadnie prosto na nas, nie wiem, czy zostanie tu kamień na kamieniu.

-I właśnie dlatego upieram się przy tym, żeby unieruchomić wszystkich pacjentów w Niebieskiej Strefie - oświadczył Naehring.

-W Niebieskiej Strefie? - powtórzył Teddy.

-Na oddziale C - wyjaśnił Cawley. - Chodzi o pacjentów, którzy w powszechnym mniemaniu stanowią zagrożenie dla samych siebie, dla tej placówki i dla całego społeczeństwa. Nie możemy tego zrobić - zwrócił się do Naehringa. - Jeśli nas zaleje, potopia się. Wiesz dobrze.

-Musiałaby być niezła powódź.

-Jesteśmy na wyspie, na którą niedługo spadnie huragan wiejący z prędkością trzystu kilometrów na godzinę. "Nieźła powódź" jest całkiem realna. Podwoimy straż.

Ani na chwilę nie spuścimy z oka pacjentów z Niebieskiej Strefy. Bez żadnych wyjątków. Ale nie możemy przykuc ich do łóżek. Już są pozamykani w celach. Na miłość boską, to byłaby gruba przesada.

-Podejmujesz ryzyko, John - odezwał się cicho mężczyzna, szatyn siedzący pośrodku stołu, który - jak Teddy pamiętał - jako jedyny oprócz Cawleya nie wyraził poparcia dla projektu poddanego pod głosowanie, kiedy weszli do sali. Bawił się długopisem, studiując obrus, ale Teddy domyślił się po tonie jego głosu, że darzy Cawleya przyjaznią. - Nie sposób przewidzieć, co się stanie. Przypuśćmy, że wysiadzie zasilanie.

-Mamy generator awaryjny.

-A jeśli on też padnie? I otworzą się cele?

-Przecież to wyspa - odparł Cawley. - Dokąd mają uciec? Chyba nie grozi nam to, że wsiada na prom do Bostonu i spustosza miasto. A jeśli nalożymy im wieży i placówkę zaleje, panowie, wszyscy oni zginą. W grę wchodzi dwadzieścia cztery ludzkie istnienia.

A gdyby, nie daj Bog, coś przytrafiło się tutaj pozostałym? Czterdziestu dwom pacjentom? Ja nie mogłbym żyć z czymś takim na sumieniu. A wy?

Cawley spojrzął po twarzach swoich kolegów i Teddy nagle wyczuł u Cawleya pokłady współczucia, o jakie wcześniej nawet go nie posadzał. Nie miał pojęcia, dlaczego Cawley zaprosił ich na to zebranie, ale zaczynał podejrzewać, że ten człowiek nie ma tu zbyt wielu przyjaciół.

-Panie doktorze - odezwał się Teddy. - Nie smiem przeszkadzać...

-Ależ proszę, szeryfie. Przecież sciągnęliśmy was tutaj. Teddy'ego koczyło, żeby odpowiedzieć mu: "Poważnie?", ale zamiast tego rzekł:

-Rozmawialiśmy rano o zaszyfrowanej wiadomości, która została Rachel Solando.

-Czy wszyscy zebrani wiedzą, o co chodzi?

-Zasada Czterech. Po prostu bomba - rzekł Brotigan z uśmiechem, który Teddy miał ochotę usunąć z jego twarzy szczypcami.

-Powiedział pan rano, że nie domyśla się znaczenia ostatniej wskazówki. - "Kim jest szesćdziesiąt siedem?". Tak? - odezwał się Naehring.

Teddy skinął głową i rozsiadł się w krzesle, dając im pole do popisu. Spojrzenia wszystkich zebranych skupiły się na jego osobie, wyrażały zaciekawienie i bezradność.

-Naprawdę tego nie dostrzegacie.

-Czego nie dostrzegamy, szeryfie?

Pytanie zadał sojusznik Cawleya; Teddy odczytał nazwisko wyszyte na fartuchu:

Miller.

-Macie tutaj szesćdziesięciu szesćciu pacjentów.

Spoglądali na niego złaknionym wzrokiem dzieci na przyjęciu urodzinowym, czekających na następną sztuczkę klauna.

-Czterdziestu dwóch pacjentów na oddziałach A i B. Dwudziestu czterech na oddziale C. To daje nam w sumie szesćdziesięciu szesćciu.

Po minach odgadł, że niektórym zaczyna wreszcie coś świtać, ale większość nadal patrzyła na niego bezrozumnie.

-Szesćdziesięciu szesćciu pacjentów - powiedział Teddy. - Zatem pytanie: "Kim jest szesćdziesiąt siedem?", sugeruje, że przebywa tu szesćdziesiąty siódmy pacjent.

Cisza. Kilku lekarzy spojrzęło po sobie. Ogólne milczenie przerwał Naehring:

-Nie rozumiem.

-A co w tym trudnego? Rachel Solando informuje nas w ten sposób o istnieniu szesdziesiątego siódmego pacjenta.

-Ale szesdziesiątego siódmego pacjenta nie ma - oświadczył Cawley, kładąc ręce na stole. - Pomyśl jest znakomity, szeryfie, i gdyby to była prawda, rozszyfrowałby pan całą wiadomość. Ale dwa plus dwa nigdy nie równa się pięć, nawet jeśli byśmy tego chcieli. Skoro w zakładzie przebywa szesdziesięciu szesciu pacjentów, rozważania na temat szesdziesiątego siódmego traca racje bytu. Rozumie pan?

-Nie - odparł Teddy, starając się mówić opanowanym głosem. - W tym punkcie się z panem nie zgadzam.

Cawley namyślał się, nim odpowiedział, jakby szukał odpowiednich słów, możliwie najprostszyc:

-Gdyby nie ten huragan, dziś rano przyjelibyśmy dwóch nowych pacjentów. Łączna liczba wzrosłaby do szesdziesięciu osmiu. Gdyby uchoj Boże, jakiś pacjent umarł wczoraj w nocy we śnie, liczba spadłaby do szesdziesięciu pięciu. Suma może się zmienić z dnia na dzień, z tygodnia na tydzień, w zależności od wielu czynników.

-Ale tej nocy, kiedy Rachel Solando pisała tę zaszyfrowaną wiadomość...

-Owszem, łącznie z nią było wtedy szesdziesięciu szesciu pacjentów. Przyznaje panu rację, szeryfie. Ale wciąż brakuje nam jednego, prawda? Nie tedy droga.

-Uważam, że to właśnie Rachel chciała nam przekazać.

-Tak, zdaje sobie z tego sprawę. Ale ta wiadomość mija się z prawdą. Nie ma szesdziesiątego siódmego pacjenta.

-Czy zgodzi się pan, żebyśmy ja i mój partner zajrzeli do kart pacjentów?

Wywołało to u zebranych grymasy niezadowolonia i spojrzenia pełne oburzenia.

-Wykluczone - rzekł Naehring.

-Obawiam się, że to niemożliwe, szeryfie. Przykro mi. Teddy opuścił głowę, popatrzył na swoją idiotyczną białą koszulę i spodnie do kompletu. Wyglądał jak lodziarz. Pewnie wydał im się apodyktyczny. Może prędzej by ich przekonał, gdyby każdemu podał po galce lodów.

-Nie mamy dostępu do akt osobowych. Nie mamy dostępu do kart pacjentów. Jak waszym zdaniem mamy odnaleźć zaginioną pacjentkę, panowie?

Naehring rozsiadł się w krzesle, przekrzywił głowę. Reka Cawleya, w której trzymał papierosa, zawisła w powietrzu w połowie drogi do ust.

Kilku lekarzy opowiadało coś sobie szeptem. Teddy spojrzał na Chucka.

-Nie patrz tak na mnie. Ja też nie wiem, co jest grane - odparł cicho Chuck.

-Komendant nic wam nie powiedział? - zdziwił się Cawley.

-W ogóle nie rozmawialiśmy z komendantem. McPherson nas przywiozł.

-O mój Boże - westchnął Cawley.

-Co?

Cawley spojrzał po zebranych szeroko otwartymi oczami.

-Co? - powtórzył Teddy.

Cawley wypuścił z sykiem powietrze i przeniósł wzrok z powrotem na szeryfów. -
Znaleźliśmy ją.

-Słucham?

-Rachel Solando. Znaleźliśmy ją dziś po południu - odparł Cawley, zaciągając się papierosem. - Jest tu, panowie. Za tymi drzwiami, przy końcu korytarza.

Teddy i Chuck spojrzeli przez ramie w stronę drzwi. - Możecie już odetchnąć, panowie.
Wasza misja dobiegła końca.

11

Cawley i Naehring poprowadzili ich korytarzem wyłożonym mozaiką z białych i czarnych płytek. Przeszli przez podwójne drzwi do głównego oddziału szpitalnego. Mineli stanowisko pielęgniarek po lewej i skręcili w prawo do przestronnego pomieszczenia z długimi świetłówkami i wygiętymi w łuk karniszami, w którym zastali Rachel. Siedziała na łóżku w jasnozielonym szlafroku szpitalnym, który ledwie zakrywał jej kolana, świeżo umyte włosy zaczesane miała do tyłu.

-Rachel, przyprowadziłem dziś kilku moich znajomych - powiedział Cawley. - Chyba nie masz nic przeciwko temu?

Wygładziła rąbek szlafroka pod udami i spojrzała na Teddy'ego i Chucka wzrokiem zaintrygowanego dziecka.

Nawet nie była drasnieta.

Cere miała barwy piaskowca. Jej twarz, ręce i nogi były nieskazitelnie gładkie. Skóra w odsłoniętych miejscach nie nosiła żadnych śladów zadrapań czy otarć, jakie mogłyby pozostawić na niej galezie, kolce czy krawędzie skal.

-Co panów sprowadza? - zwróciła się do Teddy'ego.

-Pani Solando, przyszliśmy...

-Sprzedac mi cos?

-Slucham?

-Nie jestescie chyba domokrazcami? Nie chce byc grubianska, ale decyzje co do zakupow podejmuje maz.

-Nie, prosze pani, niczego nie sprzedajemy.

-To swietnie. Wobec tego, w czym moge wam pomoc?

-Moglaby nam pani powiedziec, gdzie przebywala pani wczoraj?

-Bylam u siebie. W domu. - Spojrzala na Cawleya. - Kim sa ci ludzie?

-To oficerowie prowadzacy sledztwo, Rachel - odparl Cawley.

-Cos zlego przytrafilo sie Jimowi?

-Nie - powiedzial Cawley. - Nie, nie. Z Jimem wszystko w porzadku.

-Bo chyba nie dzieciom. - Rozejrzala sie dookola. - Sa na podworku. Niczego nie spsocily, mam nadzieje?

-Nie, pani Solando - odezwal sie Teddy. - Dzieci sprawuja sie jak nalezy. A maz ma sie dobrze. - Napotkal wzrok Cawleya, ktory kiwnal glowa z aprobata. - Po prostu, hm, slyszelismy, ze wczoraj w okolicy pokazal sie znany wywrotowiec. Widziano, jak rozdawal komunistyczne ulotki.

-Wielkie nieba, tylko nie to. Dzieciom?

-O ile nam wiadomo, nie.

-Ale w tej dzielnicy? Na tej ulicy?

-Niestety, tak, prosze pani - odparl Teddy. - Mielismy nadzieje, ze dowiemy sie, gdzie pani wczoraj bywala, co pomogloby nam ustalac, czy zetknela sie pani z owym osobnikiem.

-Posadza mnie pan o to, ze jestem komunistka? - Odsunela plecy od poduszki, zacisnela rece na koldrze.

Cawley spojrzal wymownie na Teddy'ego: nawarzyles piwa, to teraz je wypij.

-Komunistka? Pani? Alez skad. Nikomu przy zdrowych zmyslach nie przeszloby to nawet przez mysl. Pani jest tak amerykanska jak Betty Gracie.

Rozwarla palce jednej reki, puscila koldre i potarla kolano.

-Przeciez nie jestem podobna do Betty Gracie.

-Tylko pod względem pani oczywistego patriotyzmu. Z wyglądu moim zdaniem bardziej przypomina pani Terese Wright. Pamięta pani ten film sprzed dziesięciu, dwunastu lat, w którym występowała z Josephem Cottenem?

-Cien wątpliwości. Słyszałam o nim - odparła, przywołując na twarz uśmiech, który był zarazem czarujący i zmysłowy. - Moj Jim bil się na wojnie. Kiedy wrócił do domu, oświadczył, że świat jest wolny, bo Amerykanie wywalczyli wolność dla świata i pokazali, że amerykańskie zasady nie mają sobie równych. - Świetna prawda - przytaknął Teddy. - Ja też brałem udział w tej wojnie.

-Poznał pan mojego Jima? - Zależy, ale nie. Ale jestem pewny, że to porządny człowiek. Służył w armii?

-W piechocie morskiej - zachnęła się Rachel, marszcząc nos. - "Zawsze wierni" - odparł Teddy. - Pani Solando, musimy koniecznie odtworzyć wszystkie wczorajsze poczynania tego wywrotowca. Może nawet go pani nie zauważyła.

To przebiegły dran. Dlatego właśnie potrzebne nam są informacje o tym, co pani robiła.

Zestawimy je z tym, co nam wiadomo na temat miejsc, w których bywał ten osobnik, i w ten sposób sprawdzimy, czy wasze drogi się skrzyżowały.

-Jak statków płynących nocą?

-Właśnie. Rozumie pani, o co chodzi?

-Och, tak. - Podniosła się na łóżku i siadła po turecku; jej ruchy wywołały żywy oddźwięk w żołądku i kroczu Teddy'ego.

-Proszę mi opisać swój wczorajszy dzień - zachęcił ją.

-Coż, niech pomyśle... Przygotowałam mężowi i dzieciom śniadanie. Zrobiłam Jimowi kanapki do pracy i wyszedł. Potem zaprowadziłam dzieci do szkoły. Kiedy wróciłam, postanowiłam popływać w jeziorze.

-Często pani to robi?

-Nie - odparła, pochylając się do przodu, uśmiechając się, jakby ją podrywał. - Sama nie wiem, nasza mnie dziwna chętka. Pana też nachodzą czasami? Takie dziwne chętki?

-Jasne.

-Tak właśnie było ze mną. Rozebrałam się do naga i pływałam tak długo, aż ręce i nogi zaczęły mi ciążyć jak kłody. Wyszłam z wody, wytarłam się i ubrałam. Poszłam na spacer brzegiem jeziora. Puszczalam kaczki, budowałam zamki z piasku. Małe zamki.

-Pamięta pani, ile ich zbudowała? - spytał Teddy i poczuł na sobie wzrok Cawleya.

Zastanawiała się, zadarłszy głowę. - Tak.

-Ile?

-Trzynastcie.

-To dosc sporo.

-Niektore calkiem malenkie - wyjasnila. - Nie wieksze od filizanki.

-A co potem?

-Myslalam o tobie - powiedziala.

Teddy zobaczyl, ze Naehring zerka na Cawleya bedacego po przeciwnej stronie lozka, a kiedy napotkal jego spojrzenie, Naehring, nie mniej zdziwiony od reszty obecnych, uniosl bezradnie rece.

-Dlaczego o mnie? - spytal Teddy.

Odslonila w usmiechu biale zebry, rozchylone na tyle tylko, ze wystawal spomiedzy nich czerwony koniuszek jezyka.

-Bo ty jestes moim Jimem, gluptasie. Moim zolnierzykiem. - Kleknela na lozku, wziala jego dlon w swoja i gladzila ja. - Taka szorstka. Uwielbiam te zgrubienia.

Uwielbiam czuc ich wypuklosci na moim ciele. Tak mi ciebie brak, Jim. Wciaz jestes poza domem.

-Mam mnostwo pracy - powiedzial Teddy.

-Usiadz. - Pociagnela go ku sobie za reke.

Cawley ponaglil go wzrokiem i Teddy poslusznie zblizyl sie do lozka. Siadl obok niej. Cokolwiek krylo sie za tym niemym skowytem bijacym ze zdjecia Rachel, minelo bez sladu, przynajmniej chwilowo. Nie sposob bylo nie dostrzec z takiego bliska jej niepospolitej urody. Jej postac odznaczala sie falistymi, miekkimi ksztaltami, ruchy miala niespieszne, plynne, twarz o wydatnych ustach i podbrodki, ciemne oczy palajace blaskiem czystym niczym zrodlana woda.

-Harujesz jak wol - powiedziala, muskajac palcami dolek tuz ponizej gardla, jakby wygladzala mu faldke na wezle krawatu.

-Trzeba nakarmic rodzine - rzekl Teddy.

-Och, dobrze nam sie powodzi - odparla, a on poczul jej oddech na szyi. - Wystarcza nam to, co mamy.

-Na razie. Ale ja mysle o przyszlosci.

-A kto ja widzial? - powiedziala Rachel. - Pamietasz, co mawial moj tata?

-Zapomniałem.

Przezesala mu palcami włosy na skroniach. - "Przyszlosc to towar na przedplaty - mowil - ja kupuje za gotowke". - Zasmiala sie cicho i przysunela do niego; czul, jak napiera na niego piersiami. - Nie, kochany, zyje sie chwila obecna. Tu i teraz.

To bylo powiedzenie Dolores. Przypominaly mu ja rowniez usta i włosy Racheli, i to tak bardzo, ze gdyby jej twarz znalazla sie jeszcze blizej, moglby niemal przysiac, ze rozmawia z Dolores we własnej osobie. Obu kobietom wspolna byla swoista rozedrgana zmyslowosc - Teddy po tylu latach wciaz nie mial pewnosc, czy jego zona zdawala sobie sprawe z wrazenia, jakie wywoływala.

Staral sie przypomniec sobie, o co mial ja zapytac. Wiedzial, ze musi sprowadzic rozmowe na wlasciwe tory. Wyciagnac z Rachel, co wczoraj robila, wlasnie - co sie wydarzylo pozniej, po spacerze brzegiem jeziora i zabawie w budowanie zamkow z piasku.

-Co zrobilas potem, po przechadzce nad jeziorem?

-Juz ty dobrze wiesz. - Nie.

-Och, chcesz to uslyszec ode mnie? O to chodzi? Pochylila sie tak, ze jej twarz znalazla sie nieznacznie ponizej jego, spogladala na Teddy'ego od dolu ciemnymi oczami, jej oddech trafial prosto do jego ust.

-Nie pamietasz?

-Nie.

-Klamca.

-Mowie powaznie.

-Nieprawda. Jesli zapomniales, Jamesie Solando, to juz ja ci pokaze.

-Powiedz mi.

-Chcesz to uslyszec.

-Chce to uslyszec.

Pogladzila go po policzku i po brodzie, a kiedy sie odezwala, jej glos brzmial ochryple:

-Wrocilam znad jeziora cala mokra, a ty wylizales mnie do sucha.

Teddy objal rekami jej twarz, zanim zdazyła sie z nim zewrzec. Przesunal palcami wzdluz jej skroni - włosy byly jeszcze wilgotne, czul to opuszkami kciukow - i zajrzal jej w oczy.

-Powiedz mi, co jeszcze wczoraj robiłaś - wyszeptal i spostrzegł, że coś ma ci jasność jej spojrzenia. Strach, domyślił się. Nagle wystąpił w całej okazałości, wykrzywił jej górną wargę, schylił brwi. Czuli, jak przez jej ciało przechodzi drżenie.

Rachel przyjrzała mu się badawczo, naraż wytrzeszczyła oczy, strzelając nimi dziko na boki.

-Ja ciebie pochowałam - oświadczyła.

-Przecież jestem tu z tobą.

-Pochowałam cię. W pustej trumnie, bo twoje szczątki zostały rozrzucone po całym Atlantyku. Włożyłam do trumny twój identyfikator, bo tylko on ocalał. Twoje ciało, twoje piękne ciało, wydane na pastwę płomieni i rekinów.

-Rachel - odezwał się Cawley.

-Jak mięso.

-Nie - powiedział Teddy.

-Czarne mięso, spalone na węgiel.

-To nie byłem ja.

-Zabili mi Jima. Mój Jim nie żyje. To kim ty, kurwa, jesteś? Wyrwała się z jego uścisku, podczołgała się po łóżku do ściany i znowu odwróciła się do niego twarzą.

-Co to za jeden? - Wskazała na Teddy'ego i plunęła na niego.

Teddy był jak skamieniały. Patrzył na nią, na wściekłość zalewającą jej oczy jak falą.

-Chciales mnie wyruchac? Wsadzić mi kutasa, wykorzystac to, że dzieci bawia się na podworku? Tak to sobie obmyśliles? Wynocha stad! Słyszysz? Wynocha...

Skoczyła na niego z ręką wzniesioną nad głowę. Teddy zerwał się z łóżka i zaraz przemknęli obok niego dwaj posługacze z grubymi skórzanymi pasami przewieszonymi przez ramie, chwycili Rachel za ręce i cisnęli na łóżko.

Teddy był cały rozdygotany, pot wystąpił mu na całym ciele, a Rachel zaczęła wrzeszczeć ile siły w płucach:

-Ty bydlaku! Ty pieprzony bezlitosny bydlaku! Mój maz wróci i poderżnie ci gardło! Słyszysz? Obetnie ci ten pieprzony łeb i razem napijemy się twojej krwi!

Bedziemy się w niej plawic, zobaczysz ty pieprzony zwyrodnialcu!

Jeden posługacz przygniotł jej tułów, a drugi chwycił potężnym łapskiem nogi w kostkach. Przełożyli pasy przez szczeliny w ramach łóżka, skrzyżowali je na piersi pacjentki, wsunęli w szczeliny po przeciwnej stronie, naciągnęli pasy i wetknęli końcówki w klamry, które zamknęli z trzaskiem, i wycofali się.

-Rachel - przemówił Cawley, łagodnie, po ojcowsku.

-Wszyscy jesteście siebie warci, pieprzeni zboczeńcy. Gdzie są moje dzieci? Gdzie moje dzieci? Oddajcie mi dzieci, przekleci zwyrodnialcy! Oddajcie mi dzieci!

Z jej gardła wyrwał się wrzask, który wwił się Teddy'emu w kregosłup niczym pocisk. Rachel napreżyła więzy z taką siłą, że wózek szpitalny cały zaklekał.

-Później przyjdziemy sprawdzić twój stan, Rachel - oświadczył Cawley.

Plunęła w jego stronę i Teddy usłyszał plask sliny uderzającej o posadzkę. Rachel znów krzyknęła, a na jej ustach pojawiła się krew; musiała przygryźć sobie wargi.

Cawley dał znak głową i pozostali ruszyli za nim do wyjścia. Teddy obejrzał się za siebie, dostrzegł utkwiony w nim wzrok Rachel, która patrzyła mu prosto w oczy, wijąc się na materacu. Ściągnięte na jej szyi były napreżone, a z ust przyskakała krew i ślina, gdy wrzeszczała na niego, jakby zobaczyła pochod wszystkich umarłaków tego stulecia, wdzierający się do środka przez okno i zmierzający prosto na nią.

Cawley miał w gabinecie barek, od razu po wejściu skierował się do niego i tam zniknął Teddy'emu z oczu. Przysłonił go welon z białej gazy i Teddy pomyślał: O nie, nie teraz. Tylko nie teraz, na miłość boską.

-Gdzie ja znaleźliście? - zapytał.

-Na plaży w pobliżu latarni morskiej. Rzuciła kamyczki do wody.

Doktor pokazał się w jego polu widzenia, ale tylko dlatego, że Teddy obrócił głowę w lewą stronę, kiedy Cawley szedł w prawo. Kiedy Teddy odwracał głowę, zasłona z gazy zakryła wbudowany regał z książkami, a potem okno. Potarł prawe oko, ludząc się na przekór świadectwu swoich zmysłów, ale to nic nie pomogło. Naraz poczuł, jak potok wrzającej lawy przecina całą lewą stronę jego głowy i rozlewa się pod czaszką wyzłobionym wozem. Z początku sądził, że to wrzaski Rachel tam się usadowiły, że przesładowuje go echo wściekłego zgiełku, ale to było coś znacznie gorszego: ból rozprysnął się nagle niczym tuzin sztyletów swidrujących mu czaszkę. Skrzywił się, dotknął skroni.

-Szeryfie?

Podniósł wzrok i dojrzał Cawleya za biurkiem po lewej ręce, mającące widmo.

-Tak? - wydobył z siebie Teddy.

-Jest pan trupio blady.

-Co z tobą, szefie? - Chuck wyrosł nagle u jego boku.

-Wszystko w porządku - wystękał Teddy, a Cawley postawił swoją szklaneczkę z whisky na biurku; jej stuk wydal się ogłuszający jak strzał z karabinu.

-Niech pan usiadzie - powiedzial Cawley.

-Nic mi nie jest - odparl Teddy, lecz slowa przychodzily mu tak opornie, jakby docieraly z mozgu do jezyka po drabinie nabitej szpikulcami.

Kosci Cawleya zatrzeszczaly jak plonace szczapy, kiedy oparl sie o biurko na wprost Teddy'ego.

-Migrena?

Teddy spojrzal na jego rozmyta postac. Skinalby na potwierdzenie, ale doswiadczenie nauczylo go, zeby podczas ataku, bron Boze, nie ruszac glowa.

-Tak - wydobyl z siebie.

-Domyslilem sie po tym, jak masowal pan skronie. - Aha.

-Czesto panu dokucza?

-Piec, szesc... - Teddy'emu zaschlo w ustach i minelo kilka sekund, nim zdolal zwilzyc nieco jezyk - ...razy w roku.

-Ma pan szczescie - rzekl Cawley. - Przynajmniej pod tym wzgledem.

-Jak to?

-Wiele osob cierpiacych na migrene ma gromadne bole glowy czesciej, raz na tydzien. - Cawley znnow wydal z siebie ten odglos pekajacych szczap, gdy odsunal sie od biurka. Teddy slyszal, jak otwiera szafke.

-Jakie ma pan objawy? - zapytal Cawley. - Czesciowa utrata wzroku, suchosc w ustach, uczucie palenia w glowie?

-Trafiony.

-Od tylu lat badamy mozg i wciaz nie mamy pojecia, co powoduje migrene. Nie do wiary, prawda? Wiemy, ze zazwyczaj atakuje plat ciemieniowy. Wiemy, ze wywoluje skrzep krwi. Wszystko, oczywiscie, na mikroskopijna skale, ale kiedy wystepuje w tak delikatnym narzadzie jak mozg, ma sie wrazenie, ze rozrywa glowe. Tyle czasu, tyle wysilku, a jej przyczyna czy dlugotrwałe nastepstwa nadal owiane sa tajemnica. Jesteśmy bezradni jak wobec zwyklego przeziebienia, ktorego nie potrafimy powstrzymac.

Cawley podal mu szklanke wody i wlozyl do reki dwie zolte tabletki.

-To powinno zalatwic sprawe - oswiadczył. - Zapadnie pan w sen na godzine czy dwie. A kiedy sie pan ocknie, po ataku nie bedzie sladu. Pana umysl bedzie jasny jak sloneczny poranek.

Teddy spojrzal na zolte pastylki, na szklanke z woda, ktora wysuwala mu sie z reki.

Przeniósł wzrok na Cawleya, wyteżal swoje jedyne sprawne oko, ponieważ postać doktora była skapana w tak białym i ostrym świetle, że zdawało się, iż jego barki i ręce wysyłają dookoła rozżarzone promienie.

Bez względu na okoliczności, odezwał się głos w głowie Teddy'ego...

Niewidzialne ręce rozwarły mu z lewej strony czaszkę, wsypały do środka garść pigulek i potrzasnęły. Teddy z sykiem wciągnął powietrze do płuc.

-Jezu, szefie.

-To przejdzie, szeryfie.

Głos spróbował jeszcze raz: Bez względu na okoliczności, Teddy...

Stalowy pret przebił się przez żwł pigulek i Teddy przycisnął rękę do widzącego oka, z którego trysnęły łzy. Żoładek zakolysał się w nim.

...nie bierz tych pigulek. Żoładek zapadł się, zsunął aż do biodra, a języki ognia rozpełzły się wzdłuż szczeliny w czaszce. Teddy bał się, że jeszcze trochę, a przegryzie sobie język.

Nie bierz tych cholernych pigulek, wrzasnął głos, biegnąc po płonącym wozie, wymachując sztandarem, zwolując oddziały.

Teddy pochylił głowę i z wymiotował na podłogę.

-Szefie, szefie. Co ci jest?

-Niech mnie licho - powiedział Cawley. - To naprawdę ciężki atak.

Teddy unosił głowę. Nie...

Policzki miał mokre od łez.

...bierz...

Ktoś wetknął do wozu ostrze.

...tych...

I zaczął nim pilować.

...pigulek.

Teddy zacisnął zęby, żoładek podchodził mu do gardła. Próbowal skupić się na szklance trzymanej w ręku, zauważył coś dziwnego na kciukach, lecz uznał, że to skutek zaburzonej przez migrenę percepcji. niebierzących pigulek.

Zębate ostrze rozrywało miękkie różowe fałdy jego mózgu. Teddy ostatkiem sił stłumił krzyk, usłyszał wrzask Rachel stąpającej się z ogniem, widział ją, jak patrzy mu w oczy, czuł

jej oddech na ustach, jej twarz w dłoniach, kiedy gładził ją kciukami po skroniach, a ta pieprzona pila wrzyniała mu się w mózg... niebierzącychcholernychpigulek ...i wrzucił pigułki do ust, poczuł, jak wlatują do gardła; popił wodę i przełknął, czuł, jak zsuwają się w dół przelicy, i opróżnił łapczywie szklanke.

-Będzie mi pan wdzięczny - powiedział Cawley Chuck był tuż przy nim, podał mu chusteczkę. Teddy wytarł czoło, potem usta i upuścił chusteczkę.

-Niech mi pan pomoże go podnieść, szeryfie - zakomenderował Cawley.

Dźwignęli Teddy'ego i obrócili; ujrzał przed sobą czarny otwór drzwi.

-Zdradzę panu mój mały sekret - rzekł doktor. - Mam tam pokoik, w którym po kryjomu ucinam sobie drzemkę od czasu do czasu. No dobrze, raz dziennie. Umieścimy tam pana, szeryfie, i odespi pan to. A za dwie godziny obudzi się pan rześki i wypoczęty.

Teddy widział swoje ręce. Dziwnie wyglądały - zwisały się bezwładnie. I kciuki - to złudzenie optyczne na jednym i drugim. Co to jest, do kurwy niedź? Teddy chciał potrząsnąć nimi o skórę, ale Cawley już otwierał drzwi. Ostatni raz przyjrzał się palcom na obu kciukach.

Czarne smugi.

Od pasty do butów, pomyślał, kiedy niesli go w głąb ciemnego pokoju.

Do ciężkiej cholery, skąd wzięła się na moich kciukach pasta do butów?

12

Snily mu się koszmary, tak potworne jak nigdy dotąd. Zaczęło się od tego, że szedł ulicami Hull, ulicami, które przemierzył mnóstwo razy w swych dziecięcych i młodzieńczych latach. Minal budynek starej szkoły. Minal tani sklepik, w którym kupował gumę do żucia i napój o smaku waniliowym. Minal dom Dickersonów, dom Pakaskich, Murrayów, Boydwów, Vernonów, Constantinów. Ale nikogo w nich nie było. Nigdzie żywego ducha. Całe miasto było puste, wymarłe.

Przerazliwie ciche. Nie słyszał nawet oceanu, a przecież w Hull zawsze było słychać szum oceanu.

To było straszne - jego rodzinne miasto zupełnie opustoszało. Usiadł na falochronie przy Ocean Avenue, przeszukał wzrokiem plażę, siedział i czekał, ale nikt się nie pokazał. Wszyscy poumierali, uswiadomił sobie, odeszli z tego świata dawno temu. A on jest duchem, który po latach przyblakał się z powrotem do rodzinnego miasta-widma.

Miasta już tu nie było. Jego tu nie było. Nie było żadnego "tu".

Potem trafił do ogromnej sali wyłożonej marmurem. Pełno w niej było ludzi, łóżek szpitalnych, aparatów do kroplówek, i od razu poczuł się różnie. Gdziekolwiek się znalazł, przynajmniej nie był sam. Przebiegła przed nim trójka dzieci - dwóch chłopców i

dziewczynka. Miały na sobie szpitalne pizamy, a dziewczynka wyraźnie się bała. Sciskała braci za ręce.

-Ona tu jest. Znajdzie nas - powiedziała.

Andrew Laeddis nachylił się i podał Teddy'emu ogień.

-Hej, chyba nie masz mi tego za złe, co, stary?

Laeddis z wyglądu był odpychającym osobnikiem - ciało jak sekata tyczka, nieforemna głowa, stercząca, wydłużona ponad miarę broda, krzywe zęby, keпки jasnych włosów na pokrytej strupami, rozowej czaszce - ale Teddy ucieszył się na jego widok.

Był jedynym znajomym wśród obcych.

-Mam schowaną butelkę - oznajmił Laeddis. - Gdybys miał ochotę wpaść na kielicha. - Mrugnął do Teddy'ego, poklepał go po plecach i zamienił się w Chucka, a Teddy'emu wydawało się to całkowicie normalne.

-Musimy iść - powiedział Chuck. - Czas ucieka, przyjacielu.

-Moje rodzinne miasto jest puste. Wymarłe - odparł Teddy.

I pusczył się biegiem, bo oto przez salę balową gnała z wrzaskiem Rachel Solando, wywijając tasakiem. Nim do niej dopadł, zdążyła powalić dzieci, całą trójkę, i zamachnęła się tasakiem, raz, drugi, trzeci. Teddy zastygł, dziwnie urzeczony, wiedząc, że już nic nie zdola zrobić - dzieci były martwe.

Rachel spojrzała na niego. Twarz i ręce miała zbryzgane krwią.

-Pomóż mi - powiedziała.

-Co? Mogę sobie narobić kłopotów - odparł.

-Pomóż mi, a stanę się twoją Dolores. Będę twoją żoną. Odzyskasz ją w ten sposób.

-Jasne, oczywiście - rzekł i zabrał się do roboty. Wspólnymi siłami dzwignęli całą trójkę i wyszli z nimi na tyły domu. Zanieśli je do jeziora. Nie wrzucili ich. Obeszli się z nimi delikatnie. Położyli je na wodzie i dzieci poszły na dno. Jeden z chłopców wynurzył się, młócił wodę ręką, a Rachel powiedziała:

-To nic. On nie umie pływać.

Stali na brzegu i patrzyli, jak chłopiec tonie. Rachel objęła Teddy'ego w pasie.

-Będziesz moim Jimem, a ja twoją Dolores. Zrobimy sobie nowe dzieci - oświadczyła.

Teddy uznał, że to ze wszech miar słuszne rozwiązanie, i zdziwił się, że sam wcześniej na to nie wpadł.

Ruszył za Rachel z powrotem do Ashecliffe. Spotkali tam Chucka i poszli we trojke długim korytarzem, który ciągnął się kilometrami.

-Ona zabiera mnie do Dolores - zwrócił się do Chucka. - Wracam do domu, stary. - Świetnie!
- odparł Chuck. - Ciesze się. Ja już nie wydam się z tej wyspy.

-Nie?

-Nie, ale nie szkodzi, szefie. Mówię poważnie. Tutaj jest moje miejsce. To mój dom.

-Mój dom jest tam, gdzie Rachel - oświadczył Teddy.

-Masz na myśli Dolores.

-Racja, racja. A co ja powiedziałem?

-Rachel.

-Och, przepraszam. Naprawdę uważasz, że tutaj jest twoje miejsce?

Chuck skinął głową.

-Nigdy stąd nie wyjechałem. I nigdy nie wyjadę. To znaczy, popatrz tylko na moje ręce, szefie.

Teddy spojrzał. Według niego ręce Chucka wyglądały zupełnie dobrze, co też mu oznajmił. Chuck potrząsnął głową.

-Nie pasują. Czasami palce zmieniają się w myszy.

-Coż, w takim razie ciesze się, że znalazłeś tu swój dom.

-Dzięki, szefie.

Chuck poklepał go po plecach i przemienił się w Cawleya. Rachel zdążyła już ich mocno wyprzedzić i Teddy przyspieszył kroku.

-Nie można pokochać kobiety, która zabiła własne dzieci - powiedział Cawley.

-Ja mogę - odparł Teddy, idąc coraz szybciej. - Pan tego nie rozumie.

-Czego? - Cawley nie poruszał nogami, ale mimo to nadązał za Teddym, sunąc w powietrzu.
- Czego nie rozumiem?

-Nie zniosę dłużej samotności. Nie mogę żyć bez niej w tym pieprzonym świecie.

Ona jest moja Dolores.

-Przecież to Rachel.

-Wiem. Ale zawarliśmy umowę. Ona będzie moja Dolores, a ja jej Jimem. To dobry układ.

Cawley chrząknął znacząco.

Trojka dzieci biegła korytarzem w ich stronę. Były zupełnie przemoczone i zdierały gardziółka od krzyku.

-Jaka matka zrobiłaby coś takiego? - odezwał się Cawley.

Teddy przyglądał się dzieciom. Wyminiły ich, lecz nagle w otoczeniu zaszła jakaś zmiana, bo dzieci biegły, biegły, ale nie posuwały się naprzód.

-Zabiłaby własne dzieci? - powiedział Cawley.

-To nie chcący - wyjaśnił Teddy. - Bardzo się boi, to dlatego.

-Tak jak ja? - odparł Cawley, z którego nagle zrobił się Peter Breene. - Ma stracha, więc morduje dzieciaki. I to ja usprawiedliwiam?

-Nie. To znaczy, tak. Nie lubię cie, Peter.

-I co zrobisz w związku z tym?

Teddy przyłożył lufę służbowego rewolweru do skroni Petera.

-Wiesz, ilu ludzi zginęło z mojej reki? - spytał, a łzy spływały mu po policzkach.

-Proszę, nie zabijaj mnie - powiedział Peter.

Teddy pociągnął za spust, zobaczył kulę wylatującą z drugiej strony głowy Petera.

Wszystkiemu przyglądały się dzieci, które darły się jak opętane, a Breene powiedział: - Cholera - i oparł się o ścianę, zatykając ręką ranę wlotową. - Na oczach dzieci?

I wtedy ją usłyszeli. Z ciemności przed nimi doleciał wrzask. Jej wrzask. Zbliżyła się do nich. Niewidoczna w mroku, pedziła ku nim Rachel.

-Ratuj nas - zwróciła się do Teddy'ego dziewczynka.

-Nie jestem waszym tatusiem. Nic tu po mnie.

-A ja będę mówić do ciebie "tatusiu".

-Zgoda. - Teddy westchnął i wziął dziewczynkę za rękę.

Szli skrajem urwiska ciągnącego się wzdłuż linii brzegowej Shutter Island, a potem zawędrowali na cmentarz, gdzie Teddy znalazł bochenek chleba, trochę masła orzechowego i dzemu. Weszli do grobowca, gdzie przygotował kanapki, a dziewczynka była taka szczęśliwa, gdy siedziała mu na kolanach i zjadała kanapkę. Potem Teddy oprowadził ją po cmentarzu, pokazał jej nagrobek swojego ojca, matki, i swój własny:

Edward Daniels marny zeglarz

1920-1957

-Dlaczego marny z ciebie zeglarz? - zapytala dziewczynka.-Nie lubie wody.

-Ja tez. Mozemy sobie podac rece.

-Chyba tak.

-Ty juz nie zyjesz. Postawili ci ten, jak to sie nazywa?

-Nagrobek.

-Wlasnie.

-Wyglada na to, ze jestem martwy. Nikogo nie zastalem w rodzinnym miescie.

-Ja tez nie zyje.

-Wiem. Smutno mi z tego powodu.

-Nie powstrzymales jej.

-Nic nie moglem na to poradzić. Kiedy do niej dobiegłem, ona już zdążyła, no wiesz...

-O rany. - Co?

-Znowu nadchodzi.

Na cmentarzu ukazala sie Rachel. Minela nagrobek, ktory Teddy potracil w czasie burzy. Nie spieszyla sie. Byla taka sliczna, wlosy miala zmoczone, ociekajace deszczem.

Tasak wymienila na topor z dlugim styliskiem, ktory wlokla po ziemi.

-Teddy, daj spokoj. To moje dzieci - powiedziala.

-Wiem, ale nie moge ci ich oddac.

-Tym razem bedzie inaczej. - Jak?

-Wyzdrowialam. Znam swoje obowiazki. Poukladalam sobie wszystko w glowie jak nalezy.

-Tak bardzo cie kocham - zalkal Teddy.

-Ja ciebie tez. Naprawde.

Podeszla do niego i pocalowala go, prawdziwie, z pasja. Wziela jego twarz w rece, przesuwala jezykiem po jezyku. Wezbral w niej cichy jek, ktory trafil do jego ust.

Wpijala sie w niego, napierala jezykiem coraz mocniej, a on czul, jak przepelnia go niewypowiedziana milosc.

-A teraz oddaj mi dziewczynke - zazadala.

Przekazal jej dziewczynke, a ona podniosla ja jedna reka, a druga chwycila topor.

-Zaraz wroce, dobrze?

-Jasne - odparl Teddy.

Pomachal dziewczynce, choc wiedzial, ze mala nie rozumie. Zrobil to dla jej dobra.

Byl o tym przekonany. Czasami dorosli musza podejmowac trudne decyzje, decyzje, ktore dla dzieci sa niezrozumiale. Ale gdy jest sie doroslym, dokonuje sie wyborow w ich imieniu. I Teddy kiwal reka dziewczynce, mimo ze ona nie machala mu w odpowiedzi, tylko wpatrywala sie w niego przejmujacym wzrokiem, gdy matka niosla ja do grobowca; wzrokiem ofiary idacej na stracenie, pogodzonej z okrutnym losem, z buzia usmarowana maslem orzechowym i dzemem.

-Chryste Panie! - Teddy zerwal sie z placzem. Mial wrazenie, ze zmusil mozg, aby oprzytomnial, ze ocknal sie sila, by wyrwac sie z tego przerazajacego snu. Czul, ze jeszcze czai sie gdzies w glebi jego umyslu, czeka na dogodna okazje, przyzywa go do siebie. Wystarczylo, ze przymknie oczy i przylozy glowe do poduszki, a znow sie w nim pograzy.

-Jak samopoczucie, szeryfie? Mrugal, usilujac przeniknac ciemnosc.

-Kto tam?

Cawley wlaczyl lampke. Stala obok jego krzesla w rogu pokoju.

-Przepraszam, nie chcialem pana przestraszyc. Teddy podniosl sie na lozku.

-Dlugo tak lezalem?

Cawley poslal mu zaklopotany usmiech.

-Te tabletki okazaly sie silniejsze, niz myslalem. Spal pan cztery godziny.

-Cholera. - Teddy potarl oczy dlonmi.

-Dreczyly pana koszmary, szeryfie. Straszne koszmary.

-Jestem w zakladzie dla oblakanych na wyspie, ktora nawiedzil huragan.

-Ha, slusne spostrzezenie - odparl Cawley. - Ja dopiero po miesiacu pobytu tutaj zaczalem sie wysypiac. A kto to jest Dolores?

-Slucham? - powiedzial Teddy, zsuwajac nogi z lozka.

-Powtarzał pan jej imię.

-Umieram z pragnienia.

Cawley obroczył się w krzesło, podniósł ze stolika szklankę z wodą i podał Teddy'emu.

-To niestety skutek uboczny. Proszę się napić. Teddy wziął szklankę i opróżnił ją kilkoma haustami.

-A jak głowa?

Teddy przypomniał sobie, dlaczego właściwie wyładował w tym pokoiku, i dłuższą chwilę ocenił swój stan. Wzrok bez zarzutu. Po pinezkach w głowie ani śladu. Żołądek jeszcze nie całkiem doszedł do siebie. Lekki ból z prawej strony głowy, jakby od uderzenia sprzed trzech dni - nic poważnego.

-W porządku - ocenił Teddy. - Pigulki faktycznie zadziałały.

-Staramy się dogadzać, jak tylko możemy. Więc kim jest Dolores?

-To moja żona - odparł. - Nie żyje. I owszem, panie doktorze, wciąż nie mogę się z tym pogodzić. Przeszkadza to panu?

-Ależ skąd, szeryfie. Współczuje panu z powodu doznanej straty. Zmarła gwałtowną śmiercią?

Teddy spojrzał na niego i roześmiał się.

-O co chodzi?

-Nie jestem w nastroju do psychoanalizy, panie Freud.

Cawley skrzyżował nogi w kostkach i zapalił papierosa.

-Ale ja wcale nie włazę z kaloszami do pańskiej duszy. Proszę mi wierzyć lub nie, szeryfie. Ale poprzedniego wieczoru między panem i Rachel coś zaszło. Miał pan w tym swój udział. Zaniechałbym swoich obowiązków jako jej terapeuta, gdybym nie starał się dociec, jakie upiory przywłócił pan za sobą.

-Co takiego zaszło między mną i Rachel? - powiedział Teddy. - Odgrywałem rolę, jaką mi wyznaczyła.

Cawley parsknął śmiechem.

-Poznaj samego siebie, szeryfie. Chcę mi pan wmówić, że gdybyśmy zostawili was dwoje sam na sam, po powrocie zastałibyśmy was w ubraniach?

-Jestem przedstawicielem prawa, panie doktorze - odparł Teddy. - Może panu się wydawać, że coś pan dostrzegł, ale jest pan w błędzie.

-Dobrze. Skoro pan tak twierdzi - powiedział Cawley, unosząc pojednawczo rękę.

-Tak twierdzą.

Cawley rozsiadł się na krześle, zapalił papierosa i przyglądał się badawczo Teddy'emu, wydmuchując kleby dymu. Teddy uzmysłowił sobie szalejący na zewnątrz sztorm, napierający na ściany, wciskający się w szczeliny między murami a dachem.

Cawley siedział milczący, skupiony.

-Zginęła w pożarze - odezwał się w końcu Teddy. - Tesknie za nią jak... Nie brakowałoby mi tak bardzo tlenu pod wodą, jak brakuje mi jej. - Uniosł brwi, zwracając się do Cawleya. - Zadowolony?

Cawley pochylił się, podał mu papierosa i ogień.

-Kochałem kiedyś pewną kobietę we Francji. Ale mojej żonie ani słowa, dobrze?

-Pewnie.

-Kochałem tę kobietę, jak się kocha... ach, nieważne - powiedział Cawley z nutką zdziwienia w głosie. - Takiej miłości z niczym nie da się porównać, prawda?

Teddy kiwnął głową.

-Jest niepowtarzalnym darem - mówił Cawley, wzdychając wzrokiem za snującym się dymem z papierosa, wybiegając wzrokiem hen daleko, nad ocean.

-A co pan robił we Francji?

Cawley uśmiechnął się i pogroził mu zartobliwie.

-Och - zmitygował się Teddy.

-W każdym razie pewnego dnia wieczorem kobieta ta szła na spotkanie ze mną.

Zapewne się spieszyła. W Paryżu padał deszcz, było już ciemno. Przewróciła się i koniec.

-Słucham?

-Przewróciła się. Potknęła się, upadła, uderzyła głową o coś twardego, zginęła na miejscu. Nie do wiary, prawda? W taki sposób. W czasie wojny, kiedy można umrzeć na tysiąc różnych sposobów. Przewróciła się na chodniku.

Teddy widział ból i oszłomienie malujące się na twarzy Cawleya, jakby po tylu latach wciąż jeszcze nie potrafił przejść do porządku dziennego nad tym, że padł ofiarą kosmicznego kawału.

-Czasami - ciagnal cichym glosem doktor - udaje mi sie nie myslec o niej przez trzy godziny. Czasami udaje mi sie przez kilka tygodni nie rozpamietywac jej zapachu, spojrzenia, jakie mi posylala, kiedy wiedziala, ze tego dnia bedziemy mogli pobyc sam na sam, jej wlosow - jak bawila sie nimi przy czytaniu. Czasami... - Cawley urwal i zdusil niedopalek. - Nie wiem, dokad udala sie jej dusza, moze przeniosla sie gdzies, przeszla przez brame, ktora otworzyla sie w chwili jej smierci? Gdybym wiedzial, ze to przejście znow sie tam pojawi, jutro wyruszylbym do Paryza i wskoczyl za nia.

-Jak miala na imie? - zapytal Teddy.

-Marie - odparl Cawley i widac bylo, ze wypowiedzenie na glos jej imienia wiele go kosztowalo.

Teddy zaciagnal sie papierosem, powoli wypuscil ustami dym.

-Dolores rzucala sie we snie - powiedzial. - Zdarzalo sie czesto, ze obrywalem w twarz. Pac, i jej reka ladowala na moim nosie i ustach. I tak zostawala. Stracalem ja, wie pan? Czasami dosc bezceremonialnie. Smacznie spie, a tu lup, i juz po spaniu.

Wielkie dzieki, kotku. Ale od czasu do czasu pozwalalem jej zostac w tej pozycji.

Calowalem ja, wachalem, wdychalem. Oddalbym caly swiat, zeby znow poczuc te reke na twarzy. Sciany zadudnily, noc zadrzala w uscisku huraganu. Cawley przygladal sie Teddy'emu, jakby obserwowal dzieciaki dokazujace na rogu ulicy.

-Jestem naprawde dobry w swoim fachu, szeryfie. Mam o sobie wysokie mniemanie, przynajze. Moj iloraz inteligencji wykracza ponad przecietna. Juz jako chlopiec umialem rozszyfrowywac ludzi. Prosze sie nie obrazic, ale chce panu cos zakomunikowac. Czy przyslo panu kiedykolwiek do glowy, ze ma pan sklonnosci samobojcze?

-Dobrze wiedziec, ze nie chcial mnie pan obrazic - odparl Teddy.

-Przyslo to panu do glowy?

-Owszem, i dlatego odstawilem gorzale, doktorze.

-Bo wie pan, ze... - ...polknalbym kulke juz dawno temu, gdybym dalej pil.

-Przynajmniej pan sie nie oszukuje - doszedl do wniosku Cawley.

-Tak, to przemawia na moja korzysc.

-Kiedy pan stad wyjedzie... Moge podac panu kilka nazwisk. Swietnych lekarzy.

Mogliby panu pomoc.

Teddy potrzasnal glowa.

-Szeryfowie federalni nie leczą się na głowe. Przykro mi. Gdyby to się wydalo, bylby to koniec mojej sluzby.

-W porzadku, w porzadku. Sluszny argument. Ale prosze posluchac, szeryfie...

Teddy spojrzal na niego.

-Jesli nie zmieni pan swojego nastawienia do zycia, bedzie to tylko kwestia czasu.

-Co pan moze o tym wiedziec?

-Owszem, moze. Moja specjalnosc to psychiczne urazy na tle doznanej straty i poczucie winy wynikajace z faktu ocalenia. Cierpie na to, totez sie w tym specjalizuje.

Widzialem kilka godzin temu, jakim wzrokiem patrzyl pan na Rachel Solando - wzrokiem czlowieka, ktory szuka smierci. Panski szef w miejscowym wydziale poscigowym sporo mi o panu mowil. Powiedzial, ze nie ma wsrod swoich podwladnych drugiego z tyloma odznaczeniami za zaslugi wojenne. Podobno przywiozl pan z wojny caly stos medali. To prawda?

Teddy wzruszyl obojetnie ramionami.

-Ponoc bil sie pan w Ardenach i wyzwalal oboz zaglady w Dachau?

Kolejne wzruszenie ramionami.

-A potem ginie panska zona? Kto by sie w koncu nie zalamal pod takim brzemieniem gwaltu i okrucienstwa, szeryfie?

-Nie wiem, doktorze - odparl Teddy. - Sam sie nad tym zastanawiam.

Cawley pochylil sie w jego strone i klepnal go w kolano.

-Prosze przed wyjazdem wziac ode mnie te nazwiska. Dobrze? Milo by bylo, szeryfie, wiedziec za piec lat, ze jeszcze chodzi pan po tym swiecie.

-Tak, milo by bylo - zgodzil sie cicho Teddy.

13

Odnalazl Chucka w piwnicach kwater dla poslugaczy, gdzie na czas nawalnicy napredce urzadzono ogolna sypialnie. Droga do niej wiodla przez szereg podziemnych korytarzy laczacych wszystkie budynki zespolu szpitalnego. Teddy'ego zaprowadzil tam poslugacz imieniem Ben, zwalisty drab z trzesacymi sie faldami bialego cielska. Przeszli przez cztery ryglowane bramy i mineli trzy stanowiska obsadzone przez dyzurnych. Tu na dole nikt by sie nawet nie domyslil, ze na powierzchni szaleje huragan. Korytarze byly dlugie, szare, kiepsko oswietlone i niepokojuco przypominaly Teddy'emu korytarz z jego sennego koszmaru. Moze nie ciagnely sie tak bez konca, nie kryly w sobie tylu mrocznych zakamarkow, ale ich metaliczna szarosc i chlod byly tak samo odpychajace. Na widok Chucka poczul zaklopotanie. Nigdy dotad nie zlupal go atak migreny w miejscu publicznym; ze wstydem przypomnial sobie, ze zwymiotowal na podloge. Byl bezradny jak noworodek; musieli podnosic go z krzesla.

Ale kiedy Chuck z drugiego konca pomieszczenia zawołał: "Hej, szefie!", Teddy z zaskoczeniem uzmysłowił sobie poczucie ulgi, płynące z prostego faktu, że znów są razem. Zabiegał o to, żeby przeprowadzić to dochodzenie w pojedynkę, ale szefostwo odmówiło. Na wieść o tym mocno się wkurzył, ale teraz, po dwóch dniach pobytu na tej wyspie, po wyprawie na cmentarz, przygodzie z Rachel i tych pieprzonych koszmarach, musiał przyznać, że jednak dobrze mieć partnera.

Uściskali sobie ręce i wtedy powróciły do niego słowa Chucka ze snu - "Ja już nie wydam się z tej wyspy" - i Teddy'emu przeszła piers widmowa jaskółka, która zatrzepotała skrzydłami.

-Jak się czujesz, szefie? - spytał Chuck, poklepując go po ramieniu.

Teddy uśmiechnął się z zaskoczeniem.

-Lepiej. Trochę jestem roztrzesiony, ale ogólnie w porządku.

-Jasna dupa - powiedział Chuck, zniżając głos i odsuwając się od dwóch posługaczy, którzy cmili papierosy oparci o filar nosny. - Najadłem się przez ciebie strachu. Już myślałem, że to atak serca albo wylew.

-To tylko migrena.

-Tylko - szepnął Chuck. Odeszli dalej od posługaczy, stanęli przy betonowej ścianie pomalowanej na beżowo. - Najpierw podejrzewałem, że się zgrywasz, no wiesz, jakbyś coś kombinował, żeby dostać się do kartoteki czy coś w tym rodzaju.

-Szkoda, że nie jestem taki sprytny.

Chuck zająknął Teddy'emu w oczy, wzrok miał palący, natrętny.

-Ale to podsunęło mi pomysł.

-Nie mów, że się odważyłeś?

-Odważyłem się.

-Co zrobiłeś?

-Powiedziałem Cawleyowi, że posiedzę przy tobie. No i czuwałem przy tobie.

W pewnej chwili ktoś zadzwonił do niego i Cawley wyszedł z gabinetu.

-Zaczęłeś szperać w kartotece?

Chuck skinął głową.

-I co znalazłeś?

-Wlasciwie to niewiele - odparl, robiac smutna mine. - Nie moglem dobrac sie do szaf z aktami. Cawley pozakladal tam zamki, z jakimi do tej pory sie nie spotkalem.

A mam w operowaniu wytrychem spore doswiadczenie. Z tymi tez bym sie uporal, ale zostalyby slady. Rozumiesz?

-Postapiles slusnie.

-No tak... - Chuck skinal glowa przechodzacemu poslugaczowi i Teddy'ego ogarnelo niesamowite wzrazenie, ze obaj z Chuckiem trafili w sam srodek starego filmu z Jamesem Cagneyem i sa para skazancow na wybiegu, ktorzy knuja, jak wyrwac sie z kicia. - Ale przetrzasnalem biurko Cawleya.

-Co takiego?

-Czyste wariactwo, nie? Pozniej dasz mi po lapach.

-Po lapach? Zasluzyles na medal.

-Za co medal? - odparl Chuck. - Trafilem tylko na jego terminarz. I co dziwne, byly w nim zaznaczone cztery dni - wczoraj, dzisiaj, jutro i pojutrze. Cawley obrysowal je czarna obwodka.

-To z powodu huraganu. Dowiedzial sie, ze nadciaga.

Chuck potrzasnal glowa.

-Przez wszystkie cztery ramki biegł napis. Wiesz, o co mi chodzi? Jakby ktos planowal w tych dniach wakacje na Cape Cod i zaznaczyl to w kalendarzu. Kapujesz?

-Jasne.

Nagle zjawil sie przy nich Trey Washington z rozmokla cygaretki w gebie, przemokniety od stop do glowy.

-Panowie szeryfowie spiskuja po katach?

-A co myslales? - odparl Chuck.

-Byles na dworze? - spytal Teddy.

-O tak. Cos potwornego, co sie tam teraz wyprawia. Obkladalismy budynki workami z piachem, zabijalismy dechami okna. Cholera. Zastrancy przewracali sie jeden przez drugiego na tej pizdziawie. - Trey przypalil cygaretki zapalniczka i zwrocil sie do Teddy'ego. - Nic panu nie jest, szeryfie? Chodza sluchy, ze mial pan atak.

-Jaki atak?

-Kazdy gada co innego. Wie pan, jak to jest. Teddy sie usmiechnal.

-To migrena. Daje mi lupnia jak cholera.

-Moja ciotka na nia chorowała. Co ta biedaczka sie wycierpiała. Zamykala sie na klucz, gasila swiatla, zaciagala zaslony i nie wysciubiala nosa do rana.

-Rozumiem ja.

Trey pyknal cygaretką.

-Dawno temu wykorkowala, ale szepne dzis za nia slowko temu panu na gorze.

Niech ma ja w swojej opiece. A po prawdzie wredne z niej bylo babsko, czy ja glowa bolala, czy nie. Tlukla mnie i brata laga ile wlaszlo. Bywalo, ze bez powodu. "Cioteczko - pytam ja - a za co to? Przeciez nic nie zrobilem". A ona na to: "Moze i nie, ale na pewno knujesz cos strasznego w tej swojej lepetynie". I co poczac z taka baba?

Wydawalo sie, ze naprawde czeka, az mu odpowiedza, wiec Chuck odparl:

-Uciec od niej jak najdalej.

Trey zasmial cicho z cygaretką w zebach.

-Tak, to prawda - westchnal. - Ide sie wysuszyc. No to na razie.

-Trzymaj sie, Trey.

W pomieszczeniu zrobilo sie tloczno od wracajacych z dworu mezczyzn, ktorzy otrzasali z wody sztormiaki i czarne kapelusze z szerokimi rondami, pokaslywali, palili papierosy, pociagali calkiem jawnie z piersiowek.

Teddy i Chuck, oparci o sciane, rozmawiali sciszonym glosem, patrzac na przybylych.

-Wiec w kalendarzu... - Tak? - ...nie bylo napisane "Wakacje na Cape Cod". - Nie.

-A co? - "Pacjent szescdziesiaty siodmy".

-Tylko tyle?

-Tylko tyle.

-Ale i tak wystarczy, jak myslisz?

-Moim zdaniem az nadto.

Nie mogl zasnac. Sluchal, jak inni pochrapuja, sapia, wdychaja i wydechaja powietrze, niektorzy z cichym swistem. Slyszal glosy mowiacych przez sen. Jeden mowil: "Trzeba bylo mi powiedziec, i juz. Skad mialem wiedziec?", a drugi powtarzal: "Prazona kukurydza wpadla mi do gardla". Niektorzy kotlowali sie w poscieli, inni przewracali z boku na bok, jeszcze inni unosili sie, zeby poprawic poduszki, i opadali ciezko na lozka. Z czasem odglosy

te zestroiły się w jedną dźwiękową całość o powolnym rytmie, kojarzącym się Teddy'emu z przytłumionym hymnem.

Halasy docierające z zewnątrz również były przytłumione, ale Teddy słyszał, jak huragan szoruje o ziemię i wali w fundamenty. Żałował, że nie może wyjrzec przez okno, chociażby po to, żeby zobaczyć błyskawice malujące się na niebie upiornym światłem.

Przypomnił sobie słowa Cawleya.

To tylko kwestia czasu.

Naprawdę miał skłonności samobójcze?

Pewnie tak. Pamiętał, że od śmierci Dolores nie przeżył dnia bez myśli o tym, żeby do niej dołączyć. Czasami nawet posuwał się dalej, wyrzucał sobie, że kurczowe trzymanie się życia jest z jego strony przejawem tchorzostwa. Jaki sens miało kupowanie żywności, wlewanie benzyny do baku chryslera, golenie się, wkładanie skarpetek, wystawianie w kolejkach, wybieranie krawatu, prasowanie koszuli, mycie twarzy, czesanie się, realizowanie czeku z wypłatą, odnawianie licencji, czytanie gazet, sikanie, jedzenie - w samotności, w ciągłej samotności - chodzenie do kina, kupowanie płyt, opłacanie rachunków, znowu golenie się, znowu mycie, spanie, budzenie się ze snu...

...jeśli żadna z tych czynności nie przybliżała go do niej?

Wiedział, że powinien się pozbierać. Otrząsnąć. Przeboleć w końcu jej stratę. Radzili mu to nieliczni znajomi i krewni, a on, gdyby patrzył na siebie z ich punktu widzenia, pewnie przyznałby im rację. Też każałby temu Teddy'emu przestać się nad sobą roztkliwiać i wziąć się w garść, poukładać sobie jakos życie.

Ale do tego konieczne było odstawienie Dolores na polkę, przyzwolenie na to, żeby obrosła kurzem, w nadziei, że nagromadzony kurz zagłuszy wspomnienia o niej. Zatrze jej obraz. Az pewnego dnia wyda mu się istota wysniona, a nie kobieta, która niegdyś stapała po ziemi.

Mówia: Musisz się z tym pogodzić, zacząć od nowa, ale co zacząć? To zaszranie życie? Jak mam cię wyrzucić z pamięci? Do tej pory mi się nie udało, więc jak mam sobie z tym poradzić? Jak sprawić, żebyś odeszła w przeszłość? To wszystko, o co proszę. Chcę cię objąć, poczuć znowu twój zapach i, owszem, chcę, żebyś rozplynęła się w mroku, tak, tego chcę. Żebyś rozplynęła się w mroku...

Te cholerne pigułki. Trzecia nad ranem, a on dotąd nie zmrużył oka. Umysł miał rozbudzony, słyszał jej głos o ciemnej barwie, z naleciałościami bostonskiego akcentu, który objawiał się, gdy nocami zapewniała go o swej dożgonnej miłości. Uśmiechnął się, słysząc jej głos, jakby była obok niego, mając przed oczami jej twarz, żeby, rzesy, leniwa lubieżność spojrzenia, jakie posyłała mu w niedzielne poranki.

Pamiętał tę noc, kiedy los zetknął go z nią w Coconut Grove. Do tanca grał zespół jazzowy z rozbudowaną sekcją deka, powietrze było sine od dymu, wszyscy odziani w najlepsze stroje wyjściowe - marynarze i żołnierze w galowych mundurach, białych, niebieskich, szarych, eleganccy panowie w zabójczych kwiecistych krawatach i dwurzędowych marynarkach z chusteczkami złożonymi w trójkąt, wsuniętymi dla szyku w górną kieszeń, i kobiety,

wszędzie kobiety. Podrygiwały nawet wtedy, kiedy odchodziły przypudrować sobie nos. Plasowały, krzaczki od stolika do stolika, obracały się na palcach, kiedy zapalały sobie papierosy, otwierały z trzaskiem kosmetyczki, sunęły do baru i śmiały się, odchylając do tyłu głowy, a ich włosy lśniły jak satyna i migotały w ruchu.

Teddy wybrał się tam z Frankiem Gordonem, kumplem ze szkoły wywiadu, tak jak on w stopniu sierżanta, i jeszcze kilkoma facetami; wszyscy za kilka dni odpływali na front za ocean. Lecz w chwili kiedy ja ujrzałem, zostawiłem Frankiego, nawet nie dosłuchałem do końca tego, co mi opowiadał, i ruszyłem w stronę parkietu. Na moment straciłem ja z oczu; przyslonili ją tancerze ustępujący miejsca marynarzowi, który wywijając blondynkę w białej sukni - przerzucił ją przez plecy, a potem cisnął do przodu nad swoją głową, złapał w locie i przechylił tuż nad podłogą, wywołując głośny zachwyt tłumu - wtedy znowu w oddali mignęła Teddy'emu jej fioletowa suknia.

Była piękna, przede wszystkim zwracała uwagę swą barwą. Tego wieczoru nie brakowało na sali pięknych kobiecych kreacji, toteż to nie suknia go zaintrygowała, lecz sposób, w jaki ona ją nosiła. Nerwowo. Jakby czuła się w niej nieswojo. Co chwila dotykała jej z obawą, obciągała ją. Przyglądała wywatowane ramiona.

Na pewno pożyczyła suknie na ten wieczór. Nigdy nie miała czegoś takiego na sobie.

Była przerażona. Tak bardzo, że nie potrafiła określić, czy kobiety i mężczyźni przyglądają się jej z litością, zawścią, czy pozadaniem.

Napotkała utkwione w niej spojrzenie Teddy'ego, gdy niespokojnie poprawiała ramiączko biustonosza. Spuściła wzrok, splonęła się, ale po chwili znowu popatrzyła na niego, a Teddy, nie odrywając od niej oczu, uśmiechnął się i pomyślał: Ja też czuję się głupio w tym stroju. Posłał jej te myśli przez salę. Może do niej dotarła, gdyż odpowiedziała mu uśmiechem, może nie tyle zalotnym, ile pełnym wdzięczności, i wtedy Teddy ruszył ku niej, ignorując Frankiego, który opowiadał chyba coś o zapasach paszy w Iowa, a kiedy przedarł się przez ciżbę spoconych tancerzy, uświadomił sobie, że nie wie, co jej powiedzieć. Jak nawiąże rozmowę? Ładna sukienka? Może postawić ci drinka? Masz piękne oczy?

-Zgubiłeś się? - usłyszał jej głos.

Obrocił się i oto miał ją przed sobą. Była niewysoka, najwyżej sto sześćdziesiąt centymetrów w butach na wysokich obcasach. Zachwycająco słiczna. W przeciwieństwie do wielu innych kobiet obecnych na tej sali jej uroda nie polegała na wyważonych proporcjach i doskonałych kształtach. Było w niej coś nieogładzonego, oczy być może nieco za szeroko rozstawione, usta tak pełne, że niemal raziły na drobnej twarzyczce, podbródek o chwiejnej linii.

-Tak jakby.

-A czego właściwie szukasz?

Odpowiedział, nim zdążył się zreflektować i ugryźć w język.

-Ciebie.

Otworzyła szeroko oczy i dostrzegł w nich skazę, brązowa plamka na lewej tęczowce. Ogarnęło go przerażenie na myśl o tym, że wszystko popsul, wypadł jak podrywacz, gładki w obejściu, pewny siebie.

Ciebie.

Skąd on, do jasnej cholery, to wystraszał? Co on, do jasnej cholery...

-Coz... - odezwała się.

Miał ochotę uciec jak niepyszny. Czuł się jak na mekach, jeszcze chwila i... - ...przynajmniej się nie nachodził.

Twarz rozciągnęła mu się w szerokim, cielecym uśmiechu, ujrzał swoje odbicie w jej oczach. Ciolek. Matol. Oslupiały ze szczęścia.

-Tak, chyba się nie nachodziłem.

-Moj Boże - powiedziała, odchylając się do tyłu, żeby mu się przypatrzeć, z kieliszkiem martini przycisniętym do piersi.

-Co takiego?

-Czujesz się tu tak samo obco jak ja, prawda, żołnierzu?

Kiedy usiadła na tylnym siedzeniu taksówki obok swej przyjaciółki, Lindy Cox, która pochylając się do przodu, mówiła taksówkarzowi, dokąd ma je zawieźć, przysunęła głowę do szyby.

-Dolores - powiedział Teddy.

-Edward. Rozesmiał się.

-Co się stało?

-Nic takiego - odparł, podnosząc rękę. - A właściwie, że tak.

-Nikt na mnie nie mówi Edward oprócz mojej matki.

-No to niech będzie Teddy. - Tak.

Napawał się brzmieniem swego imienia w jej ustach.

-Teddy - powtórzyła, jakby ćwiczyła wymawianie.

-Hej, nie znam nawet twojego nazwiska - powiedział.

-Chanal.

Uniosł brew ze zdziwieniem.

-Wiem. Brzmi pretensjonalnie i w ogole nie pasuje do reszty mojej osoby.

-Moge do ciebie zadzwonic?

-Masz glowe do liczb? Teddy usmiechnal sie. - Wlasciwie...

-Winter Hill, szesc-cztery-trzy-cztery-szesc.

Stal na chodniku, odprowadzajac wzrokiem taksowke i wspomnienie jej twarzy tuz przy swojej twarzy - za szyba taksowki, w tancu - omal nie porazilo mu mozgu, niemal wypierajac z niego jej nazwisko i numer telefonu.

Wiec to takie uczucie byc zakochanym, pomyslal sobie. Wbrew wszelkiej logice - przeciez prawie jej nie znal. Ale zakochal sie. Spotkal kobiete, z ktora laczyla go jakby tajemna wiez, zadzierznieta, zanim jeszcze sie narodzil. Spelnienie wszelkich marzen, jakim nigdy nie smial sie oddawac.

Dolores. Myslala teraz o nim w ciemnosciach taksowki, czujac go tak, jak on czul ja.

Dolores. Wszystko, czego potrzebował w zyciu, obleklo sie teraz w cialo, mialo imie.

Teddy przekrecil sie na lozku na bok i opuscil reke do podlogi. Po chwili wymacal notes i pudelko zapalek. Zapalil pierwsza zapalke o kciuk i trzymal ja nad kartka, na ktorej pisal na deszczu. Zuzyl cztery zapalki, nim zdolal przyporzadkowac cyfrom odpowiednie litery:

18-1-4-9-5-4-19-1-12-4-23-14-5

R-A-D-I-E-D-S-A-L-D-W-N-E

Lecz kiedy juz sie z tym uporal, rozszyfrowanie wiadomosci nie zajelo mu duzo czasu. Jeszcze dwie zapalki i Teddy spogladal na odcyfrowane imie i nazwisko przez plomyk pelgajacy po drewniku w strone jego palcow. Andrew Laeddis.

Zapalka coraz mocniej grzala go w palce, a on spojrzal na Chucka, pogrzonego we snie dwa lozka dalej. Oby tylko nie ucierpiala na tym jego kariera. Nie powinna. Teddy wezmie cala wine na siebie. Chuck sie z tego wywinie. Roztaczal wokol siebie pomyslna aure - chocby nie wiem, co sie dzialo, Chuck zawsze spadnie na cztery lapy.

Przeniosl spojrzenie z powrotem na kartke, zdazyl popatrzec na nia jeszcze raz, nim zgasla zapalka.

Dopadne cie, Andrew. Przynajmniej w ten sposob splace dlug wobec Dolores, jesli nie potrafie oddac dla niej zycia.

Znajde cie. I zabije.

Dzien trzeci Szescdziesiaty osmy pacjent

Główny impet uderzenia huraganu spadł na dwa budynki położone poza obrebnem szpitala - domy komendanta i doktora Cawleya. Połowa dachu palacyku Cawleya została zerwana, a dachowki rozrzucone po całym terenie, niczym na pogładowej lekcji pokory. Do salonu komendanta, mimo zabezpieczeń z płyty pilśniowej, wdarło się przez okno drzewo i tak pozostało, z korzeniami sterczącymi pośrodku pokoju.

Teren szpitala usłany był muszlami i galeziami i zalany kilkucentymetrową warstwą wody. Dachowki, kilka zdechłych szczerów, mnóstwo namokniętych jabłek, wszystko dookoła było zapiaszczone. Fundamenty budynku szpitala wyglądały tak, jakby ktoś potraktował je młotem pneumatycznym. Oddział A stracił cztery okna, a blacha na dachu w kilku miejscach zwinięta była w rulon. Dwa bungalowy mieszkalne zostały obroczone w gruz, a ściany pozostałych leżały na ziemi. Oddział B uchował się nietknięty, bez drasniecia. Wszędzie na wyspie było widac nagie, ostre czubki drzew z odłamanymi koronami.

Powietrze znów stało się ciężkie i zastygłe. Miarowo śniła mżawka. Na brzegu wałowały się śniete ryby. Kiedy rano wyszli na zewnątrz, w łączniku natknęli się na podrygującą na chodniku fladę, jednym smutnym, wylupiastym okiem spoglądającą w stronę morza.

Teddy i Chuck patrzyli, jak McPherson wraz ze strażnikiem podnosi przewróconego na bok dzipa. Po włączeniu zapłonu udało się McPhersonowi uruchomić silnik dopiero za piątym razem i zaraz wyjechał z rykiem przez brame. Po minucie Teddy dojrzał dzipa pokonującego pochyłość za szpitalem, zmierzającego w stronę fortu.

Na teren szpitala wszedł Cawley, przystanął, żeby podnieść odłamek ze swojego dachu, popatrzył na niego i rzucił go na mokra ziemię. Dwukrotnie omiotł spojrzeniem Teddy'ego i Chucka, zanim rozpoznał ich w białych strojach posługaczy, czarnych pelerynach przeciwdeszczowych i kapeluszach. Posłał im ironiczny uśmiech i już kierował się w ich stronę, kiedy z budynku wyłonił się lekarz z przewieszonym przez szyję stetoskopem i zaraz do niego podbiegł.

-Dwojka wysiadła. Nie możemy jej naprawić. A mamy dwóch pacjentów w stanie krytycznym. Nie uratujemy ich, John.

-Gdzie jest Harry?

-Harry próbuje przywrócić napięcie, ale bez powodzenia. Jaki pożytek z zasilania awaryjnego, jeśli podczas awarii niczego nie zasila?

-Dobra, zajmijmy się tym. Lekarze pospiesznie weszli do środka.

-Nawalil im generator awaryjny? - zdziwil sie Teddy.

-Najwyrazniej takie rzeczy sie zdarzaja w czasie huraganu - doszedl do wniosku Chuck.

-Widzisz gdzieś włączone światła?

Chuck obejrzał okna.

-Nie.

-Caly system padl? Jak myslisz?

-Calkiem mozliwe - odparl Chuck.

-To by znaczylo, ze ogrodzenie tez.

Chuck wylowil butem jablko z wody i podniosl. Zamachnal sie do tyłu i robiac wykrok do przodu, cisnal nim o mur. - Rzuuut pieeerwszy! - zawolal i zwracajac sie do Teddy'ego dodal: - Tak, to by znaczylo, ze ogrodzenie tez.

-I pewnie wszystkie zabezpieczenia elektryczne. Drzwi. Bramy.

-Milosciwy Boze, miej nas w swojej opiece - powiedzial Chuck; podniosl nastepne jablko, przerzucil je nad glowa i zlupal za plecami. - Czyzbyś miał ochote wybrac sie do fortu?

Teddy wystawil twarz na siapiacy deszcz.

-Wymarzony dzien na taka wyprawe.

Na teren szpitala wjechal dzip, rozbryzgujac kolami wode. Siedzacy za kierownica komendant, ktoremu towarzyszylo trzech straznikow, zauwazyl Teddy'ego i Chucka stojacych beczynnie na dziedzincu i ten widok najwyrazniej go rozdraznil. Wzial ich za poslugaczy, domyslil sie Teddy, tak jak wczesniej Cawley, i zirytowal sie, ze walesaja sie bez grabi czy pomp. Ale zaabsorbowany wazniejszymi sprawami, pojechal dalej, patrzac prosto przed siebie. Teddy uswiadomil sobie, ze nie slyszal jeszcze glosu komendanta, i zastanawial sie, czy jest ciemny jak jego wlosy, czy jasny jak jego cera.

-No to w droge - powiedzial Chuck. - Trzeba wykorzystac sprzyjajace okolicznosci.

Teddy ruszyl w kierunku bramy. Chuck dogonil go po chwili.

-Zagwizdalbym, ale zaschlo mi w gardle.

-Masz pietra? - spytal Teddy zartobliwie.

-Robie w portki ze strachu, tak to sie chyba mowi - rzekl Chuck, miotajac kolejnym jablkiem.

Doszli do bramy. Trzymajacy przy niej straz wartownik mial chlopieca twarz i okrutne oczy.

-Wszyscy poslugacze maja sie zglosic u pana Willisa w biurze administracji - oznajmil. - Jestecie przydzieleni do sprzatania.

Chuck i Teddy spojrzeli po swoich bialych koszulach i spodniach.

-Jajka a la Benedict

[Jajko podawane w opiekanej buleczce z kanadyjskim bekonem i sosem Hollandaise.]
powiedzial Chuck. Teddy skinal z aprobatą.

-Dziękuję. Właśnie się zastanawiałem. A lunch?

-Reuben

[Tradycyjna przystawka reuben składa się z plasterków wołowiny i sera szwajcarskiego na zymnej grzance, polanych sosem tysiąca wysp] z cienko pokrojonymi plasterkami wołowiny lub indyka, do wyboru.

Teddy odwrócił się do wartownika, mignął mu przed oczami odznaką.

-Nasze mundury są w pralni.

Wartownik spojrzał na odznakę, potem na Chucka, i czekał na dalszy rozwój wypadków.

Chuck westchnął wymownie, wyjął portfel, otworzył go i podsunął wartownikowi pod nos.

-Jaka sprawa macie do załatwienia poza obrebrami szpitala? Pacjentka już się znalazła.

Teddy doszedł do wniosku, że wszelkie wyjaśnienia z ich strony byłyby dowodem słabości i ten mały gnojek zyskałby nad nimi przewagę. Teddy miał już do czynienia z takimi dupkami podczas wojny, w swojej kompanii. Niewielu z nich wróciło do domu, a Teddy często zastanawiał się, czy ktokolwiek naprawdę załował tych, którzy zginęli.

Nie można było do takiego gnojka nijak dotrzeć, niczego go nauczyć. Ale wiedząc, że czuje respekt przed siłą, można było sprawić, że w końcu spuszczał z tonu.

Teddy podszedł do wartownika, szukał wzrokiem jego spojrzenia i czekał, aż ten popatrzy mu w oczy.

-Idziemy na spacer.

-Nie macie upoważnienia.

-Owszem, mamy. - Teddy przysunął się i chłopak musiał podnieść na niego oczy.

Czuł na twarzy jego oddech. - Jesteśmy szeryfami federalnymi i przebywamy na terenie instytucji federalnej. To tak jakby upoważnił nas sam Bóg. Nie podlegamy tobie. Nie mamy obowiązku ci się tłumaczyć. Jeśli uznamy za stosowne, możemy odstrzelić ci fiuta i żaden sąd w tym kraju nawet nie rozpatrzy tej sprawy. - Teddy przybliżył się jeszcze o centymetr. - Otwieraj te pieprzone bramy.

Chłopak starał się nie uciekać wzrokiem. Przelknął ślinę. Próbowal nadać swemu spojrzeniu hardy wyraz.

-Powtarzam: otwieraj...

-Dobrze.

-Nie dosłyszałem - powiedział Teddy.

-Tak jest.

Teddy wypuścił powietrze przez nos, świdrując go surowym wzrokiem.

-Tak trzymaj, synu. Czolem.

-Czolem - odparł odruchowo wartownik, a grdyka wyraźnie się uwypukliła na jego szyi.

Przekrecił klucz w zamku i odsunął skrzydło bramy. Teddy przeszedł, nie oglądając się za siebie.

Ruszyli na prawo, posuwając się wzdłuż muru.

-Nieźle zagranie z tym "czolem" - odezwał się po chwili Chuck.

Teddy spojrzał na niego.

-Mnie też się podobało.

-W wojsku pewnie byłeś ostry, co?

-Jako sierżant miałem pod swoją komendą bandę dzieciaków. Polowa z nich zginęła, nie wiedząc nawet, jak to jest być z kobietą. Łagodnością z takimi nic nie działasz, musisz ich zastraszyć, psiamac, żeby mieć u nich posłuch.

-Tak jest, sierżancie. Słusznie mówisz. - Chuck wyprzedził go i zaszalował. - Chociaż na wyspie nie ma prądu, to chyba nie zapominasz, że bądź co bądź zamierzamy wejść do fortu?

-Mam to na uwadze, nie martw się.

-Wykombinowałeś coś?

-Jeszcze nie.

-Jest otoczony fosą? Jak myślisz? To dopiero by było.

-Może na blankach trzymają w pogotowiu kadzie z gorącym olejem.

-A łucznicy? - powiedział Chuck. - Jeśli są łucznicy, Teddy...

-A my nie mamy kolczug.

Przeszli przez zwalone drzewo, grunt był podmokły, śliski od mokrych liści.

Dostrzegli w oddali fort, przeswitujący między poszarpaną roślinnością, jego wysokie szare mury; widzieli też koleiny wyłobione przez dziopy kursujące od rana do fortu i z powrotem.

-Ten wartownik w zasadzie miał racje - rzekł Chuck.

-Niby dlaczego?

-Skoro Rachel się znalazła, nasza władza tutaj straciła swoją podstawę. Jeśli nas przyłapają, szefie, w żaden sposób nie zdołamy się sensownie z tego wytłumaczyć.

Teddy czuł rozprysnięte odłamki zieleni pulsujące mu za oczami. Był wyczerpany, lekko oszłamiony. Cztery godziny snu po tak silnej dawce leku, i to snu wypełnionego koszmarami, to stanowczo za mało. Krople deszczu ze stukiem uderzały o jego kapelusz, zbierały się w rondzie. W głowie mu szumiało, ledwo zauważalnie, lecz nieustannie.

Gdyby dzisiaj do przystani przybił prom - w co jednak wątpił - jakaś jego cząstka pragnęła wskoczyć na pokład i odpłynąć. Wyrwać się z tej pieprzonej wysepki. Ale wtedy cała wyprawa poszłaby na marne; nie zdobywszy żadnych dowodów dla senatora Hurly'ego czy choćby świadectwa zgonu Laeddisa, wracalby z pustymi rękami, przegrany. Nadal bliski samobójstwa, a do tego jeszcze z ciężacym mu na sumieniu poczuciem, że nie uczynił nic, aby zmienić ten stan rzeczy. Otworzył machnięciem notes i podsunął go Chuckowi.

-Pamiętasz te stosy kamieni usypane przez Rachel? Oto rozszyfrowana wiadomość.

Chuck osłonił notes stulonymi dłońmi, przysunął blisko do siebie.

-Wiem jednak tu jest. - Tak.

-Myślisz, że to właśnie pacjent sześćdziesiąty siódmy?

-Wszystko za tym przemawia. Teddy zatrzymał się przy skale wystającej posrodku błotnistego stoku.

-Możesz się wycofać, Chuck. Ty nie musisz się w to pakować.

Chuck popatrzył na niego, plasnął notatnikiem o rękę.

-Jesteśmy szeryfami federalnymi, Teddy. Co nakazuje nam etyka zawodowa?

Teddy się uśmiechnął.

-Brac szturmem drzwi.

-Bierzemy szturmem drzwi, i to pierwsi. Nie czekamy na wsparcie, kiedy czas ucieka. Nie oglądamy się na krawężników, tylko szturmuje te pieprzone drzwi.

-O tak.

-No to wszystko jasne - odparł Chuck, oddał mu notatnik i razem ruszyli w kierunku fortu.

Kiedy od fortu oddzielała ich jedynie kepa drzew oraz wąski pas pola, mogli się mu dokładniej przyjrzeć, Chuck wypowiedział na głos to, co Teddy pomyślał:

-Mamy przerabane.

W wielu miejscach huragan powrywał z ziemi ogrodzenie opasujące warownie.

Kilka jego odcinków leżało płasko na ziemi, inne cisnięte zostały aż do odległej linii drzew, a reszta ogrodzenia zwisała bezużytecznie.

Ale okolice patrolowali uzbrojeni strażnicy. Dookoła fortu stałe krzątało parę dziupli.

Przed murami zbierał szczątki oddział posługaczy, a druga grupa zmagala się z potężnym drzewem, które utkwilo między blankami. Fosa nie było, lecz do fortu wiodło tylko jedno wejście, przez małe czerwone drzwi z karbowanego żelaza, osadzone pośrodku muru. Na blankach trzymali straż wartownicy z karabinami w ręku, w kilku wąskich okienkach wyciętych w kamieniach widniały kraty. Nigdzie w polu widzenia nie było pacjentów, w kajdanach czy bez. Sami strażnicy i posługacze, mniej więcej w równej liczbie.

Teddy zobaczył, że na skraju muru, pomiędzy dwoma rozstępującymi się wartownikami, pojawiło się kilku posługaczy. Zawołali do swoich kolegów w dole, żeby się odsuneli. Dopchnęli do krawędzi muru grubym piętrem, ciągnęli i napierali na niego, aż wysunięty za blanki zaczął się kołysać. Potem posługacze wycofali się i zniknęli Teddy'emu z oczu. Pchali piętrem od tyłu, aż przesunął się o kolejny metr, przechylił się i przy akompaniamencie ostrzegawczych wrzasków runął w dół, i roztrzaskał się o ziemię. Posługacze wrócili na skraj muru, spojrzeli na swoje dzieło i zaczęli sobie nawzajem gratulować.

-Musisz tu być jakiś kanał, nie? - odezwał się Chuck. - Do odprowadzania ścieków do morza czy coś w tym rodzaju. Można by spróbować tamtędy.

Teddy potrząsnął głową.

-Szkoda zachodu. Po prostu wejdziemy do środka.

-Aha. Tak jak Rachel czmychnęła z oddziału B? Rozumiem. Pożyczymy od niej czapkę-niewidkę. Świetny pomysł.

Widząc pełną powatpiwania minę Chucka, Teddy dotknął kołnierza swego sztormiaka.

-Nie mamy na sobie służbowych mundurów. Domyslasz się, o co mi chodzi?

Chuck spojrzął na posługaczy porządkujących teren przed murami, dostrzegł jeszcze jednego wychodzącego na zewnątrz z kubkiem gorącej kawy, kleby pary wily się na deszczu niczym weze.

-Sprytnie, bracie - rzekł z uznaniem. - Sprytnie.

Palili papierosy i pletli bzdury, idąc do fortu. W połowie drogi natknęli się na strażnika, przewieszony przez ramię karabin dyndał mu leniwie z lufą skierowaną do ziemi.

-Zostaliśmy tu przydzieleni - powiedział Teddy. - Podobno jakieś drzewo zaklinowało się na murach?

Straznik spojrzal przez ramie.

-Juz sobie z nim poradzili.

-To swietnie - rzekl Chuck i obaj z Teddym zaczeli sie odwracac.

-Hej, wolnego - zawolal straznik. - Jest tu jeszcze mnostwo innej roboty.

-Na dworze pracuje chyba z trzydziestu chlopa - zauwazyl Teddy.

-Zgadza sie, ale ktos musi zrobic tez porzadek wewnatrz. Huragan takiej warowni nie zburzy, ale szkod w srodku narobi. Rozumiecie?

-Jasne - odparl Teddy.

-Gdzie jest zespol zajmujacy sie sprzataniem? - spytal Chuck straznika opierajacego sie o mur przy drzwiach.

Straznik wskazal kciukiem za siebie i otworzyl im drzwi. Weszli do ciemnego pomieszczenia.

-Nie chce wyjsc na niewdziecznika - oswiadczył Chuck - ale za latwo nam poszlo.

-Nie przesadzaj z ta podejrziwoscia - odparl Teddy. - Czasami po prostu czlowiekowi sprzyja szczescie.

Uslyszeli za soba odglos zamykanych drzwi.

-Szczescie - powtorzyl Chuck lekko roztrzesionym glosem. - Wiec tak mamy do tego podchodzic?

-Wlasnie.

Juz od progu uderzyl Teddy'ego w nozdrza panujacy tu odor. Zapach silnego srodka odkazajacego, starajacego sie za wszelka cene zatuszowac smrod wymiocin, kalu, potu, a przede wszystkim moczu.

Zaraz potem w glebi budynku i na gornych pietrach uslyszeli jakis zgielk: odglosy bieganiny, wrzaski odbite od grubych scian, zwielokrotnione przez echo, rozchodzace sie w wilgotnym powietrzu, nagly skowyt, swidrujacy w uszach i zamierajacy, uporczywe trajkotanie kilku roznych glosow naraz.

-Nie moziecie! - krzyczal ktos. - Nie moziecie, kurwa! Slyszycie? Nie moziecie.

Zabierajcie te... - Glos zamikl.

Gdzies nad ich glowami, za lukiem kamiennych schodow jakis mezczyzna spiewal "Sto butelek piwa na scianie". Odspiewal wlasnie siedemdziesiata siodma butelke i zabieral sie do siedemdziesiatej szostej.

Na stoliku, obok papierowych kubków i kilku butelek mleka, stały dwa termosy z kawą. Przy drugim stoliku, u podnoża schodów, siedział strażnik, który przyglądał się im z uśmiechem.

-Pierwszy raz, co?

Teddy spojrział na niego. Stare halasy przebrzmiały, zastąpiły je nowe, całość zlewała się w dźwiękową orgię, która atakowała uszy ze wszystkich stron.

-Tak. Słyszeliśmy różne historie, ale...

-Przywykniecie - powiedział strażnik. - Do wszystkiego można przywyknąć. - Święta prawda.

-Jeśli nie macie przydziału na mury, możecie zostawić kurtki i kapelusze tu na dole.

-Kazali nam pójść na mury - oświadczył Teddy.

-A komu tak podpadliście? Tymi schodami wejdziecie na samą górę. Już prawie wszystkich czubków przykulimy do łozek, ale jeszcze paru biega na wolności. Jak zobaczycie któregoś, krzyczcie, jasne? W żadnym razie nie próbujcie sami go obezwładnić. To nie oddział A. Te skurwiele mogą zabić człowieka gołymi rękami.

Rozumiemy się?

-Rozumiemy się. Ruszyli schodami na górę.

-Zaraz, chwila - zawołał za nimi strażnik. Staneli, obejrżeli się do tyłu.

Strażnik szczyrzył się od ucha do ucha z wyciągniętym w ich stronę paluchem.

Przyjeli postawę wyczekującą.

-Wiem, coście za jedni - oznajmił ze swoistym zaspiewem strażnik.

Teddy się nie odzywał, Chuck tak samo.

-Wiem, coście za jedni - powtórzył.

-Czyżby? - wydobył z siebie Teddy.

-No. Jesteście dupkami, którym trafił się przydział na mury. Na tym kurewskim deszczu. - Rozesmiał się i nadal wytykając ich palcem, wałnął drugą dłoń w stół.

-To właśnie my - odparł Chuck. - Cha, cha.

-Cha, kurwa, cha - powiedział strażnik.

-Rozszyfrowałeś nas, stary, nie ma co - rzekł Teddy, udając, że bierze go na muszkę.

Rechot kretyna niosl sie za nimi po schodach.

Zatrzymali sie na pierwszej kondygnacji. Przed ich oczami rozciagal sie ogromny hol z lukowatym sklepieniem obitym miedzia, z ciemna, wypolerowana do polysku posadzka. Teddy wiedzial, ze nie dorzucilby stad do przeciwleglej sciany nawet jablkiem czy pilka do baseballu. Hol byl pusty, a brama zapraszajaco uchylona. Kiedy Teddy przekroczyl prog, poczul sie tak, jakby pod zebrami przebieglo mu stado myszy, gdyz pomieszczenie to przypominalo mu sale balowa ze snu, sale, w ktorej Laeddis namawial go na kielicha, a Rachel zarabala swoje dzieci. Roznila sie wprawdzie kilkoma szczegolami - sala w jego snie miala wysokie okna z grubymi kotarami, podloge wylozona parkietem i ciezkie swieczniki, a do srodka saczyl sie strumienie swiatla - lecz mimo to wydala mu sie bardzo podobna.

Chuck klepnal go w ramie; Teddy poczul, ze pot splywa mu po karku.

-Powtarzam, za latwo poszlo - szepnal Chuck z niklym usmiechem. - Gdzie straznik pilnujacy wejścia? Dlaczego brama nie jest zamknieta na klucz?

Teddy'emu stanela przed oczami Rachel z rozwichrzonymi wlosami, z tasakiem w reku, z dzikim wrzaskiem uganiajaca sie za dzieciakami.

-Nie wiem.

Chuck przysunal sie do niego.

-To pulapka, szefie - syknal mu do ucha.

Teddy ruszyl naprzod. Glowa mu pekala. Z niewyspania. Od deszczu. Od stlumionych tupotow i krzykow na gorze. Nagle ukazalo mu sie dwoch chlopcow i dziewczynka, trzymali sie za raczki, ogladali za siebie. Drzeli.

Dolecial go spiew: "...zdejmij jedna i w obieg ja pusc, piecdziesiat cztery butelki piwa...".

Migneli mu przed oczami: chlopcy i dziewczynka suneli w rozedrganym powietrzu.

Zobaczyl zolte tabletki, ktore Cawley wetknal mu do reki wczoraj wieczorem, i poczul wzburzajace mdlosci. "Piecdziesiat cztery butelki piwa na scianie, piecdziesiat cztery butelki...".

-Musimy zawrocic, Teddy. Musimy sie stad wynosic. To wszystko jest cholernie podejrzané. Przeciez obaj to czujemy.

Nagle w drzwiach w drugim koncu pomieszczenia stanal mezczyzna.

Byl bosy, obnazony do pasa, ubrany jedynie w spodnie od pizamy. Mial ogolona do skory glowe; tyle tylko bylo widac, reszta rysow tonela w mroku.

-Czesc! - odezwal sie do nich.

Teddy przyspieszyl kroku.

-Berek! Teraz ty gonisz! - zawołał pacjent i ruszył biegiem od progu.

Chuck zrownał się z Teddym.

-Na miłość boską, szefie!

On gdzieś tu był. Laeddis. Teddy wyczuwał jego obecność.

Dotarli do końca holu. Mieli przed sobą strome kamienne schody, które z jednej strony opadały w mrok, a z drugiej wznosiły się w kierunku krzyków i trąkotów, rozlegających się teraz głośnie. Teddy usłyszał szczeł metalu i chrzęst lancuchów.

Usłyszał głos wołający:

-Billings! Już dobrze, chłopie! Opanuj się! Tu nie ma dokąd uciec. Rozumiesz?

Nagle ktoś sapnął Teddy'emu koło ucha. Obrócił się w lewo, zobaczył ogolony łeb dwa centymetry od siebie.

-Teraz ty gonisz - oświadczył mężczyzna i dotknął palcem wskazującym ramienia Teddy'ego.

Teddy spojrzał mu w twarz polyskującą w ciemności.

-Teraz ja gonie - odparł.

-Oczywiście, jestem tak blisko, że wystarczyłby twój lekki ruch nadgarstka i znowu ja bym był berkiem, ale potem ja bym cie klepnął, i moglibyśmy tak klepać się na zmianę całymi godzinami, nawet cały dzień - mówił mężczyzna - i na zmianę stawalibyśmy się berkiem, nie robilibyśmy przerwy na lunch, ani nawet na kolację, moglibyśmy to ciągnąć bez końca.

-Ale co to by była za zabawa? - odezwał się Teddy.

-Wiesz, co tam jest? - Mężczyzna wyciągnął rękę w kierunku schodów. - W morzu?

-Ryby - odparł Teddy.

Mężczyzna skinął głową.

-Ryby. Bardzo dobrze. Ryby, tak. Mnóstwo ryb, ale, tak, ryby, bardzo dobrze, ryby, tak, ale jeszcze, jeszcze co? Okrety podwodne. Właśnie. Radzieckie okrety podwodne.

Trzysta, czterysta kilometrów od naszego brzegu. Słyszymy o tym, nie? Mówią o tym w wiadomościach. Jasne. Ale my się tym nie zajmujemy. W gruncie rzeczy zapominamy o tym. To znaczy, owszem, w porządku, są radzieckie okrety, dzięki za informacje. I to wszystko. Przeszliśmy nad tym do porządku dziennego. Wiemy, że kryją się w morzu niedaleko naszego wybrzeża, ale nie myślimy o tym. Racja? A one tam są, uzbrojone w rakiety wycelowane w Nowy Jork i Waszyngton, w Boston. Są tam i czają się. Czy to cie nie przeraża?

Teddy slyszal Chucka, ktory stal obok, wolno oddychajac, czekajac na swoja kolej.

-Jak slusnie zauwazyles - odparl Teddy - wole o tym nie myslec.

Mezcyzna chrzaknal z aprobata i pogladzil sie po szczecinie porastajacej mu brode.

-Docieraja tu do nas rozne wiadomosci. Dziwi cie to, nie? Ale tak jest. Zjawia sie nowy, opowiada nam to i owo. Straznicy tez gadaja. Wy, poslugacze, tez gadacie. A my swoje wiemy, wiemy. Co dzieje sie na swiecie. O probach z bomba wodorowa, o atolach.

Wiesz, jak dziala bomba wodorowa?

-Wykorzystuje wodor? - powiedzial Teddy.

-Bardzo dobrze. Bardzo sprytnie. Tak, tak. - Facet potakiwal energicznie. - Wykorzystuje wodor. Ale, ale rozni sie od innych bomb. Zrzuca sie bombe, nawet atomowa, i ona eksploduje. Zgadza sie? Zgadza sie. Natomiast bomba wodorowa imploduje. Zapada sie w sobie i nastepuje ciag wewnetrznych podzialow. Rozszczepia sie i rozszczepia. I cale to rozszczepianie co wytwarza? Mase i energie. Widzisz, z jej furii samozniszczenia powstaje calkiem nowy potwor. Rozumiesz to? Rozumiesz? Im wiekszy rozpad, tym wieksze samounicestwienie, tym potezniejsza moc sie wyzwala.

A potem, potem? Kurwa, sru! Tylko... lup, bum, swist, gwizd. Unicestwiajac siebie, roznosi sie. Z implozji robi eksplozje o sile razenia sto razy, tysiac razy, milion razy bardziej niszczycielskiej od kazdej innej znanej bomby. To jest dziedzictwo, ktore zostawiamy swiatu. I nie waz sie o tym zapomnac. - Poklepal Teddy'ego po ramieniu, jakby stukal w beben. - Teraz ty berek! Do dziesiatej potegi!

Zeskoczyl po schodach w mrok i tyle go widzieli. Za to slyszeli jego "sru", ktore wykrzykiwal przez cala droge na dol. "...czterdziesci dziewiec butelek piwa! Zdejmij jedna...".

-Masz racje - powiedzial Teddy. - Wynosmy sie stad.

-Nareszcie zmadrzales. Dobieglo ich z gory wolanie:

-Jasna cholera, pomozcie mi tu ludzie! Jezu!

Teddy i Chuck spojrzeli do gory i zobaczyli dwoch szcepionych ze soba mezczyzn, ktorzy staczali sie po schodach. Jeden byl w niebieskim stroju straznika, drugi w szpitalnej bieli. Zatrzymali sie z loskotem na zakrecie schodow. Pacjent wyswobodzil reke, wbil szpony w twarz straznika tuz pod lewym okiem i wyrwal mu kawalek skory.

Straznik wrzasnal i szarpnal glowe do tyłu.

Teddy i Chuck pobiegli do gory. Pacjent juz mial zatopic szpony w twarzy straznika po raz drugi, ale Chuck zdazyl zlapac go za nadgarstek.

Straznik potarl sie pod okiem i rozsmarowal krew po calym policzku. Slychac bylo, jak cala czworoka glosno oddycha, z oddali dolatywala piwna piosenka, facet odspiewywal

czterdziesta druga butelke i juz zabieral sie do czterdziestej pierwszej, kiedy Teddy zobaczyl, jak pacjent podnosi glowe, szczerzac zebry, i zawolal: - Chuck, uwazaj! - i rabnal faceta na odlew w czolo, zanim zdazyl odgryzc Chuckowi kawalek przedramienia.

-Musisz z niego zejsc - zwrocil sie do straznika. - Dalej. Zlaz.

Straznik wyplatal sie z nog pacjenta i wgramolil sie dwa schodki wyzej. Teddy podszedl do chorego, przygwozdzil mu barki do kamiennego podloza i obejrzal sie przez ramie na Chucka, gdy wtem, tuz przy jego twarzy swisnela palka i zlamala lezacemu pacjentowi nos.

Teddy poczul, jak cialo uderzonego wiotczeje.

-Jezu Chryste! - zawolal Chuck.

Straznik zamierzyl sie ponownie, ale Teddy zablokowal uderzenie lokciem.

Spojrzal straznikowi w zakrwawiona twarz.

-Hej! Hej! On jest nieprzytomny. Hej!

Ten jednak czul zapach swojej krwi. Juz podnosil palke.

-Popatrz na mnie! Popatrz na mnie! - krzyknal Chuck.

Straznik zwrocil spojrzenie na Chucka.

-Opamietaj sie, do cholery! Slysyz, co mowie? Opamietaj sie. Facet jest unieszkodliwiony.
- Chuck puscil reke pacjenta, ktora opadla bezwladnie na piers. Usiadl pod sciana, nie odrywal oczu od straznika. - Slysyz, co mowie? - powtorzyl cicho.

Straznik wbil wzrok w podloge, opuscil palke. Przytknal pole koszuli do rany na policzku, spojrzal na zakrwawiony material.

-Poharatal mi twarz.

Teddy przysunal sie, obejrzal rozdarty policzek. Widywal juz gorsze rany; ta nie stanowila smiertelnego zagrozenia. Ale zostanie po niej paskudna blizna. Zaden chirurg nie zaszyje jej tak, zeby nie bylo sladu.

-Nic ci nie bedzie - uspokoil go. - Zaloza kilka szwow i po sprawie.

Nad glowami rozlegly sie odglosy walki wrecz i rumor przesuwanych sprzetow - Macie tu bunt czy co? - spytal Chuck.

Straznik oddychal gleboko, jego twarz powoli nabierala kolorow.

-Niezupelnie.

-Pacjenci przejele wladze na oddziale? - dopytywal sie lekkim tonem Chuck.

Chłopak popatrzył badawczo na Teddy'ego, potem na Chucka.

-Jeszcze nie.

Chuck wyjął chusteczkę z kieszeni, podał ją strażnikowi.

Chłopak kiwnął głową w podziękowaniu i przycisnął chusteczkę do twarzy. Chuck unosił za nadgarstek rękę powalonego. Teddy przyglądał się, jak sprawdza puls. Pusił rękę i zajrzał nieprzytomnemu pod powiekę.

-Będzie żył - oznajmił, patrząc na Teddy'ego.

-Zabierzmy go stąd - zakomenderował Teddy.

Chuck i Teddy przerzucili sobie ręce pacjenta przez barki i ruszyli do góry za strażnikiem. Delikwent nie wazył dużo, ale wspinali się wysoko, a jego stopy wciąż zahaczały o przednogi. Kiedy weszli na szczyt schodów, strażnik obroczył się, wyglądał teraz na starszego, może też nieco mądrzejszego.

-Jestecie szeryfami - powiedział.

-Co takiego?

-Widziałem was zaraz po przyjeździe. - Posłał Chuckowi nikły uśmiech. - Ta blizna na policzku rzuca się w oczy.

Chuck westchnął.

-Co tutaj robicie? - zapytał chłopak.

-Ratujemy ci twarz - odparł Teddy.

Strażnik oderwał chusteczkę, popatrzył na nią i znowu ją przycisnął.

-Wiecie, kogo dzwigacie na swoich barkach? - powiedział. - Paula Vingisa.

Z Wirginii Zachodniej. Ukatrupił bratu żonę i dwie córki, kiedy ten służył w Korei.

Trzymał ciała w piwnicy, no wiecie, używał sobie na nich, kiedy się rozkładały.

Teddy zwalczył nagle chęć, żeby wysunąć się spod ramienia Vingisa i spuścić bydlaka ze schodów.

-Nie da się ukryć - powiedział chłopak, odchrząknął i zaczął jeszcze raz. - Nie da się ukryć, że już mnie miał.

Spoglądał na nich zaczerwienionymi oczami.

-Jak się nazywasz?

-Baker. Fred Baker. Teddy podał mu reke.

-Sluchaj, Fred. Cieszymy sie, ze mogliśmy ci pomoc. Chłopak przeniosł wzrok na swoje buty uwalane krwia.

-Pytam jeszcze raz: co tutaj robicie?

-Rozgladamy sie - odparł Teddy. - Daj nam kilka minut, a potem znikniemy.

Straznik zastanawiał sie, a Teddy czuł, ze wszystko, co wydarzyło sie w jego zyciu w ciagu ostatnich dwoch lat - utrata Dolores, wytopienie Laeddisa, przypadkowe odkrycie George'a Noyce'a i jego opowiesci o eksperymentach na mozgu, nawiązanie kontaktu z senatorem Hurlym, wyczekiwanie na dogodny moment do wyprawy przez zatoke, tak jak w czasie wojny czekali na sprzyjajace warunki przed ladowaniem w Normandii - wszystko to wisialo teraz na wlosku, w tej przedluzajacej sie chwili namyslu straznika.

-Wiecie co? - odezwał sie w koncu chłopak. - Pracowalem w roznych niebezpiecznych miejscach. W aresztach, wazieniu o maksymalnie zaostrozonym rygorze, w innym szpitalu dla oblatanych przestepcow... - Popatrzył na drzwi i oczy rozszerzyły mu sie jak przy ziewnieciu, tylko ze usta pozostaly zamkniete. - Tak. Mam sporo doswiadczenia. Ale ta placowka? - Spoglądal im prosto w oczy. - Rządzi sie własnym prawami.

Wpatrywiał sie w Teddy'ego, a on probował odczytac odpowiedz w znuzonym, nieprzeniknionym spojrzeniu chłopaka.

-Kilka minut? W porzadku - powiedzial straznik, kiwajac glowa. - Nikt sie nie polapie w tym kurewskim balaganie. Macie kilka minut, a potem sie wynosicie, zgoda?

-Jasne - rzekl Chuck.

-I jeszcze jedno. - Chłopak usmiechnal sie blado, kładac reke na klamce. - Postarajcie sie utrzymac przy zyciu przez te kilka minut, dobrze? Bylbym wam za to wdzieczny.

15

Przeszli do pomieszczenia, w ktorym miescily sie cele z granitowymi scianami i posadzkami biegnacymi przez cala dlugosc fortu, pod lukami szerokimi na trzy metry i wysokimi na piec. Jedyne swiatlo wpadalo do srodka przez wysokie okna na krancach pomieszczenia, ze sklepienia kapala woda, tworzac na posadzce kaluze. Pograzone w ciemnosci cele ciagnely sie po ich obu stronach.-Glowny generator wysiadł o czwartej nad ranem. Zamki do cel sa sterowane elektronicznie. To "ulepszenie" wprowadzono stosunkowo niedawno. O kant dupy by to potluc - mowil z przekasem Baker. - O czwartej otworzyly sie wszystkie cele. Na szczescie da sie je zamknac recznie, dlatego udalo nam sie zagonic wiekszosc pacjentow z powrotem do cel i pozamykac na siedem spustow. Ale jakis kutas dorwał gdzies klucz.

Zakrada sie i wypuszcza ich po jednym. Ucieka i wraca.

-Taki lisy? - spytal Teddy.

Straznik popatrzył na niego. - Lysy? Tak. Wciąż nam się wymyka. Przypuszczamy, że to jego sprawka. Nazywa się Litchfield.

-Bawi się w berka na klatce schodowej na dole, minelismy go po drodze.

Baker poprowadził ich do trzeciej celi po prawej stronie i otworzył drzwi:

-Wrzucie go do środka.

Odszukanie przyczty w ciemnościach zabrało im kilka sekund. Zaraz potem Baker włączył latarkę i skierował jej promień do wnętrza celi. Położyli Vingisa na łóżku, a ten jęknął i w nozdrzach pojawiły mu się pecherzyki krwi.

-Muszę sciągnąć posilki i ruszyć za Litchfieldem - oświadczył Baker. - W piwnicy trzymamy osobników, których nawet nie karmimy, jeśli w pomieszczeniu nie ma szczęścia strażników. Jak oni się wydostaną z celi, zrobi się, kurwa, prawdziwe piekło.

-Przede wszystkim potrzebny jest lekarz - powiedział Chuck.

Baker znalazł rogi chusteczki nienasiaknięty jeszcze krwią i przytknął ją z powrotem do rany.

-Jakos wytrzymam.

-To o niego się martwie - wyjaśnił Chuck. Baker spojrzał na nich przez kraty.

-Dobra. W porządku. Odszukam lekarza. A wy dwaj? Uwiniecie się w rekordowym tempie, zgoda?

-Zgoda. Ale sprowadź tu lekarza - powiedział Chuck, kiedy wychodzili z celi.

Baker przekrecił klucz w zamku.

-Już się robi.

Ruszył z kopyta, omiął trzech strażników, którzy wlekli do celi brodatego olbrzyma, i pobiegnął dalej.

-Co teraz? - spytał Teddy. W oddali widział uczeponego kraty okiennej mężczyznę i strażników odwijających waz strażacki. Wzrok powoli się przyzwyczajał do nikłego światła docierającego do korytarza, ale cele wciąż tonęły w mroku.

-Muszą gdzieś tu trzymać akta pacjentów - rzekł Chuck. - Chociażby z podstawowymi informacjami na potrzeby ewidencji i opieki medycznej. Ty rozejrzyj się za Laeddisem, a ja poszukam akt.

-Domyslasz się, gdzie je przechowują?

Chuck obejrzał się w stronę drzwi.

-Sądząc po hałasach, im wyżej, tym bezpieczniej. Myślę, że administracja mieści się na gorze.

-Dobra. Gdzie i kiedy się spotykamy?

-Za piętnaście minut?

Strażnicy zdążyli już rozwinąć wąż i puscili strumień wody, zmietli pacjenta z krat, rozłożyli go na podłodze.

W niektórych celach rozległy się okłaski, w innych jęki, tak głębokie i żalose, jakby dochodziły z pola walki.

-Piętnaście minut powinno starczyć. Spotkamy się w tym wielkim holu?

-Jasne.

Uścisnęli sobie ręce. Chuck miał wilgotną dłoń, nerwowo oblizywał górną wargę.

-Uważaj na siebie, Teddy.

Wtem drzwi wejściowe otworzyły się z hukiem i przebiegł obok nich jakiś pacjent.

Miał białe, brudne stopy i pedził, jakby trenował do zawodów o wysoką stawkę - płynne susy zestrojone były z wymachami rąk, zadającymi ciosy niewidzialnemu przeciwnikowi.

-Postaram się - odparł Teddy, uśmiechając się do Chucka.

-No to na razie.

-Na razie.

Chuck podszedł do wyjścia. Odwrócił się do Teddy'ego, a ten skinął głową.

Kiedy Chuck otworzył drzwi, od strony klatki schodowej nadeszło dwóch posługaczy. Gdy Chuck zniknął za rogiem, jeden z nich zwrócił się do Teddy'ego:

-Nie przebiegała czasem wtedy Wielka Nadzieja Białych?

Teddy spojrzał do tyłu, zobaczył pacjenta przebierającego nogami w miejscu i okładającego się piściami powietrze. Wskazał go ręką i cała trójka ruszyła w stronę pacjenta.

-To były bokser? - spytał Teddy.

-Trafił do nas z plaży, co? Z oddziałów wypoczynkowych? - odezwał się posługacz po jego lewej, czarnoskóry mężczyzna, wyższy i starszy od swego kolegi. - Jakby to powiedzieć? Ten tutaj, Willy, wierzy, że trenuje do walki z Joe Louisem w Madison Square. Nawet jest niezły.

Zbliżyli się do pacjenta, który zawzięcie młocił powietrze.

-Nie damy mu rady we trojke - ocenil Teddy.

Murzyn parsknal smiechem.

-Sam sobie z nim poradze. Jestem jego menedzerem. Nie wiedziales? Hej, Willy! - zawolal. - Czas na masaz, stary. Do walki zostala juz tylko godzina.

-A po kiego mi masaz? - odparl Willy, wyprowadzajac serie szybkich, lekkich ciosow.

-Nie moze dopuscic do tego, zeby kura znoszaca dla mnie zlote jaja nagle dostala kurczu - powiedzial poslugacz. - Slyszysz?

-Kurcz chwycil mnie tylko wtedy, kiedy bilem sie z Jersey Joem.

-I wiesz, jak to sie skonczylo. Willy opuscil rece.

-Co racja, to racja.

-Do sali cwiczen marsz - zakomenderowal poslugacz, zamaszystym ruchem wskazujac cele po lewej.

-Tylko precz z lapskami. Nie lubie, jak mnie ktos dotyka przed walka. Wiesz przeciez.

-Jasne, ze wiem, zabijako. - Poslugacz otworzyl cele. - Laduj sie do srodka.

Willy ruszyl w kierunku celi.

-Slychac ich, nie? Wiwatujace tlumy na trybunach.

-Ma sie rozumiec, stary, ma sie rozumiec. Teddy i drugi poslugacz szli dalej.

-Jestem Al - przedstawil sie poslugacz, podajac Teddy'emu brazowa dlon.

Teddy uscisnal mu reke.

-Teddy. Milo mi, Al.

-Dlaczego jestescie poubierani jak do pracy na dworze, Teddy?

Teddy popatrzyl na swoj sztormiak.

-Dostalimy przydzial na mury. Ale zobaczyliśmy pacjenta na schodach, scigalismy go az tutaj. Pomysleliśmy, ze przyda sie wam wsparcie.

Grudki kalu plasnely o posadzke tuz obok nogi Teddy'ego i w mroku mijanej celi ktos zarechotal. Teddy spogladal niewzruszony prosto przed siebie i szedl rownym krokiem.

-Radze ci trzymac sie jak najblizej srodka korytarza - powiedzial Al. - Ale nawet tam mozna oberwac. Nam to sie zdarza co najmniej raz na tydzien. Widzisz gdzies swojego uciekiniera?

Teddy potrzaskał głową. - Nie, ja...

-O w mordę - przerwał mu Al. - Co?

-Ja widzę mojego.

Sadził prosto na nich, cały mokrzutenki, a Teddy zobaczył, że strażnicy rzucają waz i ruszają w pogoń. Był niewysoki, rudowłosy, pokryta wagrami twarz wyglądała, jakby obsiadł ją roj pszczoł, a zaczerwienione oczy pasowały do koloru włosów. Uskoczył w prawo w ostatniej chwili, trafiając w łuk, gdy ramiona Ala smignęły mu nad głową; mały rudzielec padł na kolana, przeturlał się i zerwał na nogi.

Al rzucił się za nim w pościg, zaraz potem mineli Teddy'ego strażnicy z uniesionymi pałkami, przemoczeni tak jak zbieg, którego gonili.

Teddy już miał się do nich przyłączyć, powodowany choćby instynktem łowczym, gdy wtem doleciał go szept:

-Laeddis.

Stał posrodku pomieszczenia, czekając, aż zabrzmi ponownie. Nic. Zbiorowe zawrodo, które na chwilę uciszyło pościg za małym rudzielcem, wzbierało na nowo, początkowo jako buczenie posród pobrzekiwania basenów.

Teddy'emu przyszły na myśl żółte tabletki. Jeśli Cawley podejrzewał, naprawdę podejrzewał, że on i Chuck sa...

-Laed. Dis.

Odwrocił się twarzą w kierunku trzech cel po prawej stronie korytarza. Skrywała je ciemność. Teddy czekał, wiedząc, że jest widoczny dla tego, kto do niego przemówił; zastanawiał się, czy to Laeddis we własnej osobie.

-Miałes mnie uratować.

Słowa dochodziły albo z celi posrodku, albo z tej po lewej. Nie był to głos Laeddisa.

Na pewno nie. Ale mimo to wydawał się znajomy.

Teddy przysunął się do krat środkowej celi. Przetrasnął kieszenie, wyjął pudełko zapalek i potarł zapalka o draske. Błysnął płomyk i Teddy ujrzał mały zlew i meczysze z zapadniętymi zębami, który kłęcząc na łóżku, gryzł ścianę. Obejrzał się przez ramię. To nie był Laeddis. Ani nikt znajomy.

-Przepraszam, ale wolę pracować po ciemku. Z góry dziękuję.

Teddy cofnął się i odwracając się w lewo, spostrzegł, że cała powierzchnia ściany była zapisana równymi linijkami ciasno stłoczonych liter, tak małych, że trzeba by przysunąć twarz do ściany, żeby je odczytać.

Podszedł do następnej celi; zapalka zgasła. Wtedy odezwał się ten sam głos, tym razem z bliska.

-Zawiodłeś mnie.

Teddy'emu trzęsła się ręka i złamał nową zapalkę, kiedy pocierał nią o draszkę.

-Mówiłeś, że mnie uwolnisz. Obiecałeś mi.

Teddy potarł kolejną zapalkę, która poleciała w głąb celi, niezapalona.

-Kłamales.

Trzecia zapalka zasyczała i zapłonęła. Teddy przytknął ją do krat i zajrzał do środka.

W lewym rogu celi siedział na pryczy mężczyzna ze spuszczonej głową, z twarzą wcisniętą między kolana, rękami oplecionymi wokół łydek. Czubek głowy miał wygolony, tylko po bokach zostawiono mu szpakowate włosy. Cały jego strój składał się z białych spodenek. Przebiegały go dreszcze, wstrzasając kości rysującymi się pod skórą.

Teddy zwilżył wargi i podniebienie. Spoglądając znad zapalki, zawołał:

-Halo?

-Zgarneli mnie z powrotem. Mówią, że należę do nich.

-Nie widzę twojej twarzy.

-Mówią, że tu jest mój dom.

-Mogłbyś unieść trochę głowę?

-Mówią, że tu jest moje miejsce. Nigdy stąd nie wyjde.

-Chcę zobaczyć twoją twarz.

-Po co?

-Chcę zobaczyć twoją twarz.

-Nie poznasz mnie po głosie? Mimo że tyle ze sobą rozmawialiśmy?

-Pokaż twarz. - Ludziłem się, że z twojej strony to coś więcej niż czysto zawodowe zainteresowanie. Ze się na swój sposób zaprzyjaźniliśmy. A przy okazji, ta zapalka zaraz się wypali.

Teddy wpatrywał się w pasek wygolonej skóry na głowie, dygocące kończyny.

-Mówię ci, kolego...

-Co mi mówisz? Co mi mówisz? Nowe kłamstwa, nic więcej po tobie nie mogę się spodziewać.

-Ja nie...

-Kłamca.

-Mylisz się. Pokaż...

Plomien przypalił mu koniuszek palca wskazującego i bok kciuka; Teddy puścił zapalke.

Cela zniknęła. Zatrzeszczały sprężyny materaca, rozległ się dźwięk tarcia materiału o kamienną posadzkę i chrzęst kości.

I znow zabrzmiało to nazwisko:

-Laeddis.

Tym razem doleciało z prawej strony celi.

-Nigdy nie chodziło ci o prawdę.

Teddy wyszarpnął z pudełka dwie zapalke, mocno przycisnął jedną do drugiej.

-Nigdy.

Zapalił obie naraz. Łozko było puste. Przesunął rękę w prawo i ujrzał mężczyznę stojącego w kacie, odwróconego do niego plecami.

-Chodziło?

-Co chodziło? - spytał Teddy.

-O prawdę.

-Tak.

-Nie.

-Tu chodzi o prawdę - zaprzeczył się Teddy. - O ujawnienie...

-Liczysz się tylko ty. I Laeddis. Zawsze tak było. A mnie traktowałeś jak środek prowadzący do celu.

Mężczyzna obrócił się, zbliżył do niego. Twarz miał rozbita na miazgę, nabrzmiąca, mieniaca się kolorami purpury, czerni i wiśni. Złamany nos zaklejony był białymi plasterkami.

-Jezu - wyrwało się Teddy'emu. - Ładny widok, co?

-Kto cie tak urzadzil?

-To twoje dzieło.

-Co ty chrzaniisz? Przeciez...

Naprzeciw niego, po drugiej stronie krat stal George Noyce, usta mial jak detki od roweru, spuchniete i czarne od szwow.

-Ta twoja gadanina. Ta twoja pieprzona gadanina, a ja i tak znow tu siedze. Przez ciebie.

Teddy pamietal ich ostatnie spotkanie w pokoju odwiedzin w wiezieniu. Mimo bladej cery Noyce wygladal wtedy zdrowo, byl pelen zycia, wiszace nad nim czarne chmury wyraznie sie rozproszyly. Opowiedzial nawet dowcip, cos o Niemcu i Wlochu, wchodzacych do baru w El Paso.

-Patrz na mnie - mowil Noyce. - Nie odwracaj wzroku. Nigdy nie chciales zdemaskowac tej placowki.

-To nieprawda, George - odparl Teddy dosc cichym i opanowanym glosem.

-Wlasnie, ze tak.

-Nie. Jak myslisz? Co planowalem przez caly ostatni rok? Te akcje. Tutaj i teraz.

-Ty gnoju!

Teddy poczul, jak ten krzyk uderza go w twarz.

-Ty gnoju! - wrzasnal po raz drugi Noyce. - Caly ostatni rok planowales?

Planowales zabic. Nic wiecej. Zemsta i Laeddis. Tylko o to toczy sie ta twoja zasrana gra. Zobacz, do czego to mnie doprowadzilo. Znowu tutaj wyladowalem. Nie zniose tego. Nie zniose tego przekletego miejsca. Nie po raz drugi, nie po raz drugi.

-George, posluchaj. Jak do ciebie trafili? Musza byc jakies nakazy przeniesienia.

Opinie psychiatrow. Akta, George. Dokumenty.

Noyce sie rozesmial. Przycisnal twarz do krat, poruszył brwiami.

-Zdradze ci pewien sekret. Chcesz? Teddy przyblizyl sie o krok.

-Prawdziwa bomba... - powiedzial Noyce.

-Mow - zachecil go Teddy. I Noyce naplul mu w twarz.

Teddy odsunal sie, rzucil zapalki i starl rekawem flegme z czola.

-Wiesz, w czym specjalizuje się nasz drogi doktor Cawley? - odezwał się w ciemności Noyce.

Teddy sprawdził dłoń na czole i łuk nosa; były suche.

-Urazy na tle doznanej straty, poczucie winy wynikające z ocalenia.

-Nic podobnego - prychnął Noyce. - Agresja. Szczególnie u męskich osobników.

Prowadzi nad nią badania.

-To nie on, tylko Naehring.

-Cawley - odparł Noyce. - Za wszystkim stoi Cawley. Z całego kraju przywoza mu najgroźniejszych swirów i bandytów. Jak sądzisz, dlaczego tak mało jest tu pacjentów?

I naprawdę myślisz, że ktokolwiek będzie się uważnie przyglądał dokumentom, kiedy w grę wchodzi przeniesienie osobnika znanego z agresji i zaburzeń psychicznych? Czy ty, kurwa, naprawdę tak myślisz?

Teddy zapalił następne dwie zapalki.

-Nie wyrwę się stąd - rzekł Noyce. - Raz mi się udało. Ale drugi raz już się nie uda.

Nigdy się nie udaje.

-Tylko spokojnie, tylko spokojnie, George. Jak się do ciebie dobrali?

-Oni o wszystkim wiedzą. Nie rozumiesz? Znają twoje zamiary. Cały plan.

Prowadzą z tobą grę. To wszystko to przedstawienie - mówił Noyce, zataczając ręką łuk nad głową - zainscenizowane specjalnie dla ciebie.

-Huragan też dla mnie zamówili, co? - Teddy uśmiechnął się. - Sprytne posunięcie.

Noyce milczał.

-Jak to wytłumaczysz?

-Nie wiem.

-Tak sądzilem. Nie popadajmy w paranoje, dobrze?

-Często zostawiali cię samego? - spytał Noyce, wpatrując się w niego przez kraty.

-Słucham?

-No, odkąd to wszystko się zaczęło, czy chociaż przez chwilę byłeś sam.

-Przez cały czas - odparł Teddy.

-Całkiem sam? - dociekał Noyce, unosząc brew.

-Niezupełnie. Z moim partnerem.

-A co to za jeden ten twój partner? Teddy wskazał kciukiem za siebie.

-Chuck, ale on jest...

-Niech zgadnę - przerwał mu Noyce. - Nigdy wcześniej z nim nie pracowałeś, mam rację?

Teddy'emu zdawało się, że pomieszczenie z celami nagle zaczyna na niego napierać.

Rece przeszył mu ziać. Przez chwilę nie mógł wydobyć z siebie słowa, jakby połączenie nerwowe między mózgiem a językiem zostało przerwane.

-To szeryf federalny z Seattle... - przemówił w końcu.

-Nie pracowałeś z nim wcześniej, tak?

-To nie ma znaczenia - odparł Teddy. - Znam się na ludziach. Wiem, z kim mam do czynienia. Ufam mu.

-Na jakiej podstawie?

Na to pytanie nie było prostej odpowiedzi. Czy w ogóle wiadomo, skąd bierze się wiara w drugiego człowieka? Po prostu przychodzi w jednej chwili. Teddy zetknął się na wojnie z ludźmi, którym powierzyłby życie na polu walki, ale bron Boże portfel, kiedy już nie byli pod ostrzałem. Spotkał ludzi, którym powierzyłby i portfel, i żonę, ale nigdy nie odwróciłby się do nich plecami podczas bojki.

Chuck nie musiał mu towarzyszyć w tej wyprawie, mógł zostać w podziemiach i przespacerować gorączkową akcję usuwania szkod, czekając na wiadomość o promie. Ich misja była skończona - Rachel Solando się odnalazła. Chuck nie miał powodu, żeby angażować się w poszukiwania Laeddisa, nie był oddany sprawie udowodnienia światu, że Ashecliff jest kpina z przysięgi Hipokratesa, ale mimo to stanął u boku Teddy'ego.

-Ufam mu - powtórzył Teddy. - Inaczej nie potrafię tego wyrazić.

Noyce spoglądał na niego smutno spomiędzy metalowych pretów.

-No to już po tobie.

Teddy rzucił wypalone zapalki, wysunął kartonowe pudeleczko, wymacał ostatnią zapalke. Usłyszał, jak nadal stojący przy kratkach Noyce pociąga nosem.

-Proszę - szepnął, a Teddy domyślił się, że płacze. - Proszę.

-O co chodzi?

-Proszę, ratuj mnie. Nie chcę tu umierać.

-Nie umrzesz tutaj.

-Zabiora mnie do latarni. Wiesz o tym. - Do latarni?

-Wytna mi mózg.

Teddy potarł zapalke, zobaczył w błysku płomienia, że Noyce ścisną kraty i dygoce, a z opuchniętych oczu tryskają łzy i spływają po nabrzmiałej twarzy.

-Nie zrobią ci tego.

-Idź tam. Zobacz, co to za miejsce. A jeśli wrócisz żywy, powiesz mi, co oni tam wyprawiają. Przekonaj się sam.

-Pojde tam, George, obiecuje. Wydostane cię stąd.

Noyce opuścił głowę, przycisnął wygoloną czaszkę do pretów i bezgłośnie płakał.

Teddy przypomniał sobie ich ostatnie spotkanie w więziennym pokoju odwiedzin. Noyce oświadczył mu wtedy: "Jeśli znowu mnie tam zamkną, zabije się", a Teddy powiedział: "Nie wrócisz tam".

Kłamał.

Ponieważ oto miał przed sobą Noyce'a. Pobitego, złamanego, zastraszonego.

-George, spójrz na mnie.

Noyce podniósł głowę.

-Uwolnie cię stąd. Musisz jeszcze trochę wytrzymać. Nie rob sobie nic, czego nie da się już naprawić. Słyszysz? Wytrzymaj jeszcze. Wróć po siebie.

George Noyce uśmiechnął się przez łzy zalewające mu twarz i powoli potrząsnął głową.

-Nie możesz zabić Laeddisa i jednocześnie ujawnić prawdy o tym zakładzie. Musisz dokonać wyboru. Chyba to rozumiesz?

-Gdzie go trzymają?

-Powiedz, że to rozumiesz.

-Rozumiem. Gdzie go trzymają?

-Musisz wybrać.

-Nikogo nie zabije, George. Nie zabije.

I spoglądając przez kraty na Noyce'a, czuł, że mówi prawdę. Jeśli tego wymagało ocalenie tego nieszczęsnego ludzkiego wraka, tej udreconej ofiary, Teddy wzniesie się ponad osobiste porachunki. Nie zaniecha zemsty. Odłoży ją na później w nadziei, że Dolores to zrozumie.

-Nikogo nie zabije - powtórzył.

-Kłamiesz. - Nie.

-Ona umarła. Pogodz się z tym.

Noyce wcisnął usmiechniętą, zapłakaną twarz między prety, nie odrywając od Teddy'ego łagodnych, podpuchniętych oczu.

Teddy poczuł nagle scisnięcie gardła. Dolores powróciła. Widział ją, jak siedzi na tarasie, spowita mgielką, w blasku pomarańczowej luny unoszącej się nad miastem po letnim zachodzie słońca; podnosi głowę, gdy zajeżdża przed dom, a dzieciaki wracają do przerwanej zabawy na środku ulicy; podpierając brode i z papierosem w ręku, przygląda mu się, jak nadchodzi, a on tego dnia kupił jej kwiaty; jest po prostu jego miłością, jego dziewczyną, która patrzy na niego, jakby chciała utrwalic w pamięci jego postać, choć, te kwiaty i te chwile, a on ma ochotę zapytać ją, jaki odgłos wydaje serce, kiedy pęka z rozkoszy, kiedy widok jakiejś osoby wypełnia człowieka do głębi, a jedzenie, krew i powietrze nie mogą go wypełnić, kiedy czuje on, że całe życie było przygotowaniem do jednej tylko chwili, która właśnie nadeszła.

Pogodz się z tym, powiedział Noyce.

-Nie potrafię - odparł Teddy łamiącym się, piskliwym głosem, czując w środku, że chce mu się wyc.

Noyce wygiął się do tyłu i nadal uczepony pretów przekrzywił głowę tak, że uchem dotykał barku.

-No to nigdy nie wyrwiesz się z tej wyspy.

Teddy się nie odezwał.

Noyce westchnął, jakby to, co zaraz miał powiedzieć, nudziło go tak straszliwie, że gotów był zasnąć na stojąco.

-Zabrali go z oddziału C. Jeśli nie ma go na oddziale A, to pozostaje tylko jedno miejsce, gdzie mogą go trzymać.

Noyce milczał, czekając, aż Teddy sam się domysli.

-Latarnia - powiedział Teddy.

Noyce skinął głową i zgasła ostatnia zapalka.

Przez całą minutę Teddy stał nieruchomo, patrząc przed siebie w mrok, a potem zatrzeszczały sprezynny łożka, znak, że Noyce się położył.

Teddy obrócił się, chcąc odejść.

-Hej!

Zatrzymał się, odwrócony plecami do celi, i czekał.

-Niech Bog ma cie w opiece.

16

Kiedy odwrócił się, żeby ruszyć w powrotną drogę, spostrzegł czekającego na niego Alę, który stał pośrodku granitowego korytarza i przyglądał mu się leniwie. -Dopadłeś tego drania? - spytał Teddy.

-No pewnie - odparł Al, dołączając do Teddy'ego. - Przebiegły sukinsyn. Ale tutaj nie ma dużego pola manewru. W końcu przyparłem go do muru.

Szli środkiem między celami, a Teddy'emu pobrzmiwało pytanie Noyce'a, czy chociaż przez chwilę był sam. Ciekawe, jak długo Al mu się przyglądał? Teddy odtworzył w myślach przebieg swojego dotychczasowego pobytu na wyspie, usiłując wyluskać choć jedną chwilę, kiedy był zupełnie sam. Nawet z łazienki korzystał wspólnie, ogólnie dostępnej, i zawsze ktoś był obok, w sąsiedniej kabinie, albo czekał przed drzwiami.

Ale przecież kilka razy wypuszczali się z Chuckiem poza teren szpitala...

Właśnie. Z Chuckiem.

Co tak naprawdę o nim wiedział? Stanela mu na chwilę przed oczami jego twarz, zobaczył go stojącego na promie, zapatrzonego w dal, w bezkres oceanu.

Wspaniały facet, z miejsca budzący sympatie, swobodny w obejściu. Wymarzony kompan. Z Seattle. Niedawno przeniesiony. Po mistrzowsku grał w pokera. Nienawidził ojca - to jedno nie pasowało do całej reszty. Właściwie jeszcze coś było z nim nie tak, coś, co utkwiło Teddy'emu gdzieś głęboko w zakamarkach umysłu. Co takiego?

Niezdarnosc. Tego słowa szukał. Ale nie, przecież Chuck w niczym nie wykazywał niezdarności. Toż to uosobienie zrecznosci. Tak gładki, że wślzby w tylek bez wazeliny - Teddy'emu przypomniało się ulubione powiedzonko ojca. Nie, Chuck nie był niezdara.

Ale czy chociaż raz do jego ruchów zakradła się niezgrabność? Tak. Teddy był pewny, że raz się to zdarzyło. Ale nie mógł sobie przypomnieć okoliczności. Nie teraz. Nie tutaj.

A ponadto wszystko to brzmiało niedorzecznie. Chuckowi na pewno można było ufać. Naraził się dla Teddy'ego, włamując się do biurka Cawleya.

Widziałeś, jak się włamywał?

A w tej chwili dobierał się do akt Laeddisa, chociaż mogło to zagrozić jego karierze.

A skąd wiesz?

-Tedy dojdiesz z powrotem do klatki schodowej - odezwał się Al, kiedy stawali przed drzwiami - a potem schodami do góry. Na mury łatwo trafisz.

-Dzięki.

Teddy zwlekał z otwarciem drzwi, ciekawy, jak długo Al będzie się przy nim krecił.

Lecz Al tylko skinął mu głową na pożegnanie i pomaszerował w głąb pomieszczenia z celami. To utwierdziło Teddy'ego w przekonaniu, że nikt go tu nie śledzi. Dla Ala Teddy był zwykłym posługaczem. Noyce cierpiał na manie przesładowcza, co było zresztą zrozumiałe, biorąc pod uwagę położenie nieszczęsnika. Ale nie zmieniało to faktu, że Noyce po prostu był paranoikiem.

Al odszedł, nie oglądając się za siebie, i Teddy przekrecił gałkę. Uchylił drzwi, ale nie dostrzegł posługaczy ani strażników czających się przy schodach. Był sam.

Samiutenki. Pusił drzwi, które same się za nim zatrzasnęły. Gdy tylko wszedł na schody, zobaczył Chucka: stał na zakrecie, na którym wpadli na Bakera i Vingisa. Sciskał papierosa i szybko, mocno się zaciągał. Spojrzał w górę na nadchodzącego Teddy'ego, obrócił się i różnym krokiem ruszył przed siebie.

-Mielismy się spotkać w holu.

-Mamy gości - odparł Chuck, kiedy Teddy go dogonił i razem skrecili do ogromnego holu.

-O kim mówisz?

-Komendant i Cawley są tutaj. Musimy stąd wiać.

-Zauważyli cie?

-Nie wiem. Byłem w pokoju, gdzie trzymają akta, dwa pietra wyżej. Wychodzę i widzę ich w dole, w drugim końcu holu; Cawley odwraca głowę, a ja dopadam do drzwi i wyskakuję na klatkę schodową.

-Może nie zwrócili na ciebie uwagi.

-Jasne - skitował Chuck w biegu. - Posługacz w sztormiaku i kapeluszu na piętrze wyznaczonym dla administracji? Buszujący w kartotece? O tak, wszystko gra.

Nagle nad ich głowami zapaliły się światła przy wtorze łagodnych trzasków, które brzmiały jak odgłos pekających w wodzie kosi. W powietrzu rozeszło się buczenie przeskakujących ładunków elektrycznych, po którym rozległy się wrzaski, wycia i zawodzenia. Teddy i Chuck przez chwilę mieli wrażenie, jakby budynek wokół nich wydzwignął się, a potem opadł. Rozdzwoniły się alarmy, niosąc się echem po korytarzach i przenikając ściany.

-Włączyli zasilanie. W sama porę, nie ma co - rzucił Chuck i ruszył schodami w dół. Do góry pedziło czterech strażników, Chuck i Teddy wtulili się w ściany, żeby ich przepuścić.

Przy stoliku nadal pełnił dyżur ten sam strażnik. Rozmawiał właśnie przez telefon, patrząc przed siebie zamglonym wzrokiem, lecz na ich widok jakby się ocknął.

-Chwileczkę - powiedział do słuchawki, a do nich, kiedy schodzili już z ostatniego stopnia, zawołał:- Hej, wy dwaj, zaczekajcie!

Przed drzwiami wyjściowymi klebił się spory tłumek - posługacze, strażnicy, dwóch ubloconych pacjentów w kajdanach - i Teddy z Chuckiem zaraz się w niego wmieszali, omijając po drodze faceta, który odsuwał się od stolika z napojami i podsunął przy tym Chuckowi niemal pod sam nos kubek z gorącą kawą.

-Hej! Wy dwaj! Hej! - wołał za nimi strażnik.

Teddy i Chuck szli równym krokiem, a pracownicy, słysząc głos dyżurnego, rozglądali się dookoła i zastanawiali się, do kogo się zwraca.

Jeszcze sekunda czy dwie, a zostaną wyłowieni z tłumu.

-Zatrzymać się!

Teddy pchnął reka drzwi na wysokości piersi. Ani drgnęły. - Hej!

Spostrzegł wielką mosięzną gałkę, zupełnie taką samą jak w domu Cawleya, zacisnął na niej dłoń; była śliska od deszczu.

-Musimy pogadać!

Teddy przekreślił gałkę i pchnął drzwi. Po schodkach wchodziło dwóch strażników i Teddy obrócił się i przytrzymał drzwi, przepuszczając Chucka, a strażnik po jego lewej podziękował mu kiwnięciem głowy. Wszedł do środka ze swoim towarzyszem, a Teddy puścił drzwi i zszedł z Chuckiem po schodkach.

Po lewej ujrzał gromadkę identycznie ubranych mężczyzn, którzy mimo mżawki palili papierosy i popijali z kubków kawę; niektórzy opierali się o mur, wszyscy głośno dowcipkowali i zawadiacko wydmuchiwali dym. Teddy i Chuck podeszli do nich, ani na chwilę nie oglądając się za siebie i nasłuchując odgłosu otwieranych drzwi i nawoływania.

-Znalazłeś Laeddisa? - spytał Chuck.

-Nie, ale za to trafiłem na Noyce'a.

-Co takiego?

-To, co słyszałeś.

Przywitali się z posługaczami, którzy uśmiechali się do nich i machali reka, a Teddy poprosił jednego o ogień. Potem poszli z Chuckiem dalej wzdłuż muru, który ciągnął się chyba przez

pol kilometra. Szli, a w powietrzu niosły się okrzyki, które mogły być skierowane do nich; szli, widząc wysoko na murach, piętnaście metrów nad ziemią, sterczące groźnie lufy karabinów.

Dotarli do końca muru i skreśliли w lewo na podmokłe pole porośnięte trawą.

Zobaczyli, że wyrwane odcinki ogrodzenia zostały wstawione na miejsce, a posługacze zalewali słupki betonem. Widac było, że ogrodzenie zostało naprawione na całej długości, i zrozumieli, że wtedy się nie wydostaną.

Zawrócili i tym razem odbili od muru, kierując się na otwarty teren. Teddy wiedział, że jedyna droga wyjścia prowadzi obok posterunku. Od razu wydobyły się podejrzenia, gdyby obrali inny kierunek.

-Poradzimy sobie, szefie, nie?

-Jasne.

Teddy zdjął kapelusz, a Chuck poszedł w jego ślady; po chwili ściągali sztormiaki i przerzucili sobie przez ramię. Czuli na sobie drobne kropelki deszczu. Na posterunku stał ten sam strażnik i Teddy zwrócił się do Chucka:

-Nie zwalniamy kroku.

-Robi się.

Teddy próbował wyczytać coś z twarzy strażnika. Była zupełnie bez wyrazu i Teddy zadał sobie pytanie, czy jest tak beznamiętna ze znużenia, czy dlatego, że strażnik szykuje się do starcia.

Mijając go, Teddy pomachał mu ręką, a strażnik powiedział:

-Podstawili ciężarówki.

Szli dalej. Teddy odwrócił się i idąc tyłem, powtórzył:

-Ciężarówki?

-Tak, żeby odwieźć was z powrotem. Radzę wam zaczekać, jedna ruszyła pięć minut temu. Zaraz powinna przyjechać.

-Nieee. Potrzeba nam trochę ruchu na świeżym powietrzu.

Twarz strażnika jakby drgnęła. Może Teddy tylko to sobie uroił, a może strażnik polapał się, że wciskają mu kit.

-Na razie. Cześć.

Teddy obrócił się i ruszył z Chuckiem w kierunku drzew. Wyczuwał na sobie spojrzenie strażnika, wyczuwał spojrzenia całej załogi fortu. Cawley i komendant mogli stać już przed bramą albo na murach. I obserwować.

Dotarli do linii drzew, nikt za nimi nie wołał, nikt nie oddał strzału ostrzegawczego.

Weszli głębiej i wtopili się w gestwiny grubych pni, sponiewieranych galezi i liści.

-Jezu - powiedział Chuck. - Jezu, Jezu, Jezu.

Teddy przysiadł na glazie. Cały był zlany potem, miał przesiakniętą koszulę i spodnie, ale czuł się radosnie podniecony. Serce wciąż waliło mu w piersi, oczy piekły, scierpla mu skóra na karku i szyi, ale rozpięta go najwspanialsze, poza miłością, uczucie na świecie.

Upojenie odzyskana wolnością.

Spojrzał na Chucka i nie odrywał wzroku od jego oczu, dopóki obaj nie wybuchnęli śmiechem.

-Mówię ci, Teddy, kiedy wyszedłem zza rogu i zobaczyłem, że ogrodzenie stoi na swoim miejscu, pomyślałem: Niech to szlag, już po nas.

Teddy oparł się plecami o skałę, rozkoszując się uczuciem swobody, jakiego nie zaznał od czasów dzieciństwa. Patrzył, jak siwe chmury na niebie przecierają się i przeswitują przez nie błękit; skóra owiewała mu wietrzyk. W powietrzu unosił się zapach wilgotnych liści, wilgotnej ziemi, wilgotnej kory. Cicho kapły ostatnie krople deszczu.

Miał ochotę zamknąć oczy i obudzić się po drugiej stronie zatoki, w Bostonie, w swoim łóżku.

O mało nie przysnął i to uswiadomiło mu, jak bardzo jest wyczerpany. Podniósł się, wyjął papierosa z kieszeni koszuli i poprosił Chucka o ogień. Oparł dłonie o kolana.

-Musimy założyć, że prędzej czy później dowiedzą się o naszej wyprawie do fortu, jeśli już się nie połapali - powiedział.

-Baker puści farbę, jak go przycisną - odparł Chuck.

-Podejrzewam, że strażnik przy schodach został uprzedzony o naszym przybyciu.

-Albo po prostu chciał, żebyśmy się wypisali przy wyjściu.

-Tak czy siak, zapamiętał nas, zresztą nie on jeden.

Rozległo się wycie rogu mgłowego latarni bostonskiej, odgłos, który towarzyszył Teddy'emu przez całe dzieciństwo spędzone w Hull. Techno przeraźliwym osamotnieniem. Sprawiało, że człowiek nagle pragnął się do czegoś przytulić, objąć drugiego człowieka, poduszkę, siebie samego.

-Noyce - powiedział Chuck. - Tak.

-Naprawde tu jest.

-We wlasnej osobie.

-Na milosc boska, Teddy, jak do tego doszlo? - spytal Chuck.

Teddy opowiedzial mu o tym nieszczesniku, o jego zmiadzzonej twarzy, wrogosci wobec Teddy'ego, o jego przerazeniu, roztrzesieniu, placzu. Pominal tylko to, co dotyczylo osoby Chucka, wysuniete przez Noyce'a podejrzenia. Chuck sluchal, potakujac, wpatrujac sie w Teddy'ego wzrokiem dziecka spogladajacego na wychowawce, ktory przy obozowym ognisku snuje opowiesc o duchach.

A Teddy'emu przemknelo przez mysl, ze to, co mowi, brzmi rownie fantastycznie.

-Wierzysz mu? - spytal Chuck, kiedy Teddy skonczyl.

-Wierze, ze tu jest. To nie ulega watpliwosci.

-Przeciez mogli przezyc zalamanie nerwowe. Mam na mysl prawdziwe. Z taka przeszloscia? Wszystko moglo sie odbyc zgodnie z prawem. Noyce rozkleja sie w wiezieniu, a oni na to: "Ten facet byl kiedyś leczony w Ashecliffe. Wyslemy go tam z powrotem".

-Mozliwe - odparl Teddy. - Ale kiedy widzialem go ostatnim razem, wygladal na calkiem zdrowego na umysle.

-Kiedy to bylo?

-Przed miesiacem.

-Wiele sie moze zmienic w ciagu miesiaca.

-Tez prawda.

-A co z ta latarnia? - spytal Chuck. - Wierzysz w to, ze ukrywa sie tam garstka oblakanych naukowcow, ktorzy w tej chwili wszczepiaja Laeddisowi do mozgu antenki?

-Oczyszczalni wody raczej nie otacza sie zelazna siatka.

-Sluszenie. Ale to wszystko zakrawa na jakis Grand Guignol, nie uwazasz?

Teddy zmarszczyl brwi.

-A co to niby jest, do cholery?

-Cos makabrycznego - wyjasnil Chuck. - Jak taki basniowy potwor.

-Rozumiem, ale co to jest to "gra-gin"?

-Grand Guignol - odparl Chuck. - To z francuskiego. Przepraszam.

Teddy patrzył, jak Chuck z uśmiechem próbuje wybrnąć z opalów, głowkując pewnie, jak zmienić temat rozmowy.

-Podłapałeś sporo francuskiego, dorastając w Portland - zauważył Teddy.

-W Seattle.

-Racja. Proszę o wybaczenie - powiedział Teddy, bijąc się w piersi.

-Interesuje się teatrem. Co w tym dziwnego? To określenie związane z teatrem.

-Wiesz, znalazłem kiedyś faceta, który pracował u was w biurze w Seattle - oznajmił Teddy.

-Naprawdę? - odparł z roztargnieniem Chuck, przetrzasując kieszenie.

-Naprawdę. Pewnie go znasz.

-Pewnie tak. Załóżę się, że nie możesz się doczekać, żeby zobaczyć, co wyciągnąłem z akt Laeddisa.

-Miał na imię Joe. Joe... - Teddy strzelił palcami i popatrzył na Chucka. - Mam to na końcu języka. Pomóż mi. Joe, Joe...

-U nas było na peczki facetów imieniem Joe - rzekł Chuck, sięgając do tylnej kieszeni spodni.

-A ja myślałem, że ten wasz wydział jest mały.

-O, mam. - Chuck wyszarpnął rękę z tylnej kieszeni spodni, ale jego dłoń była pusta. Teddy widział wystającą wciąż z kieszeni złożoną kartkę, która wyslizgnęła się Chuckowi z ręki.

-Joe Fairfield - powiedział Teddy, zastanawiając się nad ruchem, jakim Chuck wyciągnął rękę z kieszeni. Niezdarnym. - Znasz go?

-Nie - odparł Chuck, znowu sięgając do kieszeni.

-Jestem pewny, że go do was przeniesli. Chuck wzruszył ramionami.

-Nic mi nie mówi to nazwisko.

-A może chodziło o Portland. Portland i Seattle zawsze mi się myła.

-Tak, zauważyłem.

Chuck wyjął wreszcie kartkę i Teddy'emu stanął przed oczami jego partner w dniu przyjazdu na wyspę, kiedy oddawał strażnikowi rewolwer służbowy i plątały mu się palce przy odpinaniu kabury. Z tym szeryf federalny raczej nie powinien mieć kłopotu.

Taka nieudolność mogła go na służbie kosztować życie.

Chuck wyciągnął do niego rękę z kartką.

-To formularz przyjęcia Laeddisa do szpitala. Nic więcej nie mogłem znaleźć oprócz formularza i jego karty. Żadnych raportów na temat jego wybryków, żadnych notatek z terapii, żadnych zdjęć. To niesamowite.

-Racja - odparł Teddy. - Niesamowite.

Chuck podsuwał mu kartkę powiewająca na wietrze.

-No weź - powiedział.

-Nie, zatrzymaj ją - rzekł Teddy.

-Nie ciekawi cię, co tu jest napisane?

-Zobaczę później - odparł Teddy.

Popatrzył na swojego partnera. Zaległo milczenie, którego celowo nie przerywał.

-Co? - odezwał się w końcu Chuck. - Nie znam jakiegoś Joe Pies-Mu-Morde-Lizal i dlatego mierzysz mnie podejrzliwym wzrokiem?

-Nie mierzę cię podejrzliwym wzrokiem, Chuck. Mówiłem już, że Seattle myli mi się z Portlandem.

-W porządku. No to...

-Idziemy - zarządził Teddy.

Wstał, a Chuck siedział jeszcze przez chwilę, wpatrzony w powiewającą na wietrze kartkę, którą trzymał. Spojrzał na drzewa, wznoszące się wokół nich. Popatrzył na Teddy'ego. Zerknął w stronę morza.

Znow zawył róg mgłowy.

Chuck wstał i z powrotem schował kartkę do tylnej kieszeni spodni.

-W porządku. Świetnie. Proszę bardzo, prowadź.

Teddy wszedł między drzewa, kierując się na wschód.

-Gdzie ty idziesz? - zdziwił się Chuck. - Szpital jest w przeciwnym kierunku.

Teddy obejrzał się na niego.

-Nie wracamy do Ashecliffe.

Na twarzy Chucka pojawiło się zdenerwowanie, może nawet lek.

-To dokad sie wybierasz, do cholery?

-Do latarni, Chuck. - Teddy sie usmiechnal.

-Gdzie my jestesmy? - zapytal Chuck.

-Troche nas znioslo.

Kiedy wyszli z lasu na otwarta przestrzen, wbrew przewidywaniom Teddy'ego nie natkneli sie na ogrodzenie otaczajace latarnie. Zboczyli mocno na polnoc. Wskutek obfitych opadow las zmienil sie w mokradlo, a droge tarasowaly im zwalone lub pochylone drzewa. Teddy liczyl sie z tym, ze nie uda im sie utrzymac obranego kursu, ale z jego najnowszych obliczen wynikalo, ze zapadzili sie az pod cmentarz.

Z tego miejsca latarnia byla doskonale widoczna. Jej szczyt wystawal zza dlugiego wzniesienia, nastepnej kepy drzew i pasa brazowej i zielonej roslinnosci. Tuz za polem, przed którym stali, rozciagaly sie bagna, a za nimi sterczaly poszarpane czarne skaly - dodatkowa naturalna zapora na drodze do wzniesienia. Teddy zrozumial, ze pozostalo im jedynie ruszyc z powrotem przez las z nadzieja, ze trafia na rozwidlenie, na którym skrecili nie tam, gdzie trzeba, i obedzie sie bez zmuszonego przedzierania sie z powrotem do punktu wyjscia.

Podzielim sie tym spostrzezeniem z Chuckiem.

Chuck, wymachujac patykiem, stracal przyczepione do nogawek rzepy.

-Albo mozemy zatoczyc kolo i podejsc do latarni od wschodu. Pamietasz, ktoredy jechalismy z McPhersonem wczoraj wieczorem? Kierowca korzystal z drogi dojazdowej, a przynajmniej z tego, co po niej zostalo. Za tym wzgorzem musi byc cmentarz. Idziemy dookola?

-Brzmi bardziej zachecajaco niz perspektywa powrotu przez ten gaszcz - przyznal Teddy.

-Czyzby tobie tez sie to nie usmiechalo? - powiedzial Chuck, trac dlonia o kark. - Bo ja wrecz uwielbiam komary. Mysle nawet, ze na mojej twarzy uchowaly sie moze ze dwa miejsca, gdzie nie zdazyly mnie jeszcze pokasac.

To byla ich pierwsza wymiana zdan od ponad godziny. Teddy czul, ze obaj probuja rozladowac napiecie, jakie naroslo miedzy nimi.

Ale Teddy zbyt dlugo sie nie odzywal i sprzyjajacy moment minal. Chuck ruszyl w droge, posuwajac sie skrajem pola mniej wiecej w kierunku polnocno-zachodnim.

Przez caly czas wyspa, jakby broniac do siebie dostepu, spychala ich w strone brzegu.

Szli, wspinali sie, szli dalej, a Teddy rozmyslal wpatrzony w plecy Chucka. Swojego partnera, jak wyrazil sie o nim w rozmowie z Noyce'em. Ktoremu ufal. Ale dlaczego?

Poniewaz nie mial innego wyjscia. Poniewaz zaden czlowiek nie uporabylby sie z takim zadaniem w pojedynke.

Gdyby przepadł, gdyby nie wyrwał się z tej wyspy, na pewno warto było mieć sprzymierzenca w osobie senatora Hurly'ego. Bez dwóch zdan. Wszczalby dochodzenie.

Zwrócił uwagę na zniknięcie Teddy'ego. Ale czy bardzo byłoby słychać głos raczej mało znanego senatora z niewielkiego stanu na wschodnim wybrzeżu?

Poza tym wydział poscigowy troszczy się o szeryfów. Na pewno wysłał tu swoich ludzi. Ale pytanie kiedy - czy zdążyliby tu dotrzeć, zanim lekarze z Ashecliffe nieodwracalnie odmieniliby Teddy'ego, zrobili z niego Noyce'a? Albo coś gorsza, faceta, który bawił się w berka?

Teddy miał taką nadzieję, gdyż im dłużej wpatrywał się w plecy Chucka, tym mocniej utwierdzał się w przekonaniu, że był zdany na siebie. Wylacznie na siebie.

-Jezu, znowu stopy kamieni - wyjeżdżał Chuck.

Znajdowali się na wąskim cyplu, który po prawej stronie opadał pod kątem prostym do morza, a po lewej stromym zboczem do rozległej równiny. Wiatr przybierał na sile, niebo nabrało czerwono-brązowej barwy, a powietrze przesycone było solą.

Stopy kamieni rozmieszczone były w dole na równinie. Szczęść, w dwóch rzędach, zewsząd chronione od wiatru przez zbocza, które okalały równinę niczym ściany ogromnej miski.

-Co? Tym razem darujemy sobie? - spytał Teddy.

-Za parę godzin zajdzie słońce - odparł Chuck, pokazując ręką niebo. - Na wypadek gdybyś nie zdawał sobie sprawy, do latarni jeszcze daleko. Jeszcze nawet nie dotarliśmy do cmentarza. Nawet nie mamy pewności, czy wtedy w ogóle można się tam dostać. A ty chcesz znaleźć na dół i oglądać kamienie.

-A jeśli to zaszyfrowana wiadomość...?

-W tej chwili to już bez znaczenia. Mamy dowód, że trzymają tu Laeddisa. Sam widziałem Noyce'a. Teraz musimy po prostu wrócić z tymi informacjami, z tymi dowodami. Zrobiliśmy swoje.

Miał rację. Teddy o tym wiedział.

Miał, ale pod warunkiem że obaj należeli do tego samego obozu.

A jeśli Chuck nie był po jego stronie i nie chciał dopuścić, żeby odebrał tę wiadomość...

-Dziesięć minut na zejście, dziesięć na wejście z powrotem - oznajmił Teddy.

Chuck przysiadł zmęczony na ciemnej skale, wyjął papierosa z marynarki.

-W porządku. Ale ja się na to nie piszę.

-Jak uważasz.

Chuck otoczył papierosa stulonymi dłońmi i rozpalil go. Teddy przyglądał się smudze dymu wijącej się między zgiętymi palcami Chucka, która wiatr porwał w stronę morza.

-Na razie - powiedział Teddy. Chuck odwrócił się do niego plecami.

-Tylko nie skrec karku.

Teddy dotarł na dół w siedem minut, trzy minuty szybciej niż przewidywał, ponieważ podłoże było sypkie, piaszczyste, i chwilami się ślizgał. Załował, że rano wypil tylko kawę, ponieważ z głodu przerazliwie burczało mu w żołądku, niski poziom cukru we krwi w połączeniu z niewyspaniem przyprawiał go o zawroty głowy, a przed oczami przelatwały mu cetki.

Przeliczył kamienie w każdym stosie i zapisał w notesie liczby wraz z przyporządkowanymi im literami: 25(y)-20(t)-14(n)-15(o)-15(o)-20(t) Zamknął notes i schował go do kieszeni. Zaczął wspinać się po piaszczystym stoku, na najbardziej stromym odcinku wczepiając się w ziemię paznokciami, wyrwijając garściami trawę, kiedy tracił oparcie pod stopami i osuwał się. Wejście na górę zabrało mu dwadzieścia pięć minut i niebo zabarwiło się już na ciemny brąz. Obojętne, po czyjej Chuck był stronie, miał rację: dzień szybko chylił się ku końcowi i nieważne, co kryła zaszyfrowana wiadomość: Teddy zmarnował cenny czas.

Juz pewnie nie zdąży dotrzeć do latarni, a gdyby nawet zdołali, co wtedy? Jeśli Chuck pracował dla nich, to Teddy znajdzie się w jaskini lwa.

Ujrzał szczyt zbocza, wystająca krawędź cypla i kopule brązowego nieba nad głową i pomyślał: Może na tym będę musiał poprzestac, Dolores. Może nic więcej nie uda mi się teraz zdziałać. Laeddis dalej będzie żył. Szpital dalej będzie działał. Ale na pociechę zostanie myśl, że wprawiliśmy w ruch proces, który ostatecznie doprowadzi do upadku całego tego przedsięwzięcia.

Znalazł szczelinę u szczytu wzgórza, wąską wyrwę w miejscu, w którym stykało się z cyplem, wystarczająco wyłobiona przez erozję, żeby mógł stanąć, oprzeć się plecami o piaszczystą ścianę, wywindować się na rękach do góry, tak aby opasć piersią na skalny cyfel, a potem podciągnąć nogi. Leżał na boku, spoglądając na morze. Tak niebieskie o tej porze dnia, tak rozedrgane w świetle zmierzchu. Leżał, rozkoszując się tchnieniem wiatru i widokiem morza rozposcierającego się nieskonczenie pod mroczniejącym sklepieniem nieba, i poczuł się taki znikomy, taki skonczenie człowieczy, lecz nie było to wrażenie druzgocące. Napawało dumą. Być częścią tego wszystkiego. Malenka, owszem.

Ale stanąć z tym jedną. Oddychać.

Rozejrzył się po płaskiej powierzchni cypla, z policzkiem wtulonym w skałę, i dopiero wtedy uswiadomił sobie, że Chuck gdzieś zniknął.

17

Zwłoki Chucka leżały u stóp urwiska, omywane chlupoczącymi falami. Teddy najpierw wysunął za krawędź cypla nogi, sprawdzał skaliste podłoże podszwami butów, aż nabral pewności, że kamienie wytrzymają ciężar ciała. Wypuścił powietrze, które bezwiednie

przetrzymanywał w płucach, i zsunął łokcie z krawędzi, poczuł, jak stopy zapadają się w kamiennym podłożu. Jeden kamień się przesunął, wykrecając mu prawą nogę w kostce, i Teddy złapał się krawędzi, przeniósł ciężar tułowia z powrotem na powierzchnię cypla i kamienie pod stopami znieruchomiały.

Obrocił się i opuścił nizej. Przyklejony do ściany urwiska jak krab zaczął schodzić.

Z konieczności posuwał się bardzo powoli. Niektóre kamienie były mocno zaklinowane i dawały pewne oparcie, jak sruby w kadłubie okrętu wojennego. Inne podtrzymywane były tylko przez te, które znajdowały się poniżej, i nie sposób było określić, które są które, dopóki nie postawiło się na nich nogi.

Po blisko dziesięciu minutach dostrzegł na wpol wypalonego papierosa Chucka, zar już dawno przestał się tlić i sterczał czarny niczym czubek ołówka stolarskiego.

Co spowodowało upadek? Wiatr wzmagał się, ale nie był tak mocny, żeby zdmuchnąć człowieka z płaskiej polki skalnej.

Teddy pomyślał o Chucku, który tam u góry w ostatniej minucie swego życia cmil w samotności papierosa, i o wszystkich innych bliskich mu osobach, które ginęły, a on zmuszony był trwać na posterunku. Oczywiście o Dolores. O ojcu, który spoczywał gdzieś na dnie tego samego morza. O matce, która odeszła, kiedy miał szesnaście lat.

O Tootiem Vicellim, postrzelonym w usta na Sycylii, który uśmiechał się do Teddy'ego dziwnie, jakby polknął coś o zaskakującym smaku, a przez zęby saczyła mu się krew.

Był jeszcze Martin Phelan, Jason Hill, ten olbrzymi Polak z Pittsburgha od karabinu maszynowego - jak on się nazywał? - Yardak, tak, Yardak Gilibowski. I ten blondynek, który tak ich rozśmieszał w Belgii. Oberwał w nogę: nie wyglądało to groźnie, dopóki nie okazało się, że nie można zatamować krwotoku. No i Frankie Gordon, ten, którego tamtej nocy w Coconut Grove zostawił na łasce losu. Dwa lata później, kiedy Teddy pstryknął w niego niedopalkiem papierosa i nazwał zasranym dupkiem z Iowa, Frankie powiedział: "Nie wiem, kto jeszcze potrafi tak przeklinać jak...", i nadepnął na mine. Teddy'emu utkwil wtedy w lewej łydce odłamek, który nosi w sobie po dziś dzień.

A teraz przyszła kolej na Chucka.

Teddy już pewnie nigdy się nie dowie, czy powinien był mu wierzyć. Czy powinien mimo wszystko udzielić mu kredytu zaufania? Chuckowi, który go rozweselał, który sprawiał, że łatwiej było mu znieść straszliwy nawal tych ostatnich trzech dni. Chuckowi, który jeszcze tego ranka zartował, że na śniadanie podają jajka a la Benedict, a na lunch reubena z cienko pokrojonymi plasterkami.

Teddy zadarł głowę, oceniając przeżyta odległość. Na oko znajdował się mniej więcej w połowie drogi w dół, a niebo przybrało ciemnoniebieską barwę i z każdą chwilą ciemniało coraz bardziej.

Jaka siła straciła Chucka z tego cypla?

Na pewno nie naturalna.

Chyba że Chuck coś upuścił. Chyba że ruszył po coś na dół. Chyba że, jak teraz Teddy, próbował zejść ze skalnej ściany, czepiając się rękami i nogami kamieni, które mogły okazać się obłuzowane.

Teddy zatrzymał się, żeby trochę odsapnąć; pot ściekał mu po twarzy. Ostrożnie oderwał jedną rękę od skały i wytarł ją do sucha o spodnie. Chwył się nią wypukłości w skalnej ścianie i wytarł drugą, a kiedy z powrotem zaciskał drugą rękę na spiczastym odłamku, zauważył kawałek papieru.

Kartka utkwiała między kamieniem a brązowa nitka korzenia. Powiewała lekko na morskim wietrze. Teddy zdjął rękę z czarnego odłamka i złapał ją palcami. Nie musiał jej rozkładać, żeby dowiedzieć się, co to jest.

Formularz przyjęcia Laeddisa.

Wsunął go do tylnej kieszeni. Przypomnił sobie, jak niepewnie ta kartka spoczywała w kieszeni Chucka, i zrozumiał, dlaczego Chuck tak się naraził. Żeby odzyskać tę kartkę.

Dla Teddy'ego.

Ostatni, sześciometrowy odcinek skalnej ściany pokrywały wielkie, owalne, czarne glazy, porośnięte brunatnicami. Teddy obrócił się tak, że ramiona miał wykrecone do tyłu i zapierał się dłońmi. W ten sposób posuwał się w dół po powierzchni glazów, widząc kryjące się w szczelinach szczury.

W końcu stanął na brzegu morza. Wypatrzył zwłoki Chucka, podszedł bliżej i spostrzegł, że to wcale nie jest ludzkie ciało. Kolejny glaz, spłowiały na słońcu, opleciony grubymi czarnymi warkoczami wodorostów.

Dzięki... nieważne komu. Chuck żył. To nie on tu leżał, tylko wąski, długi glaz oblepiony wodorostami.

Teddy zwinął dłonie w trabkę, przyłożył do ust i zaczął wołać Chucka. Krzyczał i krzyczał, a imię Chucka odbijało się od skał, niesło się w powietrzu i odlatywało hen w morze. Czekał, aż zza krawędzi cypla wyjrzy głowa jego partnera.

Może wtedy szykował się, żeby zejść i poszukać Teddy'ego.

Może teraz się do tego przygotowywał.

Teddy wykrzykiwał jego imię, aż zaczęło go drapać w gardle.

Przestał wołać i nasłuchiwał odpowiedzi. Szczyt urwiska ginał w szybko zapadającym zmroku. Teddy słyszał szum wiatru. Słyszał chróbot szczurów w szczelinach między glazami. Słyszał skrzek mewy. Chłupot morza. Kilka minut później znowu doleciało go wycie rogu mgłowego latarni w Bostonie.

Wzrok przyzwyczaił się do ciemności. Teddy ujrzał wpatrzony w niego oczy.

Dziesiątki par oczu. Szczury wylegiwały się na głazach i gapily się na niego bez leku.

W nocy plazza należała do nich.

Lecz Teddy bał się wody, a nie szczurow. Pieprzyć te małe oslizgłe paskudztwa.

Mógł je poczęstować ołowiem. Zobaczyc, czy spuszcza z tonu, kiedy rozwali kilka z nich.

Tylko że nie miał broni, a liczba szczurow wkrótce się podwoiła. Zamiatały powierzchnie skal długimi ogonami. Teddy czuł wodę omywającą mu obcasy i utkwione w nim spojrzenie niezliczonych oczu. Trudno powiedzieć, czy to ze strachu, ale po kregosłupie przechodziły go ciarki i swędziało w kostkach nog.

Ruszył powoli wzdłuż brzegu i zobaczył, że na kamieniach, niczym foki w słońcu, wylegają się w blasku księżycy setki szczurow. Patrzył, jak z płaskaniem zeskakują z głazów na piasek, tam gdzie jeszcze przed chwilą stał. Odwrócił głowę i spojrzał na odcinek brzegu, jaki się przed nim rozciągał. Nie był długi. Trzydzięci metrów dalej w wodę wrzynało się następne urwisko przegradzające plażę. Po prawej Teddy ujrzał w morzu wysepkę, której nigdy wcześniej nie zauważył. Z tej odległości w księżycowym poswicieniu wyglądała jak kostka brązowego mydła, wisząca na cienkim włosku. Zaraz pierwszego dnia Teddy wybrał się na te urwiska z McPhersonem. Nie widział wtedy żadnej wysepki. Był tego pewny.

Wiec skąd, do cholery, tam się wzięła?

Słyszał je za plecami: gryzły się między sobą, ale głównie strzelały ogonami i piszczały jeden na drugiego. Teddy poczuł, jak swędzenie w kostkach promieniuje coraz wyżej, ogarnia kolana i uda.

Spojrzał przez ramię na plażę: piasek całkowicie przesłonięty był przez chmary gryzoni.

Przeniósł wzrok na urwisko jasniejące w świetle księżycy, który tej nocy był niemal w pełni, i na nieprzeliczone gwiazdy, lśniące na niebie. I wtedy ujrzał lunę, której obecność była równie zagadkowa jak jeszcze nieistniejącej dwa dni temu wysepki.

Pomaranczowa luna. Mniej więcej w połowie wysokości urwiska. Pomaranczowa na tle czarnej skalnej ściany. O zmroku.

Teddy patrzył, jak migoce, przygasa i rozbłyskuje, przygasa i rozbłyskuje. Pulsuje...

Niczym płomień.

Jaskinia, domyślił się. Albo spora szczelina. Ktoś się w niej schronił. Chuck. To na pewno on. Może gonił tę kartkę, zranił się przy schodzeniu w dół - i postanowił posuwać się w poprzek skalnej ściany.

Teddy zdjął kapelusz i podszedł do najbliższego głazu. Widział wlepione w niego szczurze ślepią i trzepnął w nie kapeluszem. Obrzydliwe gryzonie poderwały się i zsunęły na piasek. Teddy wskoczył na opustoszały głaz, kopniakiem przepłoszył szczury z następnego i ruszył do przodu, sadząc susami z kamienia na kamień; za każdym razem coraz mniej gryzoni

stawalo mu na drodze, a na ostatnich glazach nie bylo ich juz wcale. Dopadl do sciany urwiska i zaczal sie wspinac; rece pokaleczone przy schodzeniu wciaz krwawily.

Tym razem szlo mu latwiej. Urwisko bylo wyzsze i szersze od poprzedniego, ale wznosilo sie wyraznymi stopniami i mialo wiecej wystepow.

Wspinaczka w blasku ksiezycy zabrala mu poltorej godziny; pial sie pod badawczym wzrokiem juz nie szczurow, lecz gwiazd, a kiedy sie wdrapywal, obraz Dolores zacieral sie w jego pamieci. Nie potrafil przywolac jej wizerunku, twarzy, dloni ani pelnych ust.

Czul, ze uszla z niego, a jej brak byl dla niego doznaniem zupełnie nowym. Wiedzial, ze sprawilo to fizyczne wyczerpanie, wyglodzenie, niedobor snu: Dolores sie rozplynela.

Rozplynela sie, kiedy wspinal sie podczas tej ksiezycowej jasnej nocy.

Ale nadal ja slyszal. Chociaz Dolores byla niewidzialna, jej glos brzmial mu w glowie. Mowil: Przeszan sie zadreczac, Teddy. Masz jeszcze przed soba cale zycie.

Czy wlasnie o to chodzilo? Czy to naprawde mozliwe, ze po tych dwoch latach, kiedy chodzil jak bledny, godzinami w ciemnym pokoju sluchal plyt Tommy'ego Dorsey'a i Duke'a Ellingtona, wpatrzony w rewolwer lezacy pod reka na stoliku, gardzil tym gównianym zyciem i tesknil za nia tak straszliwie, ze raz, zaciskajac zeby z zalu, ulamal sobie kawalek siekacza - czy to mozliwe, ze wreszcie nadeszla chwila, by pogodzic sie z jej strata?

Nie wysnilem cie, Dolores. Wiem to. Ale teraz wydajesz mi sie snem.

I slusnie, Teddy. Tak powinno byc. Pozwol mi odejsc.

Naprawde?

Tak, kochanie.

Postaram sie. Dobrze?

Dobrze.

Migocaca pomaranczowa luna byla tuz-tuz. Teddy czul bijace od niej cieplo, nikle co prawda, ale wyrazne. Polozyl reke na polce skalnej nad glowa, pomaranczowe swiatlo odbijalo sie od jego nadgarstka. Podciagnal sie i wsunal sie tulowiem na polke.

Zapierajac sie lokciami, wywindowal do gory reszte ciala. Widzial poszarpane skaly skapane w pomaranczowym blasku. Podniosl sie. Glowa niemal dosiegala sklepienia jaskini. Do wnetrza pieczary prowadzil waski przesmyk po prawej i tam Teddy sie skierowal. Wychodzac zza skalnego zalomu, ujrzal plomien ogniska rozpalonego we wglebieniu w kamiennym podlozu oraz kobiecie stojaca po drugiej stronie z rekoma zalozonymi do tylu.

-A ty kto? - spytala.

-Teddy Daniels.

Kobieta miała długie włosy i ubrana była w szpitalny stroj: jasnorozowa koszule, spodnie ściągane tasiemka w pasie, pantofle.

-Tak się nazywałeś, ale czym się zajmujesz? - Scigam przestępców.

Przekrzywiła głowę, w jej włosach widoczne były siwe pasemka.

-Ty jesteś tym szeryfem.

Teddy skinął głową.

-Może mi pani pokazać ręce?

-Dlaczego? - spytała.

-Chciałbym wiedzieć, co pani w nich trzyma.

-Dlaczego?

-Chciałbym wiedzieć, czy może mnie pani tym zranic. Skwitowała to lekkim uśmiechem.

-To chyba słuszne zadanie.

-Ciesze się, że tak pani uważa.

Wyciągnęła ręce do przodu, pokazując długi, cienki skalpel.

-Zatrzymam go, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

-Alez skąd - odparł Teddy, unosząc ręce.

-Wiesz, kim jestem?

-Pacjentka szpitala Ashecliffe.

Znow przekrzywiła głowę i pogładziła się po koszuli.

-No, no, no. Po czym się domyśliłaś?

-Dobrze już, dobrze. Punkt dla pani.

-Wszyscy szeryfowie federalni są tacy bystry?

-Od dawna nie jadłem i mój umysł pracuje wolniej niż zwykle - bronił się Teddy.

-A jak spałaś?

-Co takiego?

-Jak ci się tu na wyspie spi?

-Kiepsko, jeśli to ma jakieś znaczenie.

-Oj ma.

Podciągnęła spodnie na kolanach i siadła na ziemi, dając mu znak, żeby zrobił to samo.

Teddy usiadł i przyjrzał się kobiecie w świetle płomieni.

-Ty jesteś Rachel Solando - rzekł. - Ta prawdziwa. Kobieta wzruszyła ramionami.

-Naprawdę zabiłaś swoje dzieci? - spytał. Traciła skalpelem polano.

-Nigdy nie miałam dzieci.

-Nie miałas?

-Właśnie. Nawet nie wyszłam za mąż. Może ci to zaskoczy, ale byłam tu czymś więcej niż zwykła pacjentka.

-Jak to możliwe?

Przesunęła nieco drugie polano, które opadło z trzaskiem, a z ogniska wzbily się iskry i zgasły, zanim dosięgły sklepienia jaskini.

-Pracowałam w tym szpitalu - powiedziała. - Od tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku.

-Jako pielęgniarka?

Popatrzyła na niego z drugiej strony ogniska.

-Byłam lekarzem, szeryfie. Pierwszym lekarzem płci żeńskiej w szpitalu Drummond w Delaware. Pierwsza lekarka tutaj w Ashecliffe. Masz przed sobą prawdziwą pionierkę.

Albo pacjentkę cierpiącą na urojenia, pomyślał Teddy. Podniósł wzrok i ujrzał utkwiony w nim wzrok, życzliwy, czujny, mądry.

-Na pewno pomyślałaś: A to wariatka.

-Nie - zaprzeczył.

-Co innego można sadzić o kobiecie ukrywającej się w jaskini?

-Uznałem, że ma pani po temu powód.

Uśmiechnęła się smutno i potrząsnęła głową.

-Nie jestem wariatka. Nie jestem. Ale rzecz jasna, każdy szaleniec zaklinałby się, że nim nie jest. Oto iscie kawkowski dylemat, w całej swej jaskrawości. Jeśli ktoś nie jest wariatem, ale inni ogłosili światu, że jest, wszystkie jego protesty tylko umacniają świat w przekonaniu, że zwariował. Rozumiesz, co mam na myśli?

-W pewnym sensie.

-Potraktujmy to jako sylogizm. Załóżmy, że sylogizm zaczyna się od twierdzenia: "Wszyscy wariaci zaprzeczają, że są wariatami". Nadążasz?

-Jasne - rzekł Teddy.

-Teraz etap drugi: "Bob zaprzecza, że jest wariatem". Etap trzeci, wnioskowanie: "Z tego wynika, że Bob jest wariatem". - Położyła skalpel na ziemi i dorzuciła patyk do ognia. - Jeśli ktoś zostanie zaszufładowany jako szaleniec, wszystkie jego wysiłki, które w innych warunkach dowiodłyby, że nim nie jest, w tych okolicznościach mieszczą się w ramach działań osoby szalonej. Uzasadnione protesty stanowią zaprzeczenie. Słuszne obawy nazywane są paranoją. Instynkt samozachowawczy przemianowany zostaje na mechanizm obronny. W tej sytuacji jest się z góry skazanym na porażkę. To w gruncie rzeczy wyrok śmierci. Kiedy ktoś raz tutaj trafi, już się nie wydostanie. Nikt nie wychodzi z oddziału C. Nikt. No dobrze, kilku pacjentów opuściło oddział C. Ale najpierw wycieli im kawałek mózgu. Ciach - przez oko. To barbarzyński zabieg, niedopuszczalny. Mówiłam im o tym. Walczyłam z nimi. Wysyłałam listy do różnych instytucji. Mogli mnie po prostu wyrzucić, wiesz? Zwolnić z pracy, pozwolić mi podjąć pracę w szkolnictwie, wyjechać z tego stanu. Ale to ich nie zadowalało. Nie mogli mnie wypuścić, po prostu nie mogli. Nie, nie, nie.

Wzburzyła się podczas tej przemowy i dzgała zar patykiem, zwracając się bardziej do swoich kolan niż do Teddy'ego.

-Naprawdę była pani lekarka? - spytał.

-Owszem, byłam lekarka - odparła, podnosząc wzrok. - Właściwie nadal jestem.

Pracowałam w tutejszym szpitalu. Zaczęły mnie zastanawiać przychodzące regularnie duże dostawy barbitalu i środków halucynogennych na bazie opium. Zaczęły mnie dziwić - czemu niestety głośno dawałam wyraz - zabiegi chirurgiczne, dla których "eksperymentalne" jest bardzo łagodnym określeniem.

-Co oni tu wyprawiają? - spytał Teddy. Posłała mu szelmowski uśmiech.

-Nie domyślasz się?

-Wiem, że naruszają zasady norymberskie.

-Naruszają? Maja je w nosie.

-Wiem, że stosują radykalne zabiegi lecznicze.

-Radykalne, owszem, ale nie lecznicze. Tutaj nikogo się nie leczy, szeryfie. Jak myślisz, kto finansuje działalność szpitala?

-Komisja do spraw Dzialalnosci Anty amerykanskiej - odparl Teddy.

-Nie mowiac o tajnych funduszach - dodala. - Plynie tu nieprzerwany strumien gotowki. Odpowiedz mi na pytanie: w jaki sposob bol przenika przez cialo?

-To zalezy od polozenia rany.

-Nie - odparla, energicznie krecac glowa. - To nie ma nic wspolnego z tkankami.

Mozg wysyla neuroprzekazniki do ukkladu nerwowego. To mozg steruje bolem. Steruje lekiem. Snem. Empatia. Glodem. W rzeczywistosci mozg zarzadza wszystkim, co kojarzymy z sercem, dusza czy ukladem nerwowym. Wszystkim.

-No dobrze...

Jej oczy lsnily w blasku ogniska.

-A gdyby mozna bylo nim sterowac?

-Mozgiem? Skinela glowa.

-Stworzyc czlowieka na nowo, tak aby obywatel sie bez snu, nie czul bolu. Ani milosci. Czy wspolczucia. Czlowieka, z ktorego nic sie nie wyciagnie podczas przesluchania, bo jego banki pamieci sa wyczyszczone. - Podsycila ogien i spojrzala na niego. - To fabryka upiorow, szeryfie. Upiorow przeznaczonych do upiornych zadan.

-Ale umiejetnosc tego rodzaju, wiedza tego rodzaju to...

-Owszem, kwestia przyszlosci, ale nie tak dalekiej, kilkadziesieciu lat. Zaczeli na wzor Sowietow od prania mozgu. Doswiadczen z depriwacja. Podobnie jak hitlerowcy eksperymentowali na wiezniach, zeby poznac skutki dlugotrwalego wystawienia na ekstremalne temperatury i na podstawie zdobytej wiedzy pomoc zolnierzom Trzeciej Rzeszy. Ale nie rozumiesz, szeryfie? Za piecdziesiat lat wtajemniczeni spojrze wstecz i co powiedza? - Kobieta wskazala palcem ziemie. - "To wszystko zaczelo sie tutaj".

Hitlerowcy wykorzystywali zydow. Sowieci mieli do dyspozycji wiezniow w gulagach.

A my eksperymentowalismy na pacjentach na Shutter Island.

Teddy milczal. Zadne slowa nie przychodzily mu do glowy. Kobieta zapatrzyla sie w ogien.

-Nie wypuszcza cie stad. Wiesz o tym, prawda?

-Jestem szeryfem federalnym - odparl Teddy. - Jak moga mnie tu zatrzymac?

Usmiechnela sie, rozbawiona ta uwaga, i klasnela.

-Ja bylam cenionym psychiatra z szanowanej rodziny. Kiedys ludzilam sie, ze to wystarczy, zeby zapewnic mi ochrone. Z przykroscia musze cie powiadomic, ze okazalo sie inaczej. Pozwol, ze cie zapytam o doznane w przeszlosci urazy.

-A czy ktos jest od nich wolny?

-Owszem, ale my nie prowadzimy ogolnych rozwazan o ludziach. Mowimy o konkretnych przypadkach. O tobie. Czy w twojej psychice sa jakies slabe punkty, w ktore moga uderzyc? Czy w przeszlosci przytrafilo ci sie cos, co mogliby oglosic swiatu jako przeslanke utraty przez ciebie poczitalnosci? A kiedy cie tu zamkna, a na pewno cie zamkna, twoi przyjaciele i koledzy powiedza: "Oczywiscie. Zalamal sie.

W koncu. Kto by sie nie zalamal na jego miejscu? To przez te wojenne doswiadczenia.

I utrate matki - czy innej bliskiej osoby". I co ty na to?

-To moze dotyczyc kazdego - zauwazyl Teddy.

-No wlasnie. O to chodzi. Nie rozumiesz? Moze dotyczyc kazdego, ale oni powiedza tak o tobie. Jak twoja glowa?

-Moja glowa? - zdziwil sie Teddy.

Przygryzla dolna warge i skinela kilka razy glowa.

-Ta bania przyczepiona do twojej szyi. Co z nia? Nekaly cie ostatnio dziwne sny?

-Pewnie.

-Bole glowy?

-Cierpie na migrene.

-Jezu. Tylko nie to.

-Niestety, to prawda.

-Podczas pobytu na wyspie brales leki, aspiryne, cokolwiek?

-Tak.

-Czujesz sie troche nieswojo? Jakbys nie byl w pelni soba? Och, to nic takiego, mowisz, po prostu spadek formy. Moze twoj mozg pracuje ociupine wolniej niz zwykle, nie kojarzysz faktow tak szybko, jak powinienes. Ale przeciez ostatnio kiepsko spales, mowisz. Nowe lozko, nowe miejsce, do tego jeszcze ten huragan. Tak sobie wmawiasz.

Mam racje?

Teddy potwierdzil skinieciem.

-Domyslam sie tez, ze zywiles sie w stolowce. Piles kawe, ktora ci dawali. Ale przynajmniej papierosy paliles wlasne, co?

-Moj partner mnie czestowal - przyznal Teddy.

-I ani razu nie wziales papierosa od pracownika szpitala?

Teddy czul spoczywajace w kieszeni na piersi papierosy, ktore wygral w pokera.

Pamiatal papierosa, ktorego dostal od Cawleya w dniu przyjazdu; zadne inne, ktore palil w zyciu, nie mialy tak slodkiego smaku.

Dostrzegla wypisana na jego twarzy odpowiedz.

-Przecietnie trzeba trzech do czterech dni, zeby stezenie Srodkow neuroleptycznych we krwi osiagnelo odpowiedni poziom. W tym czasie skutki ich dzialania sa niemal niedostrzegalne. Czasami pacjenci dostaja atakow, ktore na ogol przypisuje sie migrenie, zwlaszcza jesli pacjent w przeszlosci cierpial na migrene. W kazdym razie te ataki sa dosc rzadkie. Niekiedy jedynym zauwazalnym objawem jest wystepowanie u pacjenta...

-Niech mnie pani tak nie nazywa. - ...snow, dlugotrwalych i niezwykle wyrazistych, snow, ktore wiaza sie ze soba i przechodza jeden w drugi, a koncowy efekt jest niczym kubistyczna powiesc. Innym widocznym objawem jest to, ze pacjent czuje sie lekko zamroczony, tak. Nie myslisz zbyt skladnie, ale przeciez zle spal, i do tego te sny, mozna mu wiec wybaczyć te umyslowa ociezalosc. A gwoli scislosci, okieslenie "pacjent" nie odnosi sie do ciebie, szeryfie.

Jeszcze nie. To byl z mojej strony chwyt retoryczny.

-Jak bardzo te srodki zdazyly mi juz zaszkodzic? Jesli od tej pory nie tkne jedzenia, kawy, tabletek, nie zapale papierosa, czy te szkody da sie naprawic?

Odgarnela wlosy do tylu i zwiazala.

-Obawiam sie, ze sprawa zaszla juz za daleko.

-Przyjmijmy, ze zostane na wyspie jeszcze jeden dzien. Przyjmijmy, ze te srodki zaczely dzialac. Po czym to poznam?

-Najbardziej widoczna oznaka jest suchosc w ustach, polaczona - co dziwne - ze slinieniem sie. No i jeszcze postepujace porazenie nerwowe. Zauwazysz lekkie drzenie miesni. Zaczyna sie w miejscu, w ktorym kciuk styka sie z nadgarstkiem, potem powoli rozchodzi sie na caly kciuk, zanim wezmie we wladanie cala reke.

We wladanie.

-Co jeszcze? - spytal.

-Podwyzszona wzraliwosc na swiatlo, bole po lewej stronie glowy, slowa wieznace w gardle. Zacziesz sie zacinal przy mowieniu.

Teddy słyszał dolatujący z zewnątrz szum oceanu, odgłos fal przyplywu rozbijających się o skały.

-Co znajduje się w latarni?

Splotła ramiona na piersi i pochyliła się do ognia.

-Oddział chirurgii.

-Chirurgii? Przecież mogą przeprowadzać operacje w szpitalu.

-Chirurgii mózgu.

-Na to też jest miejsce w szpitalu.

Kobieta wpatrywała się w ogień.

-Ich celem jest eksploracja. Nie mówimy tu o zabiegach otwierania czaszki po to, żeby coś w mózgu naprawić. Mam na myśli zabiegi w rodzaju: "Otworzymy czaszkę i zobaczymy, co się stanie, jeśli pociagniemy za to". Niezgodne z prawem, szeryfie. Na wzór praktyk hitlerowskich - rzekła z uśmiechem. - Tam właśnie próbują powołać do życia te upiory.

-Kto o tym wie? Tu na wyspie?

-O tym, co dzieje się w latarni? - Tak.

-Wszyscy.

-Akurat. Posługacze i pielęgniarki też?

Patrzyła mu prosto w oczy, a jej spojrzenie było czyste i spokojne.

-Wszyscy - powtórzyła.

Nie pamiętał, kiedy zasnął, ale musiał się zdrzemnąć, ponieważ potrząsała nim gwałtownie.

-Musisz już iść - mówiła. - Oni myślą, że nie żyjesz. Myślą, że się utopiłam. Nie chce, żeby mnie znaleźli, kiedy będą cię szukać. Przykro mi, ale musisz wracać.

Wstał i potarł skóre pod oczami.

-Na gorze jest droga - powiedziała. - Na wschód od urwiska. Potem zakreca na zachód. Po godzinie marszu doprowadzi cię na tyły dawnej siedziby komendanta tutejszego garnizonu.

-Jestes Rachel Solando? - upewnił się. - Wiem, że ta, która mi pokazała, tylko ja udawała.

-Po czym się domyśliła?

Teddy wrócił pamięcią do poprzedniej nocy, do chwili tuż przed zasnięciem.

Przyglądał się swoim zabrudzonym kciukom, kiedy kładli go spać. Gdy się obudził, były czyste. Pomyślał wtedy, że umazane były pasta do butów, ale teraz przypomniał sobie, że dotykał tamtej kobiety...

-Miała świeżo pofarbowane na czarno włosy.

-Ruszaj już - powiedziała i skierowała go delikatnie w stronę wyjścia.

-Może będę musiał tu wrócić...

-Nie zastaniesz mnie. Przenoszę się z miejsca na miejsce. Co noc śpię gdzie indziej.

-Mogłbym przyjść po ciebie, zabrać cię z tej wyspy. Uśmiechnęła się do niego smutno i pogłaskała go po skroniach.

-Nie dotarło do ciebie nic z tego, co mówiłam, prawda?

-Owszem, dotarło.

-Nie wyrwiesz się stąd. Jesteś teraz jednym z nas. Napierając lekko na jego barki, przesuwała go do wyjścia. Teddy przystanął na krawędzi i obejrzał się.

-Byłem wczoraj z przyjacielem, ale się rozdzieliliśmy. Nie widziała go pani?

Posłała mu ten sam smutny uśmiech.

-Ty nie masz tu przyjaciół, szeryfie.

18

Ledwo się trzymał na nogach, kiedy wyszedł w końcu na tyły domu Cawleya. Obszedł dom i ruszył drogą prowadzącą do głównej bramy, która - miał wrażenie - czterokrotnie się wydłużyła od wczorajszego dnia, gdy z ciemności tuż obok niego wynurzył się mężczyzna.

-Ciekawilo nas, kiedy znów się pan pokaze - powiedział, wsuwając Teddy'emu rękę pod ramię.

Komendant.

Cere miał białą niczym wosk, gładką, jakby polakierowaną, i lekko przeswiecającą.

Teddy'emu rzuciły się w oczy paznokcie komendanta, białe jak jego skóra, długie - jeszcze trochę i zaczęłyby się zakrzywiać - i starannie opilowane. Ale jego najbardziej niepokojącą cechą były oczy. Lśniące, błękitne, z malującym się w nich osobliwym zachwytem. Oczy niemowlaka.

-Cieszę się, że wreszcie pana poznałem, komendancie. Jak się pan miewa?

-Och, znakomicie - odparł komendant. - A pan?

-Jestem u szczytu formy. Komendant scisnal go w ramie.

-Milo mi to slyszec. Wybralismy sie na przechadzke, tak?

-Skoro pacjentka sie znalazla, pomyslam, ze zwiedze okolice.

-Ufam, ze wycieczka sie udala.

-Bardzo. - Swietnie. Spotkal pan naszych tubylcow?

Dopiero po minucie Teddy sie polapal. W glowie huczalo mu teraz bez przerwy.

Nogi sie pod nim uginaly.

-Ach, ma pan na mysli szczury.

Komendant poklepal go po plecach.

-Wlasnie, szczury! Maja w sobie cos dziwnie krolewskiego, nie uwaza pan?

-To tylko szczury - odparl Teddy, patrzac mu w oczy.

-Szkodniki, owszem, przyznaje. Ale to, jak dumnie siedza na zadkach i mierza czlowieka wzrokiem, jezeli uznaja, ze sa w bezpiecznej odleglosci, i jak szybko sie poruszaja... Potrafia w mgnieniu oka wsliznac sie do nory i z niej uciec. - Komendant popatrzył na niebo. - Chociaz "krolewskie" nie jest chyba wlasciwym okresleniem. Moze "zdatne"? To wyjatkowo zdatne stworzenia.

Staneli przed brama. Wciaz sciskajac Teddy'ego za ramie, komendant obrocil sie na piecie i znow mieli przed soba dom Cawleya i morze.

-Ucieszyl pana ten nowy dar zeslany przez Boga? - spytal komendant.

Teddy spojrzal na niego i wykryl czajace sie w tych nieskazitelnych oczach zepsucie.

-Slucham?

-Dar zeslany przez Boga - powtorzyl komendant, zamaszystym gestem wskazujac na spustoszona okolice. - Jego gwaltownosc. Kiedy zszedlem na dol i ujrzałem to drzewo na srodku mojego salonu, bylo jak wyciagnieta do mnie boska reka. Nie doslownie, oczywiscie. Wyciagalo sie w przenosni. Bog uwielbia przemoc i gwalt. Pan to rozumie, prawda?

-Nie - powiedzial Teddy. - Nie rozumiem.

Komendant odszedl kilka krokow od Teddy'ego i odwrocil sie do niego twarza.

-A jak inaczej wytlumaczyc te wszechobecna gwaltownosc? Jest w nas.

Wydzielamy ja. Przemoc przychodzi nam latwiej niz oddychanie. Toczmy wojny.

Składamy całopalne ofiary. Lupimy, rwiemy na strzepy ciała naszych braci. Pola naszych bitew usłane są cuchnacymi trupami. A dlaczego to robimy? Żeby pokazać, że bierzemy z Niego przykład - oznajmił komendant z uśmiechem, obnazając zółte zęby.

Teddy obserwował jego rękę gładzącą grzbiet książeczki, którą przyciskał do brzucha.

-Od Boga pochodzą trzesienia, huragany, tornada - mówił komendant. - Od Niego pochodzą góry, które pluja nam na głowy ogniem. Oceany, które pochłaniają okrety. Jego dziełem jest przyroda, a przyroda to potwór, który zabija z uśmiechem. Bóg wysłał na nas choroby po to, abysmy konając, mieli świadomość, że tylko po to wyposażył nasze ciała w otwory, byśmy mogli czuć, jak przez nie wycieka z nas życie. Wyposażył nas w chęć, wściekłość i chciwość, i w plugawe serca. Abysmy na Jego cześć zadawali gwałt. Nie istnieje ład moralny w czystszej postaci niż ten sztorm, który nas nawiedził. Nie istnieje żaden ład moralny. Liczy się tylko jedno - czy moja gwałtowność zdoła pokonać twoją?

-Nie jestem pewny, czy...

-Zdoła? - przerwał mu komendant, podchodząc tak blisko, że Teddy czuł jego nieswieży oddech.

-Co? - spytał Teddy.

-Czy moja gwałtowność zdoła pokonać twoją?

-Nie jestem człowiekiem gwałtownym - powiedział Teddy.

Komendant splunął na ziemię.

-Jesteś drapieżcą. Widzę to, bo sam jestem drapieżcą. Sam siebie znieważasz, zaprzeczając własnej żądzy krwi, synu. I znieważasz mnie. Gdyby usunąć wszelkie hamulce narzucone przez społeczeństwo, a ja stałbym ci na drodze do pożywienia, rozłupałbym ci kamieniem czaszkę i wyzarłbym ze mnie coś lepszego niż kaski. - Nachylił się do niego. - Gdybym teraz zatopił zęby w twoim oku, potrafiłbym cię powstrzymać przed tym, żebyś cię oslepił?

Jego oczy niemowlaka pałały radością. Teddy wyobraził sobie serce komendanta, tłukące się mu w piersi - czarne.

-Przekonaj się - powiedział.

-Oto właściwa postawa - szepnął komendant.

Teddy przesunął stopy, czuł krew pulsującą mu w żyłach na rękach.

-Tak, tak. "I stało się, że zem się zżyl z kajdanami" - dodał cicho komendant.

-Słucham? - spytał Teddy mimowolnie szeptem; po całym jego ciele rozchodziło się dziwne mrowienie.

-To Byron - wyjaśnił komendant. - Zapamiętasz te słowa, prawda?

-Ale z ciebie okaz, niepowtarzalny - rzekl Teddy z usmiechem, kiedy ten cofnal sie o krok.

Komendant odpowiedzial mu niklym usmieszkiem.

-On uwaza, ze nie ma w tym nic zlego.

-W czym? - spytal Teddy.

-W tej twojej gierce. Uwaza, ze to nic groznego. Ale ja tak nie sadze.

-Nie?

-Nie - odparl komendant, opuszczajac reke i podchodzac blizej. Skrzyzowal rece za plecami, przyciskajac teraz ksiazeczke do podstawy kregoslupa, rozstawil nogi po wojskowemu i wbil wzrok w Teddy'ego. - Twierdzisz, ze wyszedles na przechadzke, ale ja wiem swoje. Poznalem sie na tobie, synu.

-To nasze pierwsze spotkanie - zauwazyl Teddy.

Komendant potrzasnal glowa.

-Rasy, z ktorych sie wywodzimy, sa sobie znajome od wiekow. Przejrzałem cie na wylot. I mysle, ze jestes przygnebiony. Tak mysle. - Wydal usta i zapatrzył sie w czubki swoich butow. - Nie przeszkadza mi twoje przygnebienie. Swoja droga to zalosne, ale nikomu nie szkodzi. Uwazam tez, ze jestes niebezpieczny.

-Kazdy ma prawo myslec, co mu sie podoba - odparl Teddy.

Komendant pociemnił na twarzy.

-Nie zgadzam sie z tym pogladem. Ludzie sa glupi. Zra, pija, puszcza gaz, spolkuja i mnoza sie, a szczegolnie niekorzystna jest ta ostatnia okolicznosc, bo swiat bylby duzo przyjemniejszym miejscem, gdyby zylo na nim znacznie mniej ludzi.

Niedorozwinieci, wykolejency, wariaci, ludzie bez kregoslupa moralnego - oto, kogo powolujemy do istnienia. Zakale tej ziemi. Na Poludniu probuja teraz dojsc do ladu z czarnuchami. Ale powiem ci cos: mieszkalem jakis czas na Poludniu i wszyscy tam sa czarni. Biali, Murzyni, kobiety - same czarnuchy. Gdzie sie obejrzyysz, czarnuchy, a tyle z nich pozytku co z psow chodzacych na dwoch nogach. Ale pies potrafi przynajmniej od czasu do czasu zwietrzyc zwierzynie. Czarnuch z ciebie, synu, urobiony z podlej gliny.

Czuc to od ciebie.

Jego glos brzmial zaskakujaco miekko i dzwiecznie, niemal kobieco.

-Ale niedlugo przestane ci sprawiać kłopot, prawda, komendancie? - powiedzial Teddy.

Komendant sie usmiechnal.

-Zgadza sie, synu.

-Wsiade na prom i bedziesz mial mnie z glowy.

Komendant zrobil dwa kroki w kierunku Teddy'ego, usmiech znikl z jego twarzy.

Przekrzywil glowe i spojrzal mu prosto w oczy swoim wzrokiem noworodka.

-Nigdzie nie wyjedziesz, synu. - Smiem watpic.

-Wolno ci - rzekl komendant i nachylil sie do Teddy'ego. Obwachal go z lewej strony, potem z prawej.

-Wyweszyles cos? - spytal Teddy.

-Aha - mruknal komendant i cofnal sie. - Zapach strachu, synu.

-To radze ci wziac prysznic - odparl Teddy. - Zmyc z siebie ten smrod.

Przez chwile zaden z nich sie nie odzywial, wreszcie komendant powiedzial:

-Nie zapominaj o kajdanach, czarnuchu. Swoich nieodlacznym towarzyszach.

I wiedz, ze ciesze sie na mysl o naszej ostatecznej rozgrywce. Och, co to bedzie za rzez - dodal.

Odwrocil sie i ruszyl droga w kierunku swojego domu.

Kwatery meskiej czesci personelu byly opustoszone. Teddy poszedl do swojego pokoju, powiesil w szafie sztormiak i rozejrzal sie za sladami swiadczacyimi o powrocie Chucka, ale nic nie wskazywalo na to, ze wrocil.

Naszla go ochota usiasc na lozku, ale zdawal sobie sprawe, czym by sie to skonczylo: padlby bez czucia i spal jak zabity do rana. Orzezwil sie w lazience zimna woda i mokrym grzebieniem zaczesal do tylu krotko przyciete wlosy. Mial wrazenie, jakby ktos wyprobowywal niedawno na jego koscicach tarnik, a krew w zylach wydawala sie gesta jak maz. Oczy byly zapadniete, w czerwonych obwodkach, a cera zszarzala.

Ochlupal jeszcze kilka razy twarz zimna woda, wytarl sie i wyszedl z pokoju.

Na dziedzincu szpitalnym nikogo nie spotkal.

Powietrze juz sie ocieplalo, robilo sie parne i lepkie. Cykady i swierszcze powoli odzyskiwaly glos. Teddy obszedl teren w nadziei, ze mimo wszystko natknie sie na Chucka, ktory, powodowany ta sama mysla, tez mogl teraz krecic sie po okolicy, wypatrywac partnera.

Przy bramie stał strażnik, a w pokojach paliły się światła, lecz poza tym nie widac było żadnych oznak ludzkiej obecności. Teddy skierował się do szpitala, wszedł po schodkach i szarpnął za klamkę, lecz drzwi wejściowe, niestety, były zamknięte na klucz.

Wtem zaskrzypiały zawiasy, Teddy rozejrzył się, lecz okazało się, że to strażnik wyszedł za brame, żeby pogadać ze swoim kolegą stojącym na posterunku po drugiej stronie.

Usłyszał trzask zamykanej bramy. Szorując butami po betonowej nawierzchni, Teddy odsunął się od drzwi i usiadł na schodkach.

Nie potwierdziła się teoria Noyce'a. Ponad wszelką wątpliwość Teddy był teraz zupełnie sam. Owszem, był odcięty od świata. Ale wyglądało na to, że nikt go nie śledzi.

Poszedł na tyły budynku szpitala. Zrobiło mu się razniej na widok posługacza siedzącego na stopniach przed wejściem i cmiacego papierosa.

Teddy zbliżył się i posługacz, szczupły, czarnoskóry chłopak, spojrzał na niego.

Teddy wyciągnął papierosa z kieszeni.

-Masz ogień? - zapytał.

-Jasne.

Teddy pochylił się i przypalił od niego papierosa. Uśmiechnął się w podziękowaniu i wyprostował. Naraz przypomniało mu się, że kobieta w jaskini przestrzegła go przed paleniem tutejszych papierosów. Wypuścił powoli dym bez zaciągania się.

-Wszystko w porządku? - spytał.

-U mnie gra. A u pana?

-Nie narzekam. Gdzie się wszyscy pochowali?

-W środku - odparł chłopak, wskazując kciukiem za siebie. - Na jakimś ważnym zebraniu. Ale nie wiem, o czym gadają.

-Wszyscy lekarze i pielęgniarki?

Chłopak skinął głową.

-I kilku pacjentów. No i posługacze. A ja siedzę tutaj, bo kazali mi pilnować tych drzwi. Klamka się zacina. Ale poza tym jest tam prawie cały personel medyczny.

Teddy wydmuchiwał dym bez wciągania go do płuc. Miał nadzieję, że chłopak nie zauważy. Zastanawiał się, co ma zrobić w tej sytuacji. Spróbować dostać się do środka pod fałszywym pretekstem? W oczach chłopaka Teddy był pewnie zwykłym posługaczem z innego oddziału.

Dostrzegł jednak przez szyby w drzwiach za plecami posługacza, że w holu pojawili się ludzie, którzy kierowali się do drugiego wyjścia.

Podziękował chłopakowi za ogień i poszedł z powrotem do drzwi frontowych. Klebil się tam spory tłumek ludzi, którzy rozmawiali i palili papierosy. Teddy spostrzegł siostrę Marino, która powiedziała coś Treyowi Washingtonowi, kładąc mu rękę na ramieniu, a ten się roześmiał wyraźnie ubawiony.

Teddy ruszył w ich stronę, lecz usłyszał Cawleya wołającego go od schodów.

Odwrocił się do niego. Cawley podszedł, scisnął mu lekko łokieć na powitanie i wziął go na stronę.

-Gdzie się pan podziewał? - zapytał.

-Zwiedzałem waszą wyspę - odparł Teddy.

-Urządził pan sobie wycieczkę?

-Owszem.

-Widział pan coś ciekawego?

-Szczury.

-Tak, nie da się ukryć, że mamy ich tu mnóstwo.

-A jak naprawa dachu? - spytał Teddy.

-Postawiłem wiadra w miejscach, gdzie przecieka. - Cawley westchnął. - Poddasze zalane, zniszczone, podobnie podłoga w pokoju gościnnym. Zona się zapłaczę.

Przechowywała suknie ślubne na tym poddaszu.

-Właśnie. A gdzie teraz przebywa pańska małżonka?

-W Bostonie. Mamy tam mieszkanie. Zona i dzieci potrzebowały zmiany otoczenia, więc wyjechały na tydzień na wakacje. Czasami ma się po prostu dość tej wyspy.

-Ta wyspa i na mnie zaczyna źle działać, a jestem tu dopiero trzy dni, doktorze.

Cawley przyjął to z łagodnym uśmiechem.

-Ale to już długo nie potrwa - oświadczył.

-Słucham?

-Wraca pan do siebie, szeryfie. Przecież Rachel się znalazła. Prom zwykle przyplywa rano około jedenastej. Sądzę, że do południa dostarczy pana do Bostonu.

-Jak miło.

-Prawda? - odparł Cawley, pocierając głowę. - Powiem panu coś, szeryfie, tylko proszę się nie obrazac.

-Skąd my to znamy?

-Nie zamierzam osadzać stanu pańskiej psychiki - zastrzegł się Cawley, unosząc rękę. - Nie. Chodzi o to, że pańska obecność w szpitalu wywołała wzburzenie wśród pacjentów. Rozumie pan - "zawitał do nas stoz prawa", i tak dalej. Niektórzy są z tego powodu nadmiernie pobudzeni.

-Przykro mi.

-To nie pańska wina. To raczej urząd, który pan reprezentuje, a nie pańska osoba, jest przyczyną.

-Coż, w takim razie nie ma o czym mówić.

Cawley oparł się o mur. Stał tak w pomiętym fartuchu i poluzowanym krawacie, a cała jego postać wyrażała skrajne wyczerpanie, takie, jakie w tej chwili odczuwał Teddy.

-Po oddziale C chodziły słuchy, że po południu przebywał tam niezidentyfikowany osobnik ubrany jak posługacz - rzekł nagle Cawley.

-Naprawdę?

-Naprawdę - odparł Cawley, spoglądając na Teddy'ego.

-Coś podobnego.

Cawley strzepnął klaczek, który przyczepił mu się do krawata.

-Otoż ów nieznajomy podobno wykazał się dużą wprawą w poskramianiu niebezpiecznych ludzi.

-Nie może być.

-Oj może, może.

-Coż jeszcze działał "ów nieznajomy"?

Cawley wygiął do tyłu ramiona, sciągnął fartuch laboratoryjny i przewiesił go przez rękę.

-Widzę, że obudziło to pańską ciekawość.

-Nie ma to jak ploteczka od czasu do czasu.

-Zgadza się. Ów nieznajomy rzekomo - czego nie można jednak potwierdzić w stu procentach - odbył długą rozmowę z jakimś George'em Noyce'em, schizofrenikiem cierpiącym na dodatek na manie prześladowczą.

-Hmm - powiedział Teddy.

-Otoz to.

-Wiec ten, jak mu tam...

-Noyce - podpowiedział Cawley.

-Noyce - powtorzył Teddy. - No własnie. Ten facet ma urojenia, tak?

-I to ostre. Plecie trzy po trzy, opowiada niestworzone historie, ktore wywoluja u sluchaczy wzburzenie.

-Oho, znow to okreslenie.

-Przepraszam. Powiedzmy, ze wywoluja u sluchaczy drazliwosc. Dwa tygodnie temu tak rozloscil pacjentow, ze jeden z nich dotkliwie go pobil.

-Nieslychane.

Cawley wzruszyl ramionami.

-Coz, zdarza sie.

-Jakie bzdury wygaduje ten Noyce? - spytal Teddy.

Cawley machnal reka.

-Fantazuje, jak to maja w zwyczajuj paranocy. Ze niby caly swiat sprzysial sie przeciwko niemu i chce go zniszczyc, i tym podobne brednie.

Cawley spojrzal na Teddy'ego i zapalil papierosa, w jego oczach odbil sie blysk plomienia zapalki.

-Ale wktotce pan stad wyjedzie.

-Na to wyglada.

-Najblizszym promem.

-Jesli ktos raczy nas obudzic - odparl Teddy, posylajac mu lodowaty usmiech.

Cawley odpowiedzial mu tym samym.

-To sie chyba da zalatwic - dodal. - Swietnie.

-Moze papierosa? - powiedzial Cawley i podsunal mu paczke.

-Nie, dziekuje - odparl Teddy, zaslaniajac sie reka.

-Rzuca pan palenie?

-Ograniczam.

-I słusznie. Czytałem w pismach fachowych, że papierosy mogą być przyczyną wielu okropnych chorób.

-Czyżby?

Cawley kiwnął głową.

-Na przykład raka, z tego, co wiem.

-Tyle różnych rzeczy powoduje teraz śmierć.

-Owszem, ale też coraz więcej chorób potrafimy wyleczyć.

-Tak pan uważa?

-Inaczej nie zostałbym lekarzem - odparł Cawley, zadzierając głowę i wydmuchując dym.

-Mieliscie tu kiedyś pacjenta nazwiskiem Laeddis, Andrew Laeddis? - spytał Teddy.

-Nic mi to nazwisko nie mówi - powiedział Cawley, patrząc znów prosto przed siebie.

-Nie?

-A powinno?

Teddy potrząsnął głową.

-Znałem go kiedyś i...

-Skąd?

-Co takiego?

-Skąd pan go znalazł?

-Z wojska - odparł Teddy. - Aha.

-W każdym razie słyszałem, że mu odbilo i trafił tutaj. Cawley zaciągnął się powoli papierosem.

-Ktoś wprowadził pana w błąd.

-Najwyraźniej.

-No cóż, tak bywa. Ale zaraz... powiedział pan przed chwilą "nas", czy się przesłyszałem?

-Slucham? - "Nas", jak w pierwszej osobie liczby mnogiej.

-Mialem na mysli siebie? - spytal Teddy, kladac reke na piersi.

Cawley potwierdzil skinieciem.

-Wydawalo mi sie, ze powiedzial pan: "Jesli ktos raczy nas obudzic". Nas.

-Powiedzialem tak. Oczywiscie. A przy okazji, widzial go pan gdzie?

Cawley uniosl ze zdziwieniem brwi.

-Niech pan przestanie udawac. Jest tutaj? Cawley rozesmial sie, spojrzal na Teddy'ego.

-Co znowu? - spytal Teddy. Cawley wzruszyl ramionami.

-Po prostu nie moge sie w tym polapac.

-W czym polapac?

-Zgrywa sie pan, szeryfie, czy co?

-Ja sie zgrywam? Chce tylko wiedziec, czy on tu jest.

-Kto taki? - spytal Cawley z nuta rozdraznienia w glosie.

-Chuck.

-Chuck? - powtorzyl powoli Cawley.

-Moj partner - powiedzial Teddy. - Chuck.

Cawley odsunal sie od muru, opuszczajac reke z papierosem.

-Przeciez przyjechal pan tu sam, szeryfie, bez partnera.

19

-Zaraz, chwileczke... - powiedzial Teddy. Jego wzrok napotkal Cawleya, ktory przygladal mu sie z bliska.

Teddy zamknal usta, czul, jak na jego powieki napiera mrok tej letniej nocy.

-Prosze mi opowiedziec o swoim partnerze - odezwal sie Cawley, ktory utkwil w nim zaciekawione, zimne spojrzenie. Nigdy wczesniej nikt nie przygladal sie Teddy'emu w ten sposob: badawczo, rozumnie i straszliwie beznamietnie. Takim wzrokiem patrzyl frant w bulwarowym przedstawieniu, wyrywajacy sie z glupia uwaga i udajacy, ze nie wie, z ktorej strony spodziewac sie docinku.

A Teddy grał w tej farsie blazna, gamonia w za luznych szelkach i beczcze zamiast spodni, który jako jedyny nie rozumie dowcipu.

-Szeryfie? - spytał Cawley, posuwając się krok do przodu, jakby Teddy był motylem, którego bał się spłoszyć.

Jesli Teddy będzie się burzył, dopytywał się, gdzie jest Chuck, jesli w ogole będzie upierał się przy istnieniu Chucka, zda się zupełnie na ich łaskę.

Napotkał spojrzenie Cawleya i ujrzał malujące się w nich rozbawienie.

-Wariaci zaprzeczają, że są wariatami - powiedział Teddy.

-Słucham? - spytał Cawley, podchodząc krok bliżej.

-Bob zaprzecza, że jest wariatem. Cawley skrzyżował ręce na piersi.

-Ergo: Bob jest wariatem - dokończył Teddy.

Cawley odchylił się na piętach, na jego twarzy pojawił się uśmiech.

Teddy uśmiechnął się w odpowiedzi.

Stali tak chwilę, nad ich głowami w koronach drzew na nocnym wietrze szeleszcili liście.

-Wie pan - odezwał się Cawley ze spuszczonej głową, ryjąc czubkiem buta w trawie.

-Udało mi się tu stworzyć coś naprawdę cennego. Ale cenne osiągnięcia mają to do siebie, że mało kto ze współczesnych potrafi się na nich poznać. Każdy chce efektów widocznych od razu. Zmęczeni jesteśmy lekami, zmęczeni smutkiem, zmęczeni bezsilnością, zmęczeni samym zmęczeniem. Marzy nam się, żeby znowu było jak za dawnych dobrych lat, chociaż nawet ich nie pamiętamy, a przy tym, paradoksalnie, na lew, na szyję przemy w przyszłość. A cierpliwość i wyrozumiałość pierwsze padają ofiarami postępu. To żadna nowość. Taka>>jest i była kolej rzeczy. - Cawley podniósł głowę. - Więc chociaż mam wielu potężnych zwolenników, tyle samo mam potężnych wrogów. Ludzi, którzy chcą wydrzeć mi z rąk dorobek mojego życia. A do tego nie mogę dopuścić. Będę tego bronić ze wszystkich sił. Rozumie pan?

-Och, rozumiem, doktorze.

-To dobrze - powiedział Cawley, opuszczając ręce. - A co z tym pańskim partnerem?

-Jakim partnerem? Teddy zastał w pokoju Treya Washingtona, który leżał na łóżku i przeglądał stary numer czasopisma "Life".

Teddy spojrzał na łóżko, które zajmował Chuck. Pościel była zmieniona, a łóżko starannie posłane, i nikt by się nie domyślił, że dwa dni temu ktoś w nim spał.

W szafie wisiała świeżo wyprana, zapakowana w folie garderoba Teddy'ego: marynarka, koszula, krawat i spodnie. Teddy przebrał się w czyste ubranie.

-Jak samopoczucie, szeryfie? - zagadnal go Trey, wertujac blyszczace czasopismo.

-W porzadku, dziekuje.

-To dobrze, to dobrze.

Teddy zauwazyl, ze Trey unika jego wzroku - zapatrzony w czasopismo przewraca w kolko te same strony.

Teddy przelozyl zawartosc kieszeni do nowego ubrania. Formularz przyjecia Laeddisa wraz z notesem umiescil w wewnetrznej kieszeni marynarki. Usiadl na lozku Chucka naprzeciwko Treya, zawiatal krawat i buty, a potem siedzial w milczeniu.

-Jutro bedzie upal - odezwal sie Trey, przewracajac kartke.

-Naprawde?

-Kurewski upal. Zle dziala na pacjentow.

-Nie wiedzialem.

Trey pokiwal glowa.

-Tak, tak. Sa wyjatkowo podnieceni, nie moga spokojnie usiedziec na dupie. A do tego ta pelnia jutro. Fatalnie. Tylko tego nam trzeba.

-Dlaczego?

-Co takiego, szeryfie?

-Dlaczego fatalnie, ze jutro wypada pelnia? Myslisz, ze ludzie od tego dostaja swira?

-Wiem, ze tak jest - odparl Trey, wygladzajac palcem zagiety rog kartki.

-Skad?

-Niech pan sam pomysli. Ksiezyc powoduje przyplyw, zgadza sie?

-No tak.

-Przyciaga wode jak magnes czy cos w tym rodzaju.

-Racja.

-A polowe mozgu czlowieka stanowi woda - oswiadczył Trey.

-Powaznie?

-Powaznie. A jesli stary, poczciwy pan ksiezyc moze zawrocic ocean, to nie potrafi zawrocic nam w glowie? Niech sie pan zastanowi.

-Jak dlugo tu pracujesz, Trey?

Trey skonczyl rozprostowywac kartke, przewrocil nastepna.

-Oj, dlugo. Od czterdziestego szostego. Jak tylko wypuscili mnie do cywila.

-Byles w wojsku?

-Jasne. Zaciagnalem sie, zeby walczyc, a wyladowalem przy garach. Walczylem ze szopkami podlym zarcie.

-Zrobili nas w balona.

-O tak. Wciagneli nas do wojny, obiecowali, ze do czterdziestego czwartego sie skonczy.

-Nie da sie zaprzeczyc.

-Pan to bywaly w swiecie czlowiek, co, szeryfie?

-Widzialo sie to i owo.

-I jak tam jest w szerokim swiecie?

-To samo gówno, tylko inne jezyki. - Swieta prawda, no nie?

-Wiesz, Trey, jak nazwal mnie dzis komendant?

-Zamieniam sie w sluch.

-Czarnuchem.

-Co takiego? - powiedzial Trey, odrywajac wzrok od czasopisma.

-Powiedzial, ze na swiecie rozplenili sie podludzie. Nizsze rasy. Czarnuchy.

Niedorozwinieci. Powiedzial, ze ja jestem dla niego zwyklym czarnuchem.

-Na pewno sie to panu nie spodobalo - zachichotal Trey, ale smiech zaraz zgasl na jego ustach. - Nie ma pan pojecia, co to znaczy byc czarnuchem.

-Zdaje sobie z tego sprawe. Ten czlowiek jest twoim przelozonym, Trey.

-Nie jest moim szefem. Ja naleze do personelu medycznego. A Bialy Diabel?

Rzadzi sluzba wiezienna.

-Tak czy siak, jest twoim szefem.

-Nie jest - oswiadczył Trey, podnoszac sie na lokciu. - Slysyz, czlowieku? To znaczy, czy wyjasnilismy sobie te sprawe ponad wszelka watpliwosc, szeryfie?

Teddy wzruszyl ramionami. Trey zsunal nogi z lozka i usiadl.

-Probuj mnie pan wyprowadzic z rownowagi?

Teddy potrzasnal przeczaco glowa.

-To dlaczego nie przyzna mi pan racji, kiedy mowie, ze ja nie pracuje dla tego bialego skurwysyna?

Teddy zbyl to pytanie kolejnym wzruszeniem ramion.

-Ale gdyby przyslo co do czego - powiedzial - i komendant zaczal wydawac rozkazy? Kicalbys az milo.

-Co takiego?

-Kicalbys. Jak krolik.

Trey potarl szczeke, wpatrywal sie w Teddy'ego z niedowierzaniem.

-Tylko bez urazy - powiedzial Teddy.

-Alez skad.

-Po prostu zauwazylem, ze ludzie tutaj lubia tworzyc wlasna prawde. Mowia sobie, ze tak jest, powtarzaja to w kolko, az wydaje im sie, ze tak musi byc i koniec.

-Ja dla niego nie pracuje.

-No wlasnie - odparl Teddy, wskazujac na niego reka. - Oto tutejsza prawda, ktora znam i uwielbiam.

Trey wyraznie mial ochote go rabnac.

-Posluchaj - mowil Teddy - dzis w nocy odbylo sie wazne zebranie, a potem doktor Cawley przychodzi do mnie i wmawia mi, ze przyjechalem tu bez partnera. A jesli zapytam ciebie, powiesz mi to samo. Zaprzeczysz, ze siedziales z tym czlowiekiem przy jednym stole, gales z nim w pokera, smiales sie razem z nim. Zaprzeczysz, ze kiedykolwiek dal ci rade, jak trzeba bylo postapic z ta twoja jedzowata ciotka - uciec od niej jak najdalej. Zaprzeczysz, ze spal w tym wlasnie lozku. Mam racje, panie Washington?

Teddy spuscil wzrok.

-Nie wiem, o czym pan mowi, szeryfie.

-Rozumiem, rozumiem. Przecież nie miałem partnera, a on nie utknął gdzieś na tej wyspie ranny. Albo martwy. Albo, co gorsza, nie tkwi teraz pod kluczem na oddziale C czy w latarni. Przecież nie miałem partnera. Dalej, przeciwiczymy to.

-Nigdy nie miałes partnera - rzekł Trey, patrząc na niego.

-A ty nie pracujesz dla komendanta - powiedział Teddy. Trey splótł ręce na kolanach. Spoglądał na Teddy'ego i widać było, że walczy z sobą. Oczy miał wilgotne i drżał mu podbródek.

-Musisz stąd uciekać - wyszeptał.

-Zdaje sobie z tego sprawę.

-Nie - odparł Trey, potrząsając energicznie głową. - Nie masz pojęcia, co naprawdę jest grane. Zapomnij wszystko, co słyszałeś. Zapomnij wszystko, co wydaje ci się, że wiesz o tym miejscu. Oni chcą się do ciebie dobrać. A jak się do ciebie dobiorą, to po tobie. Nie będzie dla ciebie ratunku. Zadnego.

-Powiedz mi, powiedz mi, co tutaj jest grane - nalegał Teddy, ale Trey potrząsał głową.

-Nie mogę. Popatrz na mnie - zwrócił się do Teddy'ego, z uniesionymi brwiami i rozszerzonymi oczami. - NIE MOGĘ TEGO ZROBIĆ KONIEC KROPKA. Jesteś zdany tylko na siebie. Ale ja na twoim miejscu nie czekałbym na żaden prom.

-Nie mogę nawet wydostać się poza teren szpitala, a co dopiero z wyspy - parskał Teddy. - A nawet gdybym mógł, mój partner...

-Zapomnij o nim - syknął Trey. - Jego nie ma. Kapujesz? I już nie wróci, człowieku. Musisz uważać na siebie i tylko na siebie.

-Trey - powiedział Teddy. - Trzymają mnie tu w zamknięciu.

Trey wstał i podszedł do okna; wpatrywał się w mrok czy we własne odbicie, Teddy'emu trudno było osadzić.

-Nigdy nie możesz tu wrócić. Nigdy nie możesz nikomu powiedzieć, że ja ci pomogłem.

Teddy milczał.

Trey obejrzał się na niego przez ramię.

-Umowa stoi?

-Stoi - odparł Teddy.

-Prom przypluwa tu o dziesiątej rano. Rusza z powrotem do Bostonu punkt jedenasta. Gdyby komus udało się ukryć na pokładzie, może przeprawiłby się przez zatokę. Inaczej musiałby odczekać dwa, trzy dni, aż kuter rybacki Betsy Ross dopłynie od południowej strony wyspy i zrzuci na ląd trochę rzeczy. - Trey odwrócił się i spojrzał na Teddy'ego. - Takich, co to w

ogole nie powinny sie znalezc na tej wyspie. W kazdym razie kuter nie przybija do brzegu. Trzeba do niego doplynac.

-Nie wytrzymam trzech dni na tej pieprzonej wyspie - powiedzial Teddy. - To dla mnie obcy teren. A komendant i jego ludzie na pewno znaja tu kazdy zakatek. Wytropia mnie.

-No to pozostaje prom - rzekl Trey po chwili.

-Pozostaje prom. Ale jak mam sie stad wydostac?

-Cholera, mozesz mi nie wierzyc, ale naprawde masz fart. Huragan wszystko rozpieprzil, a szczegolnie zabezpieczenia elektryczne. Naprawilismy juz prawie wszystkie przewody na murach. Prawie wszystkie.

-Ktore odcinki nie sa jeszcze pod napieciem? - spytal Teddy.

-W poludniowo-zachodnim narozniku. Te dwa odcinki, dokladnie tam gdzie mur zalamuje sie pod katem prostym, nie zostaly jeszcze podlaczone. W innych miejscach usmazysz sie jak na ruszcie, dlatego radze ci pod zadnym pozorem nie dotykac tam przewodow. Slyszyz?

-Slysze.

Trey skinal glowa swojemu odbiciu w oknie.

-No to jazda. Czas ucieka.

-A Chuck? - powiedzial Teddy, podnoszac sie.

-Nie ma zadnego Chucka - zirytowal sie Trey. - Jasne? Nigdy nie bylo. Jak sie stad wyrwiesz, mozesz gadac o Chucku ile wlezie. Ale tutaj? Ten facet po prostu nigdy nie istnial.

Kiedy stanal u poludniowo-zachodniego kranca muru, przyszlo mu do glowy, ze Trey mogli klamac. Gdyby Teddy dotknal tych przewodow, zacisnal na nich reke i okazaloby sie, ze sa pod napieciem, rano znalezliby jego zweglone zwloki u podnoza muru, czarne jak stek sprzed miesiaca. I po klopocie. Trey zostalby wybrany na pracownika roku, moze nawet dostalby w nagrode ladny zloty zegarek.

Rozejrzal sie i poszukal dluzszej galazki, a potem przesunal sie troche w prawo od naroznika. Wzial rozbieg, skoczyl jedna noga na mur i wybil sie do gory. Uderzyl galazka w przewod; z przewodu z trzaskiem wzbil sie plomien i galazka sie zapalila.

Teddy opadl na ziemie i przyjrzel sie kawalkowi drewna w reku: plomyk zgasl, ale galazka jeszcze sie tlila.

Sprobował jeszcze raz, tym razem w narozniku po prawej stronie. Nic.

Stal pod murem, lapiac oddech, potem skoczyl na mur po lewej stronie, uderzyl galazka w przewod. Znow nic sie nie stalo.

W miejscu, gdzie mur się załamywał, na gorze sterczał metalowy pret. Dopiero za trzecim razem Teddy zdołał go dosięgnąć. Trzymając się mocno, wspinał się na górę.

Zahaczył barkami o przewód, zahaczył kolanami o przewód, zahaczył rękami o przewód, i za każdym razem myślał, że już po nim.

Ale zył. A kiedy znalazł się na szczycie muru, nie pozostało mu nic innego, jak opuścić się na ziemię po drugiej stronie.

Podniósł się i raz jeszcze spojrzął na Ashecliffe.

Przybył tu, żeby poznać prawdę, ale jej nie odkrył. Przybył tu, żeby rozprawić się z Laeddisem, ale jego również nie znalazł. Jednocześnie stracił partnera.

W Bostonie będzie czas, żeby zaliczyć tego, co się stało. Czas na obwinianie się i na wstyd. Czas na rozważenie istniejących możliwości, na naradę z senatorem Hurlym i na opracowanie planu ataku. Bo Teddy tu powróci. Szybko. To nie ulegało wątpliwości.

I jeśli dobrze pójdzie, uzbrojony w nakazy sądowe i zezwolenia. I przyplynie własnym promem. Wtedy okaze swój gniew. Wtedy obróci przeciw nim karzący miecz sprawiedliwości.

Teraz jednak czuł tylko ulgę - ważne, że uszedł z życiem i jest po drugiej stronie tego cholernego muru.

Ulgę. I strach.

Dotarcie z powrotem do jaskini zabrało mu pół godziny, ale nie zastał w niej nikogo. Ognisko już dogasało. Teddy usiadł przy tłoczonym żarze, chociaż powietrze było nadzwyczaj ciepłe jak na te pory roku i z godziny na godzinę robiło się coraz parniej.

Teddy czekał w nadziei, że ta, która rozpałała to ognisko, wyszła na chwilę nazbierać drewna, ale w głębi duszy wiedział, że nie doczeka się jej powrotu. Może doszła do wniosku, że go schwytali, a on zdradził jej kryjówkę komendantowi i Cawleyowi. Może - Teddy wiedział, że tylko się ludzi, ale nie mógł się oprzeć - natknęła się na Chucka i oboje przenieśli się w jakieś bezpieczniejsze miejsce.

Ognisko się dopaliło, a Teddy zdjął marynarkę, okrył nią ramiona i piers i oparł się plecami o ścianę jaskini. Tak jak poprzedniej nocy jego uwaga tuż przed zasnięciem skupiła się na kciukach.

Nim zapadł w sen, spostrzegł, że zaczynają drzeć.

Dziewiąty Marny żeglarz

20

Wszyscy zmarli, prawdziwi i domniemani, sięgali po swoje płaszcze. Byli w kuchni, a płaszcze wisiały na kolkach. Ojciec Teddy'ego wziął swoją starą marynarską kurtkę, wsunął w nią ręce, potem pomógł włożyć płaszcz Dolores i zwrócił się do Teddy'ego:

-Wiesz, co chcialbym dostac na Gwiazdke?

-Nie, tato.

-Dudy.

Teddy domyslil sie, ze chodzi mu o kije do golfa w worku.

-Tak jak Ike - powiedzial.

-Wlasnie - odparl ojciec i podal Chuckowi plaszcz.

Chuck nalozyl go na siebie. To byl piekny plaszcz z przedwojennej kaszmirskiej welny. Po bliznie na twarzy Chucka nie bylo sladu, ale nadal mial te delikatne, pozyczone rece. Podsunal je Teddy'emu pod nos i przebieral palcami.

-Spotkales sie z ta lekarka? - spytal Teddy.

Chuck potrzasnal glowa.

-Jestem stanowczo zbyt gruntownie wykształcony - powiedzial. - Poszedlem na wyscigi.

-Wygrales?

-Stracilem mnostwo forsy.

-Fatalnie.

-Pocaluj zone na dobranoc - powiedzial Chuck. - W policzek.

Teddy wsunal sie miedzy swoja matke i Tootiego Vicellego, ktory usmiechal sie, ukazujac zakrwawione usta. Pocalowal Dolores w policzek i powiedzial:

-Skarbie, dlaczego jestes cala mokra?

-Jestem wyschnieta na kosc - zwrocila sie Dolores do ojca Teddy'ego.

-Gdybym byl o polowe mlodszy, ozenilbym sie z toba, dziewczyno - odparl jego ojciec.

Wszyscy byli przemoczeni, nawet matka Teddy'ego i Chuck. Woda sciekala z ich plaszczy strumieniami i rozlewala sie po podlodze.

Chuck podal mu trzy klody, mowiac:

-Doloz do ognia.

-Dzieki. - Teddy wzial od niego klody, ale zapomnial, gdzie je polozyl.

-Pieprzone kroliki - oznajmila Dolores, drapiac sie po brzuchu. - Sa do niczego.

Do kuchni weszli Laeddis i Rachel Solando. Nie mieli na sobie płaszczy. Nic na sobie nie mieli. Leaddis podał Teddy'emu butelkę whisky, a potem wziął w ramiona Dolores. Teddy poczulby zazdrość, ale Rachel ukleknęła przed nim, rozpięła mu spodnie i zaczęła go pieścić ustami. Chuck, ojciec Teddy'ego, matka i Tootie Vicelli pomachali im na pożegnanie, wychodząc, a Laeddis i Dolores, spleceni w uścisku, wycofali się do sypialni. Teddy słyszał, jak baraszkują na łóżku, zrywają z siebie ubrania, ciężko dysząc.

To wszystko wydawało się na swój sposób słuszne, cudowne, i dzwignął się na kolana przed nim Dolores - slychac było, jak Rachel i Laeddis rzną się w sypialni na całego - i pocałował zone. Zakrył dłonią dziurę w jej brzuchu, a ona mu podziękowała. Wszedł w nią od tyłu, spychając z kuchennego stołu klody. Komendant i jego ludzie nalali sobie whisky, którą przyniósł Laeddis. Komendant mrugnięciem wyraził swoje uznanie dla techniki, jaką Teddy posuwał zone, i oświadczył:

-A to jurny biały czarnuch. Jak go zobaczycie, od razu strzelac. Słyszycie? Bez namysłu. Jak ten ptaszek wyfrunie z wyspy, mamy przesrane, panowie.

Teddy zsunął marynarkę, pod którą spał, i podpełzł na skraj jaskini.

Komendant i jego ludzie stali u góry nad krawędzią urwiska. Świeciło słońce. Darły się mewy.

Teddy zerknął na zegarek: była osma rano.

-Tylko bez brawury - mówił komendant. - Facet ma za sobą szkolenie bojowe i doświadczenie w walce. Został odznaczony Purpurowym Sercem, i to kilkakrotnie.

Golymi rękami zabił na Sycylii dwóch żołnierzy wroga.

Teddy wiedział, że te informacje pochodzą z jego akt osobowych. Do cholery, jakim cudem wpadły im w ręce jego akta osobowe? - Świetnie włada nożem i jest mistrzem w walce wręcz. Nie zbliżać się do niego.

Przy pierwszej okazji zastrzelić go jak dwunogiego psa.

Mimo powagi sytuacji Teddy nie mógł powstrzymać się od uśmiechu. Ciekawe, ile już razy ludzie komendanta zmuszeni byli wysłuchiwać jego "psich" porównań?

Po scianie niższego urwiska schodziło na linach trzech strażników. Teddy odsunął się od krawędzi. Strażnicy dotarli na dół do poziomu plaży. Po kilku minutach wspieli się z powrotem. Teddy usłyszał, jak jeden z nich mówi: "Nie ma go tam, panie komendancie".

Nasłuchiwał jeszcze przez chwilę, kiedy przeczesywali okolice w pobliżu cypla i drogi. Potem odeszli, ale zanim Teddy opuścił kryjówkę, odczekał całą godzinę, by upewnić się, że nikt z tyłu nie zamyka pochodu, a grupa poscigowa wystarczająco się oddaliła i na nikogo się nie natknie.

Kiedy stanął na drodze, było dwadzieścia po dziewiątej. Zaraz ruszył nią z powrotem w kierunku zachodnim. Starł się utrzymać szybkie tempo, ale wciąż nasłuchiwał odgłosów, które zdradzałyby obecność strażników z przodu lub z tyłu.

Trey miał rację co do pogody - było obrzydliwie gorąco. Teddy zdjął marynarkę i przewiesił ją przez rękę. Rozluźnił krawat, sciągnął go przez głowę i włożył do kieszeni. Palilo go gardło z pragnienia, a oczy piekły od potu.

Stanął mu przed oczami Chuck ze snu, wkładający płaszcz, i ten obraz poraził go mocniej niż widok Laeddisa oblapiającego Dolores. Do czasu pojawienia się Rachel i Laeddisa snily mu się osoby, które już nie żyły. Z wyjątkiem Chucka. Ale Chuck wziął płaszcz z tego samego wieszaka i wyszedł za nimi. Wymowa tej sceny dreczyła Teddy'ego. Jeśli dopadli Chucka na cyplu, to pewnie zabrali go ze sobą wtedy, kiedy Teddy po zejściu na równinę wspinał się z powrotem na górę. Ten, kto się podkraśli do Chucka, musiał mieć w tym nieładną wprawę, bo Chuck ani pisnął.

Jakimi środkami trzeba dysponować, żeby pozbyć się nie jednego, lecz dwóch szeryfów federalnych?

Potężnymi.

A jeśli zamierzali wpędzić Teddy'ego w obłęd, nie mogli tego samego uczynić z Chuckiem. Nikt nie uwierzyłby w to, że w ciągu dwudziestu czterech godzin dwóch szeryfów naraz postradało zmysły. Chuck musiał więc ulec wypadkowi. Przypuszczalnie podczas burzy. W gruncie rzeczy, jeśli byli naprawdę cwani - a wszystko na to wskazywało - to przedstawia śmierć jego partnera jako kropkę, która przelala czare i doprowadziła Teddy'ego do nieodwracalnej utraty poczucia rzeczywistości.

Nie można było odmówić temu rozwiązaniu swoistej symetrii.

Ale jeśli Teddy stał się nie wydobytym, wydział poscigowy na pewno nie przyjmie na wiary miejscowej wersji wydarzeń, choćby była jak najbardziej przekonująca, i wysła ludzi, żeby na miejscu sprawdzili jej wiarygodność.

A co ci wysłannicy zastaną na wyspie?

Teddy przyjrzał się swoim kciukom i nadgarstkom. Drgawki się nasilały. I pomimo snu nie mu się nie rozjaśniło w głowie. Czuł się zamroczony, język miał odretwiąły. Do czasu kiedy przybędą szeryfowie, żeby zbadać sprawę, leki zadziałają. Jego koledzy zobaczą na własne oczy, jak Teddy sili się bez przerwy i robi pod siebie. I wersja szpitalna zostanie potwierdzona.

Usłyszał ryk syreny i wyszedł na wzgórze w samą porę, żeby zobaczyć, jak prom kończy robić zwrot i podchodzi tyłem do przystani. Przyspieszył kroku i dziesięć minut później ujrzał przeswitujący między drzewami tył domu Cawleya.

Zszedł z drogi do lasu. Z oddali dolatywały odgłosy rozładunku, dudnienie zrzuconych skrzyń, szczek podnosników na kolkach, stukot kroków na drewnianym pomostku. Teddy dotarł na skraj lasu i zobaczył posługaczy uwijających się na przystani, dwóch pilotów przy sterze na promie i strażników, mnóstwo strażników. Kolby karabinów mieli oparte na

biodrach i stali zwróceni twarzą w stronę wyspy, lustrowali wzrokiem las i odkryty teren prowadzący do Ashecliffe.

Po rozładowaniu promu posługacze odjechali wozkami, lecz strażnicy pozostali na miejscu i Teddy zrozumiał, że ich jedynym zadaniem tego ranka jest dopilnowanie, żeby pod żadnym pozorem nie dostał się na prom. Cofnął się w głąb lasu i skierował do pałacyku Cawleya. Zobaczył na dachu jednego strażnika, odwróconego do niego tyłem.

Teddy domyślił się po halasie, że w środku na gorze kryją się jeszcze inni. Po zachodniej stronie domu w przybudowce stał samochód. Buick roadmaster rocznik 1947. Koloru lososiowego, z białą skórzaną tapicerką. Prawdziwe cacko, wypucowane i wypolerowane dzień po przejściu huraganu. Ukochany pojazd.

Teddy otworzył drzwi. Skórzana tapicerka w środku pachniała nowością. W schowku znalazł kilka pudełek zapalek i zabrał wszystkie.

Wyciągnął krawat z kieszeni, podniósł kamyczek z ziemi i zawiązał dookoła niego wezszy koniec krawata. Podniósł tablicę rejestracyjną, odkrecił korek wlewu paliwa, a potem wepchnął owinięty krawatem kamyczek aż do samego zbiornika. Z otworu rury jak z ludzkiej szyi zwisał szeroki, pokryty kwiecistym wzorkiem przedkrawat.

Teddy przypomniał sobie, jak Dolores podarowała mu ten krawat - trzymał ją na kolanach, a ona zawiązała mu nim oczy.

-Przykro mi, kotku - szepnął. - Jest mi drogi, bo dostałem go od ciebie. Ale nie oszukujmy się: ten krawat jest po prostu ohydny.

Posłał jej do nieba uśmiech na przeprosiny i zapalił zapalke, a od zapalki całe pudełko, a od płonącego pudełka krawat.

A potem pognął jak oszalały.

Teddy był w połowie drogi przez las, kiedy samochód eksplodował. Zaraz potem usłyszał nawoływania, odwrócił się i między drzewami ujrzał wzbijające się w powietrze płomienie. Potem nastąpiła seria cichszych wybuchów, jak na pokazie sztucznych ogni, kiedy z samochodu wyleciały szyby.

Na skraju lasu przystanął, zwinął marynarkę w kule i wepchnął ją pod kamień.

Widział strażników i marynarzy z promu pedzających w stronę domu Cawleya. Zrozumiał, że jeśli ma to zrobić, to tylko teraz, nie było już chwili do namysłu. I dobrze, bo gdyby zaczął się zastanawiać, na co się porywa, nigdy by się nie odważył.

Wyszedł zza drzew i pobiegł wzdłuż brzegu. Lecz tuż przed zatoką, gdzie byłby widoczny dla wracających na przystan strażników, skrecił gwałtownie w lewo i rzucił się w morze.

Jeżu, woda była lodowata. Teddy miał cichą nadzieję, że nagrzała się trochę od upału, ale ziąb poraził całe jego ciało jak prąd elektryczny i zaparło mu dech w piersiach.

Mimo to brnął przed siebie, starając się nie myśleć o tym, co kryje morze - o wegorzach, meduzach, krabach czy nawet rekinach. Można by się uśmiechać, ale Teddy czytał kiedyś, że rekiny zwykle atakują ludzi w wodzie głębokości około metra, a on właśnie brodził po pas i zapuszczał się dalej. Słyszał wrzaski dolatujące od strony domu Cawleya i nie zważając na walące mu młotem serce, zanurzył się pod powierzchnię.

Ujrzał dziewczynkę ze swoich snów, która unosiła się w wodzie tuż pod nim; w jej otwartych oczach malowała się rezygnacja.

Potrząsnął głową i dziewczynka zniknęła. Z przodu dostrzegł stepkę, szeroki, czarny pas falujący w zielonej wodzie. Podpłynął do niej, chwycił ją oburącz. Przesunął się po stepce bliżej dziobu i odbił się w stronę drugiej burty. Zmusił się, żeby powoli wynurzyć się z wody, wystawić nad powierzchnię tylko głowę. Poczł na twarzy ciepło słońca, wypuścił powietrze z płuc i wziął głęboki oddech, starając się nie dopuszczać do świadomości wizji swoich nóg zawieszonych w głębinie morskiej, morskich stworów zaintrygowanych ich widokiem, podpływających, żeby obwachać je z bliska...

Drabinka była dokładnie tam, gdzie się spodziewał: miał ją tuż przed sobą. Uczepił się trzeciego szczebla i czekał. Słyszał, jak strażnicy wracają na przystan, tupocą po drewnianym pomostcie.

-Przeszukac prom - rozległ się głos komendanta.

-Ależ panie komendancie, nie było nas tylko...

-Zeszłiscie z posterunku i macie czelność się ze mną kłócić?

-Nie, panie komendancie. Przepraszam.

Drabinka zanurzyła się nieco głębiej w wodzie, gdy na pokład wszedł kilkunastu chłopów. Teddy słyszał, jak przeszukują prom - odgłosy otwieranych drzwi, przesuwanych mebli i sprzętów.

Cos wsunęło mu się między uda, niczym dłoń. Teddy zacisnął zęby, chwycił się mocniej drabinki i siłą woli wyparł z umysłu wszelkie myśli, żeby nie wyobrazić sobie, jak to coś wygląda. Cokolwiek to było, przesliznęło się między jego udami; Teddy mimowolnie syknął.

-Mój samochód. Kurwa, wysadził w powietrze mój samochód.

To Cawley, sadzać po głosie, przybity i zdyszany.

-Sprawy zaszły za daleko, doktorze - odezwał się komendant.

-Ustaliliśmy, że decyzja należy do mnie.

-Jeśli ten człowiek ucieknie z wyspy...

-Nie ucieknie z wyspy.

-Tak samo był pan pewny, że nie puszczę z dymem pańskiego auta. Mam rację?

Musimy przerwać te operacje. Nie możemy narazić się na dalsze straty.

-Zbyt wiele mnie to kosztowało, żeby teraz dać za wygraną.

-Jeśli ten człowiek nam się wymknie, to będzie nasza klęska - rzekł podniesionym głosem komendant.

-Nie wydostanie się z tej cholernej wyspy! - odparował Cawley równie głośno.

Ani jeden, ani drugi nie odzywali się przez całą minutę. Słychać było skrzypienie desek pomostu pod ich ciężarem. - Świetnie, doktorze. Ale prom zostaje. Nie odpłynie stąd, dopóki go nie znajdziemy.

Teddy trzymał się drabinki; zimno przesywano mu stopy, paliło je.

-W Bostonie będą domagać się wyjaśnień - rzucił Cawley.

-No to im pan wyjaśni. Prom zostaje. Coś stracił Teddy'ego w lewą nogę.

-Zgoda, komendancie.

Znow napało na jego nogę i Teddy odpowiedział kopniakiem. Plusk przeciał powietrze niczym wystrzał. Na rufie rozległy się kroki.

-Nie ma go na pokładzie. Szukaliśmy wszędzie.

-To gdzie się podział? - odparł komendant. - Czy ktoś ma jakiś pomysł?

-Cholera!

-Co takiego, doktorze?

-Latarnia!

-Przeszło mi to przez myśl.

-Ja się tym zajmę.

-Niech pan weźmie ze sobą ludzi.

-Powiedziałem, że się tym zajmę. Rozstawiliśmy strażę wokół latarni.

-Za mało.

-Zajmę się tym, powiedziałem.

Buty Cawleya załomotały na pomostie, kiedy ruszył w stronę brzegu. Potem odgłos jego kroków stłumił piasek.

-Nieważne, czy jest w latarni, czy nie - oświadczył komendant podwładnym. - Ta łódź nie odpłynie. Znajdźcie pilota i przyniescie mi klucze do silnika.

Niemal całą drogę przebył pod wodą.

Odbił się od promu i popłynął w stronę brzegu. W pobliżu brzegu opadł na piaszczyste dno i posuwał się naprzód, orzając palcami piasek. Kiedy pokonał w ten sposób znaczną odległość, wynurzył głowę i odważył się spojrzeć za siebie. Oddalił się już o kilkaset metrów i widział strażników otaczających pierscieniem przystan.

Zanurzył głowę z powrotem i brnął dalej, wczepiając się w dno palcami, ponieważ gdyby płynął kraulem czy nawet pieskiem, nieunikniony plusk mógłściągnąć na niego uwagę. W końcu dotarł do miejsca, gdzie linia brzegowa łagodnie się załamywała. Za cypłem wyczołgał się z wody na piasek i trzesąc się z zimna, usiadł na słońcu. Dalej szedł pieszo, dopóki nie natrafił na skały przecinające plażę. Nie pozostawało mu nic innego, jak znów zanurzyć się w wodzie. Związał razem buty, zawiesił je na szyi i popłynął dalej.

Wyobrażał sobie kości ojca spoczywające gdzieś na dnie tego oceanu, wyobrażał sobie rekiny z pletwami i długimi sprezystymi ogonami, barakudy z białymi zębiskami.

Zdawał sobie sprawę, że musi przez to przebrnąć, inne wyjście nie istniało. Był cały odretwiwały z zimna, ale nie miał wyboru, musiał płynąć naprzód i może będzie musiał uczynić to ponownie za dwa dni, kiedy Betsy Ross zrzuci swój ładunek u południowego kranca wyspy. Wiedział, że jedynym sposobem na przezwycięzenie strachu jest stawienie mu czoła - tyle nauczyło go wojenne doświadczenie - ale mimo to, jeśli będzie to zależało tylko od niego, nigdy więcej, przenigdy nie zanurzy się w oceanie. Czuł go wokół siebie i na sobie, jego spojrzenie, dotyk. Czuł jego wiek - istniał, nim narodzili się bogowie i pochłonił ofiar więcej niż oni.

Kiedy zobaczył latarnie, musiało być około pierwszej. Nie miał pewności, gdyż zegarek zostawił w marynarce, ale mniej więcej na te godziny wskazywało położenie słońca na niebie. Wyszedł na brzeg u stop urwiska, na którym się wznosiła. Położył się na skale i wygrzewał na słońcu, aż przestał się trząść, a jego skóra straciła upiornie siną barwę.

Jezeli Chuck tam był, nieważne, w jakim stanie, Teddy wyciągnie go stamtąd. Nie zostawi go na ich łasce, nawet martwego.

Wiec zginiesz.

To był głos Dolores i Teddy nie mógł odmówić słuszności jej słowom. Nie uda mu się przeczekać na wyspie dwóch dni, do czasu aż u jej brzegów pojawi się Betsy Ross, jeśli Chuck będzie daleki od pełnej sprawności umysłowej i fizycznej.

Zostana wytropieni...

Teddy się uśmiechnął.

...jak dwunogie psy.

Nie moge go porzucic, oswiadczył Teddy Dolores. Po prostu nie moge. Jesli go nie znajde, to co innego. Ale to moj partner.

Dopiero co sie poznaliscie.

Nie szkodzi. Jesli go tam trzymaja wbrew jego woli, znecaja sie nad nim, musze go uwolnic.

Nawet gdybys mial przyplacic to zyciem?

Nawet gdybym mial przyplacic to zyciem.

Obys go tam nie znalazl.

Zsunal sie ze skaly i ruszyl uslana muszlami, piaszczysta sciezka, ktora wila sie wsrod trawy morskiej. Uzmyslowil sobie nagle, ze Cawley, mowiac o jego sklonnosciach samobojczych, nie mial do konca racji. To raczej bylo z jego strony pragnienie smierci.

Prawda, od lat daremnie szukal przyczyny, dla ktorej warto byloby zyc. Ale nie widzial tez powodu, zeby sie zabijac. Samemu odebrac sobie zycie? Nawet w najczarniejszych godzinach wydawalo mu sie to zalosnym rozwiazaniem. Wstydlwym. Nedznym.

Ale tez...

Nagle stanal oko w oko ze straznikiem, ktory nie mniej od Teddy'ego zaskoczony byl tym nieoczekiwanym najsciem. Straznik stal z otwartym rozporciem, karabin przewieszony mial przez ramie. W pierwszym odruchu probowal zapiac rozporek, ale sie rozmyslil, i ta chwila wahania wystarczylo, zeby Teddy ugodzil go kantem dloni w grdyke. Straznik zlapal sie za gardlo, a Teddy w przysiadzie podcial mu noge i straznik runal do tylu. Teddy podniosl sie i silnie kopnal go w prawe ucho, a temu galki oczne obrocily sie do gory i rozdziawil usta.

Teddy pochyлил sie nad nim, zsunal mu z ramienia pasek od karabinu i wyszarpnal spod niego bron. Slyszal, jak oddycha. Czyli go nie zabil.

I byl teraz uzbrojony.

Wykorzystal to przy spotkaniu z nastepnym straznikiem, ktory trzymal wartę przy ogrodzeniu. Teddy go rozbroil, byl to mlody chlopak, wyrostek wlasciwie.

-Zabijesz mnie? - spytal.

-Jezu, nie, chlopaku - odparl Teddy i trzasnal go kolba w skron.

Za ogrodzeniem stal maly barak i Teddy najpierw skierowal sie do niego. W srodku nie znalazl nic oprócz kilku pryczy, pisemek z golymi panienkami, kociolka ze stara kawa i paru mundurow wiszacych na haku na drzwiach.

Wyszedl z baraku i ruszyl w strone latarni. Naparl kolba na drzwi i ustapily.

W srodku bylo tylko jedno wilgotne, betonowe pomieszczenie, zupełnie puste, jesli nie liczyc plesni na scianach, a dalej krete schody wykonane z tego samego kamienia co sciany.

Wszedł po schodach na pierwsze piętro, które okazało się tak samo ogolone jak parter. Musiały tu być jakieś podziemia, rozległe i połączone ze szpitalem korytarzami, ponieważ jak dotąd to miejsce wyglądało na... zwyczajna stara latarnie.

Usłyszał jakieś szuranie na gorze, wrócił na schody i wspinał się na następny poziom, gdzie natknął się na masywne żelazne drzwi. Przytknął do nich łufę i poczuł, że ustępuje.

Znow usłyszał to szuranie, wyczuł zapach palonego papierosa, zza drzwi dolatywał szum morza i świst wiatru. Teddy wiedział, że jeśli komendant był na tyle sprytny, żeby w środku po obu stronach drzwi postawić strażników, to położył go trupem, gdy tylko ukaze się w progu.

Uciekaj, najdroższy.

Nie mogę.

Dlaczego?

Bo wszystko sprowadza się do tego właśnie.

Co się sprowadza?

Cała ta sprawa. Wszystko.

Me rozumiem, w jaki sposób...

Ty. Ja. Laeddis. Chuck. I Noyce, ten biedny popapraniec. Wszystko sprowadza się teraz do tego. Albo ta sprawa znajdzie tam swój koniec, albo ja.

Chodziło o jego rece. Rece Chucka. Nie rozumiesz?

Nie. Co z nimi?

Me pasują do niego, Teddy.

Teddy wiedział, co Dolores ma na myśli. Wiedział, że wiąże się z tym coś ważnego, ale nie na tyle ważnego, żeby marnować teraz czas na rozmyślanie o tym.

Muszę wejść przez te drzwi, kochanie.

Dobrze. Ale bądź ostrożny.

Teddy przykucnął z lewej strony drzwi. Przycisnął kolbę karabinu do zębów i podparł się prawą ręką o posadzkę, żeby nie stracić równowagi. Lewa noga kopnęła drzwi, które otworzyły się szeroko, a Teddy w tym czasie kleknął na jedno kolano, przyłożył karabin do ramienia i wycelowował.

W Cawleya.

Doktor siedział za stołem, zwrócony plecami do małego kwadratowego okna, za którym rozposcierał się srebrzystoniebieski ocean. Zapach morza roznosił się po całym pokoju, a wiatr delikatnie rozwiewał Cawleyowi włosy na skroniach.

Nie było widać po nim zaskoczenia. Nie było widać po nim strachu. Cawley otrząsnął popiół z papierosa do popielniczki i patrząc na Teddy'ego, powiedział:

-Skarbie, dlaczego jesteś cały mokry?

21

Ściany po obu stronach okna zasłonięte były różowymi przescieradłami, przyklejonymi w rogach pomarszczona tasma. Na stole Cawley rozłożył wcześniej skoroszyty, wojskowa radiostacja polowa, notes Teddy'ego, formularz przyjęcia Laeddisa i marynarkę Teddy'ego. W kącie pomieszczenia na krześle stał magnetofon szpulowy; taśmy obracały się, a doczepiony do niego u góry mały mikrofon skierowany był do środka pokoju. Cawley miał przed sobą czarny skorzany notes. Zapisał coś w nim i zwrócił się do Teddy'ego:

-Usiądź.

-Co pan powiedział?

-Zaproponowałem, żebyś usiadł.

-A przedtem?

-Dobrze wiesz, co powiedziałem.

Teddy zdjął kolbę z ramienia, ale wchodząc do pokoju, wciąż celował w Cawleya.

Cawley wrócił do swych zapisków.

-Jest nienaladowany.

-Słucham?

-Karabin. W komorze nie ma naboju. Dziwię się, że nie zauważyłeś. Przy twoim doświadczeniu z bronią palną.

Teddy odciągnął zamek i sprawdził komorę. Pusta. Dla pewności wymierzył w ścianę i nacisnął spust, ale jego wysiłki wynagrodził jedynie suchy trzask kurka.

-Postaw broń w kącie - polecił Cawley.

Teddy położył karabin na podłodze, odsunął krzesło, ale nie usiadł.

-Co zakrywają te przescieradła?

-Dowiesz się w swoim czasie. Siadaj. Zrzuc z siebie ten ciężar. - Cawley podniósł z podłogi gruby ręcznik i rzucił go Teddy'emu. - Weź. Osusz się trochę. Jeszcze się przeziebisz.

Teddy wytarł włosy i sciągnął mokra koszulę. Zwinął ją w kule i cisnął w róg pokoju. Wytarł rękami tors i sięgnął po marynarkę leżącą na stole.

-Mogę?

-Proszę bardzo - odparł Cawley, podnosząc wzrok znad notatek.

Teddy włożył marynarkę i usiadł na krześle.

Cawley notował coś skrzącym piórem o papier.

-Ciezko zraniles straznikow? - spytał.

-Wyliza sie.

Cawley skinął głową, odłożył pióro i wziął radiostację. Pokrecił korbką, żeby ją ożywić. Podniósł słuchawkę, przełączył na nadawanie i powiedział:

-Tak, zjawil sie tutaj. Niech doktor Sheehan opatrzy panskich ludzi, a potem prosze go przyslac do mnie.

Odłożył słuchawkę.

-Nieuchwytny doktor Sheehan - odezwał się Teddy. Cawley potwierdził ściągnięciem brwi.

-Niech zgadnę, przyplynal promem dzis rano. Cawley potrzaskał głową.

-Przez cały czas był na wyspie.

-Ukryty na samym widoku - zauważył Teddy. Cawley unosił ręce w obronnym geście.

-To znakomity psychiatra - odparł, lekko wzruszając ramionami. - Młody, ale świetnie się zapowiada. To był nasz wspólny pomysł. Razem to obmyśliliśmy, on i ja.

Teddy poczuł, jak pulsuje mu żyłka na szyi, tuż pod lewym uchem.

-I co? Jest pan zadowolony z wyników? - zapytał.

Cawley przewrócił kartkę w notesie, rzucił okiem na te pod spodem.

-Nie bardzo. Wiecej sobie obiecywalem.

Spojrzał na Teddy'ego, a ten wyczytał z jego twarzy coś, co dostrzegł już raz podczas ich krótkiego spotkania na schodach następnego ranka po przyjeździe, a potem na odprawie przed spodziewanym przejściem huraganu. Nie pasowało to do reszty osoby Cawleya, nie pasowało do tej wyspy, do latarni, do okrutnej gry, jaką ze sobą prowadzili.

Współczucie.

Przysiagłby, że właśnie to malowało się na twarzy Cawleya, gdyby nie wiedział, jak się mają rzeczy.

Teddy obejrzał to niewielkie pomieszczenie, ściany zasłonięte przescieradłami.

-Wiec to jest to?

-To jest to - powtórzył Cawley. - Latarnia w całej swojej okazałości. Twój święty Graal. Ta wielka prawda, do której dążyles. Spełniła twoje oczekiwania?

-Nie widziałem jeszcze podziemi.

-To latarnia. Tu nie ma podziemi.

Teddy spojrział na swój notes, który leżał na stole oddzielającym go od Cawleya.

-Tak, to twoje notatki z dochodzenia. Znaleźliśmy je razem z marynarką w lesie niedaleko mojego domu. Zniszczyłeś mi samochód.

Teddy wzruszył ramionami.

-Przykro mi, że tak się stało.

-To był mój ukochany wóz.

-Domysliłem się.

-Pamiętam, jak wiosną czterdziestego siódmego zobaczyłem go na wystawie, a kiedy go kupowałem, pomyślałem sobie: John, możesz odhaczyć ten punkt na swojej liście. Ten samochód posłuży ci co najmniej przez następne piętnaście lat. Z jaką radością odhaczałem ten punkt - westchnął Cawley.

-Jeszcze raz przepraszam - powiedział Teddy, podnosząc ręce.

Cawley pokręcił z niedowierzaniem głową.

-Naprawdę sądziłeś, że pozwolimy ci wsiąść na ten prom? Nawet gdybyś dla odwrócenia uwagi wysadził w powietrze całą tę wyspę, jak myślisz, co by się wtedy stało?

Teddy zbył to wzruszeniem ramion.

-Jesteś sam - mówił Cawley - a wszyscy pracownicy mieli dziś rano tylko jedno zadanie: nie dopuścić cię do promu. Po prostu nie rozumiem logiki, którą się kierowałeś.

-To była jedyna droga. Musiałem zaryzykować - odparł Teddy.

Cawley przyglądał mu się ze zdziwieniem, a potem mruknął: - Jezu, jak ja kochałem ten samochód - i spuścił wzrok.

-Nie ma pan przypadkiem wody? Chce mi się pic - oznajmił Teddy.

Cawley rozważał przez chwilę jego prośbę, potem odsunął się w bok, odsłaniając dzbanek i dwie szklanki stojące na parapecie. Nalał im obu wody i podał Teddy'emu szklankę.

Teddy wypił wodę duszkiem.

-Suchość w ustach, tak? - zauważył Cawley. - Przygłębła do języka niczym swędzenie, którego nie można usmierzyć, choćby się wypilo całą beczkę?

Przesunął dzbanek w jego stronę i patrzył, jak Teddy napełnia swoją szklankę.

-Drzenie rąk. Coraz bardziej się nasila. A jak głowa? Mocno boli?

W chwili kiedy Cawley go o to zapytał, Teddy poczuł ból przeszywający mu czaszkę niczym rozgrzany pret. Jego ognisko umiejscowione było za lewym okiem, a stamtąd rozchodził się na skronie i w dół aż do szczęki.

-Można wytrzymać - powiedział.

-To dopiero przedsmak. Teddy napił się wody.

-No jasne. Ta lekarka zdążyła mnie uprzedzić.

Cawley rozsiadł się w krzesle i z uśmiechem postukał piórem w notes.

-Jaka znowu lekarka?

-Nie wiem, jak się nazywa, ale pracowała u was - rzekł Teddy.

-Aha. I co dokładnie ci powiedziała?

-Wyjaśniła mi, że neuroleptyki zaczynają działać po czterech dniach, gdy ich stężenie we krwi osiąga odpowiedni poziom. Przewidziała wszystkie objawy: suchość w ustach, bóle, drgawki.

-Mądra kobieta.

-Nie da się ukryć.

-Ale to nie są skutki neuroleptyków.

-Nie?

-Nie.

-To w takim razie czego?

-Odstawienia - rzekł Cawley.

-Odstawienia czego?

Cawley znów się uśmiechnął, zapatrzył przed siebie i podsunął mu notes, otwarty na stronie, na której Teddy zapisał swoje ostatnie notatki.

-To twój charakter pisma, zgadza się? - spytał. Teddy zerknął w dół.

-Zgadza się.

-Ostatnia zaszyfrowana wiadomość?

-Przecież widac, że to szyfr.

-Ale nie zadałeś sobie trudu, żeby to odczytać.

-Nie miałem okazji. Sprawy nabrały ostatnio szalonego tempa, jak sam pan pewnie zauważył.

-Jasne, jasne. No to może teraz znajdziesz czas, żeby rozszyfrować tę wiadomość? - zaproponował Cawley, stukając zachęcająco w kartkę.

Teddy spojrzął w dół, na sześć liczb i przyporządkowane im litery: 25(y)-20(t)-14(n)-15(o)-15(o)-20(t) Gorący pret napierał na jego oko.

-Nie czuję się w tej chwili najlepiej.

-Przecież to proste - ocenił Cawley. - Tylko sześć liter.

-Najpierw niech przestanie mnie tak lupać w skroni.

-W porządku.

-Odstawienia czego? - powtórzył pytanie Teddy. - Czym mnie nafaszerowaliście?

Cawley naciągnął z trzaskiem knykcie i opadł na oparcie krzesła z rozdzierającym ziewnięciem.

-Chloropromazyna. Niestety, ma uboczne skutki. I to całkiem sporo. Osobście nie przepadam za tym lekiem. Miałem nadzieję, że obędzie się bez tego, że wystarczy imipramina, ale ostatnie wypadki dowiodły, że się myliłem. - Pochylił się do przodu. - Nie jestem zwolennikiem leczenia farmakologicznego, ale w twoim przypadku jest ono konieczne.

-Imipramina?

-Znana też pod nazwą handlową Tofranil.

Teddy uśmiechnął się. - I chloropro... - ...mazyna - dokończył Cawley. - Chloropromazyna. To właśnie skutki jej odstawienia tak bolesnie odczuwasz. Podawaliśmy ci ją przez ostatnie dwa lata.

-Chyba sie przeslyszałem.

-Przez ostatnie dwa lata.

Teddy parsknal smiechem.

-No nie. Wiem, ze macie potezne wpływy. Ale to ostatnie twierdzenie to jawna przesada.

-Ja nie przesadzam.

-Przez dwa lata faszerowaliscie mnie prochami?

-Lekami, jesli laska.

-I co? Mieliscie swojego czlowieka w biurze wydzialu poscigowego, ktory mial za zadanie przyprawiac mi kanapke kazdego ranka? Albo nie, wsadziliscie go do kiosku z gazetami, gdzie zawsze kupuje kawe po drodze do pracy. Tak byloby sprytniej. Wiec przez dwa lata wasz czlowiek w Bostonie niepostrzezenie podsuwal mi leki?

-Nie w Bostonie - odparl cicho Cawley. - Tutaj.

-Tutaj?

Cawley skinal glowa.

-Tak, tutaj. Jestes naszym pacjentem. Leczymy cie w tym szpitalu od dwoch lat.

Teddy slyszal narastajace fale przyplywu, rozgniewane, tlukace o podstawie urwiska.

Splotl dlonie, zeby opanowac ich drzenie; staral sie nie zwracac uwagi na pulsujacy bol za lewym okiem, coraz bardziej piekacy i uporczywy.

-Jestem szeryfem federalnym - rzekl Teddy.

-Byles szeryfem federalnym.

-Jestem - powtorzyl Teddy. - Jestem szeryfem federalnym, w sluzbie rządu Stanow Zjednoczonych. Wyplynalem z Bostonu w poniedzialek rano dwudziestego drugiego wrzesnia tysiac dziewiecset piecdziesiatego czwartego roku.

-Czyzby? - odparl Cawley. - A jak dotarles do portu? Samochodem? Gdzie go zaparkowales?

-Przyjechalem metrem.

-Przeciez metro tak daleko nie dojezdza.

-Przesiadlem sie do autobusu.

-A dlaczego nie samochodem?

-Bo jest w naprawie.

-Aha. A niedziela? Pamiętasz, co robiles w niedziele? Mozesz mi opisac ten dzien?

Czy w ogole potrafisz powiedziec mi cokolwiek o tym, jak wygladalo twoje zycie, zanim przebudziles sie w lazience na promie?

Teddy potrafil, to znaczy, moglby powiedziec, gdyby ten pieprzony pret za okiem nie wwiercal mu sie w zatoki.

Niech mu bedzie. Przypomnij sobie. Powiedz mu, co robiles w niedziele. Wrociles z pracy do domu. Do apartamentu przy Buttonwood. Nie, nie. Nie Buttonwood. Przeciez tamten budynek, podpalony przez Laeddisa, doszczetnie splonal. Nie, nie. Gdzie ty teraz mieszkasz, czlowieku? Jezu. Mial to przed oczami. Tak, tak. Mieszkanie przy... mieszkanie przy... Castlemont. Wlasnie. Castlemont Avenue. Nad rzeka.

No dobrze. Wyluzuj sie. Wrociles do siebie, do mieszkania przy Castlemont, zjadles kolacje, napiles sie mleka i poszedles spac. Zgadza sie? Zgadza sie.

-A to? Zdazyles sie temu przyjrzec? - spytal Cawley, przesuwajac w jego strone formularz przyjecia Laeddisa.

-Nie.

-Nie? - Cawley zagwizdal ze zdziwienia. - Przeciez tak ci zalezalo na zdobyciu tego dokumentu. Gdybys go dostarczyl senatorowi Hurly'emu - dowod istnienia szescdziesiatego siodmego pacjenta, ktory oficjalnie nie figuruje w ewidencji - bys nas zdemaskowal.

-To prawda.

-Pewnie, ze prawda, do cholery. I przez ostatnie dwadziescia cztery godziny nie znalazles czasu, zeby na ten swistek zerknac?

-Powtarzam, sprawy nabraly...

-Szalonego tempa, wiem. No coz, to rzuc okiem teraz.

Teddy spojrzal na dokument: zawieral wlasciwe nazwisko, wiek pacjenta, date sporzadzenia notatki z przyjecia Laeddisa. W rubryce "Uwagi" Teddy przeczytal:

Wysoce inteligentny. Rozpoznany ostry zespol urojeniowy, idacy w parze z silnymi sklonnosciami do agresji. Pacjent jest niezmiernie pobudzony. Nie okazuje skruchy za popelniona zbrodnie, poniewaz nie przyjmuje do wiadomosci, iz taki czyn w ogole popelnil. Pacjent stworzyl niezwykle wymyslana, fantastyczna konstrukcje fabularna, ktora w tej chwili uniemozliwia mu dopuszczenie do siebie prawdy o swoich czynach.

U dolu widnial podpis Dr L. Sheehan.

-To by sie zgadzalo - rzekl Teddy.

-Tak sadzisz?

Teddy potwierdził skinieniem głowy.

-W odniesieniu do kogo?

-Laeddisa.

Cawley wstał. Podszedł do ściany i zdarł jedno z przescieradeł, odsłaniając cztery imiona i nazwiska, wypisane wielkimi drukowanymi literami:

Edward Daniels - Andrew Laeddis Rachel Solando - Dolores Chanal Teddy czekał, ale Cawley najwyraźniej nie spieszył się z wyjaśnieniem. Nie odzywali się przez minutę.

-Rozumiem, że chce pan mi coś przez to powiedzieć - przemówił w końcu Teddy.

-Popatrz na te nazwiska.

-Widzę je.

-Twoje nazwisko, sześćdziesiątego siódmego pacjenta, zaginionej pacjentki i twojej żony.

-Nie jestem ślepy.

-Oto twoja Zasada Czterech - oświadczył Cawley.

-Jak to?

Teddy zawzięcie tarł skron, próbując wyluskać stamtąd ten pret.

-Ty mi powiedz. Przecież jesteś specem od szyfrow.

-Co mam ci powiedzieć?

-Co mają ze sobą wspólnego Edward Daniels i Andrew Laeddis?

Teddy przyglądał się przez chwilę nazwisku Laeddisa i własnemu.

-Oba składają się z trzynastu liter.

-Tak jest - rzekł Cawley. - Tak jest. Co jeszcze? Teddy wpatrywał się w nie jakiś czas.

-Nic - oświadczył wreszcie.

-Próbuj dalej.

Cawley zdjął fartuch lekarski, przewiesił go przez oparcie krzesła.

Teddy usiłował się skupić, ale ta zabawa zaczęła go męczyć.

-Nie spiesz sie.

Teddy wpatrywał się w litery, aż ich kontury zaczęły mu się rozmazywać w oczach.

-No i co? - spytał Cawley.

-Nic. Nie widzę żadnego podobieństwa poza tym, że mają po trzynaście liter.

-No dalej! - zachęcał Cawley, uderzając w ścianę wierzchem dłoni.

Teddy potrząsa głową. Zrobiło mu się słabo. Litery tańczyły mu przed oczami.

-Skup się.

-Jestem skupiony.

-Co łączy te litery? - spytał Cawley.

-Ja nie... I tu, i tu jest ich trzynaście. Trzynaście.

-Co jeszcze?

Teddy wyteżał wzrok, aż litery mu się rozplynęły.

-Nic.

-Nic?

-Nic - rzekł Teddy. - A co pan chce ode mnie usłyszeć? Nie mogę odpowiedzieć, skoro nie znam odpowiedzi. Nie...

-To są te same litery! - krzyknął Cawley.

Teddy pochylił się do przodu, próbując osadzić w miejscu plasujące mu przed oczami litery.
- Co?

-To są te same litery. - Nie.

-Te imiona i nazwiska to anagramy.

-Nie - powtórzył Teddy.

-Nie? - odparł Cawley, marszcząc brwi i przesuwając ręką wzdłuż napisów. - Składają się z tych samych liter. Popatrz. Edward Daniels. Andrew Laeddis. Te same litery, tylko przestawione. Przecież masz głowę do szyfrów, szkoliliś się nawet w tym kierunku w wojsku, prawda? I próbujesz mi wmówić, że nie dostrzegasz tych samych trzynastu liter w imieniu i nazwisku swoim i Andrew Laeddisa?

-Nie! - zawołał Teddy, przyciskając pięści do oczu, żeby zetrzeć z nich bielmo czy też odgrodzić je od światła, sam nie wiedział. - "Nie" oznacza, że to nie są te same litery? Czy raczej ty "nie" chcesz, żeby to były te same litery?

-Nie mogą być te same.

-Otwórz oczy. Przekonaj się sam.

Teddy otworzył oczy, ale nadal krecił głową i rozrzucone litery chwiały się na boki.

Cawley chłaskał wierzchem dłoni w drugi rząd liter.

-No to sprawdź te imiona i nazwiska. "Dolores Chanal" i "Rachel Solando". Maja po trzynastu literach. Nie chcesz mi powiedzieć, co je łączy?

Teddy nie mógł zaprzeczyć świadectwu własnych oczu, a zarazem nie mógł uwierzyć w to, co widział.

-Nie? Tego też nie dostrzegasz?

-To niemożliwe.

-Owszem, możliwe - oświadczył Cawley. - Znowu te same litery. Tworzą anagram.

Przybyłeś tu, żeby poznać prawdę? Oto twoja prawda, Andrew.

-Teddy - poprawił go Teddy.

Cawley przypatrywał mu się z tym samym znajomym wyrazem fałszywego zaniepokojenia na twarzy.

-Nazywasz się Andrew Laeddis - rzekł Cawley. - Szesczdziesiąty siódmy pacjent szpitala Ashecliffe? To ty, Andrew.

22

-GÓWNO PRAWDA! Teddy wykrzyknął to, a krzyk rozniósł się echem w jego głowie.

-Nazywasz się Andrew Laeddis - powtórzył Cawley. - Trafiliś do nas na mocy wyroku sądowego dokładnie dwadzieścia dwa miesiące temu.

Teddy skwitował to machnięciem ręki.

-Nawet jeśli bym nie posiadał o taki tani chwyt.

-Spójrz na dowody. Proszę cię, Andrew. Skierowano cię...

-Nie nazywaj mnie tak. - ...tutaj, ponieważ popełniłeś straszliwą zbrodnię. Niewybaczalna w oczach społeczeństwa, ale ja ci wybaczam. Andrew, popatrz na mnie.

Wzrok Teddy'ego powędrował od wyciągniętej w jego stronę reki doktora, przez ramię i pierś, do jego twarzy: oczy Cawleya znowu promieniowały tym obłudnym współczuciem, ta pozorowana troska.

-Nazywam się Edward Daniels.

-Nie. - Cawley pokręcił głową ze znużeniem człowieka pokonanego. - Nazywałeś się Andrew Laeddis. Zrobiłeś coś strasznego i za nic nie potrafisz sobie tego wybaczyć, dlatego udajesz kogoś innego. Wymyśliłeś misterna i zawiła intrygę, w ramach której wyznaczyłeś sobie rolę bohatera, Andrew. Wmówiłeś sobie, że wciąż jesteś szeryfem federalnym i prowadzisz tu dochodzenie. I odkryłeś spisek, co oznacza, że nasze zaprzeczenia potwierdzają tylko twoje urojenia, w myśl których my wszyscy sprzysięgliśmy się przeciwko tobie. I może machnelibyśmy na to reka, pozwolili ci żyć w tym wymyślonym świecie. Mnie by to odpowiadało. Gdybyś był nieszkodliwy, chętnie bym na to przystał. Ale ty jesteś człowiekiem gwałtownym, bardzo gwałtownym.

A twoje doświadczenie bojowe i wprawa w obezwładnianiu przestępców jeszcze pogarszają sprawę. Jesteś naszym najgroźniejszym pacjentem. Nie możemy sobie z tobą poradzić. Decyzja już zapadła - spojrz na mnie.

Teddy podniósł oczy i ujrzał Cawleya, który pochylał się w jego stronę nad stołem i patrzył na niego błagalnym wzrokiem.

-Zapadła decyzja, że jeśli nie zdołamy wyrwać cię z tej urojonej rzeczywistości - zaraz, teraz - zostaną zastosowane trwale rozwiązania w celu zagwarantowania, że już nigdy nikogo nie skrzywdzisz. Rozumiesz, co próbuje ci wytłumaczyć?

Przez sekundy - przez ułamek sekundy, nawet nie przez całą - Teddy niemal mu wierzył. Ale potem się uśmiechnął.

-Niezłe przedstawienie urządziliście, doktorku. A kto gra złego gline - Sheehan? - Teddy zerknął do tyłu na drzwi. - Powinien łađa chwila pojawić się na scenie.

-Spojrz na mnie - powiedział Cawley. - Spojrz mi w oczy.

Teddy posłuchał. Cawley miał oczy zaczerwienione i zapadnięte z braku snu. Ale wyrażały one coś jeszcze oprócz skrajnego wyczerpania. Co takiego? Teddy wpatrywał się w nie badawczo. I naraz go oślniło - gdyby nie wiedział, jak sprawy stoja, przysięglby, że doktor ma złamane serce.

-Posłuchaj - mówił Cawley - jestem twoją jedyną szansą. Możesz liczyć tylko na mnie. Od dwóch lat wysłuchuję twoich urojeń. Znam każdy ich szczegół, każdy rys - wiem o szyfrach, zaginionym partnerze, burzy, kobiecie ukrywającej się w jaskini, potwornych eksperymentach w latarni. Wiem o Noycie i zmyślonym senatorze Hurlym.

Wiem, że wciąż sni ci się Dolores, z jej brzucha leje się woda i jest cała przemoczona.

Wiem o kłodach w jeziorze.

-Chrzaniś - odparł Teddy.

-Skąd bym znalazł takie szczegóły?

Teddy wyliczał po kolei argumenty na trzesących się palcach:

-Jadłem w waszej stolicy, piłem waszą kawę, paliłem wasze papierosy. Niech to cholera, zaraz po przyjeździe wziąłem od ciebie trzy "aspiryny". A następnego dnia czymś mnie odurzyłeś. Siedziałem przy mnie, kiedy się ocknałem. Od tamtej pory nie jestem sobą. Od tego wszystko się zaczęło. Od tamtej nocy po ataku migreny. Co mi wtedy dałeś?

Cawley się odsunął. Skrzywił się, jakby przełknął coś kwasnego, i wyjrzał przez okno.

-Czas ucieka - wyszeptał.

-Co takiego?

-Czas - powiedział cicho Cawley. - Dostałem cztery dni. Niewiele mi go zostało.

-To wypuść mnie. Wróć do Bostonu, złożę na was doniesienie w wydziale policyjnym, ale spokojna głowa - przecież masz wpływowych przyjaciół i sprawa na pewno rozejdzie się po kosiach.

-Myślisz się, Andrew. Moi zwolennicy opuścili mnie niemal co do jednego. Od osmiu lat toczą walkę, ale szala zwycięstwa przechyliła się na stronę przeciwnego obozu.

Jestem na przegranej pozycji. Stracę stanowisko, stracę fundusze. Zarezykowałem radzie nadzorczej, że wystawie psychodramę o niespotykanym w dziejach psychiatrii rozmachu i w ten sposób uda mi się cię uratować. Ze dzięki niej odzyskasz poczytalność. Ale jeśli okaże się, że byłem w błędzie...

Cawley wytrzeszczył oczy i podparł ręką brodę, jakby wpychał szczękę z powrotem na swoje miejsce. Opuścił rękę i spojrzał na Teddy'ego.

-Nie rozumiesz, Andrew? Wszystko zależy od ciebie. Twoja klęska pociągnie za sobą moja. A jeśli ja przegram, to koniec.

-Ojej, to smutne - podsumował Teddy.

Za oknem skrzeczały mewy. W powietrzu czuć było sól, słońce i wilgotny, nadmorski piasek.

-Spróbujmy inaczej - powiedział Cawley. - Czy twoim zdaniem to zbieg okoliczności, że Rachel Solando, wytwór twojej wyobraźni, nawiasem mówiąc, nosi nazwisko złożone z tych samych liter co twoja niezwykła żona i tak samo jak twoja żona ma na sumieniu śmierć własnych dzieci?

Teddy zerwał się; jego rękami od barków w dół targaly wstrząsy.

-Moja żona nie zabiła własnych dzieci. My nie mieliśmy dzieci.

-Nie mieliscie dzieci? - odparl Cawley i podszedl do sciany.

-Nie mielismy, ty glupi sukinsynu.

-Aha. No dobrze. - Cawley zdarl druga zaslone.

Na scianie widac bylo szkic miejsca zbrodni, zdjecia jeziora, zdjecia zwlok trojki dzieci. Imiona i nazwiska wypisane wielkimi drukowanymi literami:

Edward Laeddis Daniel Laeddis Rachel Laeddis Teddy opuscil wzrok i przygladal sie swoim dloniom; podrygiwaly, jakby zyly wlasnym zyciem, odlaczone od reszty ciala. Gdyby mogli je przydepnac, z checia by to zrobil.

-Twoje dzieci, Andrew. I co? Wyprzesz sie wlasnych dzieci? Bedziesz zaprzeczal, ze kiedykolwiek zyly? Bedziesz?

Teddy wyciagnal w strone Cawleya rozdygotana reke.

-To dzieci Rachel Solando. To rysunek miejsca zbrodni w jej domu nad jeziorem.

-To wasz dom. Przeniesliscie sie tam, bo tak doradzili ci lekarze ze wzgledu na zone. Pamietasz? Po tym, jak "przez przypadek" podpalila wasze mieszkanie? Niech pan zabierze ja z miasta, mowili, zapewni jej sielskie otoczenie. Moze wtedy wydobrzeje.

-Ona nie chorowala.

-Ona byla niepoczytalna, Andrew.

-Przestan mnie tak nazywac, do kurwy nedzy. Ona nie byla wariatka.

-Twoja zona cierpiala na depresje wymagajaca leczenia szpitalnego. Rozpoznano u niej psychoze maniakalno-depresyjna. Ona byla...

-Nieprawda - wtracil Teddy.

-Byla niedoszla samobojczynia. Znecala sie nad dziecmi. A ty przymykales na to oczy. Uwazales po prostu, ze jest slaba. Ubzdurales sobie, ze zdrowie psychiczne to kwestia wyboru i wystarczylo tylko, zeby pamietala o swoich obowiazkach. Wzglem ciebie. Wzglem dzieci. Pograzales sie w pijanstwie. Zamknales sie w swojej skorupie.

Coraz wiecej czasu spedzales poza domem. Lekcewazyles wszystkie oznaki. Puszczales mimo uszu slowa nauczycieli, ksiedza z waszej parani, jej krewnych.

-Moja zona nie byla wariatka!

-A dlaczego? Bo sie wstydziles.

-Moja zona nie byla...

-A kiedy w końcu trafiła do psychiatry, to tylko dlatego, że próbowała odebrać sobie życie i wylądowała w szpitalu. Nawet ty nie miałeś na to wpływu. I powiedzieli ci, że ona zagraża samej sobie. Powiedzieli ci...

-Nigdy nie byliśmy u żadnego psychiatry! - ...że stanowi zagrożenie dla dzieci. Wszyscy cię ostrzegali.

-Nigdy nie mieliśmy dzieci. Planowaliśmy, ale Dolores nie mogła zajść w ciążę.

Chryste Panie! Czuliście się tak, jakby ktoś wtykał mu walkiem odłamki szkła w głowę.

-Podejdz tu - powiedział Cawley. - Mówię poważnie. Podejdz bliżej i przyjrzyj się nazwiskom na zdjęciach z miejsca zbrodni. Przekonasz się na własne oczy, że...

-Takie zdjęcia można podrobić. Można wszystko zainscenizować.

-Ty snisz. Ciągłe snisz. Nie możesz się uwolnić od snów, Andrew. Zwierzyłeś mi się z nich. Snily ci się ostatnio dzieci, dwójka chłopców i dziewczynka? A dziewczynka zaprowadziła cię na cmentarz i pokazała ci twój nagrobek? Jesteś "marnym zeglarzem", Andrew. A wiesz, co to oznacza? To znaczy, że okazałeś się marnym ojcem. Nie umiałeś przeprowadzić swoich dzieci przez życie, Andrew. Nie uratowałeś ich w porę. Może porozmawiamy o kłodach w jeziorze, co? No chodź tu i popatrz na te zdjęcia. Powiedz, że nie rozpoznajesz na nich dzieci ze swoich snów.

-Przestaj pieprzyć.

-No to chodź. Podejdz i popatrz.

-Odurzacie mnie, zabijacie mojego partnera, wmawiacie mi, że nigdy go tu nie było.

Chcecie mnie zamknąć w waszym wariatkowie, bo wiem, co się tu wyprawia. Wiem, czym faszerujecie schizofreników, wiem o waszych eksperymentach, o stosowaniu lobotomii lekką ręką, o tym, że macie w dupie zasady norymberskie. Przejrzałem was, doktoru.

-Czyżby? - Cawley oparł się o ścianę i założył ręce. - No to oświeć mnie, proszę.

Przez ostatnie cztery dni buszowałeś po całym naszym zakładzie. Przetrzasnałeś wszystkie zakamarki. No i gdzie są ci oprawcy w fartuchach lekarskich? Gdzie sale operacyjne, w których dokonuje się zbrodniczych zabiegów?

Cawley podszedł do stołu i zajrzał do swoich notatek.

-Nadal wierzysz, że robimy naszym pacjentom pranie mózgu, Andrew?

Urzeczywistniamy pionierski eksperyment zakrojony na dziesiątki lat, którego celem jest stworzenie - jak to ich kiedyś nazwałeś - upiórów do wykonywania upiornych zadań?

Skrytobójców? - Cawley zachichotał pod nosem. - Muszę ci to przyznać, Andrew, nawet w tych czasach szalejącej paranoi twoje pomysły nie mają sobie równych.

Teddy wymierzył w niego trzesący się palec.

-Jestecie eksperymentalną placówką stosującą radykalne rozwiązania...

-Owszem, jesteśmy.

-Przyjmujecie tylko najbardziej agresywnych pacjentów.

-Zgadza się. Z jednym zastrzeżeniem - najbardziej agresywnych i jednocześnie najbardziej podatnych na urojenia.

-I do tego... - Co?

-Przeprowadzacie eksperymenty.

-Tak jest! - Cawley klasnął w dłonie i uklonił się. - Jesteśmy winni zarzucanych nam czynów.

-Chirurgiczne.

-Co to, to nie - odparł Cawley, podnosząc palec. - Nie robimy eksperymentalnych operacji na mózgu. Zabiegi chirurgiczne stosowane są tylko w ostateczności i to mimo moich stanowczych protestów. Jestem jednak w tym sprzeciwie osamotniony i nawet ja nie potrafię z dnia na dzień zmienić narosłych przez dziesięciolecia przyzwyczajen.

-Kłamiesz.

-Podaj mi jakiś fakt świadczący o tym, że twoja teoria spiskowa nie jest wyssana z palca. - Cawley westchnął. - Chociaż jeden.

Teddy się nie odzywał.

-Natomiast ty po prostu nie przyjmujesz do wiadomości dowodów przedstawionych przeze mnie.

-Bo to nie są żadne dowody, tylko stek bzdur.

Cawley złożył ręce i podniósł je do ust jak w modlitwie.

-Wypuscie mnie stąd - oświadczył Teddy. - Jako oficjalny przedstawiciel prawa żądam, abyście umożliwili mi powrót do Bostonu.

Cawley przymknął na chwilę oczy. Kiedy je otworzył, w jego spojrzeniu pojawił się nowy, twardszy wyraz.

-W porządku, w porządku. Postawiles na swoim, szeryfie. Proszę, to ci ułatwi zadanie.

Podniósł z podłogi skórzaną torbę, rozpiął ją, wyjął z niej rewolwer Teddy'ego i rzucił go na stół.

-To twoja bron, tak?

Teddy wpatrywał się w rewolwer.

-To twoje inicjały wygrawerowane na rekojesci, zgadza się? Teddy wyteżał wzrok, pot zalewał mu oczy.

-Tak czy nie, szeryfie? To twoja bron?

Teddy dostrzegł wgniecenie na lufie, które powstało tamtego dnia, kiedy Philip Stacks, strzelając do niego, trafił w rewolwer i zginał od rykoszetu własnej kuli.

Dostrzegł inicjały E. D. wyryte na rekojesci, dowód uznania za wytropienie Brecka.

A na kablaku spustowym od spodu metal był wytarty i odrapany od czasu, kiedy upuścił rewolwer, goniąc bandyta w St. Louis zima czterdziestego dziewiątego.

-To twój rewolwer?

-Tak.

-Podnies go. Upewnij się, że jest naładowany. Teddy przeniósł spojrzenie z powrotem na Cawleya. - Śmiało, szeryfie. Podnies go. Teddy wziął rewolwer trzesnął się ręką.

-Jest naładowany? - spytał Cawley. - Tak.

-Na pewno?

-Poznaję po ciężarze. Cawley skinał głową.

-No to wal. Bo tylko w ten sposób wydostaniesz się z tej wyspy.

Teddy próbował użyć drugiej ręki jako podporki, ale to niewiele dało, gdyż ona też dygotała. Wziął kilka głębokich oddechów, powoli wypuszczając powietrze. Próbował wycelować w Cawleya pomimo wstrząsów, jakie targaly jego ciałem, pomimo potu zalewającego mu oczy. Miał Cawleya na celowniku, nie dalej niż metr od siebie, ale ten podskakiwał i kołysał się z boku na bok, jakby płyneli łodzią po wzburzonym morzu.

-Daje ci pięć sekund, szeryfie.

Cawley podniósł słuchawkę radiostacji i pokręcił korbką.

-Jeszcze trzy sekundy - mówił Cawley, przykładając słuchawkę do ucha. - Pociągnij za spust, bo inaczej dokonasz zywota na tej wyspie.

Chociaż Teddy cały się trząsł i rewolwer ciążył mu w ręce, jeszcze miał szansę, pod warunkiem że spróbuje teraz. Zabije Cawleya, zabije jego współników czających się za drzwiami.

-Komendancie, proszę przysłać go na gore - powiedział Cawley.

Nagle Teddy ujrzał wszystko wyraźniej, rece przestały mu drzeć, czuł w nich jedynie mrowienie. Teddy wymierzył w Cawleya, gdy ten odkładał słuchawkę. Doktor miał dziwną minę, jakby dopiero teraz uzmysłowił sobie, że Teddy się na to zdobył.

Cawley podniósł rękę i powiedział:

-Dobrze, już dobrze.

Teddy strzelił mu w sam środek piersi.

Potem unosił rękę o centymetr i strzelił Cawleyowi w twarz.

Woda.

Cawley zmarszczył brwi. Potem zamrugał kilka razy. Wyjął chustkę z kieszeni.

Za plecami Teddy'ego otworzyły się drzwi. Teddy natychmiast się obrócił i wycełował w stojącego w progu mężczyznę.

-Oszczędź mnie - powiedział Chuck. - Zapomniałem wziąć parasol.

23

Cawley wytarł twarz i usiadł na swoim miejscu. Chuck obszedł stół i do niego dołączył. Teddy wpatrywał się w rewolwer, który obracał w dłoni. Podniósł wzrok i zobaczył, że Chuck siada obok Cawleya. Dopiero teraz Teddy zauważył, że Chuck ma na sobie fartuch lekarski.

-Myślałem, że zginales - powiedział Teddy.

-Jak widac, nie - odparł Chuck.

Słowa przychodziły Teddy'emu z trudem. Zacinał się, jak przewidziała ta lekarka.

-Ja... ja... byłem... ja byłem gotów poświęcić własne życie, żeby cię stąd wyciągnąć.

Ja...

Teddy rzucił rewolwer na stół, poczuł się nagle zupełnie wyczerpany. Opadł ciężko na krzesło, był u kresu sił.

-Szczerze nad tym boleje - powiedział Chuck. - Doktor Cawley i ja z ciężkim sercem i po długich namysłach zdecydowaliśmy się wprowadzić ten pomysł w życie. Chcieliśmy oszczędzić ci niepotrzebnych cierpień, poczucia, że zostałeś zdradzony.

Musisz mi wierzyć. Ale widzieliśmy jasno, że innego rozwiązania nie ma.

-Czas ucieka - wtracił Cawley. - To nasza ostatnia rozpaczliwa próba ratowania ciebie, Andrew. Nietuzinkowe przedsięwzięcie, nawet jak na tutejsze warunki, ale żyliśmy nadzieje, że się uda.

Teddy próbował zetrzeć pot z oczu, ale tylko bardziej go rozmazał. Spojrzał na rozmytą postać Chucka.

-Kim ty właściwie jesteś? - spytał.

-Doktor Lester Sheehan - przedstawił się Chuck, podając mu rękę nad stołem.

Teddy udął, że jej nie widzi, i po chwili Sheehan cofnął rękę.

-A więc - zaczął Teddy i wciągnął nosem wilgotne powietrze - pozwalałeś mi w końcu gadać o tym, jak to musimy znaleźć Sheehana, a przez cały czas miałem go tuż pod nosem.

Sheehan skinął głową.

-Nazywałeś mnie "szefem". Opowiadałeś dowcipy. Zabawiałeś mnie. Pilnowałeś mnie bez przerwy, mam rację, Lester?

Teddy popatrzył na niego.

Sheehan próbował spojrzeć mu w oczy, lecz nie mógł, spuścił wzrok i skubał krawat.

-Musiałem mieć cie na oku, czuwać nad twoim bezpieczeństwem.

-Tak, bezpieczeństwem - rzekł Teddy. - W takim razie jesteś usprawiedliwiony.

Rozgrzeszony.

Sheehan puścił krawat.

-Znamy się już dwa lata, Andrew.

-To nie jest moje imię.

-Dwa lata. Jestem twoim psychoterapeutą. Dwa lata. Spójrz na mnie. Nie poznajesz mnie?

Teddy otarł oczy rękawem marynarki i tym razem poskutkowało. Widział wyraźnie Chucka siedzącego za stołem. Poczciwego Chucka, który nie umiał obchodzić się z bronią, z rękami, które nie pasowały do szeryfa federalnego. Bo były rękami lekarza.

-Traktowałem cię jak przyjaciela - powiedział Teddy. - Ufałem ci. Zwierzałem ci się. Zszedłem po ciebie z tego pieprzonego urwiska. Obserwowałem mnie wtedy?

Czuwałeś nad moim bezpieczeństwem? Traktowałem cię jak przyjaciela, Chuck. Ach, przepraszam. Lester.

Sheehan zapalił papierosa i Teddy z zadowoleniem spostrzegł, że jemu też drża ręce.

Niezbyt mocno. Nie tak strasznie jak Teddy'emu, o nie. I gdy wyrzucił zapalke do popielniczki i zaciagnal sie papierosem, zaraz przestaly mu sie trzasc. Ale mimo wszystko...

Mam nadzieje, ze tobie tez sie dostalo, pomyslal Teddy.

-Owszem - odparl Sheehan (Teddy musial sie pilnowac, zeby przestac myslec o nim jako Chucku) - czuwalem nad twoim bezpieczenstwem. A moje znikniecie sam wymysliles. Tylko ze miales zobaczyc formularz przyjecia Laeddisa na drodze, a nie na dole urwiska. Spadl mi przez przypadek, kiedy wyciagalem go z kieszeni i porwal go wiatr. I zaraz ruszyłem po niego na dol, bo wiedzialem, ze jesli ja tego nie zrobie, to ty na pewno. I dwadziescia minut pozniej zamarlem w bezruchu pod nawisem skalnym, bo zobaczyłem, ze ty schodzisz. Byles ode mnie na wyciagniecie reki. Ledwo sie powstrzymalem, zeby cie nie chwycic. Cawley odchrzaknal.

-Niewiele brakowalo, byśmy odwolali akcje, kiedy zobaczyliśmy, ze szykujesz sie do zejścia z urwiska. I kto wie, moze trzeba bylo tak zrobic.

-Byscie odwolali akcje - powtorzyl Teddy, zmuszajac sie, zeby nie parsknac smiechem.

-Tak jest - rzekl Cawley. - To bylo przedstawienie, Andrew.

-Na imie mam Teddy.

-Ty napisales scenariusz do tego widowiska, a my pomogliśmy ci je wystawic. Ale bez zakonczenia cale przedstawienie byloby na nic, a rzecz konczy sie twoim przybyciem do latarni.

-Bardzo dogodnie - podsumowal Teddy i rozejrzal sie po pomieszczeniu.

-Opowiadasz nam to od dwoch lat. O tym, jak zostales wyslany na wyspe w sprawie zaginionej pacjentki i odkryles nasze niecne eksperymenty chirurgiczne, inspirowane hitlerowskimi wzorcami, a takze pranie mozgow w sowieckim stylu, jakie urzadzamy pacjentom. O tym, jak Rachel Solando usmiercila trojke swoich dzieci w taki sam sposob, jak twoja zona zabila wasze. A kiedy byles niemal u celu, twoj partner - wspaniale go nazwales, slowo daje, Andrew. Chuck Aule. Sprobuj to kilka razy szybko wypowiedziec. To twoj kolejny zart, Andrew - zginal, a ty zostales sam i wpadles nam w rece. Nafaszerowalismy cie prochami i wsadzilismy do celi, zanim zdazyles o wszystkim powiadomic swojego urojonego senatora Hurly'ego. Podac ci nazwiska obecnych senatorow ze stanu New Hampshire, Andrew? Mam tutaj liste.

-To wszystko bylo na niby? - powiedzial Teddy.

-Tak.

Teddy sie rozesmial. Smial sie tak glosno, jak nie zdarzylo mu smiac sie od czasu smierci Dolores. Ryczal ze smiechu i slyszal, jak cale pomieszczenie rozbrzmiewa echem jego smiechu, echem, ktore laczylo sie z wciaz nowymi salwami smiechu dobywajacymi sie z jego ust, rozlewalo sie po scianach i ulatywalo przez okno, stapiajac sie z loskotem fal.

-A jak podrobiliście huragan? - zapytał, uderzając dłonią w stół. - Chętnie posłucham, doktorze.

-Nie można podrobić huraganu - odparł Cawley.

-No właśnie - rzekł Teddy i znów wałnął ręką w stół. Cawley spojrzał na jego rękę, potem podniósł wzrok i popatrzył mu w oczy.

-Ale można huragan przewidzieć. Szczególnie na wyspie.

Teddy potrząsał głową, czuł, że wciąż się szeroko uśmiecha, chociaż uszły z niego siły i pewnie wydawał się głupawy i słaby.

-Czy wy nigdy nie dajecie za wygraną? - spytał.

-Sztorm odgrywał istotną rolę w twoich urojeniach - oświadczył Cawley. - Czekaliśmy, aż nadejdzie.

-Brednie - skwitował Teddy.

-Brednie? A jak wyjaśnisz anagramy? Jak wyjaśnisz to, że dzieci na tych zdjęciach - dzieci, których nie mogłeś widzieć, skoro były dziećmi Rachel - to te same dzieci, które występują w twoich snach? Jak wytłumaczysz, Andrew, słowa, którymi cie przywitałem, kiedy stanąłeś w progu: "Skarbie, dlaczego jesteś cały mokry?". Skąd je znam? Myślisz, że jestem jasnowidzem?

-Nie - odparł Teddy. - Myślę, że byłem mokry, to wszystko.

Przez chwilę wydawało się, że głowa Cawleya zaraz oderwie się od szyi. Doktor wziął głęboki oddech, założył ręce i pochylił się nad stołem.

-Woda w rewolwerze. Te twoje szyfry. To wszystko aż bije po oczach, Andrew.

Zajrzyj do notesu. Ostatni zapis. Szesc liter. Trzy rzędy. Odczytanie go powinno być dla ciebie dziecinnie proste. Popatrz.

Teddy spojrzał na kartkę w notesie: 25(y)-20(t)-14(n)-15(o)-15(o)-20(t) - To wyciąg z czasem - odezwał się Lester Sheehan. - Zrozum, wszystko się zmienia. W psychiatrii też. Od lat toczy się tu walka, a wygląda na to, że my przegrywamy.

Y-T-N-O-O-T

-Czyżby? - odparł z roztargnieniem Teddy. - Jacy "my"?-My - rzekł Cawley - czyli ci, którzy wierzą, że do umysłu dociera się nie za pomocą szpikulców albo konskich dawek niebezpiecznych leków, tylko przez uczciwy rozrachunek jawni samej z sobą. - "Uczciwy rozrachunek jawni samej z sobą" - powtórzył Teddy. - Ładnie powiedziane.

Trzy rzędy, powiedział Cawley. Pewnie wypada po dwie litery na każdy.

-Posłuchaj mnie - odezwał się Sheehan. - Jeśli nic z tego nie wyjdzie, to przepadliśmy. Nie chodzi tylko o ciebie. W tej chwili przewaga jest po stronie chirurgii, ale nie na długo. Wkrótce zaczną rządzić farmakologia i wbrew pozorom nie będzie to wcale rządy mniej barbarzyńskie. Dalej się będzie otepiał i skażywał na wegetację, tylko że pod szyldem łatwiejszym do zaakceptowania dla opinii publicznej. Ale tutaj, w tym szpitalu, o wszystkim rozstrzygnie twój przypadek, Andrew.

-Jestem Teddy. Teddy Daniels.

Teddy domyślił się, że pierwszy rząd stanowi słowo "on".

-Naehring zarezerwował już dla ciebie salę operacyjną.

Teddy podniósł wzrok znad notatek.

Cawley skinął głową.

-Wywalczyliśmy dla ciebie cztery dni. Jeśli nam się nie uda, pojedziesz na operację.

-Jaka operacja?

Cawley spojrzał na Sheehana, a ten wpatrywał się w czubek swego papierosa.

Cawley już otwierał usta, ale Sheehan go uprzedził.

-Przezoczołowa lobotomia.

Teddy zamrugał i zerknął w dół na kartkę. Odgadł drugie słowo: "to".

-Tak jak Noyce - rzekł. - Zaraz pewnie usłyszysz, że nie macie takiego pacjenta.

-Noyce jest naszym pacjentem - powiedział Cawley. - I w tej historii, którą opowiedziałeś doktorowi Sheehanowi, tkwi wiele prawdy. Ale nigdy nie wrócił do Bostonu. Nigdy nie odwiedzałeś go w więzieniu. Noyce przebywa w naszym szpitalu od sierpnia pięćdziesiątego roku. Wydobrzył na tyle, że przenieśliśmy go z oddziału C i zakwaterowaliśmy na oddziale A. Do tego stopnia można było mu zaufać. A potem na niego napadłeś.

Teddy oderwał wzrok od ostatnich dwóch liter.

-Co zrobiłem?

-Napadłeś na niego. Dwa tygodnie temu. O mało nie zatłukłeś go na śmierć.

-Niby z jakiego powodu? Cawley spojrzał na Sheehana.

-Bo mówił do ciebie "Laeddis" - wyjaśnił Sheehan.

-To nieprawda. Widziałem się z nim wczoraj i... - I co?

-Na pewno nie nazywał mnie "Laeddis".

-Nie? - odparł Cawley, wertując swój notatnik. - Mam tu zapis waszej rozmowy.

Tasmy zostawiłem w gabinecie, ale myślę, że na razie wystarczy nam zapis. Proszę mi powiedzieć, czy to brzmi znajomo. - Cawley poprawił okulary i pochylił głowę. - Cytuje: "Liczysz się tylko ty. I Laeddis. Zawsze tak było. A mnie traktowałeś jak środek prowadzący do celu".

Teddy potrząsnął głową. - Wcale nie nazywa mnie "Laeddis". Inaczej rozłożyliście akcenty. On mówił, że licze się tylko ja - tutaj "ty" - i Laeddis.

-Jesteś rozbrawający - parsknął Cawley.

-Dokładnie to samo pomyślałem o tobie - odparł z uśmiechem Teddy.

-A co powiesz na to? - rzekł Cawley, zaglądając do notatek. - Pamiętasz, jak zapytałeś Noyce'a, kto go pobił?

-Jasne. Spytałem go, kto był za to odpowiedzialny.

-A dokładnie: "Kto cie tak urządził?". Zgadza się? Teddy skinął głową.

-Noyce odpowiedział wtedy - cytując: "To twoje dzieło".

-No tak, ale...

Cawley przyglądał mu się niczym owadowi pod szkłem.

-Ale co?

-Miał na myśli...

-Zamieniam się w słuch.

Teddy'emu z trudem przychodziło składanie słów tak, żeby wiązały się ze sobą, żeby następowały po sobie sprzeżone niczym wagony towarowe.

-Chodziło mu o to - mówił Teddy wolno, z namysłem - że przyczyniłem się do jego pobicia w sposób pośredni przez to, że nie uchroniłem go przed powrotem do szpitala.

Nie twierdził, że to ja go pobilem.

-Powiedział: "To twoje dzieło". Teddy wzruszył ramionami.

-Owszem, ale różnie interpretujemy znaczenie jego słów.

-A to? - Cawley przewrócił kartkę. - Kolejna wypowiedź Noyce'a: "Oni o wszystkim wiedzą. Nie rozumiesz? Znają twoje zamiary. Cały plan. Prowadzą z toba grę. To wszystko to przedstawienie, zainscenizowane specjalnie dla ciebie".

Teddy rozsiadł się w krzesle.

-I co? Zaden z tych pacjentow, zadna z tych osob, ktore rzekomo znam juz dwa lata, nie zdradzila sie przede mna ani jednym slowem, kiedy przez ostatnie cztery dni odgrywalem te, niech wam bedzie, maskarade?

Cawley zamknal notes.

-Przywykli do tego. Od roku wymachujesz im przed oczami ta plastikowa odznaka.

Z poczatku sadzilismy, ze to bedzie miarodajny sprawdzian - damy ci odznake i zobaczymy, jak zareagujesz. Ale twoja reakcja przeszla moje najsmielsze oczekiwania.

No dalej. Otworz portfel, Andrew. Powiedz mi, czy twoja odznaka jest z plastiku, czy nie.

-Najpierw odcyfruje te wiadomosc.

-Niewiele ci zostalo. Jeszcze dwie litery. Pomoc ci, Andrew?

-Teddy.

Cawley potrzasnal glowa.

-Andrew. Andrew Laeddis.

-Teddy.

Cawley patrzyl, jak Teddy stawia kolejne litery.

-Co tam jest napisane? Teddy sie rozesmial.

-Powiedz nam. Teddy potrzasnal glowa.

-Zdradz nam to, prosze.

-To wasza sprawka. Te zaszyfrowane przekazy pochodza od was. Wymysliliscie Rachel Solando, biorac litery z imienia i nazwiska mojej zony. To wy sie za tym wszystkim kryjecie.

-Co mowi ta ostatnia wiadomosc? - spytal Cawley, starannie artykuлуjąc kazde slowo.

Teddy odwrocil notes w ich strone, zeby mogli zobaczyc: on to ty - Zadowolony? - spytal Teddy.

Cawley wstal. Sprawial wrazenie skrajnie wyczerpanego. Czlowieka bedacego u kresu wytrzymalosci. Kiedy przemowil, Teddy wychwycil w jego glosie nute przerazliwego smutku, ktorej nigdy wczesniej u niego nie slyszal.

-Mielismy nadzieje. Mielismy nadzieje, ze zdolamy cie uratowac. Postawilismy na szali swoja reputacje. A teraz rozejdzie sie wiesc, ze pozwolilismy pacjentowi odegrac wymyslona szopke, ktora sobie uroil, a jedynym tego skutkiem jest kilku rannych straznikow i spalony

samochod. Jesli o mnie chodzi, moze przelknac upokorzenie na polu zawodowym. - Cawley wyjrzał przez male prostokątne okno. - Moze ten szpital stal sie dla mnie za ciasny. Albo ja juz do niego nie pasuje. Ale pewnego dnia, szeryfie, i to w niedalekiej przyszłości, farmakologia sprawi, ze ludzkie doswiadczenie stanie sie nieludzkie. Rozumiesz, co chce powiedziec?

-Raczej nie - zbyl go Teddy, pijany, ale zdolal jeszcze przeczytac jej bajke na dobranoc - jego Rachel zapytala: - Tatusiu?

-Tak, kotku? - odparl.

-Mama czasami tak dziwnie na mnie patrzy.

-Jak to dziwnie?

-Po prostu dziwnie.

-Robi tak dla zartu?

Rachel pokrecila przeczaco glowa. - Nie?

-Nie - powiedziala.

-Wiec jak na ciebie patrzy?

-Jakby byla przeze mnie smutna.

A on przykryl ja koldra, ucalowal na dobranoc, wtulil sie w jej szyje i powiedzial, ze taka dziewczynka jak ona nikogo nie zasmuca. Nie moze nikogo zasmucic. Nigdy.

Ktorejs nocy kladl sie do lozka, a Dolores rozcierala sobie blizny na nadgarstkach, popatrzyła na niego i powiedziala:

-Kiedy odchodzisz w to drugie miejsce, czastka ciebie nie wraca.

-Jakie drugie miejsce, kochanie? - spytal, kladac zegarek na nocnym stoliku.

-A ta czastka, ktora wraca? - Przygryzla wargi i przybrala poze, jakby zaraz miala zdzielic sie piesciami w twarz. - Nie powinna.

Posadzala rzeznika prowadzacego sklep na rogu o to, ze jest szpiegiem. Mowila, ze usmiecha sie do niej, trzymajac w reku tasak ociekajacy krwia, i na pewno zna rosyjski.

Powiedziala, ze czasami czuje ostrze tego tasaka w piersiach. - Fajnie byloby tu mieszkac - rzekl raz maly Teddy, kiedy wybrali sie razem do Fenway Park i ogladali dzieci grajace w pilke.

-Przeciez mieszkamy tutaj.

-Ale tu, w parku.

-Nie podoba ci się tam, gdzie teraz mieszkamy?

-Za dużo wody.

Teddy pociągnął łyk z piersiówki. Zmierzył syna wzrokiem. Był wyrosniętym, silnym chłopcem, ale za bardzo płaczkliwym na swój wiek i lekliwym. Tak teraz chowało się to najmłodsze pokolenie, miękkie, rozpieszczone dzieci okresu prosperity. Szkoda, że matka Teddy'ego już nie żyła; ona wpoilałaby swoim wnukom, że trzeba być twardym, silnym. Świat jest bezwzględny. Nic nikomu za darmo nie daje. Raczej odbiera.

Takie nauki może przekazać dzieciom mężczyzna, ale to kobieta je w nich utrwala.

Tymczasem Dolores karmiła je marzeniami, fantazjami, stanowczo zbyt często chodziła z nimi do kina, do cyrku, na parady i widowiska uliczne.

Pociągnął z butelki i zwrócił się do syna:

-Za dużo wody. Czy coś jeszcze ci się nie podoba?

-Nie, tato.

-Co jest nie tak? - pytał ją. - Co masz mi do zarzucenia? Czego ci nie zapewniam?

Jak mogę cię uszczęśliwić?

-Ja jestem szczęśliwa - odpowiadała.

-Nie jesteś. Powiedz mi, co mam zrobić. Spełnij każde twoje życzenie.

-Czuje się świetnie.

-Wciąż się denerwujesz. A kiedy się nie złościsz, wpadasz w euforie i chodzisz po ścianach.

-I co z tego?

-Dzieci się boją, ja się boję. To nieprawda, że czujesz się świetnie.

-Prawda.

-Ciężko jesteś smutna.

-Ja nie - odpowiadała. - To ty. Rozmawiał z księdzem i ksiądz odwiedził ich w domu raz czy dwa. Rozmawiał też z jej siostrami i starsza z nich, Delilah, przyjechała do nich z Wirginii na tydzień i to jakby trochę pomogło, ale na krótko.

Obję unikali wszelkiej wzmianki o lekarzach. Lekarze zajmowali się wariatami.

Dolores nie była wariatka. Była po prostu spięta.

Spieta i smutna.

Teddy'emu snilo sie, ze Dolores wyrwała go kiedys ze snu i kazala wziac rewolwer.

Rzeznik wlamal sie do ich domu, oswiadczyła. Jest na dole, w kuchni. Rozmawia przez telefon po rosyjsku.

Tamtego wieczoru przed Cocanut Grove, kiedy stal przed taksowka, przyklejony niemal do szyby, a ich twarze dzielily zaledwie centymetry...

Spogladal do srodka i myslal:

Znam cie. Znałem cie cale moje zycie. Czekałem na ciebie. Czekałem, az sie zjawisz.

Przez wszystkie te lata czekałem na ciebie.

Znałem cie, zanim jeszcze przyszedłem na swiat.

To bylo wlasnie to.

Nie palil sie, zeby pojsc z nia do lozka, zanim wysla go na front, poniewaz wiedzial, juz w tej chwili, ze wroci z wojny caly i zdrowy. Wroci, poniewaz bogowie nie kierowali biegiem gwiazd po to, aby spotkal swoja bratnia dusze i zaraz ja utracil.

Nachylil sie do srodka taksowki i wyznal to Dolores.

-Nie martw sie - dodal. - Zobaczysz, ze wroce do ciebie. Musnela reka jego twarz.

-Trzymam cie za slowo - powiedziala. Snilo mu sie, ze wrocil do domu nad jeziorem.

Przez dwa tygodnie tropil faceta od portowej dzielnicy Bostonu az do Tulsy w Oklahomie, zatrzymujac sie po drodze w dziesieciu roznych miejscach. Przez caly czas deptal mu po pietach i doslownie wpadl na niego na stacji benzynowej, kiedy ten wychodzil z meskiej ubikacji.

Byla jedenasta rano, gdy wszedl do domu. Cieszył sie, ze to srodek tygodnia i dzieciaki sa w szkole. Czul w kosciach trudy poscigu i niczego tak nie pragnal, jak wyciagnac sie we wlasnym lozku. Zawolal Dolores, nalewajac sobie podwojna whisky, a ona przyszla z podworza i oznajmila:

-Za malo tego bylo.

Odwrocil sie ze szklanka w reku i zapytal:

-Czego za malo, kochanie?

Spostrzegl, ze Dolores jest przemoczona, jakby wlasnie wyszla spod prysznic, tylko ze miala na sobie stara ciemna sukienke w splowiale kwiatki. Byla boso, woda splywala jej z wlosow, sciekala z sukienki.

-Skarbie - zapytał. - Dlaczego jesteś cała mokra?

-Za mało tego było - powtórzyła i postawiła butelkę na kuchennym blacie. - Wciąż jestem przytomna.

I wyszła z powrotem na podwórze.

Patrzył, jak idzie w kierunku altanki długimi, chwiejnymi krokami, zataczając się.

Odstawił drinka, podniósł butelkę, poznał, że to laudanum, które zapisał jej lekarz po powrocie ze szpitala. Kiedy Teddy wyjeżdżał na dłużej, odmierzał jej tyle łyżeczek, ile jego zdaniem potrzebowała na okres jego nieobecności w domu, i przelewał do mniejszej buteleczki, którą zostawiał w apteczce. Dużą butelkę trzymał pod kluczem w piwnicy.

Zawartość butelki powinna wystarczyć Dolores na sześć miesięcy, a ona opróżniła ją do dna.

Patrzył, jak potyka się na schodach prowadzących do altanki, upada na kolana, podnosi się.

Jakim cudem dobrała się do tej butelki? Piwniczny kredens nie był zaopatrzony w zwyczajny zamek. Nie sforsowałby go silny mężczyzna, nawet gdyby miał narzędzia.

Wytrychem nie mogła go otworzyć, a jedyny klucz Teddy nosił przy sobie.

Patrzył, jak jego żona siada na ławce ogrodowej pośrodku altanki, potem spojrzał na butelkę. Przypomniał sobie, jak stał w tym samym miejscu tego wieczoru przed wyjazdem. Był już wtedy po kilku głębszych, popatrzył na jezioro, potem poszedł na górę pocałować dzieci na dobranoc, zbiegł na dół, kiedy zadzwonił telefon. Wydział policyjny wzywał go w trybie pilnym, toteż chwycił płaszcz i neseser, wychodząc, pocałował Dolores i ruszył do samochodu...

...i zostawił w kuchni dużą butelkę laudanum.

Pchnął tylne drzwi, poszedł przez trawę do altanki, stanął przy schodkach, a ona przyglądała mu się, cała mokra, i hustała się leniwie, odpychając się nogą.

-Kochanie, kiedy wypilaś całą butelkę? - spytał.

-Dzisiaj rano - odparła i pokazała mu język, potem ni z tego, ni z owego uśmiechnęła się marzycielsko i zapatrzyła się w lukrowany sufit altanki. - Ale to i tak za mało. Nie mogę zasnąć. Chcę zasnąć. Jestem taka zmęczona.

Dostrzegł unoszące się na powierzchni stawu kłody, ale wiedział, że to wcale nie są kłody, i zaraz oderwał od nich wzrok i popatrzył na żonę.

-Dlaczego jesteś zmęczona?

Wzruszyła ramionami, potraszając rękami zwieszonymi bezwładnie u boków.

-Mam już dość tego wszystkiego. Chcę wrócić do domu.

-To jest twój dom. Wskazała na sufit.

-Tam, skąd przyszliśmy.

Teddy znów spojrzał na trzy kłody, obracające się z wdziękiem na wodzie.

-Gdzie jest Rachel?

-W szkole.

-Przecież ona jest jeszcze za mała.

-Ale do mojej szkoły się nadaje - rzekła jego żona, obnazając zęby.

I Teddy zawył. Zawył tak przeraźliwie, że Dolores spadła z hustawki, a on przeskoczył przez nią, przesadził balustradę z tyłu altanki i pognał jak oszalały, wyjąc "nie", wyjąc "Boże", wyjąc "tylko nie moje dzieci", wyjąc "Jezu", wydając z siebie nieartykułowany skowyt.

Rzucił się do wody. Potknął się i upadł na twarz. Pogrzeżył się w wodzie, która zakryła go, gesta niczym olej, i płynął przed siebie, płynął, aż wynurzył się między nimi.

Między kłodami. Między swoimi dziećmi.

Edward i Daniel przewroceni byli na brzuch, ale Rachel unosiła się na wodzie twarzą do góry, miała otwarte oczy i spoglądała na niebo. W jej zrenicach utrwaliła się rozpacz matki, jej spojrzenie utkwione było w chmurach.

Wyniósł je po kolei i złożył ich ciała na brzegu. Obchodził się z nimi ostrożnie.

Trzymał je mocno, lecz delikatnie. Wyczuwał ich kości. Głaskał po policzkach, ramionach, zębach, nogach. Obsypywał je pocałunkami.

Padł na kolana i wymiotował, aż paliło go w piersi i opróżnił cały żołądek. Podeszedł do dzieci, skrzyżował im ręczki, zauważył, że Daniel i Rachel mają na nadgarstkach otarcia od sznura, i domyślił się, że Edward zginał pierwszy. Dwoje młodszych czekało, słysząc wszystko, wiedząc, że zaraz przyjdzie ich kolej.

Ucałował każde z nich w oba policzki i w czoła i przymknął Rachel powieki.

Czy wierzyły, kiedy niosła je do wody? Wrzeszczały? A może pogodziły się z losem i tylko pochłipywały?

Przed oczami stał mu obraz żony w fioletowej sukience, w której zobaczył ją po raz pierwszy, wyraz jej twarzy, w którym zakochał się od pierwszego wejrzenia. Wtedy sadził, że to z powodu sukni, że czuła się oniesmielona w takiej wystrzałowej sukience w eleganckim klubie. Ale tak naprawdę była przerażona i nie potrafiła tego do końca ukryć. Strach nigdy jej nie odstępował - strach przed pociągami, przed bombami, przed loskoczącymi tramwajami i młotami pneumatycznymi, ciemnymi alejkami, Sowietami i okretami podwodnymi, przed zlorzeczającymi mężczyznami przesiadującymi w knajpach,

przed rojącymi się w morzach rekinami, skosnookimi Azjatami z czerwonymi książeczkami w jednej ręce i karabinami w drugiej.

Panicznie bała się tego wszystkiego i wielu innych rzeczy, ale najbardziej przerażało ją to, co tkwiło w niej samej: zmyslny czerw, który zagnieździł się w jej mózgu, zerwał na nim całe życie, igrał z nim, grasował po nim, według własnego widzimisie zrywał połączenia.

Teddy zostawił dzieci i wrócił do altanki. Siadł na podłodze i długo przyglądał się, jak jego żona się husta, a najgorsze w tym wszystkim było to, że tak bardzo ją kochał.

Gdyby mógł poświęcić własny umysł, żeby uchronić ją przed szalenstwem, nie wahałby się. Oddać za nią ręce albo nogi? Proszę bardzo. Była jedyną miłością, jakiej w życiu zaznał. To ona sprawiła, że wrócił cały z wojny, że odnalazł się w tym strasznym świecie. Kochał ją nad życie, bardziej niż własną duszę.

Ale on ją zawiodł. Zawiodł własne dzieci. Zaprzepascił wszystko, co udało im się wspólnie zbudować, gdyż nie chciał dostrzec, jaka Dolores jest naprawdę, nie chciał zrozumieć, że szalenstwo nie wynikało z jej winy, że nie miała na to wpływu, że nie świadczyło to bynajmniej o słabości charakteru czy moralnej ułomności.

Nie chciał tego przyjąć do wiadomości, ponieważ jeśli była prawdziwą miłością jego życia, jego niesmiertelna druga połowa, to co w takim razie należało sadzić o jego umyśle, jego poczytalności, jego moralnej ułomności.

I dlatego odsunął to od siebie, odsunął się od niej. Zostawił ją, swą jedyną miłość, żeby sama zmagala się z toczącym ją od wewnątrz czerwim szalenstwem, patrzył, jak jej umysł idzie w rozsypankę.

Dolores hustała się leniwie, a on pomyślał: Chryste Panie, jak ja cie Kocham.

Kochał ją bardziej (przyznawał to ze wstydem) niż swoich synów.

Ale czy bardziej niż słodka, mała Rachel?

Chyba nie. Chyba nie.

Widział w wyobraźni Rachel w objęciach matki, która niesie ją do wody. Widział, jak jej oczy rozszerzają się, gdy pogrąża się w jeziorze.

Spojrzał na żonę, z obrazem Rachel wciąż przed oczami, i pomyślał: Ty okrutna, zwyrodniała, pomyłona suko.

Siedział w altance i płakał. Stracił poczucie czasu. Płakał, a przed oczami stanela mu Dolores witająca go z werandy, kiedy wracał do niej z kwiatami, Dolores spoglądająca na niego przez ramię podczas ich podróży posługującej, Dolores w fioletowej sukni, w ciąży z ich pierwszym, zdejmująca mu z policzka swoją rękę, wyrwijająca się z jego uścisku, a kiedy indziej znowu wtulająca się w niego, głaszcząc go po ręce, rozesmiana, posyłająca mu te wymowne niedzielne uśmiechy, spoglądająca na niego, a jej twarz zanika wokół tych jej dużych oczu i pozostają tylko one, z tym nieustannym wyrazem leku i osamotnienia, zawsze to tkwiące gdzieś na dnie osamotnienia...

Wstal, nogi trzesly mu sie w kolanach jak galareta.

Usiadl obok niej, a ona powiedziala:

-Jestes moim rycerzem.

-Nieprawda.

-Jestes. - Wziela jego dlon. - Kochasz mnie. Ja wiem. Wiem, ze masz swoje wady.

Co sobie pomysleli - Daniel i Rachel - kiedy wyrwal ich ze snu ucisk sznura owijanego wokol nadgarstkow? Kiedy zajrzeli jej w oczy?

-O Boze.

-Masz swoje wady. Ale jestes moj. I starasz sie.

-Skarbie, przestan, prosze.

A Edward? Edward na pewno uciekal. Musiala go scigac po calym domu.

Byla teraz taka rozpromieniona, szczesliwa.

-Przeniesiemy je do kuchni - oswiadczyla.

-Co?

Usiadla na nim okrakiem, przywarla do niego cala mokra.

-Posadzimy je przy stole, Andrew.

Ucalowala go w powieki. Przycisnal ja z calych sil do siebie i lkal w jej ramionach.

-Beda naszymi lalkami. Wytrzymy je - powiedziala.

-Co takiego? - zapytal stlumionym glosem. - Przebierzemy je w suche ubranka - szepnela mu do ucha.

Wyobrazil ja sobie w pudle z bialymi, gumowymi scianami i malym okienkiem w drzwiach. Nie mogl zniesc tego widoku.

-Polozymy je dzisiaj do naszego lozka.

-Nie mow tak, prosze.

-Tylko na te jedna noc.

-Blagam.

-A jutro zabierzemy je na piknik.

-Jesli kiedykolwiek mnie kochalas... - Nie dokonczyl, zapatrzony w trzy ciała ułożone na brzegu.

-Zawsze cie kochalam, najdrozszy.

-Jesli kiedykolwiek mnie kochalas, blagam cie, nic nie mow - zaklinal ja Teddy.

Chcial pojsc do dzieci, ozywic je, zabrac je stad, jak najdalej od niej.

Dolores polozyla reke na jego rewolwerze. Zacisnal na niej dlon.

-Pokaz, ze mnie kochasz - powiedziala. - Uwolnij mnie.

Szarpnela za rewolwer, ale odsunal jej reke. Spojrzal jej w oczy. Ich blask az razil.

To nie byly oczy czlowieka. Raczej psa. Albo wilka.

Po tym, co przeszedl na wojnie, co widzial w Dachau, przysialg sobie, ze juz nigdy nikogo nie zabije, chyba ze nie bedzie miał wyjścia. Chyba ze zobaczy wycelowany w siebie rewolwer. Tylko wtedy.

Nie moglby zyc, majac na sumieniu smierc jeszcze jednego czlowieka. Nie moglby.

Dolores pociagnela za rewolwer, a jej oczy blyszczaly jeszcze jasniej. Znow odsunal jej reke.

Spojrzal w strone brzegu i zobaczyl je, starannie ułożone, jedno obok drugiego.

Wyszarpnal rewolwer z kabury. Pokazal go zonie.

Dolores zagryzla wargi i skinela glowa, a z oczu plynely jej lzy. Zadarla glowe.

-Bedziemy udawali, ze wciaz sa z nami. Bedziemy je kapac, Andrew.

Przylozyl lufe do jej brzucha. Drzala mu reka i drzaly mu usta, kiedy mowil:

-Kocham cie, Dolores.

I nawet wtedy, trzymajac rewolwer przycisniety do jej ciała, byl przekonany, ze sie na to nie zdobedzie.

Spojrzala w dol, jakby zdziwiona, ze wciaz jeszcze jest na tym swiecie, a on pod nia.

-Ja tez cie kocham. Kocham cie jak...

Nacisnal spust. Huk wystrzalu odbil sie w jej oczach, ustami z cichym pyknieciem wylecialo powietrze. Przylozyla reke do rany i patrzyla na niego, druga reka trzymajac go za wlosy.

A kiedy z rany wylala sie krew, przycisnal Dolores do siebie i zwiotczala mu w rekach, a on trzymal ja, trzymal ja i plakal, wyplakiwal te straszna milosc w jej splowiala sukienke.

Podniosl sie. Otaczaly go ciemnosci; poczul dym z papierosa, zanim dojrzal zarzacy sie ognek, ktory rozblysl nagle, kiedy czuwajacy przy nim Sheehan sie zaciagnal.

Siedzial na lozku i lkal. Nie mogli sie powstrzymac. Powtarzal jej imie.

-Rachel, Rachel, Rachel - mowil.

I widzial jej oczy zapatrzone w chmury i jej wlosy unoszace sie na wodzie.

Kiedy ustaly spazmy, kiedy obeschly lzy, Sheehan zapytal:

-Ktora Rachel?

-Rachel Laeddis - powiedzial. - A ty jestes...?

-Andrew. Nazywam sie Andrew Laeddis.

Sheehan zapalil mala lampke, ktora wydobyła z mroku stojace na zewnatrz celi postaci Cawleya i straznika. Straznik odwrocony byl do nich plecami, ale Cawley, z rekami opartymi o prety, zagladal do srodka.

-Dlaczego tu jestes?

Wzial od Sheehana chusteczke i wytarl sobie twarz.

-Dlaczego tu jestes? - powtorzyl pytanie Cawley.

-Bo zabilem zone.

-A dlaczego ja zabiles?

-Bo zamordowala nasze dzieci i musialem polozyc kres jej udrece.

-Jestes szeryfem federalnym? - spytal Sheehan.

-Nie. Kiedys bylem, ale juz nie jestem.

-Od jak dawna przebywasz w tym szpitalu?

-Od trzeciego maja piecdziesiatego drugiego roku.

-Kim byla Rachel Laeddis?

-Moja coreczka. Miala cztery lata.

-Kto to jest Rachel Solando?

-Nikt. Ona nie istnieje. Wymysliłem ją.

-Po co? - spytał Cawley. Teddy potrząsnął głową.

-Po co? - powtórzył pytanie Cawley.

-Nie wiem. Nie wiem...

-Owszem, wiesz, Andrew. Powiedz mi.

-Nie mogę.

-Możesz.

Teddy chwycił się za głowę i kiwał się na łóżku.

-Niech pan mnie nie zmusza. Błagam, błagam, doktorze! Cawley zacisnął ręce na pretach.

-Muszę to od ciebie usłyszeć, Andrew.

Spojrzał na Cawleya przez kraty, miał ochotę skoczyć na niego i odgryźć mu nos.

-Ponieważ - zaczął i urwał; odchrząknął i splunął na podłogę. - Ponieważ nie mogę żyć ze świadomością, że pozwoliłem zonie zabić nasze dzieci. Lekceważyłem wszystkie oznaki. Ludziłem się, że jeśli będę dobrej myśli, wszystko się poprawi. Jestem odpowiedzialny za ich śmierć, ponieważ opuściłem je w potrzebie.

-I?

-I ta świadomość jest dla mnie nie do zniesienia. Nie mogę z nią żyć.

-Ale musisz. Zdajesz sobie z tego sprawę.

Skinał głową. Podciągnął kolana pod brodę.

Sheehan spojrzał przez ramię na Cawleya, który obserwował ich przez kraty. Cawley zapalił papierosa i zmierzył Teddy'ego wzrokiem.

-Powiem ci, czego się boję, Andrew. Już to kiedyś przerabialiśmy. Dziewiec miesięcy temu doszliśmy z tobą dokładnie do tego samego etapu. A potem nastąpiła regresja. Błyskawiczna.

-Przykro mi.

-Doceniam to, ale w tej chwili przeprasiny na nic się nie zdadza. Muszę mieć pewność, że pogodziłeś się z rzeczywistością. Nie możemy sobie pozwolić na kolejną regresję.

Teddy spojrzał na Cawleya, wychudzonego mężczyznę z podkrążonymi oczami.

Człowieka, który próbował go ocalić. Człowieka, który pewnie był jego jedynym prawdziwym przyjacielem.

Widział huk wystrzału odbijający się w jej oczach, czuł dotyk przemoczonych nadgarstków, które skrzyżował synom na piersiach, miał przed oczami włosy córki, które odgarnął jej z twarzy.

-Tym razem nie będzie regresji - powiedział. - Nazywam się Andrew Laeddis.

Zamordowałem moją żonę, Dolores, wiosną pięćdziesiątego drugiego roku.

25

Kiedy się obudził, do pokoju zaglądało słońce. Podniósł się i spojrzał w stronę krat, ale krat nie było. Tylko okno, które wydawało mu się dziwnie niskie, dopóki nie spostrzegł, że to ono leży wysoko, na górnym łóżku w pokoju, który dzielił z Treyem i Bibbym.

Był sam w pokoju. Zeskoczył z łóżka, otworzył szafę z ubraniami, zobaczył swoje świeżo uprane rzeczy i zaraz je włożył. Podszedł do okna i postawił nogę na parapecie, żeby zawiązać sznurowadło. Z okna rozciągał się widok na teren szpitala, po którym uwijali się pacjenci, posługacze i strażnicy. Jedni krecili się przed szpitalem, drudzy sprzatali teren, a jeszcze inni zajmowali się tym, co pozostało z krzewów rozanych posadzonych wzdłuż fundamentu.

Przyglądał się swoim ręką, kiedy zawiązywał drugi but. Ani drgnęły. Wzrok miał ostry, a umysł jasny; czuł się jak nowo narodzony.

Wyszedł na dziedziniec. Po drodze spotkał siostrę Marino, która uśmiechnęła się na jego widok.

-Dzień dobry - powiedziała.

-Zapowiada się piękny.

-Cudowny. Chyba ten sztorm sprowadził nam pogodę.

Oparł się o barierkę i spojrzał na niebo, błękitne niczym oczy niemowlęcia.

Powietrze pachniało świeżością, której tak brakowało przez całe lato.

Siostra Marino życzyła mu miłego dnia i odeszła, a on z przyjemnością patrzył, jak kolysze biodrami; najwyraźniej wracał do zdrowia.

Szedł dalej i minal posługaczy, którzy mieli wolny dzień i grali w piłkę. Pokiwali mu i powiedzieli: "Dzień dobry", a on odpowiedział tym samym.

Usłyszał wycie syreny, którym prom oznajmiał, że podpływa do pomostu. Pośrodku trawnika przed budynkiem szpitala stali Cawley i komendant, zajęci rozmową. Przywitani go skinieciem głowy, a on nie pozostał im dłużny.

Przysiadł z boku na schodkach przed wejściem do szpitala i patrzył na to wszystko.

Dawno już nie czuł się tak dobrze.

-Proszę.

Wziął papierosa, włożył go do ust, pochylił się w stronę ognia i zdążył jeszcze poczuć odor benzyny, zanim zapalniczka Zippo zamknęła się z trzaskiem.

-Jak się czujemy tego pięknego ranka?

-W porządku. A ty? - spytał, wciągając dym do płuc.

-Nie narzekam.

Spostrzegł, że Calwey i komendant przyglądają się im.

-Dowiemy się kiedyś, co to za książeczki komendant tak ze sobą nosi?

-Nie. Chyba zabierze te tajemnice ze sobą do grobu.

-Wielka szkoda.

-Może pewnych spraw na tej ziemi po prostu nie dane jest nam poznać. Spójrz na to od tej strony.

-Ciekawy punkt widzenia.

-No cóż, staram się.

Zaciągnął się drugi raz, zauważył, że dym ma wyrazisty, słodki smak, i lgnie do podniebienia.

-I co teraz? - spytał.

-Ty decydujesz, szefie.

Uśmiechnął się do Chucka. Siedzieli sobie w promieniach porannego słońca, na luzie, jak gdyby nigdy nic, jakby na świecie wszystko było w najlepszym porządku.

-Trzeba by się stąd wyrwać - rzekł Teddy. - Wracać do domu.

Chuck skinął głową.

-Spodziewałem się, że to powiesz.

-Masz jakiś pomysł?

-Daj mi minutę - powiedział Chuck.

Teddy skinął głową i oparł się o schody. Czekał minutę, może nawet kilka minut.

Widział, jak Chuck podnosi reke i jednocześnie kreci glowa. Cawley skinal Chuckowi glowa, a potem powiedzial cos komendantowi i obaj ruszyli w strone Teddy'ego, a za nimi czterej poslugacze. Jeden z nich niosl biale zawiniatko i Teddy'emu wydawalo sie, ze dostrzegl blysk metalu, kiedy poslugacz rozwinal biala plachte i padly na nia promienie slonca.

-Sam nie wiem, Chuck - powiedzial. - Myslisz, ze nas przejrzel?

-Gdzie tam. - Chuck odchylil glowe do tylu i mruzac oczy w sloncu, usmiechnal sie do niego. - Jesteśmy dla nich za sprytni.

-Wlasnie - pochwycil Teddy. - Nie da sie ukryc.

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2010-01-19

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/